

**Clive Cussler & Craig Dirgo**

# **Złoty Budda**

**Golden Buddha**

**Przełożył: Maciej Pintara**

**Wydanie oryginalne: 2003**

**Wydanie polskie: 2004**

**TMN**

# Od autora

*Kilka lat temu, kiedy pisałem Potop, zdałem sobie sprawę, że Dirk Pitt potrzebuje pomocy przy wykonywaniu pewnego zadania, wymyśliłem więc Juana Cabrillo.*

*Cabrillo dowodził statkiem o nazwie „Oregon”. Ta niepozorna na pierwszy rzut oka jednostka skrywała w swoim wnętrzu najnowocześniejszy sprzęt wywiadowczy. Należała do prywatnego przedsiębiorstwa, które mogło zostać wynajęte przez każdą agencję rządową jaką było na to stać. Statek docierał tam, gdzie nie mógł się pojawić żaden okręt wojenny, transportował tajne ładunki bez wzbudzania podejrzeń i zbierał dane – był zatem doskonałym wsparciem dla NUMA.*

*Pisząc o „Oregonie” i jego jednonogim, zuchwałym kapitanie, bawiłem się tak dobrze, że było mi przykro, gdy odpłynął po wykonaniu zadania. Obiecałem sobie, że znajdę sposób, by pewnego dnia wezwać go z powrotem, i z przyjemnością stwierdzam, że właśnie mi się to udało. Złoty Budda to pierwsza powieść z nowej serii przygód sympatycznej załogi Juana Cabrillo. Mam nadzieję, że ta lektura będzie dla was równie emocjonująca, jak dla mnie było tworzenie tych postaci.*

*I kto wie, może kiedyś ścieżki tych bohaterów i Dirka Pitta znów się skrzyżują...?*

*Clive Cussler*

# Wstęp

*Już wiecie, że nie jest to opowieść o przygodach Dirka Pitta ani historia z archiwów NUMA o Kurcie Austinie. To książka o starym statku handlowym „Oregon”, który opisałem w powieści Potop z Dirkiem Pittem.*

*Pod zniszczoną nadbudową i zardzewiałym kadłubem „Oregona” kryje się cud techniki i owoc geniuszu naukowego. Załoga statku to grupa wykształconych, inteligentnych najemników, którzy działają pod płaszczykiem rozbudowanej korporacji. Dostają zlecenia od rządów, organizacji i prywatnych firm na całym świecie. Walczą z korupcją i stawiają czoło groźnym przestępcom w egzotycznych portach wszystkich mórz.*

*Craig Dirgo i ja pracowaliśmy wspólnie nad stworzeniem zupełnie nowej serii przygodowej z bohaterami, którzy diametralnie różniliby się od wszystkich innych.*

*Mam nadzieję, że spodoba się wam ta odmiana.*

*Clive Cussler*

# Osoby

## Zarząd korporacji

Juan Cabrillo prezes

Max Hanley wiceprezes

Richard Truitt wiceprezes ds. operacyjnych

## Personel operacyjny (w porządku alfabetycznym)

George Adams pilot helikoptera

Rick Barrett szef kuchni

Monica Crabtree koordynatorka ds. zaopatrzenia i logistyki

Carl Gannons specjalista ds. zaopatrzenia

Chuck „Mały” Gunderson główny pilot

Michael Halpert główny księgowy

Cliff Hornsby pracownik ogólnoperacyjny

Julia Huxley lekarka

Pete Jones pracownik ogólnoperacyjny

Hali Kasim specjalista ds. łączności

Larry King snajper

Franklin Lincoln pracownik ogólnoperacyjny

Bob Meadows pracownik ogólnoperacyjny

Mark Murphy specjalista ds. uzbrojenia

Kevin Nixon specjalista ds. charakteryzacji i kamuflażu

Sam Pryor specjalista od urządzeń napędowych

Gunther Reinholt specjalista od urządzeń napędowych i uzbrojenia

Tom Reyes pracownik ogólnoperacyjny

Linda Ross specjalistka ds. bezpieczeństwa i obserwacji

Eddie Seng szef operacji lądowych

Eric Stone szef sterowni

## Inni

Dalajlama przywódca duchowy Tybetu

Hu Jintao prezydent Chin

Langston Overholt IV pracownik CIA, który wynajmuje korporację do wyzwolenia Tybetu

Legchog Zhuren naczelnik Tybetańskiego Regionu Autonomicznego

Sung Rhee szef policji w Makau

Ling Po detektyw z policji w Makau

Stanley Ho miliarder z Makau i nabywca Złotego Buddy

Marcus Friday amerykański potentat komputerowy, który chce kupić skradziony posąg Buddy

Winston Spenser nieuczciwy handlarz dziełami sztuki, który usiłuje ukraść Złotego Budę

Michael Talbot handlarz dziełami sztuki z San Francisco, który pracuje dla Fridaya

# Prolog

31 marca 1959

Pąki kwiatów właśnie zaczynały pękać. Park otaczający pałac letni w Norbulingce wyglądał pięknie. Wewnątrz ogradzających go wysokich murów rosły drzewa i rozciągały się bujne ogrody. W samym ich środku wznosił się niższy, żółty mur wewnętrzny. Przez furtkę przejść mógł tylko dalajlama, jego doradcy i kilku wybranych mnichów. Za murem, pośród stawów, znajdowała się bowiem świątynia i siedziba dalajlamy.

Oaza porządku i spokoju w kraju pogrążonym w chaosie.

Na zboczu pobliskiego wzgórza stał okazały pałac zimowy Potala. Masywna bryła gmachu zdawała się zstępować ze zbocza. Ponad tysiąc komnat wzniesionej przed wiekami budowli zajmowały setki mnichów. Ze środkowych kondygnacji siedmiopiętrowego pałacu zygzakiem w dół prowadziły kamienne stopnie i kończyły się przy gigantycznym murze, który tworzył podstawę kolosa. Precyzyjnie ułożone kamienie pięły się na wysokość niemal dwudziestu pięciu metrów.

U podnóża wzniesienia, w namiotach rozstawionych na płaskim terenie, zebrały się tysiące Tybetańczyków. Tak jak inna duża grupa w Norbulingce, przybyli tu, by chronić swojego duchowego przywódcę. W przeciwieństwie do zniechęconych Chińczyków, okupujących ich kraj, wieśniacy nie nosili karabinów, lecz noże i łuki. Zamiast broni palnej mieli tylko własne ciała i odwagę. Byli w mniejszości, ale bez wahania oddaliby życie za swojego przywódcę.

Wystarczyłoby jedno słowo dalajlamy.

W świątyni za żółtym murem dalajlama modlił się do swojego osobistego opiekuna Mahakali. Chińczycy zaproponowali mu gościnę w kwaterze głównej, żeby zapewnić mu ochronę, ale wiedział, że powodem tego zaproszenia nie była troska o jego osobę. To właśnie Chińczyków musiał się strzec. Ich prawdziwe zamiary opisane były w liście, który właśnie otrzymał od Ngabo Ngawanga Jigme, gubernatora Chamdo. Po rozmowie z chińskim generałem Tanem, dowódcą wojskowym regionu, Jigme był pewien, że Chińczycy planują otworzyć ogień do tłumu, aby go rozproszyć.

Gdyby tak się stało, zginęłoby mnóstwo ludzi.

Dalajlama podniósł się z kolan, podszedł do stołu i potrząsnął dzwonkiem. Niemal natychmiast otworzyły się drzwi i wszedł szef Kusun Depon, osobistej ochrony dalajlamy. Na zewnątrz stało paru groźnie wyglądających wojowników Sing Gha. Każdy mierzył ponad dwa metry. Wąsaci, w czarnych strojach, wydawali się jeszcze potężniejsi i niezwykli.

Obok nich siedziało czujnie kilka mastifów tybetańskich, nazywanych tu *dogkhyi*.

- Wezwij proroka – polecił cicho dalajlama.

Langston Overholt III śledził przebieg wydarzeń ze swojej siedziby w Lhasie. Stał obok radiooperatora, który manipulował przy aparacie.

- Sytuacja krytyczna, odbiór.

Radiooperator wyregulował pokręta, żeby zredukować zakłócenia.

- Czerwony kogut chyba wejdzie do kurnika, odbiór.

Operator uważnie obserwował wskaźniki.

- Potrzebne natychmiastowe wsparcie, odbiór.

Znów zwłoka, gdy operator regulował aparat.

- Zalecam orły i wielbłądy, odbiór.

Mężczyzna milczał, kiedy radio ożyło i na zielonych wskaźnikach pojawiły się znów falujące linie. Słowa poszły w eter, na resztę nie mieli wpływu. Overholt chciał dostać samoloty. Natychmiast.

Prorok, Dorje Drakden, pogrążony był w głębokim transie. Przez małe okno wysoko w ścianie świątyni wpadało zachodzące słońce, a jego promień oświetlał kadzielnice. W blasku unosiły się smugi dymu, powietrze pachniało cynamonem. Dalajlama siedział po turecku na poduszce pod ścianą, kilka kroków od Drakdena. Prorok klęczał skulony i dotykał czołem drewnianej podłogi. Nagle przemówił głębkim głosem:

- Wyjedź dziś w nocy. Uciekaj!

Potem wstał z zamkniętymi oczami, podszedł do stołu i zatrzymał się dokładnie trzydzieści centymetrów od niego. Wziął gęsie pióro i zanurzył w atramencie. Narysował na kartce papieru szczegółową mapę i osunął się na ziemię.

Dalajlama podbiegł do niego, uniósł mu głowę i poklepał po policzku. Prorok zaczął powoli odzyskiwać przytomność. Dalajlama wsunął mu poduszkę pod głowę, wstał i nalał do kubka wody z glinianego dzbana. Wrócił do proroka i przysunął mu kubek do ust.

- Pij, Dorje – powiedział cicho.

Starzec powoli doszedł do siebie i usiadł z trudem. Kiedy tylko dalajlama upewnił się, że prorokowi nic nie grozi, podszedł do stołu i przyjrzał się narysowanej mapie.

Wskazywała drogę jego ucieczki z Lhasy do granicy z Indiami.

Overholt wrodził się w swoich przodków. W każdej wojnie, jaką Stany Zjednoczone prowadziły od czasów swojego powstania, brał udział co najmniej jeden członek rodziny. Jego dziadek był szpiegiem w wojnie secesyjnej, ojciec – podczas I wojny światowej, a Langston III służył w czasie II wojny światowej w OSS, biurze służb strategicznych, zanim przeniósł się do CIA, utworzonej w 1947 roku. Overholt miał trzydzieści trzy lata i od piętnastu zajmował się szpiegostwem.

Pierwszy raz w swojej karierze miał do czynienia z tak groźną sytuacją. W niebezpieczeństwie nie znajdował się król czy królowa, biskup czy dyktator. Chodziło

o zwierzchnika jednego z Kościołów. O człowieka, który był uosobieniem Boga. O przywódcę religijnego, kontynuatora tradycji zapoczątkowanej w 1351 roku. Trzeba było działać szybko, zanim komuniści osadzą go w więzieniu. Potem ta partia szachów będzie zakończona.

Wiadomość Overholta odebrano w Mandalaj w Birmie i przekazano do Sajgonu, stamtąd do Manili, potem bezpiecznym kablem podwodnym do Long Beach w Kalifornii, a w końcu do Waszyngtonu.

Wraz z pogarszaniem się sytuacji w Tybecie CIA zaczęła gromadzić siły powietrzne w Birmie. Grupa była za mała, żeby pokonać Chińczyków, ale wystarczająco duża, by ich spowolnić, dopóki do akcji nie wejdą oddziały lądowe wyposażone w broń ciężką.

Eskadra zamaskowana jako Himalajskie Linie Lotnicze składała się z czternastu samolotów C-47. Dziesięć mogło zrzucić zaopatrzenie, cztery przerobiono na maszyny bojowe. Wspierało je sześć myśliwców F-86 i jeden ciężki bombowiec B-52, który właśnie zszedł z taśmy montażowej w fabryce Boeinga.

Alan Dulles, dyrektor CIA, siedział w Gabinetecie Ovalnym, palił fajkę i wyjaśniał sytuację prezydentowi Eisenhowerowi. Potem odchylił się do tyłu w fotelu i dał mu kilka chwil do namysłu. Zapadła cisza.

– Panie prezydencie – odezwał się w końcu Dulles – pozwoliliśmy sobie zorganizować w Birmie grupę uderzeniową. Wystarczy jedno pańskie słowo, żeby za godzinę była w powietrzu.

Od czasu swojej elekcji w roku 1952 Eisenhower borykał się z komisją McCarthy'ego, tropiącą wpływy komunistów w rządzie, wysłał pierwszych doradców do Wietnamu i przeszedł atak serca. Musiał skierować dziesięć tysięcy żołnierzy do Little Rock w Arkansas, żeby uspokoić zamieszki rasowe. Widział, jak Rosjanie pierwsi wysyłają człowieka w kosmos, wyprzedzając Amerykanów, i był świadkiem ukamienowania swojego wiceprezydenta przez wrogi tłum w Ameryce Łacińskiej. Teraz Kuba, leżąca zaledwie osiemdziesiąt mil morskich od wybrzeża Stanów Zjednoczonych, miała komunistycznego przywódcę. Polityka zaczynała go stanowczo męczyć.

– Nie, Alan – odrzekł cicho po chwili milczenia. – Będąc generałem, nauczyłem się, że trzeba wiedzieć, gdzie i kiedy można walczyć. Teraz lepiej powstrzymać się od interwencji w Tybecie.

Dulles wstał i uścisnął mu dłoń.

– Zawiadomię moich ludzi – powiedział.

Na amerykańskim stanowisku dowodzenia w Lhasie popielniczka na stole obok radia była pełna niedopałków. Minęło już kilka godzin od wysłania meldunku, a na razie nadeszło tylko potwierdzenie, że wiadomość radiowa została odebrana. Co trzydzieści minut tybetańscy łącznicy dostarczali informacje. Obserwatorzy



meldowali, że tłumy przed pałacami w Lhasie rosą z minuty na minutę, ale nie byli w stanie dokładnie ocenić ich liczebności. Z gór wciąż napływali Tybetańczycy, dzierżąc kije, kamienie i noże. Świetnie uzbrojeni Chińczycy mogli ich zmasakrować.

Żołnierze nie podejmowali na razie żadnych działań, ale meldunki mówiły o koncentracji chińskich oddziałów na drogach do stolicy. Overholt widział to samo pięć lat wcześniej w Gwatemali, kiedy rozszalał się tłum wspierany przez antykomunistycznych rebeliantów pod przywództwem Carlosa Armasa. Zapanował chaos. Siły prezydenta Jacoba Arbenza zaczęły strzelać do ciżby, żeby przywrócić porządek i przed świtem szpitale i kostnice były przepełnione. Demonstrację zorganizował Overholt i ta świadomość ciążyła mu na sumieniu.

Radio ożyło.

– Cylinder odmawia, odbiór.

Overholtowi na moment zamarło serce. Samoloty, na które liczył, nie przylecą.

– Tata Niedźwiedź zamiecie w razie potrzeby ścieżkę w czasie odwrotu. Zalecamy wyjazd i późniejszą podróż, odbiór.

Eisenhower nie zgodził się na zaatakowanie Lhasy, pomyślał Overholt. Ale Dulles na własną rękę osłoni ucieczkę z Tybetu, jeśli do tego dojdzie. Jeśli Overholt wszystko dobrze rozegra, nie będzie musiał narażać tyłka swojego szefa.

– Proszę pana? – zapytał radiooperator.

Overholt otrząsnął się z zamyślenia.

– Czekają na odpowiedź – powiedział cicho operator.

Overholt sięgnął po mikrofon.

– Przyjąłem. Zgadzam się. I dziękuję Tacie Niedźwiedziowi za gest. Odezwiemy się z trasy. Zamykamy biuro, odbiór.

Radiooperator podniósł wzrok na Overholta.

– To chyba tyle.

– Rozwał wszystko – polecił cicho Overholt. – Znikamy stąd.

Za żółtym murem trwały gorączkowe przygotowania do ucieczki dalajlami za granicę. Overholt, wpuszczony przez ochronę, czekał w pokoju administracyjnym. Po pięciu minutach do biura wszedł dalajlama w ciemnych okularach i żółtej szacie. Duchowy przywódca Tybetu wyglądał na zmęczonego, ale pogodzonego z losem.

– Widzę po twojej minie – zaczął cicho – że pomoc nie nadejdzie.

– Bardzo mi przykro, Wasza Świątobliwość – odrzekł Overholt. – Robiłem, co mogłem.

– Wiem, Langston. Sytuacja jest, jaka jest – zauważył dalajlama. – Toteż zdecydowałem się na emigrację. Nie mogę ryzykować, że mój naród zostanie zmasakrowany.

Overholt spodziewał się, że będzie musiał użyć całej swojej siły perswazji, żeby nakłonić dalajlamę do ucieczki. Tymczasem okazało się, że decyzja już zapadła. Powinien był to przewidzieć – znał przywódcę Tybetu od lat i nigdy nie wątpił w jego

troskę o swój naród.

– Moi ludzie i ja chcielibyśmy towarzyszyć Waszej Świątobliwości – powiedział.  
– Mamy szczegółowe mapy, radia i zaopatrzenie.

– Będziemy zadowoleni, jeśli przyłączycie się do nas – odrzekł dalajlama. – Niedługo wyruszamy.

Odwrócił się, żeby wyjść.

– Żałuję, że nie mogłem zrobić więcej – odezwał się Overholt.

– Jest, jak jest – powtórzył dalajlama, stojąc już przy drzwiach. – Zbierz swoich ludzi, spotkamy się nad rzeką.

Wysoko nad Norbulingką niebo usiane było gwiazdami. Do pełni brakowało kilku dni. Ziemię oświetlał żółty, rozproszony blask księżyca. Wokół panowała cisza i spokój. Nocne ptaki, które zwykle śpiewały o tej porze, milczały. Oswojone zwierzęta trzymane w specjalnie wydzielonej części ogrodu – piżmowiec, kozice górskie, wielbłądy i stary tygrys oraz biegające na wolności pawie – także nie hałasowały. Lekki wiatr od Himalajów przynosił zapach sosnowych lasów i zmian.

Ze zbocza wysokiego wzgórza za miastem dobiegł przerażający ryk śnieżnej pantery.

Dalajlama omiótł wzrokiem okolice, potem zamknął oczy i wyobraził sobie swój powrót. Zamiast szaty i peleryny włożył spodnie i czarny wełniany płaszcz. Na lewym ramieniu zawiesił karabin, na prawym miał zrolowane ceremonialne *thangka* – starodawny haftowany gobelin z jedwabiu.

– Jestem gotowy – powiedział do swojego *chikyah kenpo*, szefa sztabu. – Zapakowałeś posąg?

– Jest bezpieczny w skrzyni i pod strażą. Nasi ludzie będą go strzec za wszelką cenę.

– Powinni – odrzekł cicho dalajlama.

Obaj mężczyźni wyszli przez furtkę w żółtym murze.

*Chikyah kenpo* trzymał wielką, zakrzywioną zdobioną klejnotami szablę. Wsunął ją do skórzaney pochwy i spojrzał na swojego mistrza.

– Proszę być blisko mnie.

Eskortowani przez Kusun Depon przeszli przez zewnętrzną bramę i wmieszali się w tłum. Orszak szybko posuwał się wydeptaną ścieżką. Dwaj członkowie ochrony zostali z tyłu i sprawdzili, czy nikt nie śledzi uciekinierów. Nie zauważyli nic podejrzanego, więc przesunęli się naprzód i zmieniła ich następna para, aby zabezpieczyć tyły. Inni strażnicy wypatrywali niebezpieczeństwa przed grupą. Droga była wolna. Wielki mnich na tyłach orszaku ciągnął wózek z posągiem. Trzymał mocno uchwyty i pędził przed siebie niczym rikszarz spóźniony na spotkanie z umówionym pasażerem.

Wszyscy biegli truchtem i odgłos ich kroków przypominał stłumione klaskanie.

Usłyszeli szum wody i poczuli zapach mchu. Dotarli do dopływu rzeki Kyichu.

Przeprawili się po kamieniach na drugą stronę i ruszyli dalej.

Na przeciwległym brzegu Kyichu Overholt spojrzął na fosforyzowaną tarczę zegarka i przestąpił z nogi na nogę. Kilka tuzinów ludzi z Kusun Depon, przysłanych parę godzin wcześniej, zajmowało się końmi i mułami, dzięki którym uciekinierzy mieli szybciej opuścić kraj. Strażnicy patrzyli na jasnowłosego Amerykanina z rezygnacją, ale bez niechęci czy strachu.

Przebyli rzekę na kilku dużych promach, które teraz, przycumowane ponownie na drugim brzegu, czekały na przybycie dalajlamy. Overholt dostrzegł za wodą krótki błysk światła. Sygnał oznaczał, że droga jest wolna. W blasku księżyca zobaczył, jak promy szybko zapełniają się ludźmi. Po paru minutach usłyszał odgłos wioseł uderzających o wodę.

Pierwszy prom przybił do kamienistej plaży i na ląd zszedł dalajlama.

- Langston – powiedział – udało ci się niepostrzeżenie wymknąć ze stolicy?
- Tak, Wasza Świątobliwość.
- Wszyscy twoi ludzie są tutaj?

Overholt wskazał swój siedmioosobowy oddział. Mężczyźni stali z boku z kilkoma kuframi wojskowymi i sprzętem.

Gdy drugi prom dotarł do brzegu, *chikyah kenpo* kazał swoim ludziom wsiąść na konie. Żołnierze wzięli długie drzewce z jedwabnymi chorągwiami. Wierzchowcom założono wcześniej ceremonialne okrycia i ozdoby. Rozległ się przytłumiony dźwięk trąbki. Nadszedł czas wymarszu.

Overholt i jego ludzie z pomocą Tybetańczyków dosiedli koni i pojechali szeregami za dalajlame. O wschodzie słońca byli daleko od Lhasy.

Po dwóch dniach podróży, w czasie której pokonali niemal pięciokilometrową przełęcz Che-La i przeprawili się przez rzekę Tsangpo, uciekinierzy zatrzymali się na noc w klasztorze w Ra-Me. Tu dogonili ich konni posłańcy z wiadomością, że w Norbulingce Chińczycy otworzyli ogień z karabinów maszynowych do bezbronnego tłumu. Zabili tysiące ludzi. Dalajlama zbladł.

Overholt składał przez radio meldunki o tym, jaką część trasy już pokonali i czuł ulgę, że nie trzeba wzywać pomocy. Wybrano taką drogę, żeby uniknąć spotkania z Chińczykami. Amerykanin i jego ludzie byli wykończeni, ale twardzi Nepalczycy parli naprzód. Zostawili za sobą miasto Lhuntse Dzong i wieś Jhora.

Byli niecały dzień drogi od przełęczy Karpo, za którą już leżały Indie.

Wtedy zaczął padać śnieg. Nad Mangmangiem, ostatnim tybetańskim miastem przed granicą, rozszalała się zamieć. Dalajlama był zmęczony podróżą i przygnębiony wiadomością o śmierci tylu rodaków. Zachorował. Ostatnia noc w ojczyźnie była dla niego męką.

Żeby ułatwić mu podróż, posadzono go na grzbiecie dzomo – jaka skrzyżowanego z koniem. Gdy zwierzę wspinało się na zbocze przełęczy Karpo, dalajlama zatrzymał je i po raz ostatni popatrzył na swój ukochany Tybet.

Overholt podjechał bliżej na koniu. Zaczekał, aż Dalajlama spojrzy na niego.

– Mój kraj nie zapomni o Tybecie – zapewnił. – Pewnego dnia sprowadzimy Waszą Świątobliwość z powrotem.

Dalajlama skinął głową, poklepał dzomo po karku i skierował się ku granicy. Z tyłu kolumny mnich ciągnący wózek z bezcennym artefaktem pokonał górski grzbiet, zaparł się nogami i ruszył w dół zbocza. Ponad dwustusiedemdziesięciokilogramowy ciężar, który tak trudno było wciągnąć na górę, teraz próbował się uwolnić. Mnich wbił pięty w ziemię.

# 1

## *Czasy współczesne*

Była ósma wieczorem. Z południa, niczym ciemny owad pełzający po niebieskim, wygniecionym obrusie, stary, zniszczony statek handlowy przedzierał się przez fale Morza Karaibskiego w stronę wejścia do kubańskiego portu w Santiago. Wschodnia bryza rozwiewała dym z pojedynczego komina, za horyzontem chowała się wielka, pomarańczowa kula zachodzącego słońca.

Statek był jednym z ostatnich trampów parowych. Podróżował anonimowo do odległych, egzotycznych portów świata. Niewiele takich frachtowców pozostało na morzu. Nie kursowały na regularnych szlakach żeglugowych. Ich trasy zależały od ładunku i jego właściciela. Punkt docelowy zmieniał się w każdym porcie. Statek przybijał do nabrzeża, wyładowywał towar i znikał jak widmo.

W odległości dwóch mil morskich od lądu do frachtowca zbliżyła się niewielka łódź, zawróciła i wzięła kurs równoległy do statku. Kierujący nią pilot podpłynął do zardzewiałego kadłuba, z otwartego włazu opuszczono dla niego drabinkę.

Mężczyzna wyglądał na nieco ponad pięćdziesiąt lat. Miał ciemną skórę i gęste siwe włosy. Popatrzył w górę na stary frachtowiec. Farba niegdyś czarna teraz wyblakła, a kadłub wymagał czyszczenia i malowania. Pod każdym otworem widniały rdzawe zacieki. Wielka kotwica tkwiąca ciasno w kluzie była prawie zupełnie skorodowana. Pilot z trudem odczytał napis na dziobie. Stary, zniszczony frachtowiec nazywał się „Oregon”.

Jesus Morales z niedowierzaniem pokręcił głową. Cud, że ten statek nie trafił na złom dwadzieścia lat temu, pomyślał. Wygląda bardziej na wrak niż na sprawny frachtowiec. Ciekawe, czy partyjni biurokraci w Ministerstwie Transportu wiedzą, w jakim stanie jest statek, który przywiózł nawozy sztuczne na pola cukrowe i tytoniowe. Nie mógł uwierzyć, że ten wrak przeszedł morską inspekcję ubezpieczeniową.

Kiedy frachtowiec zwolnił niemal do zera, Morales stanął przy relingu. Odbojniki łodzi uderzyły o kadłub statku. Pilot zaczekał, aż grzbiet nadciągającej fali uniesie łódź, zwinnie przeskoczył z mokrego pokładu na drabinkę i wspiał się do włazu. Robił to dziesięć razy dziennie. Dwaj ponurzy muskularni marynarze pomogli mu wejść na pokład. Nie uśmiechnęli się na powitanie. Jeden wskazał drabinkę prowadzącą na mostek. Potem obaj odwrócili się i zostawili go samego. Morales patrzył, jak odchodzą. Miał nadzieję, że nie spotka ich nigdy w ciemnym zaułku.

Zanim wszedł na drabinkę, przyjrzał się górnej części frachtowca.

Spędził wiele lat na morzu i znał się na statkach. Oceniał długość frachtowca na sto siedemdziesiąt metrów, szerokość – na dwadzieścia trzy. Pewnie jedenastotysięcznik, pomyślał. Do rozładunku służyło pięć dźwigów – dwa za kominem i nadbudową, trzy na pokładzie dziobowym. W czasach swojej świetności statek musiał być

ekspresowym liniowcem. Pilot domyślał się, że został zbudowany i zwodowany we wczesnych latach sześćdziesiątych. Na rufie powiewała bandera irańska. Morales rzadko je widywał.

Pokład „Oregona” wyglądał jeszcze gorzej niż kadłub. Wszystkie kołowrotki i łańcuchy pokrywała rdza. Ale urządzenia wydawały się sprawne. W przeciwieństwie do dźwigów, które robiły wrażenie, jakby nie działały od lat.

Wszędzie wały się zniszczone beczki, narzędzia i złom. Morales pierwszy raz widział statek w takim stanie.

Wspiął się po drabince na mostek. Od przegród odpryskiwała farba, szyby w bulajach były popękane i pożółkłe. Przystanął, w końcu otworzył drzwi. Wnętrze frachtowca nie różniło się od tego, co zobaczył wcześniej. Na pulpitych i tekowym pokładzie brudnej sterowni widniały ślady gaszenia papierosów. Na parapetach okiennych leżały martwe muchy. Cuchnęło. W takiej scenerii rezydował kapitan „Oregona”.

Moralesa powitał zwały typ z wielkim brzuchem wiszącym nad paskiem spodni. Jego twarz zdobiły szramy i złamany nos skrzywiony w lewo. Gęste czarne włosy były zaczesane do tyłu i przylizane jakimś tłustym kremem, broda zmierzwiona. Miał przekrwione, czerwone oczy i brązowożółte zęby. Jego ramiona pokrywały niebieskie tatuaże. Nosił brudną czapkę jachtową i stary kombinezon. Tropikalny upał i wilgotne powietrze w sterowni, w której nie było klimatyzacji, czyniły jeszcze trudniejszym do zniesienia fakt, że facet nie kąpał się co najmniej od miesiąca.

Typ wyciągnął do Moralesa spoconą rękę.

- Miło mi pana widzieć – odezwał się po angielsku. – Kapitan Jed Smith.
- Jesus Morales, pilot z zarządu portu w Santiago.

Morales poczuł się niepewnie. Smith mówił po angielsku z amerykańskim akcentem. Pilot nie spodziewał się tego na statku zarejestrowanym w Iranie.

Smith wręczył mu plik papierów.

- To nasza rejestracja i manifest okrętowy.

Morales ledwo rzucił okiem na dokumenty. Urzędnicy portowi przestudiują je dokładniej. Jego obchodziło tylko to, czy statek ma zezwolenie na wejście do portu. Zwrócił papiery kapitanowi.

- Możemy ruszać? – zapytał.

Smith wskazał mu drewniane koło sterowe. Wyglądało bardzo staromodnie na statku zbudowanym w latach sześćdziesiątych XX wieku.

– Statek jest pański, senior Morales. W którym basenie portowym przycumujemy?

– Do czwartku w żadnym nie ma miejsca. Na razie będziecie musieli rzucić kotwicę na środku portu.

– To cztery dni. Nie mamy czasu siedzieć tak długo z założonymi rękami i czekać na wyładunek.

Morales wzruszył ramionami.

– Nic na to nie poradzę. Po zniesieniu embarga baseny portowe są pełne statków wyładowujących maszyny rolnicze i samochody. Te towary mają pierwszeństwo przed waszym ładunkiem.

Smith wyrzucił ręce do góry.

– W porządku. Nie pierwszy raz będziemy musieli czekać. – Wyszczерzył w uśmiechu spróchniałe zęby. – W takim razie ja i moja załoga zejdziemy na ląd i zaprzyjaźnimy się z waszymi kobietami.

Na myśl o tym Moralesowi przeszły ciarki po plecach. Bez dalszej dyskusji podszedł do steru. Smith zadzwonił do maszynowni i wydał rozkaz „naprzód”. Pilot poczuł przez pokład wibracje silników i stary, zdezelowany statek znów ruszył w drogę. Morales wycelował dziób frachtowca w wąskie wejście do portu, znajdujące się między dwoma wysokimi urwiskami.

Farwater w kształcie miechów prowadzący w głąb zatoki był widoczny dopiero z bliska. Z prawej strony, sześćdziesiąt metrów powyżej poziomu morza, wznosiła się stara, kolonialna twierdza Morro.

Morales zauważył, że Smitha i jego podejrzaną załogę na mostku interesują stanowiska obronne na zboczu wzgórza, zbudowane w czasach, gdy Fidel Castro obawiał się amerykańskiego ataku na Kubę. Przyglądali się przez drogie lornetki rozmieszczeniu artylerii i wyrzutni raketowych.

Pilot uśmiechnął się do siebie. Niech się napatrzą do woli. Większość stanowisk obronnych była opuszczona. Tylko w dwóch małych bunkrach pozostał niewielki oddział wojsk raketowych na wypadek, gdyby do portu chciał wtargnąć intruz, co było mało prawdopodobne.

Morales zręcznie prowadził „Oregon” krętym szlakiem wodnym między bojami farwaterowymi i wkrótce ukazało się miasto Santiago otaczające rozległy kolisty port. Coś dziwnego dzieje się ze sterem, pomyślał. Ledwo zauważalnie, ale jednak. Przy każdym obrocie koła statek reagował dopiero po krótkiej zwłóce.

Mężczyzna szybko, ale lekko skrzył w prawo, a potem w lewo. Nie mylił się. Dwie sekundy opóźnienia, niemal jak echo. Był pewien, że nie jest to kwestia powolnego działania mechanizmu sterowego. Wyczuwał to raczej jak... pauzę. Ale potem reakcja następowała szybko i zdecydowanie. Tylko skąd to opóźnienie?

– Pański ster ma dziwne luzy.

– Wiem – mruknął Smith. – Od kilku dni. W następnym porcie ze stoczną każę sprawdzić sworznie.

Morales nie widział w tym sensu, ale statek wpływał już do otwartej części zatoki i pilot przestał myśleć o tej zagadce. Połączył się przez radio z władzami portowymi, podał swoją pozycję i dostał wskazówki, gdzie można rzucić kotwicę.

Pokazał Smithowi boje wyznaczające miejsce postoju i polecił zmniejszyć szybkość. Potem obrócił statek tak, że dziób znalazł się na wprost nadciągającego przyływu i kazał zastopować maszyny. „Oregon” zwolnił i zatrzymał się między kanadyjskim kontenerowcem i libijskim tankowcem.

– Tu możecie zakotwiczyć – powiedział Morales.

Smith skinął głową i uniósł do ust megafon.

– Rzucić kotwicę! – krzyknął do załogi. Kilka sekund później zagrzechotał łańcuch, rozległ się głośny plusk i kotwica zanurzyła się w wodzie. Dziób statku otoczyła mgła pyłu i rdzy z kluzy.

Morales puścił zużyte szczelbelki koła sterowego i odwrócił się do Smitha.

– Oczywiście zapłaci pan za moje usługi przy przekazywaniu dokumentów władzom portowym?

– A po co czekać? – parsknął Smith. Sięgnął do kieszeni kombinezonu i wyjął plik wymiętych studolarówek. Odliczył piętnaście banknotów, zawahał się i spojrzał na zaszokowanego Moralesa. – Niech będzie dwa tysiące, dla równego rachunku.

Morales skwapliwie przyjął pieniądze i wsunął do portfela.

– Jest pan bardzo hojny, kapitanie Smith. Zawiadomię władze portowe, że już pan zapłacił w całości za usługi pilota.

Smith podpisał wymagane oświadczenia i otoczył Kubańczyka muskularnym ramieniem.

– A teraz pogadajmy o dziewczynach. Gdzie najlepiej szukać ich w Santiago?

– W kabaretach przy porcie. Można się tam tanio zabawić i napić.

– Powiem mojej załodze.

– Żegnam, kapitanie.

Morales nie wyciągnął ręki. Czuł się wystarczająco brudny po pobycie na tym statku. Nie mógł się zmusić do uściśnięcia tłustej łapy odrażającego kapitana. Otoczenie ostudziło jego kubańską wylewność i nie zamierzał tracić więcej czasu na pokładzie „Oregona”. Opuścił sterownię, zszedł po drabince na pokład i przeskoczył na swoją łódź. Wciąż był oszołomiony. Pierwszy raz pilotował taki zaniedbany statek. Właściciele „Oregona” chcieli, żeby frachtowiec właśnie tak wyglądał. Gdyby Morales przyjrzał mu się bliżej, mógłby się przekonać, że to kamuflaż. „Oregon” miał duże zanurzenie dzięki specjalnym zbiornikom balastowym. Po napełnieniu ich wodą kadłub obniżał się jak pod ciężarem ładunku. Nawet drgania silników były wywoływane sztucznie. Napęd frachtowca pracował cicho i bez wibracji.

A rdza na całym statku? Udawała ją artystycznie nałożona farba.

Zadowolony, że pilot odpłynął, kapitan Smith podszedł do relingu, który zamontowano w takim miejscu, że pozornie do niczego nie służył. Zaciśnął na nim dłoń i uruchomił włącznik pod spodem. Czworokątna część pokładu pod jego stopami zaczęła się nagle opuszczać. Zatrzymała się w rozległym, jasno oświetlonym pomieszczeniu, pełnym komputerów i automatycznych urządzeń sterujących. Było tu również kilka dużych konsol łączności i systemów uzbrojenia. Pokład w centrali pokrywały grube dywany, ściany wyłożono boazerią z egzotycznych rodzajów drewna, a umeblowanie wyglądało jak w salonie pokazowym dekoratora wnętrz. To pomieszczenie było prawdziwym sercem „Oregona”.



Sześć osób – czterej mężczyźni i dwie kobiety – w szortach, kwiecistych koszulach lub białych bluzkach obsługiwało różne systemy. Jedna z kobiet obserwowała monitory telewizyjne pokazujące każdą część zatoki Santiago. Mężczyzna skierował kamerę na łódź pilota, która skręciła i wpłynęła na główny farwater. Nikt nawet nie spojrział na grubego kapitana. Podszedł do niego tylko mężczyzna w szortach khaki i zielonym golfie.

– Jak poszło z pilotem? – zapytał Max Hanley, wiceprezes firmy będącej właścicielem statku. Kierował wszystkimi systemami pokładowymi, łącznie z maszynownią.

– Zauważył, że ster działa z opóźnieniem.

Hanley wyszczerzył zęby.

– Gdyby tylko wiedział, że to atrapa... Ale będziemy musieli to poprawić. Rozmawiałeś z nim po hiszpańsku?

Smith uśmiechnął się.

– Mówiłem w moim najlepszym jankeskim angielskim. Po co miał wiedzieć, że znam jego język? W ten sposób mogłem się zorientować, czy coś kombinuje, rozmawiając przez radio z władzami portowymi, kiedy rzucaliśmy kotwicę. – Kapitan podciągnął rękaw brudnego kombinezonu i zerknął na timeksa z mocno porysowanym szkiełkiem. – Trzydzieści minut do zmroku.

– Cały sprzęt czeka gotowy w basenie zanurzeniowym.

– A załoga desantowa?

– W pogotowiu.

– Zdążę się jeszcze przebrać z tych cuchnących łachów w coś porządnego – powiedział Cabrillo i poszedł do swojej kajuty korytarzem z obrazami współczesnych malarzy na ścianach.

Kajuty załogi były ukryte w dwóch fałszywych ładowniach i wyglądały jak pokoje w pięciogwiazdkowym hotelu. Załoga „Oregona” nie dzieliła się na oficerów i marynarzy. Wszyscy byli wykształconymi ludźmi i wysokiej klasy specjalistami w różnych dziedzinach – męsko-damską elitą sił zbrojnych. Byli też akcjonariuszami firmy, a więc i właścicielami statku. Na pokładzie nie obowiązywały stopnie wojskowe. Cabrillo pełnił funkcję prezesa, Hanley wiceprezesa, pozostali mieli różne tytuły. Wszyscy byli najemnikami pracującymi jedynie dla zysku, co nie wykluczało działania w słusznej sprawie. Wynajmowały ich rządy i duże organizacje do przeprowadzania tajnych, bardzo często wysoce ryzykownych operacji na całym świecie.

Mężczyzna, który dwadzieścia minut później wyszedł z kajuty prezesa, wyglądał zupełnie inaczej niż człowiek, który tam wszedł. Zniknęły tłuste włosy, zmierzwiona broda i brudny kombinezon, podobnie jak okropny odór. Timeksa zastąpił zegarek Concord z nierdzewnej stali. W dodatku mężczyzna zrzucił co najmniej czterdzieści pięć kilogramów.

Juan Rodriguez Cabrillo przeistoczył się z brudnego wilka morskiego z powrotem w siebie. Był wysokim, przystojnym, niebieskookim blondynem po czterdziestce. Miał krótko ostrzyżone włosy i wąsy niczym u kowboja z westernów.

Dotarł do drzwi na końcu korytarza i wkroczył do sterowni ulokowanej wysoko w przepastnym pomieszczeniu w śródokrećciu. W przestrzeni zajmującej wysokość trzech pokładów i nazywanej basenem zanurzeniowym, trzymano cały ekwipunek podwodny „Oregona” – sprzęt do nurkowania, załogowe i bezzałogowe pojazdy głębinowe oraz zestaw sensorów elektronicznych. Na wyciągach wisiały dwa supernowoczesne pojazdy głębinowe, identyczne z tymi, których używają amerykańskie wojska podwodne – dwudziestometrowy Nomad 1000 i dziesięciometrowy Discovery 1000. Wrota w dnie kadłuba rozsunały się i wnętrze pomieszczenia zostało zalane do poziomu zewnętrznej linii wodnej.

To, co można było zobaczyć oglądając statek z zewnątrz, w niczym nie zdradzało jego niezwykle wyposażenia. Pokłady i kadłub zamaskowano tak, by „Oregon” sprawiał wrażenie zardzewiałej łajby. Falszywą sterownię na górze oraz nieużywane kwatery oficerów i załogi na dole celowo utrzymywano w opłakanym stanie, żeby nie wzbudzać podejrzeń pilotów czy urzędników portowych wizytujących statek.

Cabrillo wszedł do kabiny operacji podwodnych i stanął przed wielkim stołem z trójwymiarowymi obrazami holograficznymi każdej ulicy w Santiago. Linda Ross, analityk „Oregona” zajmująca się sprawami bezpieczeństwa i obserwacji, stała przy stole i prowadziła odprawę dla grupy ludzi w kubańskich mundurach wojskowych. Linda służyła w marynarce wojennej w stopniu komandora porucznika, kiedy Cabrillo namówił ją do złożenia rezygnacji i przejścia na „Oregon”. W marynarce była oficerem wywiadu na pokładzie krążownika raketowego klasy Aegis, potem spędziła cztery lata w biurze wywiadu marynarki w Waszyngtonie.

Linda zerknęła na Cabrillo, który stał z boku i nie odzywał się. Była atrakcyjną kobietą. Mężczyźni nie oglądali się za nią na ulicy, ale uważali, że jest ładna. Miała ponad metr siedemdziesiąt wzrostu i dzięki ćwiczeniom ważyła niecałe sześćdziesiąt kilogramów. Utrzymywała dobrą kondycję fizyczną, ale rzadko poświęcała czas na makijaż czy dbanie o fryzurę. Była inteligentna, miała cichy głos i cała załoga „Oregona” wprost ją uwielbiała.

Pięciu mężczyzn i jedna kobieta; wszyscy stali wokół stołu z trójwymiarowym szczegółowym obrazem miasta i słuchali uważnie ostatnich instrukcji Lindy. Wskazała cel małym metalowym prętem z lampką na końcu.

– To twierdza Santa Ursula. Zbudowano ją w czasie wojny hiszpańsko-amerykańskiej. Potem, od początku XX wieku służyła za magazyn, dopóki Castro i jego rewolucjoniści nie zdobyli władzy w kraju. Zamienili ją w więzienie.

– Jaka jest dokładna odległość od miejsca naszego lądowania do więzienia? – zapytał Eddie Seng, szef operacji lądowych.

– Tysiąc czterysta dwadzieścia sześć metrów – odrzekła Linda.

Seng zaplótł ręce na piersi i zrobił zamyśloną minę.

– Gdy będziemy iść w stronę więzienia, możemy liczyć na to, że miejscowi nabiorą się na nasze mundury, ale jeśli w drodze powrotnej będziemy musieli przebijać się do portu na dystansie prawie półtora kilometra z osiemnastoma więźniami, nie gwarantuję, że nam się uda.

– Ci biedni ludzie są w takim stanie, że na pewno nie dadzą rady dojść tu samodzielnie – odezwała się Julia Huxley, lekarka okrętowa „Oregon”, która miała zająć się więźniami. Była niska, miała duży biust i doskonale zbudowane ciało. Lubili ją wszyscy na statku. Przez cztery lata służyła jako szefowa personelu medycznego w bazie marynarki wojennej w San Diego i wzbudzała ogólny szacunek.

– Nasi agenci w mieście zorganizowali transport. Dwadzieścia minut przed dziesiątą będziecie mieli kradzioną ciężarówkę, która na co dzień dowozi zaopatrzenie do restauracji hotelowych. Kierowca zaparkuje jedną przecnicę od baraku robotników portowych stojącego na nabrzeżu powyżej miejsca, do którego przybijecie. Zawiezie was do więzienia, zaczeka i zabierze was z powrotem do portu. Potem porzuci samochód i wróci do domu na rowerze.

– Nazywa się jakoś? Jest jakieś hasło?

Linda uśmiechnęła się lekko.

– Hasło brzmi *dos*.

Seng zrobił sceptyczną minę.

– Dwa? To wszystko?

– Tak. Odzew to *uno*, czyli jeden. Proste, prawda?

– Przynajmniej krótkie.

Linda przerwała, żeby wcisnąć szereg włączników na małym pilocie. Obrazy miasta zmieniły się w trójwymiarowy plan więzienia Santa Ursula. Widok z góry ukazywał pomieszczenia, cele i korytarze.

– Nasze źródła podają, że w całym więzieniu jest tylko dziesięciu strażników. Sześciu na dziennej zmianie, dwóch wieczorem i dwóch od północy do szóstej rano. Nie powinniście mieć problemu z tymi dwoma, których zastaniecie. Wezmą was za wojskowych zabierających więźniów do innego zakładu karnego. Macie tam wejść o dziesiątej wieczorem. Załatwicie obu strażników i uwolnicie więźniów. Potem wrócicie do pojazdu podwodnego i o jedenastej dopłyniecie do statku. Jakiegokolwiek spóźnienie zagrozi naszej ucieczce z portu.

– Jak to? – zapytał ktoś z drużyny Senga.

– Wiemy, że każdej nocy o dwunastej jest sprawdzane działanie systemów obrony portu. Przed północą musimy być już daleko na morzu.

– Nie lepiej poczekać i przeprowadzić akcję po północy, kiedy większość miasta będzie już spała? – zapytał ktoś z drużyny desantowej. – O dziesiątej miejscowi będą się jeszcze kręcili po ulicach.

– Późnym wieczorem wzbudzicie mniej podejrzeń niż przed świtem – odparła Linda. – Poza tym, ośmiu pozostałych strażników zwykle przesiaduje w barach do wczesnego rana.

– Jesteś tego pewna? – zapytał Seng.

Linda przytaknęła.

– Nasi agenci w mieście obserwują ich od dwóch tygodni.

– Jeśli nie zadziała paskudne prawo Murphy’ego – wtrącił się Cabrillo – uwolnienie więźniów i ucieczka powinny pójść gładko. Najtrudniejszy etap operacji nadejdzie, kiedy wszyscy znajdziecie się na pokładzie i będziemy musieli wypłynąć z portu. Gdy tylko siły bezpieczeństwa Castro zobaczą, że podnosimy kotwicę i kierujemy się farwaterem ku pełnemu morzu, zorientują się, że coś jest nie tak i rozpęta się piekło.

Linda spojrzała na niego.

– Jesteśmy dobrze uzbrojeni.

– Fakt – przyznał Cabrillo. – Ale nie możemy pierwsi otworzyć ognia. Choć jeśli zaatakują „Oregon”, nie zostawią nam wyboru i będziemy musieli się bronić.

– Nikomu z nas jeszcze nie powiedziano – przypomniał Seng – kogo właściwie mamy wydostać z więzienia. Ci ludzie muszą być ważni, bo inaczej nie wzięlibyśmy tej roboty.

Cabrillo spojrzał na niego.

– Nie chcieliśmy tego ujawniać, dopóki tu nie przyplniemy. To kubańscy opozycjoniści. Lekarze, dziennikarze i biznesmeni. Bardzo szanowani mężczyźni i kobiety. Castro wie, że na wolności byłiby dla niego groźni. Gdyby dotarli do społeczności kubańskiej w Miami, mogliby zorganizować ruch oporu.

– To dobry kontrakt?

– Dziesięć milionów dolarów za dostarczenie ich do Stanów.

Seng i inni wokół obrazu holograficznego uśmiechnęli się.

– Każdemu z nas powinna przybyć na koncie niezła sumka.

Cabrillo wyszczerzył zęby.

– Czynić dobro dla zysku – oto nasze motto.

Dokładnie o 8.30 wieczorem Seng wraz ze swoim małym oddziałem wsiadł do nomada 1000. Towarzyszyli im dwaj załoganci, którzy mieli pilotować pojazd i pilnować go podczas operacji. Nomad wyglądał bardziej na luksusowy jacht niż na łódź podwodną. Dzięki silnikom Diesla rozwijał dużą szybkość na powierzchni wody. Pod falami zaś napędzały go akumulatory, które pozwalały mu płynąć z prędkością dwunastu węzłów. Pojazd mógł schodzić na głębokość trzystu metrów. Wnętrze mieściło wygodnie dwanaście osób, ale do misji takich, jak obecna, Cabrillo przystosował je do transportu nawet trzydziestu sześciu pasażerów.

Kiedy zamknięto i uszczelniono właz nomada, dźwig przeniósł zawieszony w dużej uprzęży pojazd na środek pomieszczenia. Operator spojrzał na Cabrillo znajdującego się w sterowni i, gdy dostał sygnał, wolno opuścił łódź do wody. Nurkowie odczepili uprzęż i dźwig uniósł ich na galerię otaczającą basen.

– Kontrola radia – odezwał się Seng. – Słyszycie mnie?

- Jakbyś był w tym samym pokoju – zapewniła go Linda Ross.
  - Droga wolna?
  - Wszystkie statki stoją na kotwicy, z wyjątkiem trzech kutrów wychodzących w morze. Na głębokości dziesięciu metrów powinieneś bezpiecznie ominąć kile i śruby napędowe.
  - Trzymajcie kawę na ogniu – powiedział Seng.
  - *Bon voyage* – zażartował Cabrillo.
  - Łatwo ci mówić – odciął się Seng.
- Po chwili światła wewnątrz nomada zgasły i pojazd zniknął w ciemnych wodach portu.

Piloci pojazdu podwodnego korzystali z globalnego systemu nawigacyjnego GPS, żeby utrzymać właściwy kurs. Za pomocą laserowego systemu monitorującego ustalili położenie filarów nabrzeża, zdołali prześliznąć się między rufą i dziobem dwóch rozładowywanych kontenerowców i wpłynęli pomiędzy gigantyczne słupy. Kiedy nomad znalazł się pod nabrzeżem i był już niewidoczny z góry, wynurzył się i resztę drogi pokonał, używając noktowizyjnej kamery laserowej, która wzmacniała światła miasta przenikające pod filary.

- Pływający dok obsługowy przed nami – poinformował pierwszy pilot.

Nie było dokładnego sprawdzania uzbrojenia ani sprzętu operacyjnego. Wszyscy mieli ukrytą broń, ale chcieli wyglądać na mały oddział sił bezpieczeństwa, którego widok nie przerazi mieszkańców miasta. Upewnili się tylko, czy ich mundury dobrze się prezentują. Członkowie grupy desantowej służyli wcześniej w siłach specjalnych. Mieli surowy zakaz zabijania, chyba że byłoby to absolutnie konieczne dla ratowania życia. Seng dowodził kiedyś oddziałem zwiadowczym marines i nigdy nie stracił żadnego ze swoich ludzi.

Nomad uderzył lekko w pływający dok. Seng i jego drużyna wysiedli z pojazdu i wspięli się po stopniach do małego baraku z narzędziami i drobnym sprzętem. Drzwi nie były zaryglowane. Seng rozejrzył się szybko, czy w pobliżu nikogo nie ma i gestem rozkazał grupie iść za sobą.

Lampy na dźwigach i rozładowywanych statkach oświetlały basen portowy równie jasno jak słońce. Na szczęście wyjście znajdowało się po przeciwnej stronie i drużyna pozostawała w cieniu. Ustawili się dwójkami, pomaszerowali przez port i skręcili za magazyn.

Zegarek Senga wskazywał 9.36 wieczorem. Dokładnie za dwadzieścia cztery minuty mieli być przed bramą więzienia. Dziewięć minut później znaleźli ciężarówkę. Stała pod słabą lampą obok magazynu. Seng rozpoznał dostawczego fordka rocznik 1951. Furgon wyglądał tak, jakby lata temu na jego liczniku stuknęły trzy miliony kilometrów. Mimo mroku na ponad czterometrowej naczepie można było zobaczyć ozdobny, czerwony napis w języku hiszpańskim: GONZALES – DOSTAWY ŻYWNOŚCI. Ognik papierosa wskazywał miejsce, gdzie siedział kierowca.

Seng podszedł do otwartego okna samochodu z ręką na pistolecie automatycznym Ruger P97 kaliber 45 z tłumikiem.

– *Dos* – zagadnął cicho.

Kierowca wypuścił kłęb dymu papierosowego, który snuł się teraz po kabinie.

– *Uno* – odparł.

– Ładujcie się do tyłu – rozkazał Seng swojej drużynie. – Ja pojedę z przodu.

Otworzył drzwi od strony pasażera i wsunął się na siedzenie. Kierowca bez słowa wrzucił ze zgrzytem bieg i wyjechał z portu na ulicę. Na bulwarze ciągnącym się wzdłuż zatoki świeciła się co druga latarnia. Albo nie wymieniano przepalonych żarówek, albo oszczędzano prąd. Samochód przeciął kilka przecznic, skręcił w główną ulicę i zaczął się wspinać na lekkie wzniesienie, za którym leżało wzgórze San Juan.

Santiago to drugie pod względem wielkości miasto na Kubie. Leży w prowincji Oriente. W XVII wieku było stolicą wyspy. Otoczone wzgórzami, na których rozpościerały się plantacje kawy i trzciny cukrowej, miasto składa się z labiryntu wąskich uliczek, pomiędzy którymi znaleźć można małe place i domy z balkonami w hiszpańskim stylu kolonialnym.

Seng milczał. Koncentrował się na obserwacji przecznic i studiowaniu liczb na przenośnym odbiorniku GPS. Chciał być pewien, że kierowca jedzie w dobrym kierunku. Ruch na ulicach był niewielki, za to przy krawężnikach parkowało sporo pięćdziesięcioletnich samochodów. Ludzie spacerowali po chodnikach lub siedzieli w barach, skąd dochodziła głośna kubańska muzyka. Od spłowiiałych ścian wielu sklepów i mieszkań nad nimi odpryskiwała farba, inne pomalowano w żywych kolorach. Rynsztoki i chodniki były czyste, ale okna wyglądały tak, jakby rzadko je myto. Większość ludzi sprawiała wrażenie szczęśliwych. Wiele osób śmiało się, niektóre śpiewały. Nikt nie zwracał uwagi na ciężarówkę jadącą wolno przez śródmieście.

Seng zauważył kilku mężczyzn w mundurach, ale bardziej interesowały ich rozmowy z kobietami niż wypatrywanie zagranicznych intruzów. Kierowca zapalił następnego śmierzącego papierosa. Seng, który nigdy nie uległ nikotynowemu nałogowi, przysunął się do swoich drzwi, odwrócił twarz do otwartego okna i zmarszczył z obrzydzeniem nos.

Dziesięć minut później ciężarówka dojechała do bramy frontowej więzienia w twierdzy. Kierowca minął wejście i zatrzymał się pięćdziesiąt metrów dalej.

– Zaczekam tutaj – powiedział. Doskonale mówił po angielsku. Odezwał się po raz pierwszy od wyjazdu z portu.

Seng natychmiast go rozgryzł.

– Nauczyciel czy lekarz?

– Wykładam historię na uniwersytecie.

– Dziękuję.

– Pospieszcie się. Po północy samochód zaparkowany tutaj będzie wyglądał podejrzanie.

– Powinniśmy wyjść wcześniej – uspokoił kierowcę Seng.

Wysiadł i spojrzał ostrożnie w dół i w górę ulicy. Pusto. Zastukał cicho w drzwi naczepy. Otworzyły się i na bruk zeskoczyli jego ludzie. Razem pomaszrowali do bramy. Seng pociągnął za sznurek. W wartowni rozległ się dźwięk dzwonka. Po kilku minutach pojawił się strażnik. Przecierał oczy i masował sobie skronie. Najwyraźniej spał na służbie. Już miał powiedzieć intruzom, żeby poszli do diabła, gdy rozpoznał mundur Senga z insygniami pułkownika. Szybko otworzył bramę, cofnął się i zasalutował.

– Co pana do nas sprowadza o tak późnej porze? – zapytał.

– Pułkownik Antonio Yarayo – przedstawił się Seng. – Przysłała mnie Departament Bezpieczeństwa Państwa. Ja i moi ludzie mamy przesłuchać jednego z więźniów. Śledztwo w sprawie podejrzanych o szpiegostwo na rzecz Stanów Zjednoczonych ujawniło nowe okoliczności. Uważamy, że ten człowiek ma informacje, które mogą nam się przydać.

– Przepraszam, panie pułkowniku, ale muszę pana poprosić o odpowiednie dokumenty.

– W porządku poruczniku, to pana obowiązek. – Seng wręczył strażnikowi kopertę. – Dlaczego jesteście sami na służbie?

– Drugi strażnik pilnuje cel.

– Hm... No, dobra, nie będziemy tu stali całą noc. Prowadźcie do biura. Strażnik natychmiast zabrał ich do pokoju, w którym stało jedynie biurko i dwa krzesła. Na ścianie wisiało zdjęcie młodego Castro.

– Kto tu dowodzi? – zapytał Seng.

– Kapitan Juan Lopez.

– Gdzie jest teraz?

– U swojej dziewczyny; ona ma dom w mieście. Wróci tu jutro o dziewiątej.

– Wygodnie się urządził – zauważył Seng znudzonym tonem. – Pańskie nazwisko poruczniku?

– Gabriel Sanchez.

– A tamten, który pilnuje cel, to kto?

– Sierżant Ignez Macco.

– Sprawdźcie papiery, żebyśmy mogli przejść do rzeczy.

Strażnik usiadł przy biurku i otworzył kopertę. Seng zaszedł go od tyłu i wyciągnął z kieszeni mały pistolet. Sanchez wytrzeszczył oczy na widok dwóch komiksów. Podniósł wzrok.

– Nic nie rozumiem, panie pułków...

Tylko tyle zdążył powiedzieć, zanim miniaturowa strzałka wypełniona trankwilizatorem utkwiała w jego karku. Popatrzył dziwnie na Senga i osunął się bezwładnie na blat.

Seng rzucił jednemu ze swoich ludzi rolkę taśmy samoprzylepnej. Każda czynność była tak dobrze wyćwiczona, że nie musiał wydawać rozkazów. Dwaj mężczyźni

skrępowali strażnika i przeszukali mu kieszenie. Znaleźli nietypowy, okrągły klucz, potem zamknęli go w toalecie. Inny człowiek Senga unieruchomił alarmy i łączność.

Pobiegli korytarzami i tunelami, potem w dół po kamiennych schodach do cel. Dzięki zapamiętanemu obrazowi holograficznemu twierdzy, Seng wiedział z dokładnością do jednego metra, gdzie się znajdują.

Nie spieszyli się zbyt, ale nie mogli też pozwolić sobie na stratę czasu. Seng już rozumiał, dlaczego całego więzienia pilnuje zaledwie kilku strażników. Mury były grube, a do lochów położonych głęboko pod poziomem ulicy prowadziło tylko jedno wejście. Więzień mógłby uciec jedynie tą drogą, którą dostała się tu grupa z „Oregoną”. Wysokie, lecz wąskie zejście oświetlały rzędy żarówek. Schody skończyły się wreszcie przed wielkimi, stalowymi, masywnymi drzwiami wyglądającymi jakby prowadziły do skarbcza bankowego. Na Senga i jego ludzi patrzyło groźnie szklane oko kamery. To najtrudniejsza część operacji, pomyślał Seng, kiedy wkładał do zamka dziwny klucz. Modlił się, aby drzwi nie posiadały żadnych innych zabezpieczeń.

Jego obawy potwierdziły się, gdy przekreślił klucz i po drugiej stronie rozległ się brzęczyk. Po minucie z pobliskiego głośnika padło pytanie:

– Kto tam?

– Pułkownik Antonio Yarayo z Departamentu Bezpieczeństwa i ekipa oficerów śledczych. Mamy przesłuchać zdrajców.

Cisza. Seng nie czekał na reakcję.

– Otwierać. Mam upoważnienie i odpowiednie dokumenty. Przyprowadziłby nas porucznik Sanchez, ale powiedział, że nie wolno mu opuszczać posterunku przy bramie frontowej. Sierżant Ignez Macco, zgadza się? – Seng uniósł do góry kopertę. – Jeśli macie jakieś pytania, trzymam w ręku waszą kartotekę służby.

– Ale, panie pułkowniku – zaczął prosząco Macco – jeśli otworzę te drzwi przed ósmą rano, w biurze bezpieczeństwa państwowego w forcie Canovar włączy się alarm.

Seng postanowił zablokować.

– Wydałem porucznikowi Sanchezowi rozkaz wyłączenia alarmu w podziemiach.

– Ale on nie może tego zrobić, panie pułkowniku. Te drzwi mają oddzielny system połączony z biurem komendanta sił bezpieczeństwa w mieście. Nie można ich otworzyć przed ósmą rano.

Jeszcze jedna przeszkoda do pokonania. Ale można się było tego spodziewać. Seng mógł się założyć, że oficerowie sił bezpieczeństwa będą podejrzewali awarię systemu alarmowego i zadzwonią do fortu, żeby to sprawdzić. Potem wyślą oddział policji.

Macco ustąpił. Kilka sekund później rozległ się szcęk towarzyszący otwieraniu dużego stalowego zamka i odgłos rygli wysuwających się z framugi. Masywne drzwi otworzyły się lekko i cicho. Sierżant Macco stanął na baczność i zaszalutował.

Seng nie tracił czasu na uprzejmości. Wycelował mały pistolet w szyję sierżanta i nacisnął miniaturowy spust. Strażnik przewrócił oczami i zwałił się na kamienną



podłogę jak worek piasku.

Loch nie był nowoczesnym więzieniem. Rdzewiejące drzwi cel pochodziły z końca XIX wieku i Macco nosił przy pasie wielki, staromodny klucz. Seng oderwał go razem z kółkiem i zaczął otwierać pierwsze drzwi. Kiedy tylko je uchylił, Julia Huxley wbiegła do celi, żeby sprawdzić stan więźnia. Ludzie Senga wyprowadzili na korytarz innych zaszokowanych Kubańczyków, którzy przerażeni więziennymi przejściami obawiali się najgorszego.

– Pięć osób nie jest w stanie wejść po schodach i wyjść na ulicę – powiedziała Julia. – Trzeba je przetransportować na noszach.

– Weźmiemy ich na plecy – odparł Seng. – Nie mamy wystarczająco dużo ludzi, aby posłużyć się noszami.

– Ci biedacy myślą, że zabieramy ich na egzekucję – odezwał się wysoki muskularny członek drużyny z rudymi krótkimi włosami.

– Nie mamy czasu na wyjaśnienia! – warknął Seng. Wiedział, że siły bezpieczeństwa w mieście zastanawiają się, dlaczego o tej porze w lochu Santa Ursula włączył się alarm. Spróbują tu zadzwonić i okaże się, że telefonu nikt nie odbiera. Trudno przewidzieć, kiedy przyślą tutaj swoich ludzi. – Julio, wyprowadzisz tych, którzy mogą iść. Resztę wyniesiemy.

Rozpoczęli odwrót. Musieli niemal wlec po schodach biednych, cierpiących Kubańczyków. Każdy członek drużyny niósł na ramieniu jednego więźnia i wolną ręką pomagał innym, którzy ledwo pokonywali stopnie. Julia zamykała tyły. Podtrzymywała dwie kobiety i dodawała im szeptem odwagi. Rozumiały jej pocieszający ton, ale nie słowa – znała hiszpański tylko na tyle, żeby zamówić margaritę.

Wspinaczka po krętych kamiennych schodach była torturą dla osłabionych więźniów, ale nie mogli zawrócić. Gdyby ich schwytano, oznaczałoby to pewną egzekucję. Wdrapywali się więc na stopnie, dyszeli ciężko i z trudem łapali powietrze, waliły im serca. Mężczyźni i kobiety, którzy dawno stracili nadzieję, teraz dostrzegli szansę powrotu do normalnego życia. Zawdzięczali to tym szaleńcom, którzy ryzykowali życie, żeby ich ocalić.

Seng nie miał czasu na okazywanie więźniom współczucia ani na przyglądanie się ich wymizerowanym twarzom. Nawet o tym nie myślał. Teraz nie pora na uzalanie się nad ich losem. Najpierw muszą dotrzeć na statek.

Skoncentrował się na doprowadzeniu grupy do głównej bramy. Starł się rozumować chłodno i logicznie.

W końcu czoło kolumny dotarło do wartowni. Seng wyszedł na brukowaną ulicę. Żadnych pojazdów ani ludzi. Pusto i cicho. Ciężarówka stała tam, gdzie ją zostawili.

Członkowie drużyny, dźwigający w tropikalnym upale więźniów niezdolnych do marszu, ledwo dyszeli z wysiłku i byli mokrzy od potu. Seng przyjrzał się ciemnej ulicy i okolicznym budynkom przez lornetkę noktowizyjną. Nie zauważył niczego podejrzanego. Zadowolony, wyprowadził wszystkich za bramę i skierował do

ciężarówki.

Wrócił biegiem do wartowni i sprawdził, co się dzieje ze strażnikiem. Kubańczyk nadal się nie poruszał. Seng zauważył, że na konsoli obok biurka świeci się czerwona kontrolka. Po otwarciu drzwi lochu istotnie włączył się alarm. Zadzwoił telefon. Seng odebrał.

– *Uno momento!* – warknął.

Potem odłożył słuchawkę i wypadł na zewnątrz.

Jego drużyna i uwolnieni więźniowie stłoczyli się w ciężarówce jak Japończycy w metrze w godzinach szczytu. Kierowca wrzucił ze zgrzytem bieg i samochód ruszył. Wszystko wyglądało tak jak przedtem. Na ulicach było niewiele aut. Kubańczycy rozkoszowali się piękną pogodą, siedząc na balkonach lub przy stolikach przed lokalami. Pili, tańczyli i śpiewali.

Seng nasłuchiwał przez otwarte okno kabiny dźwięku alarmów lub syren. Ale w nocnym powietrzu rozbrzmiewała tylko muzyka. Najgłośniej hałasowała rura wydechowa ciężarówki, od której oderwał się tłumik. Gwar miasta wkrótce zagłuszył warkot. Kubańczycy zerkali na ciężarówkę, ale szybko odwracali wzrok. Po ulicach Santiago jeździły stare samochody i uszkodzone układy wydechowe były zwykłą rzeczą. Mieszkańców miasta bardziej interesowała rozrywka.

Kierowca ciężarówki jechał w ślimaczym tempie, ale Seng wolał go nie popędzać. Wlokący się samochód nie wzbudzał podejrzeń. Wydawało się, że minęła godzina, choć upłynęło zaledwie piętnaście minut, gdy kierowca zatrzymał się przy magazynie portowym. Seng szybko sprawdził teren. Pusto. Poprowadził wszystkich w stronę baraku robotników; pięciominutowa wędrówka minęła bez przygód.

Wciąż sprzyjało im szczęście. Ruch panował tylko na dwóch statkach, z których wyładowywano wielkie kontenery. Seng, chociaż nadal pełen obaw, nieco się rozluźnił. Wpuścił grupę do baraku, a potem skierował w dół drewnianych schodów. Dostrzegł w ciemności niewyraźną sylwetkę pilota nomada. Mężczyzna stał na pływającym doku i pomagał Kubańczykom wejść na pokład. Drugi pilot był niżej i lokował ich w ciasnej kabine pasażerskiej pojazdu podwodnego.

Seng i Julia Huxley weszli na pokład ostatni. Pilot szybko odcumował nomada i spojrzał na nich.

– Uwinęliście się.

– Płyn do statku z maksymalną szybkością – odparł Seng. – Nie udało nam się zapobiec włączeniu alarmu. Jestem zaskoczony, że kubańskie siły bezpieczeństwa jeszcze nie siedzą nam na karku.

– Jeśli dotąd was nie wytropili – odrzekł spokojnie pilot, gdy zamykał i uszczelniał właz – nie wpadną na to, skąd się tu wzięliście.

– Przynajmniej do momentu zniknięcia „Oregon”.

Pojazd w ciągu kilku sekund opadł pod powierzchnię ciemnej wody. Po piętnastu minutach wynurzył się wewnątrz frachtowca. Nurkowie przyczepili do nomada linę zakończoną hakami i wielki dźwиг delikatnie unióś pojazd do poziomu drugiego

pokładu. Przycumowano go do galerii. Zespół medyczny Julii Huxley już czekał i z pomocą kilku członków załogi przetransportował Kubańczyków do dobrze wyposażonego szpitala na statku.

Była 23.03.

Szczupły, przedwcześnie posiwiący mężczyzna rozpoznał w Cabrillo oficera i podszedł do niego chwiejnie.

– Juan Tural – przedstawił się. – Może mi pan wyjaśnić, kim jesteście i dlaczego uratowaliście mnie i moich przyjaciół z Santa Ursula?

– Jesteśmy korporacją i dostaliśmy zlecenie na wykonanie tego zadania.

– Kto was wynajął?

– Pańscy przyjaciele w Stanach Zjednoczonych – odrzekł Cabrillo. – Tylko tyle mogę powiedzieć.

– Więc nie zrobiliście tego dla idealistycznych celów ani z powodów politycznych?

Cabrillo uśmiechnął się lekko.

– Zawsze mamy jakiś cel.

Tural westchnął.

– Miałem nadzieję, że jeśli nadejdzie ratunek, to z innej strony.

– Pańscy rodacy nie mieli odpowiednich środków, aby przeprowadzić taką operację. Dlatego zwrócili się do nas.

– Wielka szkoda, że waszą jedyną motywacją były pieniądze.

– Nie tylko. Pieniądze są jedynie siłą napędową – odparł Cabrillo. – Dają naszej korporacji możliwość wyboru pola walki i finansowania projektów dobroczynnych. Dzięki nim mamy swobodę, której brakowało nam, kiedy zatrudniały nas rządy naszych krajów. – Zerknął na zegarek. – Pan wybaczy, ale jeszcze nie jesteśmy bezpieczni.

Odwrócił się i odszedł. Tural stał i patrzył za nim.

Była 23.17. Jeśli mamy uciec, to teraz, pomyślał Cabrillo. Kubańczycy już dawno sprawdzili, co spowodowało alarm w więzieniu, więc po mieście i okolicach z pewnością krążą patrole w poszukiwaniu zbiegłych więźniów i ich oswobodzicieli. Jedynym tropem, na jaki mogą się natknąć, jest kierowca ciężarówki. Nie udzieli on kubańskim siłom bezpieczeństwa żadnych informacji, nawet gdyby go złapano i torturowano. Nic nie wie o „Oregonie”. Poinformowano go, że grupa desantowa przybyła z innej części wyspy, gdzie wylądowała.

Cabrillo podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił na dół do wiceprezesa korporacji, znajdującego się w maszynowni.

– Max?

Hanley zgłosił się niemal natychmiast.

– Tak, Juan?

– Zbiorniki balastowe wypompowane do sucha?

- Są puste, kadłub jest podniesiony, aby łatwiej było rozwinąć dużą szybkość.
- Niedługo zacznie się przyływ i odwróci nas. Lepiej ruszajmy, dopóki jeszcze stoimy dziobem do farwateru. Kiedy tylko podniesimy kotwicę, damy minimalną naprzód. Nie ma sensu alarmować obserwatorów na brzegu pospiesznym wyjściem z portu. Po pierwszych oznakach alarmu lub wpłynięciu na farwater – zależnie od tego, co nastąpi wcześniej – cała naprzód. Będziemy potrzebowali pełnej mocy silników.

- Myślisz, że uda nam się wydostać stąd wąskim farwaterem w środku nocy z pełną szybkością i bez pilota?

- System komputerowy statku zna całą trasę i wie, gdzie są boje farwaterowe. Kurs naszej ucieczki jest wyznaczony i wprowadzony do programu automatycznego pilota. Wyprowadzenie nas stąd zostawimy Otisowi. – Tak nazywano system automatycznego sterowania statkiem. Potrafił utrzymywać „Oregona” na zamierzonym kursie z dokładnością do kilku centymetrów.

- Mimo skomputeryzowanego sterowania nie będzie łatwo pruć wąskim farwaterem z szybkością sześćdziesięciu węzłów.

- Damy radę – zapewnił Cabrillo, wyłączył się i wybrał inny numer. – Mark, podaj mi status naszych systemów obrony.

Mark Murphy, specjalista od uzbrojenia, odpowiedział przeciągle z teksaskim akcentem:

- Jeśli Kubańcy odpalą rakiety, rozwalimy je.
- Na otwartym morzu można się spodziewać samolotów.
- Żaden problem.

Cabrillo połączył się z Lindą Ross.

- Linda?
- Wszystkie systemy działają – zameldowała spokojnie.

Cabrillo odłożył słuchawkę telefonu, odprężył się i zapalił cienkie kubańskie cygare. Zerknął na załogę statku, stojącą w sterowni. Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco.

- Chyba możemy ruszać – powiedział wolno i wziął głęboki oddech.

Wydał komputerowi komendę głosową, kołowrotek zaczął się obracać i kotwica powoli uniosła się z dna zatoki. Łańcuch poruszał się cicho w teflonowym rękawie, który załoga wsunęła do kluzy, żeby wytłumić grzechot. Następna komenda i „Oregon” wolno ruszył naprzód.

Na dole w maszynowni Max Hanley uważnie śledził wskaźniki na wielkiej konsoli. Cztery duże silniki magnetohydrodynamiczne były rewolucyjną konstrukcją zaprojektowaną dla transportu morskiego. Wzmacniały prąd elektryczny pobierany ze słonej wody morskiej, przepuszczanej później przez rdzeń magnetyczny utrzymywany przez ciekły hel w temperaturze zera absolutnego. Wytwarzana energia elektryczna o ogromnej mocy przepompowywała wodę przez pędniki w rufie statku.

Taki napęd nie tylko zapewniał „Oregonowi” dużą szybkość, lecz statek obywat się również bez paliwa – potrzebował jedynie wody morskiej przepływającej przez rdzeń

magnetyczny. Źródło energii nigdy się nie wyczerpywało. Kolejną zaletą był brak wielkich zbiorników paliwa na statku, co umożliwiało wykorzystanie wolnej przestrzeni do innych celów.

Oprócz „Oregona”, na świecie były tylko cztery jednostki pływające z napędem magnetohydrodynamicznym – trzy statki pasażerskie i jeden tankowiec. Ci, którzy zainstalowali go na „Oregonie”, zostali zobowiązani do zachowania tego w tajemnicy.

Hanley dbał o silniki. Były niemal niezawodne i rzadko stwarzały problemy. Regulował je i utrzymywał w stanie ciągłej gotowości do długiego i trudnego rejsu. Teraz patrzył, jak uruchomiły się automatycznie i zaczęły pchać statek w kierunku farwateru prowadzącego do morza.

Powyżej, w centrum dowodzenia, rozsunęły się bezdźwięcznie pancerne panele i odsłoniły wielkie okno w przegrodzie dziobowej. Kobiety i mężczyźni wpatrujący się z uwagą w światła miasta rozmawiali cicho, jakby obawiali się, że mogą ich usłyszeć kubańscy żołnierze na stanowiskach obrony.

Cabrillo zauważył, że przed nimi wychodzi z portu jakiś statek.

– Co to za jednostka? – zainteresował się.

Jeden z członków załogi wyświetlił na monitorze komputera listę przyplływających i odpływających statków.

– Zarejestrowana w Chinach. Zabiera do Hangzhou transport cukru. Wychodzi w morze prawie godzinę przed czasem.

– Nazwa? – zapytał Cabrillo.

– W tłumaczeniu na angielski: „Czerwony Świt”. Linia żeglugowa należy do armii chińskiej.

– Wyłączyć wszystkie światła zewnętrzne i zwiększyć szybkość – polecił Cabrillo komputerowi. – Tak trzymać, dopóki nie zbliżymy się do rufy chińskiego frachtowca. Schowamy się za nim i razem wyjdziemy z portu.

Lampy pokładowe oraz nawigacyjne zgasły i „Oregon” pogrążył się w ciemności. Odległość między dwoma statkami malała. Wnętrze centrum dowodzenia oświetlał przyćmiony niebieskozielony blask.

Zanim „Czerwony Świt” wpłynął na farwater i minął pierwszy rząd boi, zaciemniony „Oregon” był zaledwie pięćdziesiąt metrów za jego rufą. Cabrillo trzymał się z tyłu dokładnie w takiej odległości, żeby lampy pokładowe chińskiego statku nie oświetlały dziobu „Oregona”. Ryzykował, ale mógł się założyć, że sylwetka jego frachtowca wygląda jak cień „Czerwonego Świtu”.

Zerknął na wielki zegar nad oknem w przegrodzie. Wskazywał 11.39. Do testu kubańskiego systemu obrony zostało tylko dwadzieścia jeden minut.

– Podróż za rufą „Czerwonego Świtu” spowalnia nas – powiedziała Linda. – Tracimy cenny czas.

Cabrillo skinął głową.

– Masz rację, nie możemy dłużej czekać. Chińczyk spełnił swoje zadanie.

Nachylił się do mikrofonu komputera.

– Cała naprzód! Wyprzedzić statek przed nami!

„Oregon” wystrzelił do przodu niczym mała motorówka z potężnymi silnikami i ciężką ręką na przepustnicach. Rufa zanurzyła się w morzu, dziób uniósł ponad fale. Pędniki spieniły wodę, a za statkiem pojawił się szeroki kilwater. „Oregon” przemknął farwaterem w odległości niecałych sześciu metrów od „Czerwonego Świtu”, zupełnie jakby frachtowiec stał w miejscu. Chińscy marynarze z niedowierzaniem wytrzeszczyli oczy. Okręt korporacji wciąż przyspieszał. Szybkość była jego największą zaletą. Czterdzieści węzłów, potem pięćdziesiąt. Kiedy mijał twierdzę Morro przy wejściu do portu w Santiago, płynął z prędkością niemal sześćdziesięciu dwóch węzłów. Żaden statek tej wielkości nie mógł mu dorównać.

Światła nawigacyjne wysoko na urwiskach stały się wkrótce dalekimi mrugającymi punktami w ciemności na horyzoncie.

Na brzegu szybko wszczęto alarm, że jakiś statek opuszcza bez zezwolenia port. Ale obsługa radarów i baterii rakietowych nie wystrzeliła pocisków ziemia-woda. Oficerowie nie mogli uwierzyć, że duży frachtowiec płynie z taką nieprawdopodobną prędkością. Podejrzewali awarię systemu radarowego i nie chcieli odpalać rakiet. Uważali, że nie naprowadzą ich na taki niepewny cel.

Dopiero kiedy „Oregon” był dwadzieścia mil morskich od portu, kubański generał sił bezpieczeństwa połączył ze sobą nagłe zniknięcie statku i ucieczkę więźniów z Santa Ursula. Wydał rozkaz wystrzelenia pocisków, ale zanim leniwy łańcuch dowodzenia przekazał jego słowa, „Oregon” był już poza zasięgiem rakiet.

Generał rozkazał, żeby myśliwce kubańskich wojsk lotniczych przechwyciły i zatopiły tajemniczy frachtowiec, zanim znajdzie się pod ochroną kutrów Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych. Nie ucieknie, pomyślał. Rozparł się w fotelu, zapalił cygaro i z zadowoleniem wypuścił pod sufit kłęb niebieskiego dymu. Sto dwanaście kilometrów dalej dwa stare migi uniosły się w powietrze i wzięły kurs na „Oregona” wskazany przez kubański radar.

Cabrillo nie musiał studiować mapy morskiej, żeby zrozumieć, że rejs z Santiago wzdłuż brzegów Kuby przez Cieśninę Zawietrzną, a potem na północny zachód do Miami to niemal samobójstwo. Na dystansie prawie sześciuset mil morskich „Oregon” płynąłby niecałe pięćdziesiąt mil od kubańskiego wybrzeża, wystawiając się niczym drewniana kaczka na strzelnicy. Najbezpieczniejsza trasa prowadziła na południowy wschód wokół południowego krańca Haiti i dalej niemal prosto na wschód do Portoryko, państwa stowarzyszonego z USA, gdzie mógłby wysadzić pasażerów. Byliby tam bezpieczni i mieliby właściwą opiekę medyczną przed przylotem na Florydę.

– Zbliżają się dwa niezidentyfikowane samoloty – zameldowała Linda.

– Mam je – oznajmił Murphy. Garbił się nad konsolą z dużymi ekranami radarowymi i zestawem włączników.

– Możesz je zidentyfikować? – zapytała Linda.

- Komputer rozpoznaje dwa Mig-27...
- Jak daleko? – zainteresował się Cabrillo.
- Sześćdziesiąt mil i się zbliżają – odrzekł Murphy. – Biedni idioci nie wiedzą, w co się pakują.

Cabrillo odwrócił się do swojego eksperta od łączności Hali Kasima.

- Spróbuj ich wywołać po hiszpańsku. Przekaż im ostrzeżenie, że mamy na pokładzie pociski woda-powietrze i zestrzelimy ich, jeśli nas zaatakują.

Kasim nie musiał mówić po hiszpańsku, żeby ostrzec pilotów. Po prostu polecił komputerowi przetłumaczyć wiadomość przez radio dostrojone do dwudziestu różnych częstotliwości.

Po kilku minutach pokręcił głową.

- Odbierają nas, ale nie reagują.
- Myślą, że blefujemy – odezwała się Linda.
- Próbuj dalej – powiedział Cabrillo i zwrócił się do Murphy'ego: – Jaki zasięg mają ich rakiety?

- Według specyfikacji to pociski krótkiego zasięgu. Dziesięć mil.

Cabrillo zrobił poważną minę.

- Jeśli Kubańczycy nie wycofają się, zestrzel ich, gdy zbliżą się do nas na odległość trzydziestu mil. A jeszcze lepiej, odpal teraz jedną z naszych rakiet. Wysteruj ją ręcznie tak, żeby przeleciała blisko samolotów.

Murphy wykonał odpowiednie obliczenia i wcisnął czerwony przycisk.

- Poszła.

W centrum dowodzenia rozległ się szum, gdy pocisk wystartował z otworu w pokładzie dziobowym i poszybował ku niebu. Wszyscy obserwowali na monitorach, jak mknie na północny zachód i szybko znika.

- Cztery minuty do przelotu obok myśliwców – zakomunikował Murphy.

Żałoga wpatrywała się w wielki zegar nad oknem. Nikt się nie odzywał. Czekali niecierpliwie. Czas wydawał się ciągnąć w nieskończoność. W końcu Murphy oznajmił:

- Pocisk przeszedł między samolotami, dwieście metrów nad nimi.
- Zrozumieli? – zapytał Cabrillo. W jego głosie brzmiało napięcie.

Po długiej ciszy Murphy zameldował z zadowoleniem:

- Zawracają. Mieli szczęście.
- Nie są tacy głupi. Zorientowali się, że nie wygrają tej walki.
- Właśnie – uśmiechnęła się szeroko Linda.

Cabrillo odetchnął z ulgą. Nachylił się w fotelu do mikrofonu komputera.

- Zwolnić do prędkości podróżnej.

Tajna operacja była prawie zakończona, zlecenie wykonane. Żałoga „Oregon” nie uważała się jednak za szczęściarzy. Sukces zawdzięczała swoim wyjątkowym umiejętnościom, wiedzy, inteligencji i precyzyjnemu planowaniu. Teraz, z wyjątkiem technika dyżurującego w centrum dowodzenia i czuwającego nad systemami

nawigacyjnymi, wszyscy mogli się odprężyć. Niektórzy poszli do swoich kajut na zasłużony odpoczynek, inni zebrali się w jadalni statku, żeby coś przekąsić i zrelaksować się.

Cabrillo wycofał się do swojej kajuty wyłożonej tekową boazerią i wyjął pakiet dokumentów z sejfów w pokładzie pod dywanem. To był ich następny kontrakt. Wyciągnął zawartość, studiował ją prawie godzinę, a potem zaczął planować początkową taktykę działania.

Dwie i pół doby później „Oregon” zawinął do portorykańskiego portu San Juan i wysadził na ląd kubańskich uchodźców. Przed zachodem słońca niezwykle statek i jego dziwna załoga złożona z członków korporacji znów byli na morzu. Płynęli do miejsca następnej operacji. Mieli wykraść bezcenny artefakt, przywrócić do władzy przywódcę religijnego i wyzwolić kraj. Ale kiedy „Oregon” wychodził z portu, na pokładzie nie było Cabrillo. Podróżował ku słońcu, na wschód.



## 2

Wiśniowy Falcon 2000EX wystartował z Heathrow tuż po szóstej rano i wylądował w Genewie o 9.30 czasu lokalnego. Odrzutowiec rozwijał prędkość osiemdziesiątych macha i miał zasięg ponad siedem tysięcy czterysta kilometrów. Kosztował dwadzieścia cztery miliony dolarów. Jedynym pasażerem był Winston Spenser.

W genewskim międzynarodowym porcie lotniczym Cointrin czekał na niego kierowca rolls-royce'a, który zawiózł go do hotelu. Nie musiał się meldować, natychmiast zaprowadzono go do apartamentu. W swoim pokoju Spenser poświęcił kilka minut na to, by odświeżyć się po podróży. Potem stanął przed lustrem i przyjrzał się swemu odbiciu. Miał długi nos, niebieskie oczy, bladą cerę i nieciekawe rysy twarzy. Jego twarz nigdy nie przyciągała uwagi, jakby brakowało jej charakteru. Nie wyglądał na przywódcę, lecz na wysoko cenionego służącego.

Kiedy skończył oględziny swojej osoby, schował drogą wodę kolońską do nesesera z przyborami toaletowymi i wyszedł z pokoju na śniadanie. Niedługo zaczynała się aukcja dzieł sztuki, na którą przyleciał do Genewy.

- Życzy pan sobie coś jeszcze? – zapytał kelner.
- Spenser patrzył przez moment na resztki jedzenia.
- Nie, to będzie wszystko.

Kelner skinął głową, sprzątnął ze stołu, wyjął z kieszeni fartucha specjalną szczotkę i zmiótł z obrusa kilka okruchów. Potem wycofał się cicho. Nie wystawił rachunku ani nie przyjął żadnych pieniędzy. Śniadanie i napiwek miały być doliczone do ceny pokoju, której Spenser nawet nie znał.

Z odległego rogu jadalni przyglądał mu się antykwariusz z San Francisco, Michael Talbot. Znali się z widzenia. Na przestrzeni ostatniego roku Brytyjczyk trzykrotnie przelicytował klientów Amerykanina. Wyglądało na to, że zleceniodawcy Spensera mieli nieograniczone środki.

Talbot mógł mieć tylko nadzieję, że dziś będzie inaczej.

Spenser ubrany był w szary garnitur. Pod marynarką miał wełnianą kamizelkę, a niebieska muszka w groszki i czarne sznurowane półbuty wypolerowane na wysoki połysk dopełniały stroju. Miał wypiełgnowane paznokcie i starannie ostrzyżone włosy przyprószone siwizną. Talbot oceniał jego wiek na jakieś sześćdziesiąt lat.

Kiedyś, gdy przebywał akurat w Londynie w interesach, Talbot postanowił odwiedzić antykwariat Spensera. Nie znalazł numeru telefonu, na małym budynku nie było szyldu. Gdyby nie dyskretna kamera nad domofonem, kamienna budowla wyglądałaby jak sto lat wcześniej. Talbot dwukrotnie nacisnął brzęczyk, ale nikt nie odpowiedział.

Spenser wyczuł, że Talbot go obserwuje, ale tylko zerknął na niego kątem oka.

Ustalił, że kupno artefaktu interesuje siedem osób. Spodziewał się, że Amerykanin będzie licytował najwyżej. Klientem Talbota był potentat komputerowy z Doliny Krzemowej, bojowo nastawiony miłośnik sztuki azjatyckiej. Wojowniczość miliardera mogła jedynie pomóc Spenserowi. Facet miał przerośnięte ego i chętnie podbijał cenę, ale kiedy walka robiła się naprawdę ostra, zwykle wściekał się i odpadał. Nowobogacy są łatwo przewidywalni, pomyślał Spenser. Wstał, żeby wrócić do pokoju. Aukcja zaczynała się o pierwszej po południu.

– Ekspонат numer 37 – oznajmił z szacunkiem licytator. – Złoty Budda.

Na podium wwieziono wielką mahoniową skrzynię i licytator zamknął drzwi.

W sali siedziało niewiele osób. Aukcja odbywała się w ścisłej tajemnicy. Zaproszenia dostali tylko nieliczni wybrańcy, którzy mogli sobie pozwolić na kupno dzieł sztuki pochodzących z podejrzanych źródeł.

Spenser jeszcze nie licytował. Zainteresował go numer 21, obraz Degasa skradziony z muzeum dwanaście lat wcześniej, ale wylicytowana suma przekroczyła kwotę, którą gotów był zapłacić jego klient z Ameryki Południowej. Spenser coraz rzadziej przyjmował zlecenia od ludzi z ograniczonym budżetem, nawet jeśli dysponowali milionami. Dzisiejsza aukcja była pierwszym etapem jego planu przejścia na emeryturę.

Licytator otworzył skrzynię. Spenser natychmiast włączył miniaturowy telefon satelitarny w kieszeni kamizelki. W klapie marynarki miał maleńki mikrofon.

– Proszę przekazać swojemu pracodawcy, że mają ten przedmiot – powiedział.

– Szef pyta, czy obiekt wygląda tak, jak pan się spodziewał.

Spenser przyjrzał się masywnemu złotemu posągowi. Przez salę przeszedł szmer.

– Lepiej – odrzekł cicho.

– Cena nie gra roli – odpowiedział jego rozmówca po przekazaniu informacji swojemu zwierzchnikowi.

– To będzie dla mnie zaszczyt – odparł Spenser, myśląc o dziejach posągu.

Złoty Budda pochodził z 1288 roku. Jego wykonanie zlecił władcy późniejszego Wietnamu, żeby uczcić zwycięstwo nad siłami chana Kubilaja. Z dwustu siedemdziesięciu kilogramów czystego złota wydobytego w Laosie powstała niemal dwumetrowa podobizna Oświeconego. Oczy zrobiono z syjamskiego jadeitu, a szyję ozdobiono kręgiem birmańskich rubinów. Zarys brzucha podkreślały tajlandzkie szafiry, w miejscu pępka mienił się duży okrągły opal. Posąg ofiarowano w darze pierwszemu dalajlamie w 1372 roku.

Przez pięćset osiemdziesiąt siedem lat Złoty Budda stał w tybetańskim klasztorze, potem towarzyszył współczesnemu dalajlamie na emigracji. Podczas podróży na wystawę do Stanów Zjednoczonych zniknął na lotnisku w Manili.

Głównym podejrzanym był prezydent Filipin Ferdinand Marcos. Nigdy nie ustalono, do kogo należał posąg po kradzieży, aż nagle pojawił się na aukcji w

Genewie. Sprzedający miał pozostać anonimowy.

Trudno było wycenić taki rzadki artefakt, ale przed aukcją jego wartość szacowano ostrożnie na sto do stu dwudziestu milionów dolarów.

– Zaczniemy od pięćdziesięciu milionów dolarów – oznajmił licytator.

Mało, pomyślał Spenser. Samo złoto jest warte dwa razy tyle. Posąg jest bezcenny dzięki swojej historii, a nie urodzie. Niska cena jest zapewne skutkiem kiepskiej sytuacji ekonomicznej na świecie.

– Mamy pięćdziesiąt milionów – zakomunikował licytator. – Kto da sześćdziesiąt?

Talbot podniósł swoją tabliczkę przy osiemdziesięciu.

– Osiemdziesiąt. Kto da dziewięćdziesiąt? – zapytał monotonnym głosem licytator.

Spenser zerknął przez salę na Talbota. Typowy Amerykanin, pomyślał. Telefon satelitarny przy uchu, tabliczka w górze, jakby się bał, że licytator go nie zauważy.

– Dziewięćdziesiąt. Kto da sto?

Zgłosiła się znajoma Spensera, antykwariuszka z Afryki Południowej. Jej stały klient wzbogacił się na diamentach. Spenser podziwiał tę kobietę, niejedną raz rozmawiali przy sherry. Ale znał również zwyczaje jej zleceniodawcy. Jeśli Afrykaner nie miał pewności, że odsprzeda kupiony eksponat z zyskiem, wycofywał się. Był miłośnikiem sztuki, ale płacił tylko tyle, żeby później na tym zarobić.

Ktoś z tyłu zaliczył sto dziesięć milionów. Spenser obejrzał się. Nie potrafił określić wieku mężczyzny w głębi sali, ale siwy brodacz z falującymi włosami musiał mieć około sześćdziesiątki. Spensera zdziwiły dwie rzeczy. Znał tutaj wszystkich, przynajmniej z widzenia lub ze słyszenia. Ale tego człowieka widział pierwszy raz. Poza tym, obcy sprawiał wrażenie zupełnie obojętnego, jakby chodziło o licytację weekendowego wyjazdu do kurortu na lokalnej aukcji dobroczynnej, a nie o sumę równą rocznemu budżetowi małego państwa. Facet musi być z branży, pomyślał Spenser. Dom aukcyjny na pewno go sprawdził. Ale kim jest?

Sto dwadzieścia milionów od niemieckiego potentata farmaceutycznego.

– Kto da sto trzydzieści?

Znów wyrwał się Talbot. Zamachał tabliczką jak semafor.

Suma doszła do stu czterdziestu milionów. Tyle dał siwy brodacz. Spenser znów się obejrzał. Poczul niepokój. Mężczyzna patrzył mu prosto w oczy, potem mrugnął porozumiewawczo. Spenserowi przeszły ciarki po plecach.

Odwrócił się i spojrzał w bok. Talbot z ożywieniem rozmawiał przez telefon. Spenser domyślił się, że miliarder z Doliny Krzemowej wypada z gry.

– Niech pan przekaże szefowi – szepnął do swojego mikrofonu – że stanęło na stu pięćdziesięciu milionach. Chyba że ktoś da dziesięć więcej.

– Pyta, czy pan już licytował.

– Nie, ale wiedzą, że tu jestem.

Spencer wiele razy kupował eksponaty od dzisiejszego licytatora. Mężczyzna obserwował go jak sęp. Każdy jego uśmiech, grymas twarzy czy gest uznałby za podbicie ceny.

– Szef chce, żeby pan zaproponował dwieście milionów – powiedział rozmówca Spensera – i przebił ich.

– Przyjąłem – odparł Spencer.

Potem wolno położył na ustach dwa rozstawione palce.

– Dwieście milionów – oznajmił beznamiętnie licytator.

Od razu pięćdziesiąt milionów więcej, choć dotąd podnosił cenę o dziesięć.

– Mamy dwieście milionów – powiedział licytator. – Czy ktoś da dwieście dziesięć?

W sali zrobiło się cicho jak w grobowcu. Spenser obejrzał się. Siwy brodacznik zniknął.

– Dwieście milionów po raz pierwszy... – zaczął licytator – ...po raz drugi... – urwał i zaczekał. – I po raz trzeci. Sprzedane! Dwieście milionów i premia dla nabywcy. Dobry zakup.

W cichej sali nagle wybuchły oklaski.

Spencer został jeszcze pół godziny, żeby zorganizować transport i ochronę podczas drogi na lotnisko. O piątej po południu leciał na wschód dostarczyć eksponat. Dla bezpieczeństwa wyczarterował taki samolot, żeby żaden trop nie prowadził do miliardera z Makau, który był jego klientem. Firma zapewniała pełną obsługę – przelot do Azji i dostawę artefaktu do nowego właściciela opancerzonym samochodem. Spenser był prawie w domu.

### 3

Sześć dni po wysadzeniu Kubańczyków w San Juan, „Oregon” opłynął Przylądek Dobrej Nadziei. W sterowni ekran o wysokiej rozdzielczości i wymiarach metr dwadzieścia na dwa czterdzieści pokazywał obraz morza przed dziobem. Niewiele było do oglądania. Na horyzoncie zachodziło słońce, statek znajdował się w pustym rejonie Oceanu Indyjskiego, gdzie kursowało niewiele frachtowców. Dwadzieścia minut wcześniej Hali Kasim zauważył wieloryba. Ustalił jego wielkość za pomocą podwodnych sensorów, potem zaczął ją porównywać z bazą danych.

– Jakiś nowy gatunek – powiedział.

Franklin Lincoln, wielki czarny facet, który dyżurował z nim w sterowni, podniósł wzrok znad gry komputerowej.

– Powinieneś znaleźć sobie inne hobby.

– To dla zabicia czasu – odrzekł Kasim.

Lincoln wskazał swój monitor.

– To też. I wykorzystuje bardzo mało mocy obliczeniowej komputera.

Rozległ się brzęczyk, statek zwolnił i zatrzymał się.

Z północy zbliżał się czarny hydroplan. Pilot przeleciał nad „Oregonem”, żeby patrząc na banderę statku sprawdzić kierunek wiatru, potem zgrabnie wylądował na wodzie i podkołował do burty.

– Wrócił prezes – powiedział Kasim.

Kiedy tylko Cabrillo dotarł bezpiecznie na pokład „Oregona”, udał się do swojej kajuty. Zamknął za sobą drzwi, cisnął na łóżko torbę podróżną z siwą peruką i sztuczną brodą, a potem zrzucił buty. W drodze do toalety rozpiął koszulę.

W przeciwieństwie do większości statków, na których łazienki zaprojektowano jako niewielkie klitki, ta była duża i wygodna. Przy ścianie stała miedziana wanna z armaturą, a przez czworokątny bulaj w mosiężnej ramie rozciągał się widok na morze. Obok wanny umieszczono kabinę prysznicową wyłożoną dekoracyjną meksykańską glazurą. Przy przegrodzie zamontowano miedzianą umywalkę opierającą się na szafce z szufladami.

Podłogę z ciemnej klepki pokrywał gruby dywan. Na wprost umywalki, w przegrodę statku wpuszczono toaletę. Pod jedną ze ścian łazienki ulokowano rzeźbioną mahoniową ławę z Filipin.

Cabrillo przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze nad umywalką.

Jego jasne włosy domagały się strzyżenia. Zanotował sobie w pamięci, żeby umówić się z fryzjerką okrętową, która była również masażystką. Skóra wydawała się niemal biała. Wiedział, że to skutek stresu. Miał zaczerwienione oczy. Był zmęczony i bolały go zeszywniałe stawy.

Usiadł na mahoniowej ławie, zdjął spodnie i popatrzył na swoją protezę. To już

trzecia od czasu, gdy stracił nogę w bitwie morskiej z chińskim niszczycielem „Chengdo”. Korporacja wspierała wtedy operację NUMA w Hongkongu. Obecna proteza była prawie tak dobra, jak własna noga.

Wstał, podszedł do miedzianej wanny i zaczął ją napełniać wodą.

Kiedy kąpiel była gotowa, ogolił się nad umywalką i wyszorował zęby. Potem odczepił protezę i wszedł do wanny. Zanurzył się w wodzie i zamyślił...

Cabrillo był potomkiem odkrywcy Kalifornii. Ale mimo hiszpańskiego nazwiska, wyglądał bardziej na surfera z Malibu niż na konkwistadora. Wychował się w hrabstwie Orange w rodzinie należącej do wyższej klasy średniej. W latach siedemdziesiątych w Kalifornii królowały narkotyki i seks. Ale Cabrillo nie ciągnęło takie życie. Miał naturę konserwatysty i patrioty. Kiedy wszyscy jego znajomi nosili długie włosy, on był krótko ostrzyżony. Nie chodził w podartych dżinsach i T-shirtach, ubierał się porządnie i dbał o swoją prezencję. Nie protestował w ten sposób przeciwko ówczesnym czasom – po prostu był sobą.

I taki pozostał.

Na uniwersytecie studiował nauki polityczne i aktywnie uczestniczył w programie Korpusu Szkoleniowego Oficerów Rezerwy na swojej uczelni. Toteż nic dziwnego, że po studiach dostał propozycję pracy w CIA. Spełniał wymagania stawiane nowym agentom. Był inteligentny, ale nie przemądrzały; spokojny, ale nie nudny; elastyczny, ale nie ekstrawagancki.

Znał hiszpański, rosyjski i arabski. Okazał się mistrzem kamuflażu i podstępem. Potrafił się łatwo zaaklimatyzować w obcym kraju. Cechowała go odwaga, ale bez brawury. Po kilku latach stał się cennym agentem.

Potem przyszła Nikaragua.

Cabrillo i jego partner mieli zachwiać pozycję prokomunistycznych sandinistów, których popularność wciąż rosła. Początkowo wszystko szło dobrze, ale w ciągu roku sytuacja wymknęła się spod kontroli. Historia stara jak świat – zbyt wielu wodzów, za mało zwykłych Indian. Za decyzje szefów w Waszyngtonie zapłacili Nikaraguańczycy. Kiedy wybuchły bomby, opadający pył dmuchnął im w twarz.

Cabrillo był jednym z przegranych. Przyjął na siebie cios przeznaczony dla jego partnera.

Teraz ten partner miał wysokie stanowisko w CIA i odwdzięczał się za przysługę. Niemal od początku istnienia korporacji dawał jej zlecenia. Ale jeszcze nigdy kontrakt nie był taki opłacalny.

Cabrillo i jego ludzie musieli tylko dokonać tego, co wydawało się niemożliwe.

Kiedy Cabrillo ubierał się po kąpeli, Kasim i Lincoln nadal pełnili wachtę. Zanim ich złuzowano o północy, Kasim wprowadził do komputera dane jeszcze jednego wieloryba, którego zauważył, a Lincoln trzydzieści dwa razy ułożył pasjansa. Obaj przejrzeni po trzy magazyny ilustrowane z partii zabranej na pokład w San Juan.

Lincoln czytał pisma lotnicze, Kasim samochodowe.

Szczerze mówiąc, nie mieli nic do roboty – „Oregon” płynął sam.

Trzydzieści minut później odświeżony Cabrillo siedział przy dużym mahoniowym stole w sali konferencyjnej „Oregona”. Miał na sobie białą koszulę, jasnobrązowe spodnie i sportową kurtkę. Naprzeciwko niego siedziała Linda Ross i popijała dietetyczną colę. Obok niej Eddie Seng przeglądał stos papierów. Nieco dalej Mark Murphy ostrzył przy stole nóż o skórzany pas, i wypróbował ostrze na kawałku papieru. Ta czynność go relaksowała.

- Jak poszła aukcja? – zapytał Max Hanley.
- Cel poszedł za dwieście milionów – odrzekł swobodnie Cabrillo.
- O, kurczę... – powiedziała Ross. – Niezła cena.

Na końcu stołu, przed zestawem wygaszonych monitorów sięgającym od podłogi do sufitu, Michael Halpert włączył wskaźnik laserowy i wcisnął przycisk na pilocie. Ekran rozświetlił się. Cabrillo skinął Halpertowi głową, że może zaczynać.

– Zlecenie z Waszyngtonu trafiło do naszego prawnika w Vaduz w Liechtensteinie. Standardowy kontrakt: połowa teraz, połowa przy dostawie. Pięć milionów z dziesięciu już wpłynęło. Przeszło przez nasz bank w Vanuatu i zostało przelane do Afryki Południowej na zakup złota w sztabach, tak jak uzgodniliśmy.

Murphy odciął nożem skrawek papieru.

– Zamiast tych wszystkich machinacji powinniśmy po prostu ukraść Złotego Buddę dla siebie. To by nam oszczędziło mnóstwo czasu i wysiłku. W ten sposób też mielibyśmy złoto.

– A gdzie twoja duma zawodowa? – zapytał z uśmiechem Cabrillo, wiedząc, że Murphy żartuje. – Musimy dbać o naszą reputację. Jeśli wykołujemy klienta, będziemy skończeni. I co potem? Ostatnio nie widziałem ogłoszeń, że potrzebni są marynarze najemnicy.

Seng wyszczerzył zęby.

– Szukałeś w złych gazetach. Zajrzyj do „Manila Times” albo do „Bulgarian Bugle”.

– Problem z kradzionymi przedmiotami historycznymi jest taki – wtrąciła Linda Ross – że trudno je sprzedać.

– Znam faceta w Grecji – odparł Murphy – który chętnie kupiłby portret Mony Lisy.

Cabrillo zamachał rękami.

– Dobra, wracajmy do sprawy.

Na głównym monitorze pojawiła się mapa świata. Halpert wskazał ich punkt docelowy.

– W linii prostej z Portoryko do tego miejsca jest ponad szesnaście tysięcy kilometrów – powiedział. – Morzem dużo więcej.

– Taka podróż podniesie koszty – zauważył Cabrillo. – Nie mamy w tamtej

części świata innych zleceń do wykonania po zakończeniu tego kontraktu?

– Jeszcze nie – odrzekł Halpert – ale pracuję nad tym. I jeszcze jedno, potrzebowaliśmy prawnika, aby załatwić nam premię, jeśli nie przekroczyliśmy określonego terminu dostawy.

– Ile dostaniemy i jaki to termin? – zapytał Cabrillo.

– Dodatkowy milion. Data to trzydziesty pierwszy marca.

– Dlaczego akurat trzydziesty pierwszy marca?

– Bo na ten dzień zaplanowano powrót przywódcy do ojczyzny – wyjaśnił Halpert.

– W porządku. Więc mamy siedem dni, w tym trzy na podróż. Zostają nam cztery na włamanie się do strzeżonego budynku, wyniesienie złotego posągu o wadze dwustu siedemdziesięciu kilogramów i przetransportowanie go na odległość czterech tysięcy kilometrów do górzystego kraju, gdzie większość ludzi tylko słyszała o szkole.

Halpert przytaknął.

– Szykuje się fajna zabawa – powiedział Cabrillo.



# 4

Chuck, na którego przyjaciele wołali Mały, jadł parówkę i pokrojony na kawałki czedar. Jednocześnie pilotował cesseną Citation X i obserwował góry w dole. Ważył prawie sto trzydzieści kilogramów i miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Podczas studiów na uniwersytecie Wisconsin grał jako obrońca w drużynie futbolu amerykańskiego. Po dyplomie został zwerbowany do DIA, Agencji Wywiadowczej Obrony, gdzie rozwinął swoje zamiłowanie do latania. Wykorzystał tę umiejętność później, prowadząc własną firmę. W tej chwili żałował, że nie ma do lunchu butelki jasnego piwa i musi popijać jedzenie ciepłym piwem imbirowym. Co kilka minut patrzył na wskaźniki – wszystkie świeciły się na zielono.

– Pan Citation jest zadowolony – powiedział, poklepał włącznik automatycznego pilota i sprawdził kurs.

Spenser przeszedł na dziób samolotu do kokpitu, zapukał i otworzył drzwi.

– Czy pańska firma zorganizowała dla nas transport opancerzonym samochodem z lotniska w Makau? – zapytał.

– Bez obaw – odrzekł Gunderson. – Wszystko załatwili.

W porcie Aomen, jak Chińczycy nazywali Makau, panował duży ruch. Sampany i barki towarowe dzieliły farwatery z nowoczesnymi statkami handlowymi i jachtami turystycznymi wysokiej klasy. Wiatr wiał od lądu, zapach gorących potraw mieszał się z aromatem wyładowywanych przypraw. Dwanaście mil dalej, nad Morzem Południowochińskim, Gunderson, znajdujący się o kilka minut lotu od celu, dostał zezwolenie na lądowanie.

Spenser patrzył na Złotego Buddę przypiętego pasami do podłogi w przejściu między siedzeniami.

W tym samym czasie Juan Cabrillo delektował się kawą espresso po posiłku złożonym z chateaubrianda z warzywami, talerza serów i ciasta na deser. Siedział przy głównym stole w jadalni „Oregona”. Uniósł do ust serwetkę.

– Mamy w Makau naszego człowieka – powiedział. – Zorganizuje transport, kiedy zdobędziemy Buddę.

– Co planuje? – zapytał Hanley.

– Jeszcze nie wie – wyznał Cabrillo – ale on zawsze potrafi coś wymyślić.

– Mam szczegółowy plan miasta – odezwał się Seng. – Port i lotnisko są tylko półtora kilometra od miejsca, gdzie przypuszczalnie trafi Złoty Budda.

– Na szczęście – powiedziała Linda Ross.

– Cały kraj ma zaledwie szesnaście kilometrów kwadratowych – odrzekł Seng.

– Rzucimy kotwicę na morzu? – zapytał Mark Murphy.

Cabrillo skinął głową.

- Więc będę potrzebował dane z GPS-u dla całego kraju – powiedział Murphy.
- Na wszelki wypadek.

Przez następną godzinę członkowie korporacji omawiali szczegóły.

- Om... – powiedział cicho mężczyzna – om.

Człowiek, który miał najwięcej zyskać na powrocie Złotego Buddy do Tybetu, nie zdawał sobie sprawy, co się wokół niego dzieje. Oddawał się medytacjom w cichym ogrodzie skalnym położonym przy domu w Beverly Hills w Kalifornii. Zbliżał się teraz do siedemdziesiątki, ale nie starzał się jak zwykły śmiertelnik. Z wiekiem stawał się po prostu doskonalszą istotą ludzką.

W roku 1959 Chińczycy zmusili go do ucieczki z ojczyzny do Indii. W roku 1989 otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla za nieustanne działania na rzecz wyzwolenia swojego kraju bez używania przemocy. W świecie, gdzie stuletni budynek uważano za zabytkowy, ten człowiek był uznawany za czternaste wcielenie przywódcy duchowego sprzed wieków.

W tym momencie dalej ją wracał w myślach do domu.

Winston Spenser był zmęczony i rozdrażniony. Od wyjazdu z Londynu nie miał chwili odpoczynku. Podróż dała mu się we znaki, odczuwał też bagaż swoich lat. Citation X zatrzymał się na dalekim krańcu lotniska. Antykwariusz zaczął, aż pilot podejdzie do drzwi i opuści schodki, potem wysiadł. Opancerzony samochód stał tuż obok samolotu, tylne drzwi były otwarte. Po obu stronach pojazdu czuwali uzbrojeni ochroniarze w czarnych mundurach. Wyglądali mniej więcej tak przyjaźnie, jak tłum szykujący się do linczu. Jeden z nich podszedł do Spensera.

- Gdzie jest obiekt? – zapytał bez wstępów.
- W głównej kabinie – odrzekł Spenser. – W skrzyni.

Mężczyzna przywołał gestem kolegę.

W tym momencie po stopniach zszedł Gunderson.

- A pan to kto? – zapytał jeden z ochroniarzy.
- Jestem pilotem.
- Niech pan wraca do kokpitu i zaczeka, aż skończymy.
- Hej... – zaczął protestować Gunderson, gdy większy z ochroniarzy złapał go za ramię, wepchnął do kokpitu i zatrzasnął drzwi. Dwaj mężczyźni opuścili skrzynię w dół po pochylni rolkowej i wtoczyli prosto do furgonu. Była tak ciężka, że nie udałoby się im jej unieść. Samochód odjechał kawałek, żeby mogli zatrzasnąć drzwi. Kiedy jeden z ochroniarzy je zamykał, znów pojawił się Gunderson.

- Możecie być pewni, że zamelduję o tym – ostrzegł.

Ale ochroniarz tylko lekko się uśmiechnął i wsiadł od strony pasażera.

- Świątynia A-Ma? – zapytał przez okno kierowca.

Spenser przytaknął.

Ochroniarz wskazał ciemnozieloną limuzynę Mercedes-Benz zaparkowaną w

poblizu.

– Niech pan jedzie za nami.

Kierowta opancerzonego samochodu zamknął szybę, wrzucił bieg i ruszył.

Spenser wszedł do limuzyny i podążył za nim.

Opancerzony samochód i limuzyna wioząca Spensera przejechały przez most łączący Makau z wyspą Tajpa i skręciły na dwupoziomowym skrzyżowaniu. Minęły hotel Lisboa i wjechały w Infante D. Henriq ue przechodzącą w San Mo La, czyli Nową Drogę. Na zachodnim krańcu wyspy dotarły do przecznicy Rua das Lorchas i skierowały się wzdłuż wybrzeża na południe.

Okolica wyglądała jakby wyjęto ją z filmu przygodowego. Na wodzie unosiły się dzonki i sampany, przybrzeżna ulica była zatłoczona sklepami sprzedającymi wszystko, od oskubanych kurczaków do srebrnych fajek do palenia opium. Turyści robili zdjęcia, sprzedawcy i kupujący negocjowali ceny w śpiewnym dialekcie kantońskim.

Na skrzyżowaniu z Rua do Almirante Sergio furgon odbił lekko w lewo, minął dworzec autobusowy i wjechał na teren czternastowiecznego, najstarszego w Makau kompleksu świątyni A-Ma. Wzniesiono go na gęsto zalesionym wzgórzu, z którego rozciągał się widok na morze, a składał się z pięciu świątyni połączonych krętymi zwirowanymi ścieżkami.

W powietrzu unosił się zapach kadzidła. Spenser wysiadł z limuzyny i podszedł do opancerzonego samochodu. W tym momencie ktoś odpalił ognie bengalskie, żeby odpędzić złe duchy. Spenser schylił się odruchowo i spojrzał w górę w okno kierowcy.

– Nic się panu nie stało? – zapytał kierowca.

– Nie – odrzekł zmieszany Spenser i wyprostował się. – Muszę na chwilę wejść do środka. Proszę tu poczekać.

Kierowca skinął głową i Spenser ruszył w górę ścieżki.

Wszedł do świątyni poświęconej bogini A-Ma, skierował się do jednego z położonych z tyłu pomieszczeń i zapukał. Drzwi otworzył ogolony na łyso mężczyzna w żółtej szacie. Uśmiechnął się.

– Pan Spenser. Przyjechał pan po swoją skrzynię?

– Tak.

Mnich wezwał dzwonkiem dwóch innych z pomieszczenia obok.

– Pan Spenser chce odebrać skrzynię, o której mówiłem – powiedział do nich. – Wyjaśni, co trzeba zrobić.

Duży datek na świątynię zapewnił Spenserowi przechowanie przynęty do czasu, aż będzie potrzebna. Zgrabne kłamstwo miało załatwić resztę.

– Mam na zewnątrz pozłocanego Buddę, którego chciałbym tu zostawić na pewien czas – powiedział Spenser, uśmiechając się do mnicha. – Znajdzie się miejsce?

– Oczywiście. Proszę go wnieść.

Dwadzieścia minut później dokonano zamiany. Złoty Budda stał teraz na

widocznym miejscu. Półgodziny potem i półtora kilometra dalej opancerzony samochód dostarczył ostatnią przesyłkę tego dnia. Po odesłaniu ochroniarzy Spenser i miliarder z Makau popatrzyli na posąg.

– To więcej niż mógłbym się spodziewać – powiedział miliarder.

Ale mniej niż myślisz, dodał w duchu Spenser.

– Cieszę się, że jest pan zadowolony.

Miliarder uśmiechnął się.

– Trzeba to uczcić.

W okazałej jadalni, położonej w głównej części rezydencji, na długim stole z drewna wiśniowego stały srebrne półmiski z miejscowymi przysmakami. Spenser darował sobie mięso małpy i jeżowca, wybrał drób w sosie z orzeszków ziemnych. Mimo to, ostre dodatki nie służyły jego żołądkowi nadwerężonemu podróżą. Marzył, żeby ten wieczór wreszcie się skończył.

Siedział u szczytu stołu naprzeciw gospodarza. Towarzyszyło im sześć konkubin – trzy z lewej i trzy z prawej strony. Na deser był mus z dzikich jagód. Po cygarach i koniaku miliarder wstał.

– Weźmiemy kąpiel, Winston? – zapytał. – I pozwolimy paniom wypełnić ich obowiązek?

Nie miał pojęcia, że będzie właścicielem fałszywego Złotego Buddy jedynie przez tydzień.

A Winston Spenser nie mógł wiedzieć, że zostały mu niecałe dwa tygodnie życia.

## 5

Langston Overholt IV siedział w swoim gabinecie w Langley w Wirginii w wysokim skórzanym fotelu ustawionym bokiem do biurka. W rękę, trzymał czarną raketę racketballową z rękojeścią owiniętą białą przepoconą taśmą z tkaniny. Wolno i metodycznie odbijał czarną gumową piłkę na wysokość pół metra. Co cztery odbicia obracał raketę na drugą stronę. Rytmiczna czynność pomagała mu w myśleniu.

Overholt był szczupły, ale nie chudy. Na jego muskularnym, nieco żylastym ciele nie było śladu tłuszczu. Ważył siedemdziesiąt pięć kilogramów i miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Był przystojnym blondynem o mocno zarysowanej szczęce. Zaczynał lekko siwieć na skroniach i co dwa tygodnie strzygł się u fryzjera w kompleksie CIA.

Overholt był biegaczem.

Zaczął ćwiczyć w szkole średniej, kiedy wszyscy oszaleli na tym punkcie za sprawą książki Jima Fixksa *Biegacz doskonały*. Biegał na uniwersytecie i w czasie robienia dyplomu. Małżeństwo, praca w CIA, rozwód i powtórne małżeństwo nie wyleczyły go z tej obsesji. Sport był jedną z niewielu rzeczy, które uwalniały go od stresów zawodowych.

A Overholt żył w ciągłym stresie.

Od roku 1981, kiedy świeżo po studiach wstąpił do CIA, przeżył już rządy sześciu różnych dyrektorów. Teraz, po raz pierwszy w ciągu tego czasu, Langston Overholt IV miał szansę spełnić obietnicę ojca złożoną dalajlamie i jednocześnie odwdziaczyć się staremu przyjacielowi Juanowi Cabrillo. Nie tracił czasu i układał plany. Zadzwoił telefon.

– Zastępca dyrektora do pana – powiedział jego asystent.

Overholt sięgnął po słuchawkę.

Powietrze w Waszyngtonie było gorące jak asfalt w Teksasie. Klimatyzatory w Białym Domu pracowały na maksymalnych obrotach, ale temperatura nie spadała poniżej dwudziestu czterech stopni. Siedziba prezydenta starzała się. Modernizowano ją tylko w takim stopniu, żeby nie straciła zabytkowego charakteru.

– Czy jest jakieś oficjalne zdjęcie głowy państwa, siedzącej w Gabinecie Ovalnym w T-shircie? – zażartował prezydent.

– Sprawdzę – odrzekł sekretarz, który właśnie wprowadził dyrektora CIA.

– Dzięki, John – powiedział prezydent. – Jesteś wolny.

Wyciągnął rękę nad biurkiem i uściśnął dłoń dyrektorowi. Sekretarz zamknął za sobą drzwi i zostawił mężczyzn samych. Prezydent wskazał gościowi fotel.

– Mam bystry personel, ale bez poczucia humoru – poskarżył się i usiadł. – Ten chłopak szuka pewnie teraz zdjęcia u historyka Białego Domu.

Dyrektor uśmiechnął się.

– Gdyby jakieś było, to chyba tylko Lyndona B. Johnsona.

Kiedy ktoś ma siedemnaście lat i zna dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej, szpiegostwo wydaje mu się całkiem fajną zabawą. Kiedy później ten ktoś zostaje przywódcą państwa, ma okazję zobaczyć, jak to naprawdę wygląda. Upływ czasu nie ostudził zapału prezydenta – wciąż uważał działania wywiadu za fascynujące.

– Co dla mnie masz? – zapytał.

– Tybet – odrzekł dyrektor bez wstępów.

Prezydent skinął głową, potem poprawił wentylator na biurku, żeby chłodził równo ich obu.

– Słucham.

Dyrektor CIA sięgnął do nesesera i wyjął dokumenty.

Potem przedstawił swój plan.

W Pekinie prezydent Hu Jintao studiował dokumenty ilustrujące prawdziwy stan gospodarki chińskiej. Obraz był ponury. Modernizacja wymagała coraz większych dostaw ropy, a Chińczycy jeszcze nie znaleźli nowych, znaczących złóż w swoim kraju. Sytuacja nie była taka zła kilka lat wcześniej, gdy cena za baryłkę utrzymywała się na takim samym poziomie jak przed dwudziestu laty. Ale ostatnia podwyżka była katastrofą. Spowodowali ją Japończycy. Ich zapotrzebowanie na ropę doprowadziło do takiego wzrostu cen, że Chińczycy nie mogli sobie pozwolić na kupno wystarczającej ilości tego surowca.

Jintao popatrzył w okno. Powietrze było dziś bardziej przejrzyste niż zwykle – lekki wiatr unosił dym z fabryk daleko od centrum Pekinu – ale nie wiał tak mocno, by zdmuchnąć sadzę z parapetu. Jintao obserwował wróbla, który przysiadł za oknem. Maleńkie łapki ptaka zostawiały ślady na pyle. Wróbel wiercił się przez chwilę, potem znieruchomiał, zajrzał w okno i popatrzył prosto na Jintao.

– Jak obniżyłbyś koszty? – zapytał go Jintao. – I gdzie mamy szukać ropy?

## 6

Była ciemna noc, gdy „Oregon” minął Wyspy Paracelskie. Lał deszcz, wiał zmienny porywisty wiatr. Przez kilka minut dął w śródkręcie, potem nagle w dziób lub rufę. Mokra bandera obracała się z szybkością patyka w rękach zdeterminowanego skauta próbującego rozpalić ogień.

W sterowni Franklin Lincoln patrzył na ekran radaru. Sztorm zdążył nieco osłabnąć, zanim statek przeciął dwudziesty równoleżnik. Lincoln podszedł do terminalu komputerowego w sterowni, wprowadził polecenia i zaczął, aż na monitorze pojawi się satelitarny obraz chińskiego wybrzeża.

Nad Hongkongiem i Makau widać było smog.

Lincoln zerknął na Kasima, który miał z nim nocny dyżur. Mężczyzna drzemał z nogami na panelu sterowniczym i rozchylonymi ustami.

Kasim przespałby największy huragan, pomyślał Lincoln, choć w tym rejonie oceanu były to raczej cyklony.

W tym samym czasie, kiedy „Oregon” płynął na wschód, Winston Spenser obudził się nagle. Wieczorem poszedł zobaczyć Złotego Buddę w świątyni A-Ma. Posąg nadal znajdował się w otwartej mahoniowej skrzyni i stał w miejscu, w którym go pozostawiono. Spenser wybrał się tam sam. Zdrowy rozsądek mówił mu, żeby jak najmniej ludzi znało obecną lokalizację Złotego Buddy, ale i tak był zdenerwowany.

Wiedział, że posąg to tylko masa cennego kruszcu i klejnotów, ale Złoty Budda sprawiał wrażenie żywej istoty. Lśnił w mroku, jakby oświetlał go wewnętrzny blask. Duże jadeitowe oczy zdawały się śledzić każdy ruch Spensera. I choć uśmiechnięte oblicze brzuchatego proroka mogło się niektórym wydawać dobrotliwe, Spenser miał wrażenie, że posąg drwi z niego.

Tego wieczoru Spenser zdał sobie sprawę, że to, co zrobił, nie było przebłyskiem geniuszu – jakby wcześniej o tym nie wiedział! Złoty Budda nie był kawałkiem płótna pomazanego farbami, lecz ucieleśnieniem czci. Stworzono go z uwielbieniem i szacunkiem.

A Spenser ukradł go jak cukierek ze sklepu.

Podczas medytacji dalej słuchał odgłosu wody spływającej wolno po gładkich kamieniach. Coś na krańcach umysłu przeszkadzało mu w koncentracji. Chciał się od tego uwolnić. W swoim wnętrzu widział świetlisty krąg, ale obrzeże było nierówne i pulsowało. Wygładził je powoli i światło zaczęło gasnąć, aż pozostał tylko biały punkt. Dalajlama skupił się teraz na obserwacji swojej powłoki cielesnej.

Czuł narastający niepokój.

Osiemnaście minut później wrócił do swojego ciała i wstał.

Kilka metrów dalej, pod zieloną markizą wzdłuż basenu w kształcie nerki, siedział

jego *chikyah kenpo*. Dalajlama podszedł do niego. Hollywoodzki aktor, który gościł u siebie Tybetańczyków, uśmiechnął się i wstał.

- Czas, żebym wrócił do domu – powiedział dalajlama.
- Aktor nie zaprotestował.
- Zadzwońię po mój odrzutowiec, Wasza Świątobliwość.

W północnym Tybecie, na granicy prowincji U-Tsang i Amdo, nad równinami wznosiły się góry Basatongwula Shan. Okolicy strzegł szczyt pokryty śniegiem. Docierało tam niewielu ludzi. Teren wydawał się pusty i jałowy, ale pod ziemią kryła się od wieków tajemnica znana tylko nielicznym.

Kamienistą ścieżką posuwał się wolno jak. Na jego grzbiecie siedział czarny ptak nazywany mynah. Nagle ziemia zaczęła drzeć. Najpierw słabo, potem coraz mocniej. Jak zatrząsł się z przerażenia i ptak poderwał się w powietrze. Zwierzę wbiło kopyta w ziemię. Po chwili drżenie ustało i jak ruszył dalej.

Po kilku minutach jego nogi i brzuch otoczyła mgiełka wydzielana przez minerał, który od pokoleń jednym zapewniał bogactwo, innych doprowadzał do szaleństwa.

Wiceprezes do spraw operacyjnych Richard Truitt wciąż był na nogach. Jego zegar biologiczny nie przestawił się jeszcze na lokalny czas w Makau.

Truitt załogował się do swojego komputera i sprawdził, czy nie ma wiadomości. Jedną przysłał Cabrillo kilka godzin wcześniej. Była krótka, jak każdy e-mail od prezesa.

*Jest potwierdzenie od George'a. Wszystkie systemy sprawne. Przewidywany czas przybycia za trzydzieści trzy godziny.*

CIA nadal działała i „Oregon” powinien dotrzeć do celu za niecałe dwa dni. Truitt miał mnóstwo roboty i mało czasu. Zamówił do pokoju hotelowego jajka na bekonie, potem poszedł do łazienki wziąć prysznic, ogolić się i ucharakteryzować.



# 7

Juan Cabrillo zjadł ostatni kawałek omleta z wędzonym bekonem i serem gorgonzola, potem odsunął talerz.

- To cud, że wszyscy nie ważymy po sto czterdzieści kilogramów – powiedział.
- Warto było się obudzić dla samego sera jalapeno – odrzekł Hanley. – Szkoda, że moja była żona nie konsultowała się z naszym szefem kuchni. Może nadal byłbym żonaty.
- Jak twój rozwód? – zapytał Cabrillo.
- Całkiem dobrze – odparł Hanley – biorąc pod uwagę, że w zeszłym roku zgłosiłem tylko trzydzieści tysięcy dolarów dochodu.
- Nie kombinuj – ostrzegł Cabrillo. – Nie chcę, żeby prawnicy zaczęli węszyć.
- Bez obaw, znasz mnie – uspokoił go Hanley i dołąił im obu kawy ze srebrnego dzbanka. – Po prostu czekam, aż Jeanie się uspokoi.

Cabrillo wziął filiżankę i wstał.

- Jesteśmy niecałą dobę drogi od portu. Jak stoją sprawy w Magicznej Pracowni?
- Większość rekwizytów jest gotowa. Zajmę się teraz przebraniami.
- Wspaniale – powiedział Cabrillo.
- Masz jakieś preferencje co do swojego wyglądu? – zapytał Hanley.
- Postaraj się ograniczyć mój zarost do minimum – odrzekł Cabrillo. – W Makau może być duszno.

Hanley wstał od stołu.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, sahibie.

Kiedy korporacja remontowała „Oregon” w stoczni w Odessie, wewnątrz kadłuba zainstalowano dwa pokłady i liczba poziomów zwiększyła się do trzech, nie licząc fałszywej sterowni. Na dolnym poziomie mieściła się maszynownia, basen zanurzeniowy, warsztaty mechaniczne, zbrojownia i magazyny. Na środkowy można się było dostać metalowymi schodami lub windą o dużym udźwigu znajdującą się w śródkręciu. Na tym pokładzie ulokowano urządzenia łączności, systemy uzbrojenia, pracownie i biura, dużą bibliotekę, salę komputerową i kabinę nawigacyjną. Na górnym poziomie znajdowała się jadalnia, pomieszczenia rekreacyjne, siłownia, kajuty załogi i sale konferencyjne. Pokład otaczała dwutorowa bieżnia do ćwiczeń. „Oregon” był niemal pływającym miastem.

Hanley wyszedł z jadalni, przeciął bieżnię, zrezygnował z jazdy windą i wybrał schody. Otworzył drzwi i ruszył w dół. Klatka schodowa była wyłożona mahoniową boazerią i oświetlona kinkietami. Środkowy pokład pokrywał gruby dywan. W ściany wmontowano tabliczki pamiątkowe i medale od wdzięcznych klientów i krajów dla załogi „Oregon”.

Hanley poszedł w kierunku dziobu i dotarł do miejsca, gdzie po lewej stronie

rozpościerała się szklana ściana. Za szybą mieściła się pracownia o wyglądzie hollywoodzkiej rekwizytorni i charakteryzatorni. Kevin Nixon podniósł głowę i pomachał wiceprezesowi. Ten otworzył drzwi i wszedł.

Wewnątrz było chłodno, powietrze pachniało brylantyną, winylem i woskiem. Z ukrytych głośników płynęła muzyka Williego Nelsona.

– Od dawna tu jesteś? – zapytał Hanley.

Nixon siedział na stołku przy drewnianym pulpicie z metalowym obrzeżem i narzędziami rozmieszczonymi wokół krawędzi. Trzymał w dłoniach ozdobne nakrycie głowy z jedwabnym złocistym welonem sięgającym podłogi.

– Od dwóch godzin – odrzekł. – Wstałem wcześniej, sprawdziłem pocztę elektroniczną i dostałem wstępne specyfikacje.

– Jadłeś śniadanie? – spytał Hanley.

– Trochę owoców – odparł Nixon. – Muszę zrzucić z pięć kilo.

Nixon był wielkim facetem, ale nie grubasem. Wyglądał po prostu potężnie. Pilnował się, żeby nie utyc i ważył od dziewięćdziesięciu pięciu do stu dziewięciu kilogramów, zależnie od własnej czujności. Ostatniego lata, kiedy wziął kilka tygodni urlopu i wybrał się na wędrowkę górską przez Appalache, zszedł do dziewięćdziesięciu kilogramów. Ale siedzący tryb życia na statku i przysmaki szefa kuchni nie sprzyjały odchudzaniu.

Hanley podszedł do pulpitu i popatrzył na dzieło Nixona.

– Strój religijny?

– Na paradę w Makau w Wielki Piątek.

– Potrzebujemy sześciu kompletów – powiedział Hanley.

Nixon przytaknął.

– Dwa szamańskie i cztery pokutne.

Hanley podszedł do kilku innych pulpitów przy przegrodzie.

– Wezmę się do masek.

Nixon skinął głową i sięgnął po pilota do odtwarzacza płyt kompaktowych. Wyłączył Williego i puścił *Secret Agent Man* Johnny'ego Riversa.

– Kevin – odezwał się swobodnym tonem Hanley – ty po prostu uwielbiasz tę robotę, mam rację?

– „Pewien człowiek wie, że niebezpieczne życie” – zanucił barytonem Nixon.

– Truitt przysłał trasę parady, która odbędzie się w Wielki Piątek – powiedział Cabrillo. – Mamy szczęście. Ruch w śródmieściu będzie sparalizowany.

Eddie Seng sięgnął przez stół po dokumentację.

– Zadziwiające, że Chińczycy z taką pompą obchodzą święto chrześcijańskie.

– Makau od roku 1537 do 1999 należało do Portugalii – przypomniała Linda Ross. – Około trzydziestu tysięcy mieszkańców to katolicy.

– Chińczycy uwielbiają festiwale – dodał Mark Murphy. – Nie przepuszczą takiej okazji.

– Truitt mówił, że zrobią tak, jak w zeszłym roku i urządzą wielki pokaz sztucznych ogni nad miastem – powiedział Cabrillo. – Będą je wystrzeliwali z barek w zatoce.

– Więc nie ma co liczyć na osłonę nocy – zauważył Franklin Lincoln. Jego przyjaciel Hali Kasim nie wytrzymał.

– Szkoda, Frankie. Tak dobrze wtapiasz się w tło, kiedy jest ciemno. Lincoln odwrócił się do niego i potarł nos środkowym palcem.

– No i dobra. Fajerwerki utrudnią też sprawę wam, białasom w typie Hugh Granta.

Cabrillo zignorował tę wymianę zdań.

– Nadal nierozwiązana pozostaje kwestia ciężaru. Złoty Budda waży dwieście siedemdziesiąt kilogramów.

– Czterech facetów z każdej strony mogłoby go nieść bez zbytniego wysiłku – odezwała się Julia Huxley.

– Każę Hanleyowi i Nixonowi coś sfabrykować – odrzekł Cabrillo. – Macie jakieś sugestie?

Grupa kontynuowała planowanie operacji. Byli o dzień rejsu od Makau.

Legchog Raidi Zhuren, naczelnik Tybetańskiego Regionu Autonomicznego, czytał raport o walce po drugiej stronie granicy z Nepalem. Ostatniej nocy siły rządowe zabiły blisko trzystu maoistowskich powstańców. Okrucieństwo ataków na komunistycznych rebeliantów nasilało się od wiosny 2002 roku. Po kilku latach rosnącej aktywności buntowników rząd Nepalu poczuł się zagrożony i w końcu podjął stanowcze kroki. Stany Zjednoczone przysłały doradców wojskowych z Zielonych Beretów, żeby koordynowali uderzenia i niemal natychmiast liczba ofiar zaczęła rosnąć.

Żeby zapobiec przeniesieniu się walk na teren Tybetu, Zhuren musiał poprosić Pekin o dodatkowe oddziały do obsadzenia przełęczy górskich prowadzących z Nepalu. Prezydent Jintao nie był zachwycony takim rozwojem wypadków. Po pierwsze, koszty zabezpieczenia Tybetu rosły, a on chciał ograniczyć wydatki. Po drugie, obecność doradców sił specjalnych zwiększała niebezpieczeństwo zakrojonych na szeroką skalę operacji wojskowych. Jintao obawiał się, że jeśli oddziały chińskie strzegące granicy Tybetu zabiją lub ranią choćby jednego żołnierza amerykańskiego, sytuacja może się wymknąć spod kontroli i Chiny zostaną wplątane w konflikt przypominający wojnę koreańską.

Legchog Zhuren nie wiedział, że Jintao zaczyna uważać, że zajęcie Tybetu przyniosło w rezultacie więcej kłopotów niż pożytku. Gdyby Tybetańczycy rozpoczęli teraz powstanie narodowe, mogłaby się powtórzyć masakra z placu Tian'anmen, a sytuacja na świecie zmieniła się od 1989 roku. Po rozpadzie Związku Radzieckiego stosunki Rosji ze Stanami Zjednoczonymi stawały się coraz lepsze i na brutalne działania Chin przeciwko ludności tybetańskiej mogły zareagować obydwa

mocarstwa.

Siły amerykańskie mogłyby uderzyłyby z lotniskowców stacjonujących w Zatoce Bengalskiej oraz baz w okupowanym Afganistanie. Natomiast ataku rosyjskich wojsk lądowych należałoby się spodziewać od strony byłych republik, Kirgistanu i Kazachstanu, oraz wysuniętych daleko na wschód terenów graniczących z północnym Tybetem. Potem już każdy miałby wolny wstęp do Chin.

I po co się na to narażać? Dla małego, biednego, górzystego kraju zagarniętego bezprawnie przez Chiny?

Ryzyko się nie opłacało. Jintao musiał znaleźć jakieś wyjście. I to szybko.

## 8

Winston Spenser wziął długopis i notes, żeby posumować swoje brudne zyski. Trzyprocentowa prowizja od dwustu milionów dolarów za Złotego Buddę wynosiła sześć milionów. Niemała suma. Ponad pięciokrotnie przekraczała dochody Spensera z ostatniego roku. Ale była kroplą w morzu w porównaniu z tym, ile zamierzał zarobić na powtórnej sprzedaży posągu.

Po pierwsze, musiał odliczyć od czeku na sześć milionów koszt przynęty. W Tajlandii zapłacił za zrobienie kopii prawie milion. Po drugie, następny okrągły milion wzięła od niego genewska firma wynajęta do przetransportowania Złotego Buddy do Makau i przewozu posągu opancerzonym samochodem do świątyni A-Ma. Przepłacił. Za te usługi policzył miliarderoi tylko sto tysięcy dolarów, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Łapówki teraz i w ciągu następnych kilku dni, kiedy Spenser planował wywieźć oryginał z Makau do Stanów Zjednoczonych, miały wynieść następny milion. W tej chwili antykwariusz był splukany.

Zainwestował w operację wszystkie swoje dostępne oszczędności i wykorzystał firmowe linie kredytowe. Gdyby nie sześciomilionowy czek leżący przed nim na stole, miałby poważne kłopoty. Miałby się też czym martwić, gdyby nie był całkowicie pewien, że ma kupca na Złotego Buddę.

Wyrwał kartkę z notesu i podarł na drobne kawałki. Wrzucił skrawki papieru do sedesu i spuścił wodę. Potem nalał sobie pół szklanki szkockiej, żeby uspokoić drżenie rąk. Całe życie pracował na swoją dobrą reputację. Gdyby przestępstwo wyszło na jaw, byłby skończony w ciągu sekundy.

Pieniądze i złoto popychają ludzi do dziwnych czynów.

Trzy czwarte obwodu kuli ziemskiej i szesnaście stref czasowych dalej dochodziła północ. Potentat komputerowy z Doliny Krzemowej zabawiał się planowaniem zmian w swoim najnowszym jachcie. Mający sto siedem metrów długości statek został zaprojektowany komputerowo. Każdy fragment konstrukcji mógł być w ten sam sposób poprawiony, łącznie ze śrubami mocującymi trzydzieści toalet do pokładu. Teraz miliardier zajmował się umeblowaniem i wykończeniem wnętrza jachtu. Ta miła czynność świetnie wpływała na jego ego.

Komputer pokładowy mógł wygenerować hologram właściciela statku witającego gości w salonie na głównym pokładzie, co miliardier ocenił jako fenomenalny pomysł. W tym momencie jednak zastanawiał się, jaki rodzaj czcionki byłby najodpowiedniejszy na jego inicjały, które miały być wyszyte na obiciach wszystkich sof i foteli. Kilka lat wcześniej kupił sobie brytyjski tytuł szlachecki wraz z herbem, więc teraz wprowadził wybrany krój liter do emblematu i naniósł wszystko na tło materiału obiciowego. Popatrzył na godło i pomyślał, że jego profil mógłby wyglądać lepiej. Ale ludzie siadaliby na jego twarzy. Rozbawiło go to i uśmiechnął się. Do

pokoju wszedł filipiński służący.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział wolno – ale jest do pana telefon z zagranicy.

- Kto dzwoni? – zapytał miliarder.
- Przedstawił się jako przyjaciel złotego grubasa.
- Przełącz go – polecił z uśmiechem miliarder.

W Makau dochodziła czwarta po południu. Spenser czekał na połączenie z potentatem komputerowym i manipulował przy urządzeniu zmieniającym głos, które zainstalował na swoim telefonie satelitarnym. Wcześniej włożył nową baterię i teraz zaświeciła się zielona lampka, ale nie wiedział, czy modulator będzie działał tak, jak go reklamowano.

– Halo – odezwał się miliarder. – Co pan dla mnie ma?  
– Nadal interesuje pana zakup Złotego Buddy? – zapytał głos o mechanicznym brzmieniu.

– Jasne – odparł i wprowadził do komputera połączonego z jego telefonem polecenie neutralizacji modulatora głosu Spensera. – Ale nie za dwieście milionów.

– Myślałem... – głos rozmówcy był jeszcze zniekształcony, ale po chwili komputer go oczyścił – o cenie stu milionów.

Angielski akcent, pomyślał miliarder. Talbot mówił mu o brytyjskim antykwariuszu, który na aukcji kupił Buddę – być może dla kolekcjonera z Wielkiej Brytanii – ale to nie miało sensu. Nikt nie zapłaciłby za coś dwustu milionów dolarów tylko po to, żeby po kilku dniach chcieć odsprzedać rzecz za połowę ceny. Antykwariusz zrobiłby odwrotnie. Chyba że oferował falsyfikat.

– Skąd mam wiedzieć, że proponuje mi pan oryginał? – zapytał.  
– Ma pan kogoś, kto zna się na złocie?  
– Znajdę kogoś.  
– Więc przyślę panu próbkę metalu wyciętą z podstawy posągu i kasetę wideo z tą operacją. Buddę zrobiono ze złota wydobytego w...

- Znam jego historię – przerwał miliarder. – Jak pan chce przesłać próbkę?
- Przez FedEx dziś wieczorem – odpowiedział Spenser.

Miliarder podał mu adres.

– Jeśli się dogadamy, w jakiej formie chce pan zapłatę?  
– Przelewem bankowym na konto, które podam w odpowiednim czasie – odrzekł Spenser.

– Brzmi rozsądnie – przyznał miliarder. – Zaraz to przygotuję. I jeszcze jedno. Mam nadzieję, że jest pan lepszym złodziejem niż elektronikiem. Wybrał pan kiepskie urządzenie do zmiany głosu. Ma pan typowo brytyjski akcent, co daje mi pojęcie, kim pan jest.

Spenser popatrzył z niechęcią na pulsującą zieloną diodę, ale nie odezwał się.

- Więc niech pan nie próbuje mnie wydymać – zakończył miliarder – bo mogę

być bardzo nieprzyjemny.

– Cała stop – rozkazał Hanley.

„Oregon” dotarł do granicy portu tuż po jedenastej rano i wezwał pilota. Kilka kontenerowców wychodzących w morze zmusiło statek korporacji do zredukowania prędkości i dopłynięcie do boi cumowniczej na wprost głównej części portu zajęło niemal godzinę. Dochodziła dwunasta, kiedy „Oregon” w końcu zakotwiczył na miejscu.

Cabrillo stał obok Hanleya za sterem i patrzył w kierunku miasta otaczającego port. Pilot właśnie odpłynął i Cabrillo obserwował rufę jego oddalającej się łodzi.

– Chyba nie zauważył niczego niezwykłego? – zapytał Hanleya.

– Myślę, że wszystko gra.

Poprzedni statek korporacji, „Oregon I”, uczestniczył kilka lat wcześniej w bitwie morskiej u wybrzeża Hongkongu i zatopił chiński okręt wojenny „Chengdo”. Gdyby Chińczycy rozpoznali w załodze obecnego „Oregon” ludzi, którzy posłali na dno ich niszczyciel wart miliony dolarów, powiesiliby wszystkich na pokładzie za szpiegostwo.

Cabrillo spojrział na kartkę z planem operacyjnym, przypiętą do clipboardu.

– Truitt załatwił nam odbiór ładunku na pojutrze. Spodoba ci się to. Mamy zabrać do Cabo San Lucas transport ogni sztucznych.

– „Oregon” i fajerwerki... – odrzekł cicho Hanley. – Pasuje.

Terminal dla prywatnych samolotów na lotnisku w Honolulu był urządzone komfortowo, ale nie ostentacyjnie. Wewnątrz panował przyjemny chłód – klimatyzacja utrzymywała temperaturę dwudziestu jeden stopni. Przez przyciemnione szyby w holu rozciągał się widok na pasy startowe. Langston Overholt IV dla zabicia czasu obserwował odrzutowce, które pojawiały się na tle nocnego nieba, lądowały i kołowały do strefy tankowania w pobliżu prywatnych hangarów. Nie widział pasażerów tych maszyn. Zabierały ich czekające na płycie limuzyny albo duże czarne suvy. Niektórzy zostawali na pokładach samolotów i po zatankowaniu odrzutowców kontynuowali podróż. Po lotnisku kręcili się piloci – wstępowali po prognozę pogody i do toalet, wpadali na kawę lub ciastko do bufetu z boku holu – ale przeważnie było spokojnie. Overholt wstał z sofy, poszedł do bufetu, nalał sobie kawy i wziął banan z koszyka z owocami na stole. Wtedy odezwała się jego komórka.

– Overholt – zgłosił się cicho.

– Cel jest na ostatniej prostej – zameldował wyraźny głos z odległości kilku tysięcy kilometrów.

– Dzięki – odrzekł i wyłączył się.

Obrał i zjadł banan, potem podszedł do stanowiska obsługi lotów. Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki skórzany portfel z odznaką służbową, otworzył go i podsunął urzędnikowi. Mężczyzna zerknął na złotego orła i przyjrzał się uważnie legitymacji, w której widniało zdjęcie i stanowisko Overholta.

- Tak? – powiedział.
- Muszę porozmawiać z pasażerem falcona, który podchodzi do lądowania.

Pracownik lotniska skinął głową i sięgnął po radio przy pasie.

- Zawiadomię płytę i wezwę wózek golfowy. Coś jeszcze?

Overholt odwrócił się i popatrzył w okno. Zaczęło padać.

- Można tu pożyczyć parasol?

Mężczyzna rozmawiał przez radio i na pytanie Overholta skinął głową.

- Dam panu mój. – Sięgnął pod ladę i wręczył mu parasol.

Overholt wsunął rękę do kieszeni spodni, wyjął banknoty spięte klipsem, odliczył pięćdziesiąt dolarów i uśmiechnął się.

- CIA chciałaby postawić dziś panu kolację.

Urzędnik odwzajemnił uśmiech.

- I pewnie nigdy tu pana nie było?

- Coś w tym rodzaju – przytaknął Overholt.

Mężczyzna wskazał drzwi.

- Pański wózek golfowy czeka.

W deszczu za oknem lądował falcon. Jego światła odbijały się od mokrego pasa startowego, opony uderzyły z piskiem o asfalt. W pościg za samolotem ruszył ostro samochód z lampami błyskowymi na dachu. Miał doprowadzić odrzutowiec do strefy tankowania.

Potem na pokład mógł wejść Overholt i zapytać dalajlamę, czy jest gotowy do podróży.



# 9

Makau to małeńki kraj składający się z półwyspu i dwóch wysepek połączonych groblami. Najdalej na północ wysunięte jest Makau, gdzie mieszczą się budynki rządowe. Pośrodku leży Tajpa z portem lotniczym wybudowanym na sztucznym przedłużeniu lądu, do którego prowadzą dwie drogi. Druga wyspa to Coloane. Od północy i wschodu kraj otaczają Chiny.

Na zachodzie, za obszarem wodnym znanym jako Zhujiang Kou, leży Hongkong.

Do roku 1999 Makau było kolonią portugalską, potem zostało zwrócone Chinom. Jest administrowane jako region specjalny podobny do Hongkongu. Zajmuje zaledwie szesnaście kilometrów kwadratowych, czyli ponad siedmiokrotnie mniej niż Waszyngton. Liczbę ludności ocenia się na około czterystu trzydzieści tysięcy.

„Oregon” był zacumowany u wybrzeża Coloane, najbliższej wód międzynarodowych.

– Jak idzie, Dick? – zapytał Cabrillo, gdy wspiał się po drabince z motorówki na brzeg.

– Myślę, że wszystko jest w porządku, panie prezesie – odrzekł Truitt.

Razem z Cabrillo przyплыли Bob Meadows i Pete Jones, byli żołnierze z SEAL i eksperci od operacji specjalnych, oraz Linda Ross, specjalistka do spraw bezpieczeństwa i obserwacji. Kiedy wszyscy weszli na nabrzeże, Truitt wskazał furgonetkę.

– Pokażę wam teren – powiedział, gdy wsiedli.

Wjechał na dwukilometrowy most prowadzący na Tajpę. W samochodzie panowała cisza, słycać było tylko regularny odgłos opon podskakujących na łączeniach jezdnii.

– Oto Tajpa – oznajmił Truitt, kiedy dotarli na wyspę. – Do Makau prowadzą dwa mosty. Pojedziemy krótszym. Ma niecałe dwa i pół kilometra długości.

Wjechał na drugi most. Cabrillo popatrzył na zachód, na inny most i Hongkong. Droga była zatłoczona ciężarówkami wiozącymi ładunki z portów i lotniska, ale jechali szybko.

– Czy władze mogą zamknąć mosty? – zapytał.

– Nie ma bram – odparł Truitt. – Ale mogliby je łatwo zablokować dużymi ciężarówkami ustawionymi przy wjazdach i byłibyśmy w tarapatach.

Przez przednią szybę widać było coraz wyraźniej wzniesienia Makau.

– A czy dopisało nam szczęście i dom, który nas interesuje, stoi nad wodą? – zapytała Linda Ross.

Truitt zerknął w lusterko wsteczne.

– Przykro mi, Lindo, ale on mieszka na wzgórzu.

Furgonetka zbliżała się do końca mostu. Cabrillo patrzył przed siebie na masę ludzi i budynków.

– Więc jeśli nas złapią w czasie ucieczki... – zaczął i urwał.

Truitt zwolnił i skręcił w zatłoczoną ulicę.

– Taki układ, szefie.

– Dlaczego nigdy nie wykradamy rzeczy ukrytych na jakimś pustkowiu? – zapytał Meadows.

Jones uśmiechnął się.

– Bo tam nie ma takiej roboty, za jaką nam płacą.

Langston Overholt potrzebował więcej czasu na wyjaśnienie dalajlamie swojej propozycji, więc szybko zadzwonił do Waszyngtonu, a potem wszedł na pokład falcona. Lecieli na zachód, goniąc noc, i kiedy wylądowali w Manili, żeby zatankować, było jeszcze ciemno. Po starcie z międzynarodowego portu lotniczego w Manili pilot wybrał kurs omijający Wietnam i prowadzący nad południowym krańcem Tajlandii i miastem Hat Yai. Potem miał skręcić na północ nad Morzem Andamańskim, wziąć paliwo w Rangunie i polecieć do Pendżabu, skąd dalajlama dostałby się awionetką do Małej Lhasy, swojej emigracyjnej siedziby w północnych Indiach.

Kiedy odrzutowiec osiągnął zwykłą wysokość, Overholt wrócił do rozmowy.

– Twój ojciec był moim przyjacielem – powiedział dalajlama – dlatego uważnie cię wysłuchałem. Ale musisz mi jeszcze wyjaśnić, jak nakłonimy Chińczyków do wycofania się z mojego kraju. Wiesz, że nie zgodzę się na przelew krwi.

– Prezydent uważa, że jeśli zapewnimy sobie pomoc Rosjan, obawa przed wojną może zmusić Chińczyków do odwrotu. W tej chwili ich gospodarka znalazła się w fatalnym stanie, a koszty okupacji Tybetu stale rosną.

– Więc sądzisz, że powody finansowe wystarczą? – zapytał dalajlama.

– Ofiarowanie im Złotego Buddy mogłoby pomóc – odrzekł Overholt, chowając asa w rękawie na ostatnią chwilę.

Dalajlama uśmiechnął się.

– Jesteś wspaniałym człowiekiem, Langston. Jak twój ojciec. Ale w tym wypadku masz złe informacje. Złotego Buddę ukradziono. Rząd emigracyjny nie może go nikomu ofiarować, bo go nie ma.

Nad horyzontem w końcu pojawiło się słońce i oświetliło złocistym blaskiem skrzydła falcona. W tyle samolotu steward przygotowywał lekkie śniadanie – sok i bułki. Nadszedł czas, żeby Overholt odkrył karty.

– Stany Zjednoczone mają plan odzyskania Złotego Buddy. Powinniśmy go mieć za kilka dni.

Dalajlama uśmiechnął się szeroko.

– Muszę przyznać, że to zaskakująca wiadomość. Teraz rozumiem, dlaczego przeleciałeś ze mną pół drogi dookoła świata.

Overholt z uśmiechem skinął głową.

– Więc zapłata w formie posągu i groźba wojny wystarczą, żeby Chińczycy się wycofali?

Dalajlama pokręcił głową.

– Nie, mój przyjacielu z CIA. Prawdziwa tajemnica Złotego Buddy kryje się w jego wnętrzu. Chińczycy wiele by dali, żeby ją poznać.

# 10

Truitt zjechał z mostu i przeciął dwupoziomowe skrzyżowanie. W drodze na zachód wzdłuż Avenida Dr Mario Soares minęli z lewej hotel Lisboa z tysiącem pokoi i kasynem. Z prawej strony wznosił się różowy wieżowiec

Bank of China z granitu i szkła, z widokiem na Chiny z najwyższych pięter.

– Jak na antykapitalistów, mają ładny bank – zauważył Meadows.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy podziwiali widoki. Centrum Makau było dziwnym połączeniem starego i nowego, Europy i Azji, tradycji i nowoczesności. Truitt dojechał do Rua da Praia Grande i skręcił w lewo.

– To była podobno piękna trasa – powiedział – dopóki nie zaczęli melioracji jezior Nam Van.

Przejazd utrudniały ciężarówki, betoniarki i stosy materiałów budowlanych.

Ulica przeszła w Avenida da Republica i biegła wzdłuż jezior.

Truitt wskazał wzgórze.

– Rezydencja gubernatora. Wiozę was dłuższą drogą wokół krańca półwyspu, żebyście poznali teren. Wzgórze na północ od rezydencji gubernatora nazywa się Penha. Tamto na końcu to Barra. Nasz cel znajduje się między nimi, na Estrada da Penha.

Skręcili w lewo pod górę i na wzniesieniu dotarli do Estrada de D. Joao Paulino. Po dwóch ostrych zakrętach w prawo wjechali w Estrada da Penha, która okrążyła szczyt wzgórza i łączyła się z powrotem z ulicą Joao Paulino.

Furgonetka objechała szczyt i była w połowie wysokości zbocza, gdy Truitt zwolnił.

– To tutaj.

Stara, elegancka posiadłość była godna ziemiańskiej rodziny. Teren otaczał wysoki porośnięty bluszczem mur z żelazną bramą. Na rozległym trawniku rosły wielkie, wiekowe drzewa. Z boku widać było pole do krykieta. Dalej, po prawej brukowany podjazd prowadził do dwupoziomowego garażu. Jakiś mężczyzna mył limuzynę Mercedes-Benz.

Gdyby nie kamery na szczycie muru od strony ulicy, rezydencja wyglądałaby tak, jakby mieszkał tu dziewiętnastowieczny magnat okrętowy.

– Teren obserwuje sześć kamer.

Furgonetka zbliżała się do skrzyżowania z Joao Paulino. Truitt zwolnił.

– To skomplikowałyby sprawę – powiedział i zatrzymał się przed znakiem stopu – gdyby nie jedna rzecz, o której zapomniałem.

– To znaczy? – zapytał Cabrillo.

– Nasz cel wydaje wielkie przyjęcie – odrzekł Truitt i skręcił w lewo – a my mamy zapewnić rozrywkę.

Pojechał z powrotem malowniczą drogą obok świątyni i wzdłuż wybrzeża.

– I co? – zapytał ostro potentat komputerowy.

Za tysiąc dolarów zapewnił sobie usługi naukowca z Uniwersytetu Stanforda. Telefon do rektora z przypomnieniem o wcześniejszych darowiznach dla uczelni umożliwił mu skorzystanie z laboratorium.

– Złoto pochodzi z XIII wieku, ale żeby określić, gdzie zostało wydobyte, muszę stopić połowę pańskiej próbki.

– Więc na co pan czeka?

– To mi zajmie trzydzieści do czterdziestu pięciu minut – odrzekł naukowiec, który zaczynał mieć dosyć chamskich manier miliardera. – Może pójdzie pan do kafeterii i napije się czegoś?

– Mają herbatę chai?

– Nie – odpowiedział znużonym głosem. – Ale niedaleko jest Starbucks. Tam pan ją dostanie.

Wyjaśnił miliarderowi, jak trafić do lokalu, potem zaczekał, aż tamten wyjdzie z laboratorium i zamknie za sobą drzwi.

– Idiota – mruknął.

Podszedł do małego pieca i wsunął do środka metalową płytkę z próbką złota wewnątrz. Po roztopieniu umieścił próbkę w analizatorze komputerowym, żeby ustalić procentową zawartość innych metali. Porównanie ze znanymi już rudami miało dać odpowiedź, gdzie wydobyto złoto.

Czekał na wynik i czytał magazyn narciarski. Po dwudziestu minutach urządzenie zakończyło analizę.

Przywódca Stanów Zjednoczonych siedział w ogrodowym fotelu w cieniu rezydencji prezydenckiej w Camp David w Marylandzie. Po drugiej stronie drewnianego stołu rozparł się prezydent Rosji.

Rozmawiano o pomocy w wysokości dwóch miliardów dolarów.

– Jak to widzisz, Vlad? – zapytał Amerykanin.

– Wiesz, że nigdy nie przepadałem za Chińczykami – odrzekł Rosjanin – ale pomoc zagraniczna to tylko półśrodek. Naszym fabrykom potrzebne są zamówienia, żeby gospodarka ruszyła z miejsca.

Amerykanin skinął głową.

– Największe wpływy do naszego budżetu zawsze przynosi produkcja samolotów wojskowych i okrętów. Tajwańczycy mają kilometrową listę zakupów. Co ty na to, żebym dopuścił cię do interesu?

Prezydent Rosji uśmiechnął się.

– Spryciarz z ciebie. Dasz mi to, czego potrzebuje mój kraj i jednocześnie skłócisz nas z Chińczykami, którzy – jak doskonale wiesz – uważają za wroga każdego przyjaciela Tajwanu.

Amerykański prezydent wstał i przeciągnął się.

– Czyż w negocjacjach nie chodzi o to, żeby obie strony dostały to, czego chcą,

Vlad?

– Myślę, że się dogadamy – odrzekł Rosjanin.  
– Cieszę się. – Przywódca Stanów Zjednoczonych wskazał jadalnię. – Może sprawdzimy, jakie ciasto ma w piekarniku szef kuchni?

– Złoto wydobyto gdzieś w rejonie Myanmar, dawnej Birmy – powiedział naukowiec, kiedy miliarder wrócił z papierowym kubkiem herbaty.

– A dokładniej?

– Na południe od dwudziestego równoleżnika, co oznacza południowy Wietnam, Laos, Tajlandię lub Myanmar. Mogę to sprecyzować, ale potrzebuje więcej czasu.

Miliarder pociągnął łyk herbaty i pokręcił głową.

– Nie warto. To mi wystarczy.

Ruszył do drzwi i odpiął od paska komórkę.

– Podstaw samochód – polecił kierowcy, wyłączył się i sięgnął do klamki.

– Chce pan z powrotem swoją próbkę?! – zawołał naukowiec przez laboratorium.

– Niech pan ją zatrzyma! – odkrzyknął potentat komputerowy. – Mam tego dużo więcej tam, skąd to pochodzi.

– Bardzo pan hojny – mruknął naukowiec, zeszkrobał złoto z wystygłej płytki i wsunął do koperty.

Zaniósł ją do biurka i wrzucił do górnej szuflady. Potem poszedł do wyjścia, zgasił światło i zamknął za sobą drzwi laboratorium na klucz. Kilka minut później jechał przez kampus na swoim motorowerze, wciąż kręcąc głową z powodu dziwnego spotkania.

W magazynie na najniższym poziomie „Oregona” Hanley i Kevin patrzyli na pojazdy kołowe.

– Na pewno powinniśmy przygotować dwa motocykle i przynajmniej jeden samochód terenowy – powiedział Hanley.

Nixon skinął głową i podszedł do jednego z motocykli. Po ostatniej jeździe pojazd wyczyszczono i zrobiono przegląd techniczny. Cały sprzęt używany przez korporację utrzymywano w stałej gotowości, co było najlepszą gwarancją sukcesu.

– Sprawdź, czy wszystko działa – zaproponował Nixon. – Mam sfabrykować miejscowe tablice rejestracyjne?

– Dobry pomysł – przyznał Hanley. – Ale zwykle, nie dyplomatyczne.

Nixon popatrzył na clipboard z kartką przygotowaną wcześniej przez Cabrillo.

– Wygląda na to, że Ross chce mieć łączność słuchawkową na lądzie i drugi kanał do kontaktu ze statkiem.

– Upewnij się, czy akumulatory są naładowane i sprawdź wszystko – odrzekł Hanley. – Zabiorę przekaźnik, który umieścimy na Wzgórzu Barra, żeby nie korzystać

z lokalnych kanałów.

– Lepiej umieścić tam również radiolatarnię – doradził Nixon, patrząc na clipboard. – Murphy chce mieć oznaczony cel, jeśli będzie musiał wystrzelić pocisk raketowy.

Hanley pokręcił głową.

– Murphy wbijałby pinezkę młotem kowalskim.

Nixon włączył wentylację w pomieszczeniu i nacisnął nogą rozrusznik motocykla. Silnik zawył i zaczął pracować na jałowym biegu. Mężczyzna wyłączył go i powtórzył to samo z drugim motocyklem. Razem z Hanleyem przez kilka godzin dokładnie sprawdzali sprzęt.

W tym samym czasie bliżej ruty, w zbrojowni, urzędował Mark Murphy. W pomieszczeniu znajdował się warsztat z szufladami pełnymi amunicji, ładunków wybuchowych i zapalników czasowych. Wzdłuż ścian ustawiono skrzynie z bronią automatyczną, karabinami i pistoletami. Pachniało prochem strzelniczym, metalem i oliwą.

Na stole, na kawałku materiału leżały części wojskowego M-16. Murphy włączył stoper, sięgnął po łożę karabinu i zaczął składać broń. Minutę później zatrzymał stoper i uniósł ręce. Minuta i cztery sekundy – był dziś powolny. Podszedł do szuflady z amunicją, zaczął wyjmować magazynki i wkładać je do różnych rodzajów broni.

– Kurczę, jak ja kocham tę robotę – powiedział głośno.

Furgonetka wjechała na most prowadzący z Makau na Tajpę.

– The Minutemen? – zapytał Cabrillo. – Skąd wzięłeś taką nazwę?

Truitt roześmiał się.

– Może być interpretowana jako składanie hołdu Paulowi Revere i rewolucji.

– Chyba Paulowi Revere i The Raiders – poprawił Jones.

– Tak naprawdę – ciągnął Truitt – to nazwa zespołu, który już został wynajęty.

– Nie będzie tłoku, jeśli zjawią się dwa zespoły? – zapytała Ross.

– Byłby, ale prawdziwi The Minutemen, kalifornijska grupa rockowa, obecnie w trasie po Dalekim Wschodzie, została zatrzymana w Bangkoku po dwóch tygodniach występów w barach w Phuket. Celnicy znaleźli skręta w przyborach toaletowych perkusisty.

– Podrzuczonego? – zapytał Cabrillo.

– Najwyraźniej – przytaknął Truitt. – The Minutemen to chyba jedyna kapela w tych stronach, która jest czysta. Poznali się na odwyku.

– Chłopaki mają dobre brzmienie – powiedział Meadows. – Nie można czepiać się kogoś, kto zmienił swoje życie. Nie powinniśmy pozwolić, żeby zgnili w tajlandzkim więzieniu.

– Bez obaw, tamtejsi celnicy są na naszej liście płac – odparł Truitt. – Nie ma raportu zatrzymania. Jeden z naszych ludzi w Kalifornii skontaktował się z

menedżerem zespołu i wyjaśnił sytuację. Kupiliśmy chłopakom bilety pierwszej klasy na lot powrotny do domu, bo Makau było ostatnim miejscem na ich trasie. W tej chwili The Minutemen są przekonani, że bardzo pomogli w walce z terroryzmem – nasza standardowa przykrywka.

Furgonetka wjechała na Tajpę i ruszyła przez wyspę.

– Mam tylko jedno pytanie – powiedział Cabrillo. – Kto z nas jest liderem zespołu i śpiewa?



# 11

Dalajlama zszedł po schodkach odrzutowca. W Dżalandharze, w indyjskim stanie Pendżab był wyjątkowo upalny dzień. Mimo czterdziestu pięciu lat pobytu na emigracji w Indiach, Jego Świątobliwość nie przyzwyczał się do tutejszej pogody. Pochodził z gór i tęsknił za śniegiem i zimnem. Wciągnął powietrze w poszukiwaniu zapachu lodowców daleko na północy. Ale nie poczuł woni śniegu i sosen. Zamiast tego, w nozdrza uderzyły go spaliny ciężarówek przejeżdżających zatłoczoną szosą obok lotniska.

Mimo to uśmiechnął się i podziękował niebiosom.

– Wygląda na to, że mój środek transportu już czeka – powiedział do Overholta, który dołączył do niego na płycie.

W pobliżu stała duża jednosilnikowa cessna caravan. Pilot obchodził ją dookoła.

– To bardzo dobrze, Wasza Świątobliwość – odrzekł Overholt.

Dalajlama spojrzał mu prosto w oczy.

– Zaraz po powrocie spotkam się z moimi doradcami i prorokiem. Jeśli się zgodzą i zapewnisz mnie, że nie dopuścisz do rozlewu krwi, zrealizujemy twój plan.

– Dziękuję, Wasza Świątobliwość.

Dalajlama ruszył w kierunku cessny, potem zatrzymał się i odwrócił.

– Będę się modlił za ciebie i twojego ojca. I za to, żeby wszystko się udało.

Overholt uśmiechnął się. Dalajlama podszedł do cessny i wspinał się po stopniach do wnętrza, żeby pokonać ostatni etap podróży. Kiedy usiadł, zwrócił się do jednego ze swoich asystentów:

– Zaraz po przylocie do Małej Lhasy każ przynieść do mojego gabinetu kufer z dokumentami Złotego Buddy.

Asystent zanotował polecenie na małym bloczku.

– Potem będę potrzebował lekarza – dodał cicho. – Dzieje się coś niedobrego z moim ciałem.

– Dobrze, Wasza Świątobliwość. Wezwę go.

Pilot uruchomił silnik cessny i wykonał kontrolę przedstartową. Cztery minuty później samolot toczył się w kierunku pasa startowego i zaraz potem uniósł się w powietrze. Overholt stał na płycie lotniska i patrzył, jak cessna odrywa się od ziemi, wznosi i skręca w prawo. Kiedy była tylko punktem na tle białych obłoków, odwrócił się do pilota falcona.

– Mogę się z panem zabrać powrotem do Santa Monica?

– Nie ma sprawy – odrzekł pilot. – I tak tam lecimy.

Overholt miał cechę, która nader często przydaje się dobrem szpiegom – potrafił spać w każdych warunkach. Zanim odrzutowiec wylądował na Tajwanie, żeby wziąć paliwo, mężczyzna po kilkugodzinnej drzemce odzyskał wigor. Podczas tankowania

samolotu odszedł daleko na bok, wyjął telefon i wybrał z pamięci numer.

Sygnal dotarł przez satelitę na Wyspy Marshalla na Pacyfiku, a stamtąd do miejsca przeznaczenia. Został zakodowany i nie było sposobu na to, aby wytropić, gdzie znajduje się rozmówca. Człowiek, który się zgłosił, podał swój numer wewnętrzny.

- Dwadzieścia pięć – dwadzieścia cztery.
  - Juan? – upewnił się cicho Overholt. – Tu Langston.
  - *Que pasa, amigo?* – zapytał Cabrillo.
  - Wszystko nadal wygląda dobrze – odrzekł Overholt. – Jak sobie radzi twoja załoga?
  - Znakomicie – zapewnił go Cabrillo.
  - To dobrze – odparł Overholt.
  - Chyba trafi nam się tutaj mała robotka na boku – uprzedził Cabrillo. – Mam nadzieję, że to nie problem?
  - Pod warunkiem że nie nawalicie – odpowiedział Overholt. – Interesy twojej firmy to nie moja sprawa.
  - Doskonale – odrzekł Cabrillo. – Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nie będę musiał obciążać cię kosztami podróży.
  - Forsa to nie problem, przyjacielu. Przychodzi z góry – powiedział Overholt. – Ważny jest czas. Załatw mi to przed Wielkanocą.
- Cabrillo roześmiał się.
- Właśnie za to bierzemy taki szmal, Lang, jesteśmy cholernie punktualni. Dostaniesz swoje, masz na to moje słowo.
  - To mi się w tobie podoba – odparł Overholt. – Zupełny brak wygórowanego mniemania o sobie.
  - Odezwę się, kiedy będzie po wszystkim – obiecał Cabrillo.
  - Tylko żebym nie przeczytał o tym w gazetach.

Overholt wyłączył się, wsunął telefon do kieszeni, wykonał serię ćwiczeń, żeby rozprostować kości i wrócił na pokład odrzutowca. Dwadzieścia cztery godziny później wsiadł do wojskowego samolotu transportowego odlatującego z południowej Kalifornii do bazy lotniczej Andrews w Marylandzie. Tam czekał na niego samochód służbowy, który zabrał go do centrali CIA.

W posiadłości na Estrada da Penha trwały gorączkowe przygotowania do przyjęcia. Przez bramę wjeżdżały ciężarówki, parkowały i wyładowały towary. Na trawie wzniesiono trzy wielkie namioty w żółte i białe pasy, a wewnątrz nich zainstalowano klimatyzatory. Potem ustawiono dwie duże przenośne fontanny z kolorowymi reflektorami do oświetlania sześciometrowych słupów wody. Rozłożono czerwone dywany dla gości, przygotowano krzesła, stoły i obrusy oraz nagłośnienie i fortepian dla pianisty, który miał grać w czasie koktajlu. Były papugi, gołębie i pawie.

Wszystko organizowała Portugalka w średnim wieku o imieniu Iselda i czarnych

włosach upiętych w kok z tyłu głowy. Bez przerwy paliła brązowe papierosy i wykrzykiwała rozkazy do personelu.

– Nie takie puchary zamawiałam – zgromiła pracownika, który wniósł do namiotu pudło i zaczął je rozpakowywać. – Miały mieć złote obrzeża. Zabieraj to.

– Przepraszam, pani Iseldo – odrzekł Chińczyk, patrząc na kartkę – ale w spisie są te.

– Powiedziałam, zabieraj to – powtórzyła z furią i wypuściła kłęb dymu.

Do namiotu wszedł paw i zabrudził podłogę. Iselda złapała słomianą miotłkę i wypędziła go na dwór.

– Gdzie są światła laserowe?! – zawołała w przestrzeń.

W tym samym czasie Stanley Ho, gospodarz przyjęcia, stał w jednym ze swoich trzech gabinetów, który mieścił się na najwyższym piętrze rezydencji. To było jego prywatne sanktuarium. Nikt z personelu i asystentów nie miał prawa tu wchodzić. Pokój urządzone według eklektycznego gustu Ho. Biurko pochodziło ze starego żaglowca, nowiutki telewizor miał ekran plazmowy.

Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęły się regały z książkami, ale nie było wśród nich literatury klasycznej, którą Ho wystawiał na pokaz w pomieszczeniach odwiedzanych przez gości. W gabinecie miał marne powieści szpiegowskie, magazyny soft porno i tanie westerny w miękkich okładkach.

Ogromny wełniany kilim z motywem feniksa utkany przez Nawahów w Arizonie leżał na podłodze. Ściany zdobiły oprawione plakaty filmowe z różnych okresów. Na kapitańskim biurku panował bałagan – piętrzyły się stosy papierów, stał metalowy model samochodu, kubek z Disney Worldu z ołówkami i zakurzona mosiężna lampa.

Ho podszedł do małej lodówki w kształcie sejfów bankowego i wyjął butelkę wody. Odkręcił korek, pociągnął łyk i popatrzył na otwartą skrzynię ze Złotym Buddą ustawioną pionowo na podłodze.

Zastanawiał się, czy powinien pokazać swoją ostatnią zdobycz gościom zaproszonym na przyjęcie.

Zadzwoił telefon. Inspektor ubezpieczeniowy chciał umówić się na spotkanie. Ho podał mu godzinę i znów wpatrzył się w posąg.

– Jeśli nie padnie zasilanie – powiedział Nixon – nikt się nie pozna.

– Mamy listę ich utworów? – zapytał Cabrillo.

– Tak – odrzekł Hanley i wręczył mu kartkę. – Zaprogramowaliśmy je w komputerze.

– Głównie lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte – zauważył Cabrillo. – I dużo gitary.

– Niestety nie możemy tego zmienić bez wzbudzania podejrzeń – odparł Hanley.

– Martwi mnie tylko to, że jeśli wśród gości będą gitarzyści, połapią się, że

udajemy – powiedział Cabrillo.

Nixon uśmiechnął się.

– Wyposażyłem naszą gitarę w miniaturowe diody widoczne tylko przez specjalne okulary. Każdy kolor oznacza inny palec. Wystarczy dotykać podświetlonych punktów i powinno być okay.

Nixon wręczył Cabrillo instrument i okulary przeciwsłoneczne w czarnej oprawce. Cabrillo zawiesił gitarę na szyi i Nixon włączył zasilanie.

– Kciuk to kolor purpurowy, palec wskazujący to czerwony, kolejne palce to żółty, niebieski i zielony – wyjaśnił Nixon, wskazując struny. – To samo na gryfie. Wstrzymaj się moment, włączę komputer.

Cabrillo włożył okulary i czekał. Kiedy rozbłyły diody, szarpnął palcami podświetlone struny. Magiczną Pracownię wypełniły dźwięki kiepskiej interpretacji *Star Spangled Banner*.

– Nie dostalibyśmy Grammy – stwierdził Cabrillo, gdy diody zgasły – ale na przyjęciu powinno się udać.

Hanley podszedł do warsztatu, wziął przezroczystą szklaną butelkę z jasnoniebieskim płynem i uśmiechnął się.

– Musimy rozważyć jeszcze jedno. Ta mikstura przyszła prosto z laboratorium wojskowego w Fort Dietrich w Maryland. Jeśli dolejemy ją do ponczu, rozwalimy całe przyjęcie.

– Nie ma długotrwałego działania? – zaniepokoił się Cabrillo.

– Nie – uspokoił go Hanley. – Ale podobno wystarczy kilka kropli tego eliksiru, żeby mieć największy odlot w życiu.

## 12

– Próbką jest w porządku – powiedział przez telefon potentat komputerowy. Spenser zrezygnował z urzędnika zmieniającego głos, ale ze strachu miał mniej wytworny akcent i mówił bardziej nerwowo.

– Więc jest pan zainteresowany? – zapytał.

– Jasne – odparł miliarder. – Ale wolę sam odebrać towar. Mam przeczucie, że panu można tak ufać, jak dziwce ćpunce.

Spenser zmarszczył brwi. Jego plan kradzieży i oszustwa walił się. Poniósł takie koszty, że jedynym ratunkiem była szybka sprzedaż posągu. Nie miał czasu szukać innego kupca. Znalazł się w najgorszej sytuacji z możliwych – musiał coś sprzedać, ale warunki dyktował kupujący.

– Więc będzie pan musiał przyjechać tutaj – powiedział.

– Tutaj, to znaczy, gdzie?

– Do Makau – odrzekł Spenser.

Miliarder popatrzył na kalendarz na biurku.

– Będę w Wielki Piątek wieczorem.

– Więc niech pan weźmie gotówkę albo obligacje na okaziciela – powiedział Spenser. – Przelew bankowy jest już nieaktualny.

– W porządku, tylko bez żadnych numerów. Nie będę sam.

– Dostarczy pan pieniądze i dostanie Buddę – uspokoił go Spenser.

Miliarder wyłączył się. Spenser przez chwilę siedział bez ruchu.

Miał mało czasu.

Cabrillo zerknął na kartkę.

– Monica jest gościem. Występuje jako drugorzędny członek duńskiej rodziny królewskiej.

– To wszystko jest takie pospolite – odezwała się Crabtree ze skandynawskim akcentem.

– Z tym akcentem będziesz musiała udawać, że masz wadę wymowy – powiedział Hanley. – Wpadnij do Magicznej Pracowni. Zrobimy ci aparat ortodontyczny, żebyś trochę sepleniła.

– Super – odrzekła Crabtree. – Będę musiała odstawiać sepleniącą damę dworu.

– Mogłaś trafić gorzej – zauważył Cabrillo. – Linda zastępuje portugalską organizatorkę przyjęcia i nałogową palaczkę, Iseldę.

Linda Ross roześmiała się.

– Wspaniale. Kilka lat temu w końcu rzuciłam palenie, a teraz korporacja każe mi do tego wrócić.

– A przy okazji – wtrącił się Hanley – Iselda ma też alternatywny styl życia.

– Więc jestem nałogową palaczką i lesbijką – podsumowała Ross. – Ale lepsze to niż niemiecka pielęgniarka transseksualistka, którą kiedyś byłam.

– Pamiętam – roześmiał się Murphy. – Wyglądałaś jak Madeline Kahn w tamtym filmie Mela Brooksa.

– A ja pamiętam, że byłeś na mnie napalony – odcięła się Ross.

– Chcieliśmy wykorzystać Julię, ale z oczywistych powodów nie mogliśmy – powiedział Cabrillo.

Julia Huxley, lekarka okrętowa na „Oregonie”, wyszczerzyła zęby.

– Kiedy dorastałam, zawsze wiedziałam, że opłaci się mieć duże cycki.

– Lepiej dopracuj swój wygląd Pameli Anderson – doradził Hanley.

– Będę odstawiała seksowną laskę? – ucieszyła się Huxley.

– Dziewczynę jednego z członków zespołu – wyjaśnił Cabrillo.

– Na jedno wychodzi – odparła z zapalem Huxley. – Czy Max może mi zrobić sztuczne tatuaże?

– Z przyjemnością – zgodził się Hanley. – Możemy ci nawet zrobić piercing, jeśli chcesz.

– Przechodzimy do kapeli – oznajmił Cabrillo. – Ja gram na klawiszach. Przy wielu utworach nie są potrzebne, więc będę miał czas, żeby się wymknąć. Kasim jest perkusistą, Murphy to gitara prowadząca, Franklin basowa.

– Dobry rytm mnie kręci – przyznał Lincoln.

– A kto śpiewa? – zapytała Huxley.

– Chyba pan Halpert – odpowiedział Cabrillo.

Wszyscy przy stole konferencyjnym odwrócili się i spojrzeli na Michaela Halperta. Główny księgowy nie wydawał się odpowiednim kandydatem na wokalistę. Był najbardziej konserwatywnym członkiem załogi. Chodziły słuchy, że prasuje swoje chusteczki do nosa. Pomysł zrobienia z niego muzyka rockowego wydawał się tak chybiony, jak obsadzenie Courtney Love w roli Marii Dziewicy.

– Niestety lider zespołu The Minutemen jest wysoki i szczupły, a gospodarz przyjęcia widział kasetę wideo z występem grupy. Ale jeśli nikt z was nie wymyśli lepszego kandydata pozostanie nam Mike.

– Poradzę sobie – powiedział Halpert.

– Na pewno? – zapytał Hanley. – W Magicznej Pracowni nie wszystko da się zrobić.

– Do waszej wiadomości, wychowałem się w komunie w Kolorado – odrzekł Halpert. – Wiem o rockowym stylu życia więcej, niż ktokolwiek z was kiedykolwiek słyszał.

Tylko Cabrillo znał życiorys Halperta. Jako jedyny miał dostęp do akt personalnych członków korporacji.

– Człowieku – zdziwił się Murphy – myślałem, że jako dziecko nosiłeś trzyczęściowy garniturek.

– Teraz już wiesz, z jakiej rodziny pochodzę – odparł Halpert. – Moim ojcem

chrzestnym był Jerry Jeff Walker. Komandor Cody uczył mnie jeździć na rowerze.

– A ja myślałem, że cię znam – odezwał się Hali Kasim.

– Wracajmy do sprawy – powiedział Cabrillo. Wiedział, że Halpert nie lubi opowiadać o swojej przeszłości. Kiedy zaciągnął się do marines, ojciec przestał się do niego odzywać. Nie rozmawiali ze sobą przez dziesięć lat. Nawet teraz byli w złych stosunkach.

Halpert czekał, co powie Cabrillo.

– W tej chwili dwóch naszych ludzi udaje ogrodników. Zainstalują mikrofony paraboliczne na drzewach, które przycinają. Te urządzenia rejestrują drgania szkła w domu, więc powinniśmy słyszeć, co się dzieje wewnątrz.

– Mamy problem z monitorowaniem linii telefonicznych – wtrąciła Linda Ross. – Normalnie podłączamy się do centrali, ale Chińczycy przenieśli ją do Hongkongu. Spróbujemy zainstalować coś w skrzynce rozdzielczej prowadzącej do domu, ale nie jesteśmy pewni, jaki będzie odbiór.

– Więc może być tak, że będziemy słyszeli tylko rozmówców po jednej stronie linii? – zapytał Hanley.

– Zgadza się – przytaknęła Ross. – Każda rozmowa w budynku spowoduje drgania szkła, które będziemy w stanie odczytać.

– Nie bardzo mnie to martwi – powiedział Cabrillo – ale musimy odciąć linie telefoniczne prowadzące do domu. Są do nich podłączone alarmy przeciwwłamaniowe.

– Możemy – odparła Ross – ale ludzie i tak będą mogli rozmawiać przez komórki.

Wielogodzinne planowanie trwało nadal. Do przyjęcia zostało niecałe trzydzieści godzin.

Prorok zaczął się trząść i kręcić w kółko jak tańczący derwisz.

Pałac Uchodźców w Indiach był dużo mniejszy niż Potala, ale służył temu samemu celowi – mieszkał w nim dalajlama i jego doradcy. Mieściła się tu świątynia, sypialnie i duża sala spotkań z kamienną podłogą. W tym ostatnim pomieszczeniu stał fotel tronowy, w którym siedział teraz dalajlama, przyglądając się staremu mnichowi.

Prorok miał na sobie ceremonialną szatę ze złocistego jedwabiu z żółtymi, zielonymi, niebieskimi i czerwonymi deseniami wokół zawieszzonego na piersi zwierciadła, otoczonego ametystami i turkusami. Strój, który zdobiły małe flagi i chorągiewki, ważył trzydzieści pięć kilogramów. Kiedy tylko prorok ubrał się i wpadł w trans, pomocnicy włożyli mu na głowę ciężki, metalowo-skórzany hełm i mocno go zapięli.

Gdyby starzejący się mnich nie był nawiedzony przez ducha, nie udźwignąłby hełmu i szaty. Ale w transie nie czuł ciężaru stroju i skakał niczym kosmonauta chodzący po powierzchni Księżyca. Brał się pod boki i tańczył jak modliszka od ściany do ściany. Wydawał dziwne gardłowe odgłosy, w lewej dłoni trzymał ciężki,

posrebrzany miecz i zataczał nim w powietrzu ósemki.

Potem zatrzymał się przed tronem i otrząsnął niczym pies po wyjściu z wody.

Kiedy prorok znieruchomiał, przemówił dalajlama.

– Czy czas już wracać do domu? – zapytał.

– Dalajlama powróci – odrzekł prorok nieswoim głosem – lecz do mniejszego Tybetu.

– Wyjaśnij to – powiedział dalajlama.

Prorok wygiął się do tyłu, zamachał rękami i znów zamarł.

– Klucz jest na północy – oznajmił głośno. – Damy agresorom ziemię, która należała kiedyś do Mongołów i wtedy odejdą.

– Możemy ufać ludziom Zachodu? – zapytał dalajlama.

Prorok ugiął kolana i przeszedł w półprzysiadzie po okręgu. Kiedy znów był twarzą do dalajlamy, przemówił.

– Wkrótce będziemy mieli dla nich coś, czego chcą. Ten dar pomoże umocnić przyjaźń. Nasza siła powraca, ojczyzna jest blisko.

Potem nagle, jakby podmuch wiatru wywiał szkielet z jego ciała, prorok runął na ziemię. Podbiegli pomocnicy i rozwiązali mu hełm, później zaczęli zdejmować z niego mokrą od potu szatę. Obmywali go chłodną wodą, ale dopiero po godzinie otworzył oczy.



# 13

– Gotowe – szepnął technik korporacji.

Radiooperator na „Oregonie” dostroił odbiornik. W słuchawkach usłyszał pokojówkę. Włączył magnetofon, potem mikrofon.

– Okay – powiedział. – Nagrywamy.

Technik zszedł z drzewa i zebrał ucięte gałęzie. Potem przez kilka godzin pracował przy krzewach. Zanim skończył i załadował śmiecie do wypożyczonej ciężarówki, minęła pora lunchu. Poszedł do wejścia służbowego i wręczył rachunek zarządcy posiadłości. Potem wrócił do ciężarówki i odjechał.

Radiooperator na „Oregonie” monitorował rozmowę w rezydencji i robił notatki w żółtym bloczku. Nie działo się nic ważnego, ale to się mogło zmienić w każdej chwili.

Pod pokładem, w Magicznej Pracowni, muzycy mieli próbę. Kevin Nixon przerwał im gestem i wyregulował panel kontrolny.

– Dobra – powiedział. – Jeszcze raz.

Murphy zaczął brzdąkać na gitarze i pomieszczenie wypełniły dźwięki utworu *Fortunate Son* zespołu Creedence Clearwater Revival. Przyłączyła się reszta grupy. Halpert miał zadziwiająco dobry głos. Po obróbce komputerowej trudno było odróżnić jego interpretację od oryginału. I w przeciwieństwie do większości pozostałych robił odpowiednie ruchy.

Cabrillo wyglądał przy klawiszach jak Liberace po amfetaminie. Kasim przypominał Buddy’ego Richa w gorsecie gipsowym na szyi. Lincoln spisywał się trochę lepiej – szarpał struny gitary basowej z zamkniętymi oczami i wybijał nogą rytm. Ale miał takie wielkie łapy, że nie widać było ruchu palców. Nixon czekał do końca piosenki.

– Nieźle – przyznał – ale mam kasety wideo z występami prawdziwego zespołu i proponuję, żebyście je obejrzel i popracowali nad choreografią.

Trzy godziny później grupa była przygotowana jak nigdy.

Tę część swojej pracy Iselda lubiła najbardziej – ostatnie poprawki.

Sięgnęła do torebki i znalazła pudełko cygaretek. W przeciwieństwie do większości palaczy, którzy trzymają się jednego gatunku papierosów, nosiła przy sobie trzy lub cztery rodzaje. Wybierała truciznę w zależności od wielu czynników – bólu w płucach, drapania w gardle, ilości nikotyny potrzebnej jej do pracy. Papierosy mentolowe odświeżały ją, cygaretki pobudzały, długie i cienkie papierosy pomagały w rozmowie – wymachiwała nimi jak dyrygent batutą. Zapaliła cygaretkę i zaciągnęła się.

– Mówiłam wyraźnie, że do koktajli ma być kruszony lód! – wrzasnęła na dostawcę – nie kostki!

- Prosiłaś o jeden i drugi – odrzekł – ale kruszonego jeszcze nie przywieźli.
- A przywiozła? – zapytała.
- Jest w magazynie, Iseldo – odpowiedział cierpliwie mężczyzna. – Nie chcieliśmy, żeby się roztopił.

Iselda spojrzała tam, gdzie technik regulował urządzenie do wytwarzania sztucznego dymu z suchego lodu.

- Za mało tego dymu! – krzyknęła, przeszła szybko przez namiot i zaczęła pouczać mężczyznę.

Po kilku minutach technik znów włączył urządzenie. Z maszyny wydobyły się gęste kłęby zimnego gazu i zaczęły osiadać na podłodze.

- Teraz dobrze – powiedziała Iselda. – Upewnij się, czy marny dużo suchego lodu.

Elektryk regulował oświetlenie. Pobiegła w tamtym kierunku.

Radiooperator na „Oregonie” monitorujący rozmowy w rezydencji zrobił notatkę w żółtym bloczku, potem połączył się przez interkom z Cabrillo.

- Panie prezesie, chyba musi pan tu przyjść.

Limuzyna zwolniła przed bramą wjazdową na pas startowy lotniska w San Jose w Kalifornii. Drogę blokował uzbrojony ochroniarz. Kierowca opuścił szybę.

- Nowe przepisy bezpieczeństwa – usłyszał. – Nie ma już wjazdu na płytę.

Potentat komputerowy też opuścił swoją szybę. Co za niewygodna. To niedopuszczalne!

- Zaraz, zaraz... – krzyknął z tylnego siedzenia. – Od lat dojeżdżamy tędy do mojego samolotu.

- Teraz już nie wolno.

Miliarder nadął się.

- Pan wie, kim ja jestem?

– Nie mam pojęcia – przyznał ochroniarz. – Ale wiem, kim ja jestem. Facetem, który każe panu stąd odjechać.

Kierowca limuzyny nie mógł nic zrobić. Wycofał się, pojechał w kierunku terminalu, zaparkował przed wejściem i czekał, aż jego pracodawca wysiądzie. Niemiła niespodzianka wprowadziła szefa w zły humor i słyszał, jak ten mamrocze pod nosem, kiedy niósł bagaże w bezpiecznej odległości za nim.

- Nie do wiary – powiedział miliarder. – Za to, co płacę za hangar, powinienem mieć jakąś obsługę.

Za drzwiami prowadzącymi na płytę stały drogie odrzutowce czekające na swoich właścicieli – trzy gulfstreamy, jedna lub dwie cessny citation, pół tuzina king airów i pojedynczy olbrzym o wyglądzie samolotu regionalnych linii lotniczych.

Potentat komputerowy lubił się wyróżniać.

Skoro bogacze mieli prywatne odrzutowce, jego musiał być największy. Samolot

miał świadczyć o jego sukcesie i rzucać się w oczy jak psia obroża wysadzana diamentami. Miliarder wybrał boeinga 737. Wewnątrz była jednotorowa kręgielnia, sauna, sypialnia większa niż w wielu domach, telewizor z wielkim ekranem i zaawansowane urządzenia telekomunikacyjne. Potrawy przyrządzał szef kuchni wyszkolony we Francji.

Na pokładzie czekały dwie zamówione tancerki. Rozrywki podczas długiego lotu miała dostarczać miliarderowi kalifornijska blondynka i rudowłosa dziewczyna uderzająco podobna do młodej Ann-Margret.

Miliarder chciał jakoś zabić czas w podróży.

Wtargnął przez drzwi na płytę lotniska, nie czekając na swojego kierowcę z bagażem. Podszedł do samolotu i wspiał się po rampie do wnętrza.

– Dziewczyny! – krzyknął. – Pokażcie się!

Trzyście minut później byli w powietrzu.

Technik na „Oregonie” wprowadzał polecenia do komputera, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Cabrillo.

– Co masz? – zapytał bez wstępów.

– Ho właśnie rozmawiał przez telefon z inspektorem ubezpieczeniowym, który ma przyjść do rezydencji, aby obejrzeć Buddę.

– Cholera – zaklął Cabrillo i połączył się z Hanleyem. – Przyjdź do kabiny telekomunikacyjnej, Max. Mamy problem.

Kiedy technik nadal próbował wytropić, skąd dzwonił rozmówca Ho, Cabrillo spacerował tam i z powrotem.

Hanley zjawiał się po kilku minutach.

– Co jest, Juan?

– Ho umówił się z inspektorem ubezpieczeniowym na oględziny Złotego Buddy.

– Na kiedy? – zapytał Hanley.

– Na czwartą po południu.

Technik wcisnął przycisk i drukarka wypluła kartkę.

– Adres rozmówcy w Makau, szefie. Naniósłem go na plan miasta.

– Musimy coś wymyślić – powiedział Cabrillo. – I to szybko.

Winston Spenser balansował nad przepaścią.

Zwiększono mu firmową linię kredytową tylko dlatego, że był długoletnim klientem banku. Ale dyrektor dał mu jasno do zrozumienia, że oczekuje wyrównania salda najpóźniej za trzy dni. Spenser wykorzystał limity na swoich kartach kredytowych i już dzwoniło do jego biura w Londynie z pytaniami, co się dzieje. Był w poważnych tarapatach finansowych. Wiedział, że natychmiast po załatwieniu interesu z miliarderem będzie taki nadziany, jak sobie wymarzył, ale na razie nie miał nawet na bilet lotniczy do domu.

Nazajutrz musiał tylko odebrać Buddę, przetransportować posąg na lotnisko i

zainkasować swoje brudne pieniądze. Potem zamierzał wyczarterować samolot i zniknąć z wymarzoną fortuną. Będzie daleko, zanim jego klient w Makau zorientuje się, że został wykołowany.

# 14

Juan Cabrillo siedział przy stole w swojej kajucie i po raz trzeci studiował plan akcji.

Za dziewięć minut wskazówki zegara miną północ i zacznie się Wielki Piątek. Dzień rozgrywki. Kiedy korporacja przeprowadzała operację, zawsze dużo zależało od szczęścia i elastyczności. Kluczem do sukcesu było zminimalizowanie liczby niespodzianek przez staranne opracowanie planu głównego i rezerwowego.

Korporacja miała to opanowane do perfekcji.

Problemem był sam obiekt. Złoty Budda to nie mikrochip, który można wsunąć do kieszeni lub zaszyć w ubraniu. To ciężki posąg wielkości człowieka, który trudno potajemnie przetransportować i ukryć. Potrzeba ludzi i maszyn, żeby dostarczyć go w bezpieczne miejsce.

Trzeba się było zająć przeciwnikami: antykwariusz, Ho, goście na przyjęciu, władze chińskie i teraz jeszcze agent ubezpieczeniowy. Każdy z nich mógł przeszkodzić w wykonaniu zadania, a wysokość stawki i konieczność odpowiedniej koordynacji zadań nie pozwalały na wycofanie się i przegrupowanie.

Cabrillo nie cierpiał operacji bez zapewnionej możliwości odwrotu.

Kiedy plan musiał być zrealizowany za wszelką cenę, ktoś mógł zostać schwytany, ranny lub zabity. Ostatnim razem korporacja poniosła straty podczas operacji w Hongkongu. Cabrillo stracił wtedy nogę, ale inni zapłacili życiem. Od tamtej pory przezornie unikał zadań o najwyższym stopniu ryzyka. Zdobycie Złotego Buddy początkowo nie wydawało się zbyt ryzykowne, ale z upływem czasu stawało się coraz bardziej niebezpieczne.

To tylko trema przed meczem, pomyślał Cabrillo i zamknął teczkę z aktami. Wieczorem będą mieli Buddę i złączą organizować transport posągu do siedziby dalej. Za kilka dni korporacja dostanie pieniądze, będą wolni i popłyną do innej części świata.

Winston Spenser przełknął whisky Glenmorangie jakby to było piwo imbirowe.

Jego genialny plan oszustwa walił się. Wieczorem zadzwonił Ho.

– Proszę przyjść wcześniej na przyjęcie – powiedział. – Chciałbym, żeby pan tu był, kiedy agent ubezpieczeniowy będzie oglądał Buddę.

Jeszcze jeden dzień i Spenser byłby daleko.

W Urugwaju, Paragwaju, na wyspach południowego Pacyfiku, gdziekolwiek, byle nie tu. Falszyfikat Buddy był dobry – Spenser dużo zapłacił, żeby posąg nie różnił się od oryginału – ale ekspert najwyższej klasy poznałby, że to kopia. Samo złoto prawdopodobnie nie wzbudziłoby podejrzeń. Problemem były duże klejnoty zdobiące posąg. Gdyby inspektor ubezpieczeniowy znalazł się na tym, doszedłby do wniosku, że są zbyt doskonałe. Prawdziwe kamienie szlachetne tej wielkości były wyjątkową

rzadkością i prawie zawsze miały skazy.

Tylko sztuczne były bez zarzutu.

Spenser dopił szkocką, podszedł do łóżka i położył się.

Pokój wirował wokół niego, a sen nie przychodził.

Można sobie łatwo wyobrazić, że od chwili ucieczki z Tybetu dalajlama żył w zupełnym oderwaniu od spraw wewnętrznych swojego kraju. Nic dalszego od prawdy. Niemal od chwili przekroczenia granicy miał w Tybecie siatkę szpiegów przekazujących informacje na południe do jego emigracyjnej siedziby w Małej Lhasie.

Wiadomości podawali sobie z ust do ust biegacze, którzy pokonywali górskie przełęcze z dala od chińskich posterunków i dostarczali informacje osobiście lub przez pośredników. Dzięki setkom tysięcy Tybetańczyków lojalnych wobec dalajlamy siatka obejmowała cały kraj. Meldowano o ruchach wojsk chińskich, wysyłano na południe przechwytywane teleksy, podsłuchiowano rozmowy telefoniczne.

Obserwowano grubość pokrywy śnieżnej, stan wód w rzekach i resztę środowiska naturalnego. Zagadywano turystów, żeby w luźnej rozmowie wyciągnąć od nich więcej wiadomości o Chińczykach. Ludzie sprzedający towary chińskim żołnierzom składali raporty o ich zakupach i zachowaniu. Notowano i przekazywano na południe, kiedy wojska okupanta są w stanie podwyższonej gotowości i kiedy stają się mniej czujne. Organizowano stałe zebrania informacyjne dla dalajlamy oraz jego doradców tak, że uchodźcy zwykle lepiej znali sytuację w Tybecie niż znieawidzeni Chińczycy.

- Zdaje się, że żołnierze kupują więcej pamiątek? – zauważył dalajlama.
- Tak – potwierdził jeden z jego doradców. – Unikatowe wyroby tybetańskie.
- Czy przedtem to się zdarzało? – zapytał dalajlama.
- Nigdy – odrzekł doradca.
- I mamy meldunki, że kończy się paliwo w ich bazach?
- Tak – odpowiedział doradca. – Od naszych robotników, którzy tam pracują.

Ograniczono wyjazdy samochodów w teren i prawie od miesiąca na ćwiczeniach nie ma czołgów. Wygląda na to, że okupacja wchodzi w fazę stagnacji.

Dalajlama otworzył nieoznakowaną teczkę z dokumentami i przejrzał zawartość.

– To się zgadza z ostatnimi raportami grupy naszych wynajętych konsultantów w Wirginii. Chiny są w złej sytuacji ekonomicznej. Mają największy na świecie wzrost importu ropy, a jednocześnie wartość ich inwestycji zagranicznych maleje. Jeśli prezydent Jintao jasno nie określi priorytetów, gospodarka jego kraju pograży się w całkowitym kryzysie.

- Możemy mieć tylko nadzieję, że tak się stanie – odezwał się jeden z doradców.
  - Doszliśmy do głównego tematu naszej dyskusji – powiedział cicho dalajlama.
- Oddajmy się na chwilę medytacjom, żeby oczyścić umysły, a później wszystko wyjaśnię.

Wiśniowy boeing 737 był latającym pałacem sybaryty.

Potentat komputerowy dla zabicia czasu zażył starannie dobraną mieszankę ekstazy i pastylek na potencję. Po ekstazie stawał się miły, ale pastylki na potencję pobudzały jego agresywny popęd seksualny.

W przedniej części odrzutowca steward pisał coś na palmtopie. Potem podłączył go do telefonu pokładowego i wysłał wiadomość. Pozostało mu czekać na odpowiedź.

Jego koleżanka była spięta. Pierwszy raz leciała boeingiem miliardera i to co działo się w samolocie działało jej na nerwy. Odwróciła głowę od przedziału pasażerskiego.

– Miałaś już taką fuchę? – zapytała kolegi.

– Jeszcze nie – wyznał blondyn.

– Gdybym nie potrzebowała forsy – powiedziała brunetka – ten lot byłby w jedną stronę.

Blondyn skinął głową.

– Opowiedz mi coś o sobie.

Pół godziny później uśmiechnął się. Znał jej życiorys i wiedział, że nieco minęła się z prawdą.

– Mam propozycję, która mogłaby cię zainteresować – powiedział swobodnym tonem.

W tym momencie rozległ się brzęczyk i głos z tylnej części samolotu.

– Przynieście nam jeszcze dwie butelki szampana – rozkazał miliarder.

– Potem mi powiesz – odezwała się brunetka. – Pójdę napić konie.

Ulice w Makau były pełne amatorów nocnego życia. Dwaj mężczyźni jechali wolno samochodem przez tłum w alei Conselheiro Ferriera de Almeida. Mężczyzna na siedzeniu pasażera patrzył na przenośny odbiornik GPS i dawał wskazówki. Skręcili na północny zachód w Avenida do Coronel Mesquita i dojechali do bocznej uliczki prowadzącej do dzielnicy willowej oddalonej o niecały kilometr od Chin.

– Zaparkuj gdzieś – rozkazał nawigator.

Kierowca ustawił furgonetkę przy krawężniku pod drzewem i wyłączył silnik. Nawigator wskazał dom z dużym ogródkiem od frontu w głębi ulicy.

– To tam.

– Idziemy? – zapytał kierowca.

Nawigator wysiadł i czekał przed maską samochodu, aż kierowca sięgnie pod siedzenie, wyjmie skórzaną torbę i dołączy do niego.

– Zauważyłeś, że tutaj prawie nikt nie ma psa? – zagadnął kierowca.

– Czasami mamy szczęście – odrzekł nawigator.

Ubrani na czarno mężczyźni wtapiali się w noc. Mieli buty na gumowych podeszwach i ciemne winylowe rękawiczki podobne do chirurgicznych. Poruszali się bez pośpiechu, co świadczyło o profesjonalizmie, nie arogancji. Dotarli niepostrzeżenie pod mur od frontu i zatrzymali się na moment przy furtce. Kierowca sięgnął do kieszeni, wyjął wytrych i po sekundzie otworzył zamek. Przepuścił

nawigatora, wszedł za nim i zatrzasnął za sobą furtkę.

Nie musieli rozmawiać. Obaj znali plan.

Z tyłu domu było ciemno. Rozbroili alarm, sforsowali zamek i wśliznęli się cicho do środka. Przystanęli u stóp schodów, kierowca otworzył czarne plastikowe pudełko i włożył do ucha słuchawkę. Wycelował urządzenie w sufit i nasłuchiwał przez chwilę.

Potem się uśmiechnął i skinął głową do partnera.

Złączył dłonie, przechylił głowę na bok i przyłożył ręce do policzka na znak, że domownicy śpią. Jednym palcem wskazał lewy róg w głębi pietra, drugim przeciwny kierunek. Dwie sypialnie. Pierwszy cel tam, drugi tu.

Uklonił się głęboko i rozpostarł ręce.

Otworzył sakwę przy pasie, wręczył nawigatorowi dwudziestocentymetrowy skórzany futerał i uśmiechnął się. Nawigator wziął przedmiot i wszedł wolno po schodach. Kierowca został na dole i czekał. Minęło kilka minut.

W końcu usłyszał z góry głos partnera.

– Nie wiem, jak ty – powiedział nawigator, schodząc po schodach – ale ja jestem głodny.

Kierowca wyjął z ucha słuchawkę, zwinął przewód i zamknął pudełko.

– Więc zajrzemy do lodówki – zaproponował.

Nawigator włączył miniaturową latarkę.

– Nie możemy zapytać naszych gospodarzy, co polecają. Są w krainie snów.

– A kiedy się obudzą, już dawno nas tu nie będzie – odrzekł kierowca.

Poszli do kuchni, ale nic nie wyglądało apetycznie. Wrócili do furgonetki, pojechali przez miasto do kasyna i zamówili jajka na szynce.



W Wielki Piątek, 25 marca 2005 roku, słońce wzeszło o 6.11. Na pokładach sampanów w porcie wewnętrznym zaczęli się krzątać chińscy sprzedawcy. Na Avenida da Amizade, przed hotelem Lisboa, dwanaście kobiet w bawełnianych koszulach i stożkowych kapeluszach zawiązanych pod szyją zaczęło zmywać chodnik. Zanurzały szczotki w wiadrach z mydlinami i usuwały śmiecie po wygranych i przegranych gościach kasyna. Z hotelu wytoczyło się paru zatwardziałych hazardzistów i zmrużyło oczy przed słońcem.

Aleją przejeżdżało kilka trójkołowych riksów motorowych. Ich kierowcy zatrzymywali się na mocną kawę podawaną w małych filiżankach, potem ruszali dalej, żeby dostarczyć na miejsce przesyłki lub pasażerów. Przed małą restauracją, dwieście metrów na północny zachód od kasyna, właściciel zgasił papierosa i wszedł do środka. Na zapleczu na kuchni stał kociołek *caldo verde*, portugalskiego gulaszu z ziemniaków, kiełbasy i miejscowej zieleniny. Mężczyzna zamieszał potrawę, odłożył długą drewnianą łyżkę na kontuar i zaczął nacierać solą kurczaki marynowane w mleku kokosowym, czosnku, pieprzu i chili, żeby później upiec je na rożnie.

Położony za wodą Hongkong przesłaniała mgiełka wilgoci i smogu, ale słychać było pierwszy szybki prom opuszczający port. Na tle błękitnego nieba widać było podchodzące do lądowania pierwsze odrzutowce, głównie transportowe. Poniżej świątyni A-Ma odcumował chiński okręt wojenny i wypłynął na patrol. Kapitan wielkiego luksusowego jachtu z helikopterem na pokładzie rufowym pytał przez radio, gdzie może rzucić kotwicę.

Samotny statek handlowy, który lata świetności miał dawno za sobą, wchodził do portu, żeby wyładować transport rowerów z Tajwanu. Na innym frachtowcu o wyglądzie starej i zniszczonej łajby przy stole w swojej kajucie siedział krótko ostrzyżony blondyn i czytał.

Juan Cabrillo nie spał od kilku godzin.

Rozpatrywał każdy możliwy scenariusz.

Ktoś delikatnie zapukał. Cabrillo wstał, podszedł do drzwi i otworzył.

– Coś mi mówiło, że już jesteś na nogach – powiedział Hanley.

Trzymał tacę z przykrytymi talerzami. Spod metalowych pokryw unosiła się para.

– Śniadanie – oznajmił i wszedł.

Cabrillo zrobił miejsce na stole i Hanley ustawił tam jedzenie. Zdjął pokrywę z dużego talerza i uśmiechnął się.

Cabrillo skinął głową i wskazał mu krzesło.

Hanley usiadł i nalał do dwóch filiżanek kawę z podgrzewanego dzbanka. Potem odkrył drugi talerz.

– Nic się nie wydarzyło w nocy? – zapytał Cabrillo.

– Nie – odrzekł Hanley. – Wszystko idzie zgodnie z planem.

Cabrillo wypił łyk kawy.

- Mnóstwo rzeczy może pójść nie tak – zauważył.
- Jak zawsze.
- Dlatego dostajemy dużą kasę.
- Właśnie – zgodził się Hanley.

– A może wiesz, kiedy straciłam cnotę? – zapytała czarnowłosa stewardesa. – Bo zdaje się, że znasz każdy szczegół z mojego życia.

Blondyn roześmiał się.

- To zbyt osobista sprawa.

Brunetka uśmiechnęła się szeroko.

– Ale moje nieudane związki z facetami i karty kredytowe już nie?  
– Przepraszam za grzebanie w twoim życiu prywatnym. Moja grupa musi znać szczegóły.

- Jesteś szpiegiem?
- Ależ skąd – odparł blondyn. – My tylko dla nich pracujemy.
- Więc zarobię tyle bez podatku, że potem będę mogła z tego żyć?
- Marzenie każdego – przyznał blondyn.

Czarnowłosa stewardesa rozejrzała się po przedniej kabinie. Była tylko chwaloną kelnerką w latającej restauracji. Nikim więcej.

- Jak mogłabym odmówić? – powiedziała w końcu.

Blondyn wstał.

- Cieszę się.
- Dokąd idziesz? – zapytała.
- Muszę zabić pilota – odrzekł swobodnie.

Warto było zobaczyć minę brunetki, gdy to usłyszała.

– Żartowałem – uspokoił ją blondyn. – Idę do toalety. Mam kwalifikacje pilota boeinga 737, ale pewnie Pan Bajeczny zdziwiłby się, gdybym zniknął.

– Kim wy jesteście, ludzie? – mruknęła brunetka, kiedy blondyn zniknął za drzwiami łazienki.

– Jest pan pewien, że ten rzech dojedzie do granicy i z powrotem? – zapytał Carl Gannon.

Patrzył na starą, zdezelowaną ciężarówkę stojącą pod drzewem. Zaparkowano ją przed kamiennym budynkiem na jednej z bocznych uliczek Thimphu w Bhutanie. Samochód miał kiedyś kolor oliwkowy, teraz – głównie rdzawy. Dzielona szyba przednia była pęknięta po stronie pasażera, a opony na wszystkich sześciu kołach miały łyse bieżniki. Pocięta dwuskrzydłowa pokrywa silnika nosiła ślady kilkukrotnego spawania. Wzdłuż kabiny biegły stopnie z drewnianych listew. Rura wydechowa wisiała na zardzewiałym drucie.

Gannon przeszedł do tyłu i popatrzył na skrzynię ładunkową. Niektóre deski na

podłodze popękały, kilku brakowało. Plandeka była mniej więcej w takim stanie, jak namiot wojskowy z okresu II wojny światowej.

– O, tak – odrzekł swobodnie miejscowy właściciel. – Ma dobry silnik.

Gannon kontynuował obchód. Wspiął się na stopień od strony pasażera i zajrzał do kabiny. Z długiej, zniszczonej kanapy wystawały kawałki sprężyn, ale wskaźniki na tablicy przyrządów nie miały popękanych szkieł i wyglądały na sprawne. Mężczyzna zszedł na ziemię, podszedł do pokrywy silnika i uniósł skrzydło od strony pasażera. Silnik był zdumiewająco czysty. Pachniał świeżym smarem i olejem. Paski klinowe i węże gumowe były w niezłym stanie, akumulator i przewody elektryczne wyglądały zupełnie dobrze.

– Może pan uruchomić silnik? – zapytał Gannon.

Bhutańczyk okrążył samochód, otworzył drzwi kabiny i wsiadł za kierownicę.

Wyciągnął ssanie, podpompował pedałem gazu i przekręcił kluczyk. Po kilku obrotach wału silnik ożył. Z zardzewiałej rury wydechowej wydobył się dym, ale silnik pracował równo na jałowym biegu. Gannon uważnie słuchał. Zawory nie klekotały, ale położył rękę na pokrywie rozrządu, żeby się upewnić. Wszystko grało.

– Niech pan doda gazu! – zawołał.

Właściciel nacisnął pedał, potem puścił. Powtórzył to cztery razy.

– Okay – powiedział Gannon. – Wystarczy.

Bhutańczyk wyłączył silnik, schował kluczyk do kieszeni i wysiadł. Miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, ciemną skórę i oczy w kształcie migdałów. Uśmiechał się do Gannona i czekał na werdykt.

– Ma pan zapasowe paski i węże? – zapytał Gannon.

– Coś się znajdzie.

Gannon sięgnął do kieszeni i wyjął zwitek banknotów w grubej gumowej opasce. Ściągnął ją i rozłożył pieniądze w wachlarz.

– Ile pan chce za dowieszenie mnie i ładunku do granicy z Tybetem? Łącznie z amnezją.

Mężczyzna nie zrozumiał.

– Amnezją?

– Kiedy będzie po sprawie, zapomni pan o wszystkim – wyjaśnił Gannon.

Bhutańczyk skinął głową.

– Tysiąc dolarów – rzucił lekko. – I zestaw DVD.

– Brzmi rozsądnie – przyznał Gannon. – I jeszcze jedno. Nie wie pan, gdzie mógłbym kupić wołu?

# 16

Na „Oregonie” trwała krzątanina. W Magicznej Pracowni pod pokładem muzycy rockowi sprawdzali swoje instrumenty i dobierali kostiumy. Juan Cabrillo odebrał swoją komórkę.

– Sytuacja stabilna – zameldowała Linda Ross. – Jadę teraz na miejsce.  
– Mamy trzech ludzi w środku i jednego obserwatora na zewnątrz za murem – odrzekł Cabrillo – Jeśli ktoś się połapie, włącz alarm, a udzielą ci pomocy.

– Bułka z masłem – odparła Ross.

Telefon zamilkł i Cabrillo odwrócił się do Maksa Hanleya.

– Iselda wchodzi.

– Jak dotąd, wszystko gra – odpowiedział Hanley.

Mark Murphy skończył z Kasimem i poklepał go po plecach.

– Gotowe.

Michael Halpert bawił się mikrofonem. Murphy przywołał go gestem.

– Chodź tu, solisto. Okleję cię.

Halpert podszedł i odwrócił się plecami. Murphy podciągnął mu koszulę do góry.

– To lekka jak piórko trzydziestkaósemka, Mike – wyrecytował, kiedy przykleił do pleców Halperta broń w kaburze. – Teraz sięgnij do tyłu i wyciągnij spluwę.

Murphy usłyszał ten tekst w filmie *Tombstone* i od tamtej pory powtarzał to przy każdej okazji. Halpert wykonał polecenie.

– Zaczekaj – powiedział Murphy. – Jest za wysoko. Za bardzo wyginasz rękę.

Poprawił kaburę i kazał Halpertowi spróbować jeszcze raz.

– Teraz lepiej – stwierdził. – Pokaż but.

Halpert odwrócił się i podciągnął nogawkę. Murphy przykleił mu nóż w twardej plastikowej pochwie.

– Uważaj z tym, Mike – ostrzegł. – Ostrze zostało zanurzone w truciznie paraliżującej. Jeśli zrobi się gorąco, wystarczy kogoś drasnąć i leży. Problem w tym, że to samo stanie się z tobą, jeśli przeciwnik odbierze ci broń. Upewnij się, czy jest blisko i czy kontrolujesz sytuację.

– Okay, Mark – odrzekł cicho Halpert.

Kiedy nóż znalazł się na swoim miejscu, Murphy wstał z kolan.

– Boisz się? – zapytał.

– Trochę – przyznał Halpert. – Zwykle nie biorę udziału w akcji.

Murphy skinął głową i uśmiechnął się.

– Nie pękaj, będę tuż obok ciebie. Jeśli zrobi się zadyma, najpierw będą musieli przebić się przeze mnie.

Halpert skinął głową, odszedł i znów wziął mikrofon.

– Szefie – powiedział do Cabrillo – pan jest ostatni.

Cabrillo uśmiechnął się i podszedł do Murphy’ego. Był w kostiumie, który

zawstydziliby Eltona Johna. Murphy wsunął mu do kieszeni kamizelki z cekinami dwie zabezpieczone igły do zastrzyków podskórnych. Do drugiej kieszeni włożył wygięte ostrze z włókna węglowego z otworami na palce.

– To też zostało zanurzone w środku paralizującym – ostrzegł, odwrócił prezesa i przykleił mu do pleców mały pistolet. – Pociski mają mniejszą siłę przebicia, niż bym chciał, więc trzeba strzelać z bliska.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie – odrzekł Cabrillo.

Lincoln już był wyposażony. Stał z boku i grał na gitarze basowej.

Cabrillo uśmiechnął się.

– Okay, słuchajcie mnie wszyscy, niedługo ruszamy. Upewnijcie się, czy pamiętacie plan operacyjny i drogę odwrotu. Jeśli w którymś momencie dam sygnał do wycofania się, kierujcie się do punktu ewakuacyjnego. Nie zapominajcie, że dzisiejsza akcja to tylko część zadania. Jeśli coś pójdzie nie tak, mamy jeszcze szansę uratować operację, więc bez niepotrzebnego bohaterstwa. Broń może być użyta tylko wówczas, gdyby wszystko się rozleciało i komuś z naszych ludzi groziła śmierć lub kalectwo. Mamy porządnie wykonać robotę i wrócić bezpiecznie do domu. Jak zwykle. Są pytania?

W Magicznej Pracowni panowała cisza.

– Okay, ludzie – powiedział Cabrillo. – Dajcie Julii swoje listy.

Lekarz okrętowy Julia Huxley nie cierpiała tej części swojej pracy. Każdy list zawierał instrukcje, jak długo członek grupy chce mieć opiekę medyczną w wypadku ciężkich obrażeń, oraz dyspozycje, co zrobić z jego funduszami i pozostałym majątkiem. Bez względu na treść, Julia musiała przeczytać listy. Przeszła po pracowni i zebrała zaklejone koperty. Nikt się nie odzywał.

– Zawsze to samo – roześmiał się w końcu Murphy. – Co z wami? Nie idziemy rozbierać głowicy nuklearnej, tylko ukraść trochę złota.

Ponury nastrój minął i znów zaczęły się rozmowy.

– Mamy jeszcze trochę czasu – powiedział Hanley – więc jeśli chcecie coś zjeść czy cokolwiek zrobić, to teraz.

Wszyscy się rozeszli. Został tylko Cabrillo i Hanley.

– Meadows i Jones gotowi? – zapytał Cabrillo.

Hanley przytaknął.

– A nasz lotnik?

– Leci tutaj – odrzekł Hanley.

– Więc możemy zaczynać zabawę.

Dwaj mężczyźni na motocyklach z bocznymi wózkami stali na Rua de Lourenco i patrzyli, jak pracownicy wydziału robót publicznych w Makau ustawiają zapory wzdłuż trasy parady wielkopiątkowej. Miały być zamknięte wszystkie boczne ulice, ale drewniane bariery łatwo byłoby sforsować zderzakiem samochodu lub przednim kołem motocykla.

– Jedziemy dalej – powiedział jeden z mężczyzn.

Drugi skinął głową, wcisnął przycisk rozrusznika, wrzucił bieg i ruszył. Minął kilka przecnic, zjechał na bok i wyłączył silnik. Ulicę odchodzącą od trasy parady przystrojono chorągiewkami i papierowymi serpentynami. Wzdłuż przecznicy rozmieszczono papierowe latarnie ze świeczkami w środku, które miały zapłonąć o zmierzchu. Sprzedawcy uliczni ustawiali z wózków ręcznych stoisko z napojami i jedzeniem dla obserwatorów parady, zamiatacz robił ostatnie poprawki, żeby ulica przynajmniej na początku uroczystości była czysta.

– Uwielbiają smoki – zauważył jeden z mężczyzn, wskazując długi rząd co najmniej siedemdziesięciu platform samobieżnych.

Umieszczono na nich statki oraz estrady dla muzyków, połykaczy mieczy i zonglerów, i smoki. Czerwone papierowe potwory. Jeden był niebiesko-żółty i miał długi ogon zadarty do góry.

Dekoracje na platformach miały szkielety z grubego drutu i były pokryte tkaniną lub papierem, a w jednym wypadku materiałem o wyglądzie wyklepanej młotkiem miedzi. Kierowcy siedzieli wewnątrz i patrzyli przez małe szczeliny z przodu. Platformy napędzały małe silniki spalinowe z rurami wydechowymi wypuszczonymi z boku.

Na razie panowała cisza, ale liczba głośników na platformach wskazywała, że kiedy parada ruszy, widzów zaleje fala dźwięków.

– Przyjrzę się temu – powiedział jeden z mężczyzn, zsiadł z motocykla i podszedł do najbliższej platformy. Podniósł boczną zasłonę i popatrzył na ramę. Zjawił się policjant i kazał mu odejść.

– Pod spodem jest dużo miejsca – poinformował mężczyzna swojego partnera, kiedy z powrotem wsiadł na motocykl.

Obok przeszło kilku członków orkiestry marszowej. Za nimi dreptał słoń z treserem siedzącym wysoko na jego grzbiecie w wiklinowym fotelu.

– Dobry układ – odrzekł cicho drugi mężczyzna.

Richard Truitt spojrział w lustro w swoim pokoju hotelowym na Avenida de Almeida Ribeiro i poprawił krawat. Sięgnął do nesesera z przyborami toaletowymi, wyjął okrągły pojemnik i otworzył. Wziął na czubek palca kolorowe szkło kontaktowe, wsunął do oka i zamrugał, żeby się ułożyło. Potem to samo zrobił z drugim, cofnął się i ocenił rezultat.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

Sięgnął do innego nesesera, wyjął sztuczne górne zęby i wsunął na własne. Włożył okulary w szylkretowej oprawce i poprawił na nosie. Jeśli chciał wyglądać nieciekawie, to udało mu się. Pozostało tylko przylizać włosy brylantyną i rozpylić sztuczny łupież na kołnierzu tweedowej marynarki. Doskonale.

Wszedł do salonu, wyjął z drukarki kartkę i przyjrzał się jej. Ozdobny dokument napisany był w napuszonym, prawdziwie brytyjskim stylu. Jedna linijka tekstu

mówiła o patronacie królowej, inna o założeniu firmy w 1834 roku. Truitt złożył papier i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyłączył komputer i drukarkę i schował do walizki. Jego spakowany bagaż stał już przy drzwiach. Truitt wrócił do łazienki po resztę swoich rzeczy, potem znów wszedł do salonu i wsunął je do bocznej kieszeni jednej z toreb podróży. Podeszedł do telefonu i wybrał numer.

- Ruszam – powiedział.
- Powodzenia – odrzekł Cabrillo.

Teraz Truitt musiał niepostrzeżenie wymknąć się z pokoju.

Linda Ross była łagodną osobą, pozytywnie nastawioną do świata.

Dlatego tak ją bawiło udawanie Iseldy. Większość ludzi ma złe skłonności, tylko je w sobie tłumi. Kiedy Ross dowiedziała się z raportu, że Iselda tłumi te dobre, skorzystała z okazji, żeby się wyżyć. Zjechała windą do garażu, podeszła do oszklonego boksu i zrobiła groźną minę. Parkingowy wybiegł po jej samochód. Ross czekała i zastanawiała się, czy Iselda dałaby mu napiwek. Doszła do wniosku, że nie.

Parkingowy podstawił jej brudnego peugeota i otworzył drzwi. Ross wsiadła za kierownicę.

– Dostaniesz coś następnym razem – mruknęła do mężczyzny i zatrzasnęła drzwi.

W samochodzie śmierdziało jak w przydrożnej knajpie w Wisconsin w porze zamykania lokalu. Podłoga była zasypana popiołem, popielniczka przepełniona, szyby zamglone od nikotyny.

– Zaczynamy – szepnęła Ross, sięgnęła do schowka i wyjęła paczkę papierosów. Zapaliła, wrzuciła bieg i wyjechała na ulicę. Dziesięć minut później zatrzymała się przed bramą rezydencji i przeszła pierwszy test.

– Otwieraj! – krzyknęła do ochroniarza, który zajął do samochodu i na jej widok nacisnął przycisk. – Jestem spóźniona.

Zaparkowała z boku podjazdu, wysiadła i zapaliła następnego papierosa.

– Wysyp mi popielniczkę, jak będziesz miał chwilę – warknęła do przechodzącego ogrodnika.

Mężczyzna zignorował ją i poszedł dalej. Podeszła do drzwi frontowych, zadzwoniła i zaczekała, aż otworzy jej lokaj.

– Z drogi – rozkazała, przepchnęła się obok niego i skierowała tam, gdzie według planów domu powinna być kuchnia. Wtargnęła do środka, spojrzała na garnek na ogniu i odwróciła się do jednego z kucharzy wynajętych przez Iseldę.

- To bisque? – zapytała.
- Tak, proszę pani – odpowiedział Chińczyk.

Podeszła do kuchni, odkryła garnek i powąchała.

- Poproszę łyżkę.

Wzięła ją od kucharza i spróbowała zupy.

- Za mało homarów – stwierdziła.

– Dodam więcej – odrzekł kucharz.  
– Słusznie – powiedziała Ross. – Gdyby pan Ho mnie szukał, będę na zewnątrz. Dajcie mi znać, kiedy upieczecie pierwsze paszteciki z krewetkami. Chcę ich spróbować.

– Oczywiście – zgodził się kucharz i Ross wyszła tylnymi drzwiami na dwór. Natychmiast podszedł do niej jeden z dostawców obsługujących przyjęcie. Stał i przyjrzał się jej.

- Ładnie pani dziś wygląda, pani Iseldo.
- Daruj sobie komplementy – odparła Ross. – Wszystko gotowe?
- Z wyjątkiem tego, o czym rozmawialiśmy wczoraj. Cholera!
- To znaczy? – zapytała. – Nie muszę wszystkiego pamiętać.
- Kruszonego lodu – wyjaśnił dostawca. – Będzie za godzinę.
- Mam nadzieję – powiedziała Ross. – Sprawdź, czy szkło jest wypolerowane.

Pobiegła tam, gdzie kucharz wycinał piłą łańcuchową rzeźbę w bryle lodu.

Dostawca w zamyśleniu pokręcił głową. Jej zachowanie nie zmieniło się, ale mógłby przysiąc, że pieprzyk na policzku miała wczoraj kilka centymetrów wyżej. Dał sobie z tym spokój i poszedł sprawdzić szkło.

Ross rozgniotła papierosa wysokim obcasem. Kręciło się jej w głowie od nikotyny i musiała przystanąć, żeby kilka razy głęboko odetchnąć.

– Więcej szczegółów na skrzydłach – pouczyła kucharza z piłą. Skinął głową i pracował dalej. Wysoki mężczyzna niósł stertę krzeseł. Uśmiechnął się i puścił do niej oko.

Wysoko na drzewie rosnącym na terenie posiadłości pracownik korporacji, niewidoczny pośród liści w stroju maskującym, włączył mikrofon.

- Linda jest w środku i działa – zameldował cicho.

Stanley Ho stał w swoim gabinecie na ostatnim piętrze rezydencji i patrzył w dół na przygotowania do przyjęcia. Widział, jak Iselda wychodzi na dwór, ale nie miał ochoty z nią rozmawiać. Portugalska lesbijka irytowała go. Była dobra w swoim fachu, ale za bardzo przejmowała się pracą. To w końcu tylko prywatne przyjęcie, a nie musical na Broadwayu. Ho wiedział z doświadczenia, że za kilka godzin większość jego gości będzie tak pijana, że gdyby na zakąskę podał szczura, nawet by tego nie zauważyli.

Bardziej interesowała go wizyta inspektora ubezpieczeniowego, z którym się umówił.

A także fakt, że w zamówionym przez niego opracowaniu historycznym na temat Złotego Buddy naukowiec wspomniał o skrytce umieszczonej przypuszczalnie w posągu. Ho jeszcze jej nie znalazł. Drobiazg, ale nie dawało mu to spokoju. Inspektor ubezpieczeniowy był najwyraźniej ekspertem od sztuki azjatyckiej. Ho postanowił zapytać go o skrytkę.

Jeśli nie dostanie odpowiedzi, zapyta Spensera, który tu niedługo będzie.



Richard Truitt ostrożnie dojechał wypożyczonym samochodem do bramy posiadłości i zatrzymał się. Opuścił szybę i wręczył ochroniarzowi zaproszenie.

– Moment, zadzwonię do rezydencji – powiedział ochroniarz.

Wybrał wewnętrzny numer Ho i czekał.

– Panie Ho, jest tutaj pan Samuelson z firmy ubezpieczeniowej.

Nie z nim się umówiłem, pomyślał Ho.

– Wpuść go – polecił. – I niech zaczeka na dole.

Rozłączył się i wybrał inny numer.

– Niech pan wjedzie – powiedział ochroniarz – zaparkuje przy garażu i zaczeka na dole.

Ho stuknął palcem w biurko i czekał, aż ktoś odbierze telefon.

– Dom pana Lassitera – odezwał się głos mówiący z kantońskim akcentem.

– Tu Stanley Ho. Zastałem pana Lassitera?

– Jest chory – padła odpowiedź. – Niedługo przyjdzie lekarz.

– Nie zostawił dla mnie żadnej wiadomości? – zapytał Ho.

– Chwileczkę...

Ho czekał kilka minut. W końcu usłyszał na linii zachrypnięty głos.

– Przepraszam pana – wykrztusił mężczyzna. – Złapałem jakiegoś wirusa.

Zastąpił mnie niejaki Samuelson z naszej centrali. Akurat przyjechał do miasta.

Lassiter ma głos zmieniony nie po poznania, pomyślał Ho. To musi być coś poważnego.

– Już tu jest – odrzekł.

– Nie ma powodu do obaw, panie Ho – wykaszał głos. – Samuelson zna się na rzeczy. To ekspert od dawnej sztuki azjatyckiej.

– Mam nadzieję, że szybko pan wyzdrowieje – powiedział Ho.

Niemal przez minutę słychać było kaszel.

– Ja też – odrzekł w końcu rozmówca. – I mam nadzieję, że niedługo będę mógł obejrzyć Złotego Buddę.

Ho odłożył słuchawkę i wstał, żeby zejść na dół.

Na „Oregonie” operator przerwał połączenie i odwrócił się do mężczyzny, który udawał Lassitera.

– Jak na kucharza, jesteś cholernie dobrym szpiegiem.

Winston Spenser nie był przyzwyczajony do roli przestępcy i oszusta. Właśnie wymiotował do sedesu w łazience swojego pokoju hotelowego. Ktoś mógłby powiedzieć, że to z powodu wypitego wczoraj alkoholu, ale w rzeczywistości puszczały mu nerwy. Nie wytrzymał napięcia, kłamiąc, oszukując i robiąc to, co powszechnie uważane jest za złe.

W końcu wyrzucił z żołądka wszystko, co wcześniej zjadł. Nic już nie podchodziło mu do gardła, resztki alkoholu pozostały tylko we krwi i w porach skóry. Sięgnął w górę po ręcznik i otarł kąciki ust.

Wstał z podłogi i spojrzął w lustro. Miał przekrwione oczy, ziemistą cerę i nerwowe tiki twarzy – mięśnie drgały i podskakiwały jak ziarna kukurydzy w maszynie do popcornu. Chciał wytrzeć łzę w kąciku lewego oka, ale trzęsła mu się ręka. Przytrzymał dłoń drugą ręką i udało się. Wszedł pod prysznic, żeby spróbować wypocić strach.

Richard Truitt czekał w salonie. Rozglądał się i próbował wyrobić sobie zdanie o właścicielu. Domyślał się, że gospodarz sam doszedł do wszystkiego i że jest bogaty od niedawna. Wskazywało na to umeblowanie i ogólny wystrój pokoju. Przedmioty były takie drogie, że po prostu nie miały duszy. Zgromadzono je na pokaz, nie ku wygodzie. Stare majątki zawsze mają swoją historię. To co Truitt tutaj widział kupiono hurtem, żeby zapełnić przestrzeń i stworzyć odpowiedni wizerunek właściciela. Ten obraz był jednak fałszywy i nie działał na wyobraźnię.

Mężczyzna spojrzął na wypchanego lwa. Wątpił, żeby gospodarz sam go upolował. Kilka obrazów współczesnych malarzy, w tym Picassa, daleko odbiegało od najlepszych dzieł swoich twórców. Truitt podejrzewał, że zostały kupione dla samych nazwisk. Na pewno robiły wrażenie na gościach bez odpowiedniego wykształcenia i pieniędzy. Stara zbroja wyglądała na reprodukcję, a sofa w stylu Ludwika XVI na równie wygodną jak łożo fakira.

– Pan Samuelson? – dobiegł głos ze schodów.

Truitt odwrócił się.

Szczupły czarnowłosy mężczyzna miał około metra siedemdziesięciu wzrostu i fryzurę w stylu kalifornijskiego playboya z lat siedemdziesiątych. Wykrzywione małe usta i wyszczerzone zęby wyglądały groteskowo. Szeroki uśmiech miał być zapewne przyjazny, ale sprawił, że Truitt zaczął się obawiać o swój portfel.

Mężczyzna szedł na dół i wyciągnął rękę.

– Stanley Ho.

Spektakl się zaczął i Truitt stał się aktorem.

– Paul Samuelson – przedstawił się i podał gospodarzowi luźną w nadgarstku dłoń. – Centrala prosiła mnie o zastąpienie pana Lassitera, który niestety złapał

wirusa.

Samuelson w wersji Truitta przypominał zniewieściałego Michaela Caine'a.

– Mam nadzieję, że zna się pan na rzeźbach tego rodzaju?

– O, tak! – zapewnił Truitt. – Jestem dyplomowanym historykiem sztuki azjatyckiej. To jedna z moich ulubionych form.

Ho wskazał gestem schody i ruszył przodem.

– Posąg jest znany jako Złoty Budda. Zetknął się pan już z nim?

Skręcili na pierwszym podeście i znów zaczęli się wspinać.

– Obawiam się, że nie – wysapał Truitt. – Czy był kiedykolwiek wystawiany?

– Nie – odparł szybko Ho. – Przez kilkadziesiąt lat należał do prywatnego kolekcjonera.

– Więc będę go musiał dokładnie obejrzeć dla porównania ze znanymi mi eksponatami.

Pokonali drugą kondygnację i weszli na ostatnią.

– Ma pan bardzo ładny dom – skłamał Truitt. – Te schody to mahoń, prawda?

– Tak – potwierdził Ho, zatrzymał się przed gabinetem i wsunął do zamka kartę magnetyczną. – Brazylijski. Zbudowano je ręcznie bez jednego gwoźdźca czy śruby.

Otworzył drzwi i weszli do środka.

– Piękny pokój – zachwycił się Truitt i spojrzał przez gabinet na Złotego Budde.

– Ale nie może się równać z tym.

Podszedł do Buddy, Ho za nim.

– Wspaniały – rzucił lekko Truitt. – Mogę go dotknąć?

– Proszę – odrzekł Ho.

Inspektor ubezpieczeniowy zachowywał się dokładnie tak, jak Ho sobie wyobrażał – okazywał szacunek i zachwył. Była duża szansa, że ocena wypadnie po jego myśli. A jeśli nie, był pewien, że uda mu się zmusić agenta do kapitulacji.

Truitt przesunął dłońmi po twarzy Buddy, potem zajrzał w oczy z klejnotów.

– Mogę zapytać o jego historię?

– Pochodzi z XIII wieku z Indochin – wyjaśnił Ho.

Truitt otworzył małą skórzaną teczkę i wyjął lupę jubilerską. Przyłożył ją do oka i obejrzał kamienie szlachetne.

– Wyjątkowe.

Ho obserwował, jak rzeczoznawca ogląda Budde od góry do dołu. Inspektor wydawał się kompetentny, więc Ho postanowił zagadnąć go o ukryty schowek.

– Pewien historyk pogrzebał trochę dla mnie w przeszłości i wspomniał, że niektóre z takich posągów miały wewnątrz komory.

– Część Buddy, symbolizująca jego umysł w stanie wyciszenia – odparł szybko Truitt. – Próznia.

– Więc słyszał pan o tym? – powiedział Ho.

– O, tak – potwierdził Truitt. Cieszył się, że korporacja wyposażyła go w materiały o dawnej sztuce azjatyckiej. Było tam słowo „próżnia”.

- Nie znalazłem tego tutaj.
- Przyjrzyjmy się mu bliżej – zaproponował Truitt.

Badali posąg przez dwadzieścia minut, ale bez skutku. Truitt postanowił to wykorzystać.

- Możemy na chwilę usiąść? – zapytał.

Usiedli po przeciwnych stronach biurka gospodarza.

- Na jaką sumę chciałby pan ubezpieczyć posąg w naszej firmie?
- Myślałem o mniej więcej dwustu milionach – odparł Ho.
- To raczej więcej niż mniej – uśmiechnął się Truitt.

Pochylił się do przodu i zawartość teczki, którą trzymał przed sobą, wypadła na podłogę. Kiedy zbierał rzeczy, umieścił pod biurkiem Ho małą pluskwę.

- Przepraszam – powiedział i z powrotem położył teczkę na kolanach.
- A o jakiej sumie pan myśli? – zapytał Ho.

– Brak ukrytej komory właściwie zwiększa wyjątkowość posągu – skłamał Truitt. – Pański Budda musi być co najmniej kilkadziesiąt lat starszy, niż przypuszczałem. Próżnie zaczęto robić w XII wieku. Możliwe, że ma pan przedmiot o takiej wartości, że nie sposób go wycenić.

Ho błysnął swoim groteskowym uśmiechem. Uwielbiał być najlepszy i teraz uważał, że przechytrył najmądrzejszych kolekcjonerów sztuki na świecie. Dwieście milionów dolarów, które zapłacił za posąg, wydawało mu się początkowo ogromną sumą, ale w tej chwili wyglądało na to, że tanio kupił Buddę.

- I co pan proponuje? – zapytał.

– Mógłbym bez ryzyka ubezpieczyć posąg na dwukrotnie wyższą sumę, niż pan wymienił – odrzekł Truitt – ale to oczywiście zwiększy składki.

Szło lepiej, niż się spodziewał. Przez swoją chciwość Ho pozbył się wątpliwości, kim jest ubezpieczyciel. Truitt zjawił się tu jako obcy, teraz był przyjacielem dającym prezent. Oszustwa udają się tylko wtedy, kiedy ofiara chce wierzyć w to, co słyszy. Ho chciał.

– Ale... – zaczął wolno – jeśli ubezpieczę posąg na wyższą sumę, banki podniosą mi oprocentowanie kredytów.

- Owszem – przytaknął Truitt – mają taki zwyczaj.

Ho wolno pokiwał głową.

- Ile wyniosłaby składka od czterystu milionów?

– Musiałbym się oczywiście porozumieć z naszą centralą – odrzekł Truitt – ale bez trudu poświadczę wartość przedmiotu.

Ho oparł się wygodnie. Dotarło do niego, że ma naprawdę bezcenne dzieło sztuki. Teraz musiał się tym pochwalić przed innymi bogaczami.

- Wydaję dziś przyjęcie – powiedział.
- Widziałem przygotowania – uśmiechnął się Truitt.

– Jest pan oczywiście zaproszony – oznajmił Ho. – Ale zastanawiałem się, czy nie pokazać posągu gościom. Byłbym spokojniejszy, gdybym przed obliczeniem stałej

składki ubezpieczeniowej miał tymczasowy aneks do polisy. Tylko na dziś.

– Ma pan oczywiście na myśl i wystawienie posągu na dole? – upewnił się Truitt.

Ho nie o tym myślał, ale uznał, że pomysł jest dobry.

– Tak – odparł. – Może nawet na zewnątrz?

Truitt skinął głową.

– Pozwoli pan, że wykonam krótki telefon?

Ho wskazał aparat, ale Truitt wyjął komórkę i wcisnął szybkie wybieranie numeru.

– Tu Samuelson.

– Richard, ty skurwielu, jesteś fantastyczny! – odpowiedział głos. – Od kilku minut słuchamy was przez pluskwę. Dobra robota.

– Chciałbym znać stawkę za jednodniowy aneks do polisy pana Ho, którą wystawimy na dzieło sztuki o wartości czterystu milionów dolarów, kiedy obliczymy wysokość stałej składki.

– Bla, bla, bla... – odrzekł operator na „Oregonie”. – No, dobra. Zaraz coś wymyślę. Co powiesz na dwadzieścia tysięcy dolców? Zresztą, sam zdecyduj. Ale na twoim miejscu wziąłbym od niego gotówkę. Moglibyśmy urządzić imprezę, kiedy będzie po wszystkim.

Truitt skinął głową.

– Rozumiem. Więc będzie potrzebna liczniejsza ochrona. Moment...

Truitt zasłonił ręką telefon.

Operator na „Oregonie” odwrócił się do Hanleya.

– Truitt jest dziś rewelacyjny. Mnie nie wpadłoby do głowy, żeby tak to rozegrać.

Ho czekał, co powie inspektor.

– Opłata za jednodniowy aneks wyniesie osiemnaście tysięcy pięćset dolarów amerykańskich. Ale moja centrala nalega na wzmocnienie ochrony. Na szczęście współpracujemy z miejscową firmą ochroniarską, więc moje biuro skontaktuje się z nimi i za godzinę przyślą tu kilku swoich ludzi, jeśli to panu odpowiada.

– Czy ochrona jest wliczona w opłatę za aneks? – zapytał Ho.

Truitt zastanowił się szybko, ale wolał nie przeholować.

– Opłata obejmuje usługi trzech ochroniarzy, ale będziemy musieli wziąć od pana gotówkę – odrzekł poważnie.

Ho wstał i podszedł do sejfu.

– Brzmi rozsądnie – przyznał.

Truitt uśmiechnął się. Oferta wcale nie była rozsądna, ale skąd Ho miał o tym wiedzieć?

– Zawiadomię ich – powiedział Truitt.

Ho zaczął obracać pokrętłem zamka szyfrowego sejfu.

– Pan Ho się zgadza – przekazał Truitt operatorowi na „Oregonie” – ale

ochrona musi być tutaj jak najszybciej.

- Cholera, dobry jesteś – mruknął z uznaniem operator.
- Jasne, że jestem – szepnął Truitt i wyłączył się.

Ho wrócił z dwiema paczkami banknotów. W każdej było dziesięć tysięcy dolarów. Mężczyzna wyjął z jednego pliku piętnaście studolarówek, resztę wręczył ubezpieczycielowi. Truitt schował pieniądze do teczki i uśmiechnął się do Ho.

- Ma pan kartkę papieru? – zapytał.
- Do czego? – zdziwił się Ho.
- Muszę napisać panu pokwitowanie – odrzekł Truitt.

Hanley sięgnął po słuchawkę telefonu i zadzwonił do Cabrillo.

- Dick Truitt załatwił wstęp do rezydencji trzem naszym dodatkowym ludziom.

Będą grali ochroniarzy.

- Wspaniale – ucieszył się Cabrillo. – Nie miał żadnych problemów z wyceną?
- Rozegrał to jak zawodowiec – odrzekł Hanley. – Ale w końcu nim jest.
- Mamy w Magicznej Pracowni mundury ochroniarzy?
- Oczywiście – odparł Hanley. – Tylko zadzwonię do Nixona i każę mu zrobić jakieś krzykliwe naszywki na maszynie do haftowania.

- Zajmij się tym szybko – polecił Cabrillo – żebyśmy mogli wycofać Truitta.
- Ho zaprosił go na przyjęcie – uprzedził Hanley. – Ale jeśli chcesz, każę mu wrócić.

– Powiedz mu, żeby zaczekał na przyjazd fałszywych ochroniarzy – odrzekł Cabrillo. – W ten sposób potwierdzi wobec Ho ich tożsamość. Potem niech będzie pod ręką. Mam dla niego następną robotę.

- Dobra – odparł Hanley.

Cabrillo rozłączył się i Hanley zadzwonił do Magicznej Pracowni.

- Kevin – powiedział – potrzebuję trzech mundurów ochroniarzy z odpowiednim oznakowaniem.

- Nazwa?

Hanley zastanowił się.

- Niech będzie Redman Security Services.
- Od Redford i Newman?
- Otóż to – przytaknął Hanley. – *Źądło*.
- Zrobienie naszywek zajmie mi jakieś dwadzieścia minut – uprzedził Nixon – ale przyślij tu trzech pracowników operacyjnych. Przez ten czas przymierzą mundury.
- Zaraz tam będą – odpowiedział Hanley i wyłączył się.

Zerknął na clipboard w sterowni. Większość akcjonariuszy korporacji miała już przydzielone funkcje – jedni zajmowali się samą operacją, inni ewakuacją, reszta wsparciem. Pozostał mu pomocnik szefa kuchni, Rick Barrett, inżynier mechanik napędu, Sam Pryor i specjalista do spraw rozbrojenia w średnim wieku, Gunther Reinholt. Żaden nie brał jeszcze udziału w akcji. Ale darowanemu koniowi nie zagląda

się w zęby.

– Zawiadom Reinholta, Pryora i Barretta – polecił Hanley jednemu z łącznościowców. – Niech przyjadą do Magicznej Pracowni na spotkanie ze mną.

Operator zaczął wywoływać mężczyzn.

– Bez obaw – powiedział Murphy do Halperta – to tylko pachnie jak marihuana.

Murphy wymachiwał wokół członków zespołu rockowego czymś o wyglądzie laseczki kadzidła. Do sali konferencyjnej wszedł Cabrillo.

– Śmierdzi tu jak na koncercie Grateful Dead – stwierdził.

Murphy podszedł bliżej i okadził dymem prezesa.

– O sukcesach korporacji decydują drobiazgi – przypomniał, szczerząc zęby.

– Prawdziwy zespół nie pali zielska – zauważył Cabrillo.

– Ale Ho o tym nie wie.

Cabrillo skinął głową.

– Posłuchajcie. Dick Truitt wprowadzi do środka trzech naszych dodatkowych ludzi. Będą przebrani za ochroniarzy. Zaraz dostaniemy nazwę ich agencji. Uważajcie, bo mogą tam być prawdziwi ochroniarze wynajęci wcześniej przez Ho. Nie pomylicie ich z naszymi.

Zadzwoił telefon. Cabrillo odebrał, słuchał przez moment, potem odłożył słuchawkę.

– Nasi ludzie będą z agencji ochrony Redman Security – poinformował grupę.

Weszła Julia Huxley.

– O, kurczę – powiedział z podziwem Kasim.

Huxley była ubrana w obcisłe skórzane spodnie z rozcięciami z boku i sznurowanymi nogawkami, które odsłaniały nogi od bioder do stóp. Do tego włożyła kamizelkę nabijaną metalowymi ćwiekami, która ledwo zasłaniała jej wydatny biust. Na szyi miała rzemyk z przywieszką w kształcie litery D, na ramieniu wytatuowany drut kolczasty i winorośl. Wymodelowaną fryzurę spryskała lakierem do włosów, na twarz nałożyła grubą warstwę wyzywającego makijażu. Całość uzupełniały półbuty na trzynastocentymetrowej podeszwie i brokat w sprayu na odkrytych częściach ciała.

– Czy jestem dla was wystarczająco seksowna, chłopcy? – zapytała.

– Nie wiedziałem, że w Magicznej Pracowni są takie kostiumy – powiedział Halpert.

Huxley podeszła i otarła się o jego bok. Jako lider zespołu, to on oczywiście miał dziewczynę.

– Też coś – obruszyła się. – To z mojej prywatnej kolekcji.

Oczywiście skłamała, ale w końcu cała operacja była oszustwem.

– I kto powie – odezwał się Kasim – że Ameryka nie jest najwspanialszym krajem na świecie?

# 18

Ross sprawdzała maszynę do sztucznego dymu, gdy z domu wyłonił się Ho i podszedł do niej.

– Pani Iseldo – powiedział – mam nowe dzieło sztuki, które chcę ustawić tutaj na trawie.

Ross obserwowała go uważnie. Wskazywał miejsce obok namiotu. Odwrócił głowę i spojrzał na nią pytająco. Nie wyglądało na to, żeby coś podejrzewał.

– To obraz? – zapytała.

– Nie, posąg – odrzekł.

Przy kolorowych reflektorach obok maszyny do dymu czekali dwaj pracownicy.

– Zróbcie sobie chwilę przerwy – poleciła Ross.

Mężczyźni weszli pod namiot.

– Jak wygląda ten posąg? – zainteresowała się Ross.

– Ma ponad metr osiemdziesiąt wysokości i jest ze złota – odparł Ho.

Ross zastanowiła się szybko.

– Może lepiej ustawić go tam – wskazała miejsce nieco dalej – na końcu czerwonego dywanu prowadzącego do namiotu. Jako coś w rodzaju strażnika.

Podeszli tam.

– Mogłabym go oświetlić niebieskimi i czerwonymi reflektorami punktowymi.

– Co jeszcze? – zapytał Ho.

Ross gorączkowo myślała. Co mogłoby pomóc korporacji w kradzieży?

– Co by pan powiedział na kłęby dymu – zaczęła wolno – żeby posąg zdawał się pojawiać i znikać?

– Doskonały pomysł – ucieszył się Ho.

Ross uśmiechnęła się. Kątem oka dostrzegła trzech ludzi z „Oregoną”, ubranych w mundury ochroniarzy. Dostała pomoc. Barrett, który grał szefa całej trójki, podszedł do nich.

– Pan Ho? – upewnił się.

– Tak.

– Przysłała nas firma ubezpieczeniowa.

Kiedy Ho nie patrzył, Barrett przyłożył palec do oka i mrugnął do Ross.

– Świetnie – odrzekł Ho. – Cieszę się, że przyjechaliście tak szybko. To jest pani Iselda odpowiedzialna za organizację przyjęcia. Zastanawialiśmy się właśnie nad najlepszym miejscem dla ekspozycji, którego będziecie pilnowali.

Barrett skinął głową.

– Myślimy o ustawieniu go tam – wskazał Ho – przed wejściem do namiotu.

Barrett zbadał wzrokiem teren, jakby chciał ocenić, czy miejsce jest bezpieczne. Potem znów odwrócił się do Ho.

– Moja firma wspominała, że to posąg.



- Zgadza się – przytaknął Ho. – Budda o wysokości metr osiemdziesiąt. Barrett pokiwał głową, jakby rozważał opcje.
- Ciężki? – zapytał.
- Waży około dwustu siedemdziesięciu kilogramów – odrzekł Ho. – Dlaczego pan pyta?
- Pomyślałem, że dla większej atrakcji może chciałby go pan w czasie przyjęcia przemieszczać z miejsca na miejsce. Ale to za duży ciężar dla moich ludzi.
- Chodzi panu o to – wtrąciła się z zapałem Ross – żeby posąg sprawiał wrażenie, że jest gościem?
- Coś w tym rodzaju – przyznał ochroniarz. – Poza tym, byłby bezpieczniejszy w otoczeniu ludzi.
- Interesujące – powiedział Ho.
- Wszystko jest prawie gotowe – oznajmiła Ross – ale mogłabym spróbować ściągnąć tu więcej posągów Buddy, żeby taki był motyw przewodni przyjęcia.
- Co pani ma na myśli? – zapytał Ho.
- Może udałoby mi się znaleźć gipsowe posągi – wyjaśniła Ross – i ustawić je na całym terenie.
- To by pomogło w ochronie – zgodził się Barrett. – Nikt by nie wiedział, który posąg jest prawdziwy.
- Myśli pani, że da się to załatwić? – zapytał Ho.
- Bez obaw, panie Ho – odparła Ross. – Moja firma potrafi czynić cuda.

Zespół rockowy zebrał się w sali konferencyjnej „Oregon”. Cabrillo i Hanley udzielali ostatnich instrukcji.

- Jak wiecie – powiedział Cabrillo – mamy wewnątrz trzech dodatkowych ludzi udających ochroniarzy, więc nie musimy się martwić o to, jak znieść posąg na dół. Powinien już tam być.
- To duży plus – zauważył Franklin.
- Zatem łatwiej będzie zabrać go z posiadłości – dodał Hanley – ale zobaczą to wszyscy goście.
- Co oznacza, że prawie na pewno musimy podać im narkotyk – odezwał się Kasim.
- Na to wygląda – przyznał Cabrillo.
- Koncert składa się z trzech części – ciągnął Hanley – więc macie dwie przerwy między wyjściami na scenę i jako członkowie zespołu możecie się wtedy swobodnie poruszać po terenie. Obserwujcie, jakie znaki daje wam prezes i bądźcie elastyczni, bo może się zdarzyć coś niespodziewanego.
- Mamy zapewniony samolot, aby przetransportować posąg po kradzieży? – zapytał Halpert.
- Oczywiście – odrzekł Cabrillo. – Właśnie tu leci.
- Na kiedy zaplanowaliście ewakuację? – zapytała Monica.

- Dziś w nocy za dziesięć dwunasta – odrzekł Hanley.
- Odplywamy stąd jutro – dodał Cabrillo – bez względu na wynik operacji. Wykonujemy naszą robotę i wynosimy się.
- Trochę bogatsi niż przedtem – uśmiechnął się Murphy.
- O to właśnie chodzi – zgodził się Cabrillo.

W świątyni A-Ma unosiły się pod sklepienie cienkie smugi wonnego dymu z kadzidła.

Po terenach dostępnych dla zwiedzających kręcili się turyści. Składali ofiary u stóp posągów Buddy, chodzili po żwirowych ścieżkach, siadali na drewnianych rzeźbionych ławkach i patrzyli w zamyśleniu na morze. Miejsce było oazą spokoju w świecie pełnym pośpiechu i zamieszania.

Winston Spenser nie odczuwał spokoju.

Dusił go strach. Był pewien, że Złoty Budda śmieje się z niego. Nieruchome spojrzenie masywnego posągu działało mu na nerwy. Nie mógł się doczekać, kiedy pozbędzie się tego świństwa i zainkasuje pieniądze. Widział to oczami wyobraźni – opancerzony samochód znów zabiera posąg i dostarcza do samolotu potentata komputerowego, a on dostaje skrzynie dolarów.

Wstał z ławki w głównej świątyni, wyszedł i skierował się w dół wzgórza do czekającej limuzyny. Parking był w połowie pusty. Większość ludzi w Makau szykowała się na paradę i wieczorne przyjęcia. Pod drzewem stały dwa motocykle. Spenser nie zauważył ich – był przybity widmem swojej porażki. Wsiadł na tylne siedzenie limuzyny i dał kierowcy wskazówki, dokąd jechać. Po chwili samochód wytoczył się z parkingu.

- Zobaczyłem to, co chciałem – powiedział jeden z motocyklistów.
- Ja też – przytaknął drugi.

Sześciu chińskich chłopców parkingowych czekało na pierwszych gości, którzy pokazywali zaproszenia ochroniarzowi, przejeżdżali przez bramę, okrążali kolisty podjazd i wysiadali z samochodów przed frontowymi drzwiami rezydencji.

Powoli zachodziło słońce, z posiadłości rozciągał się widok na oświetlone złocistym blaskiem morze. Spenser wygramolił się z tylnego siedzenia limuzyny i spojrzął na malowniczą scenerię. Był w czarnym smokingu i pocił się pod pachami. Wyprostował się i wszedł do holu.

Juan Cabrillo opuścił szybę furgonetki i wręczył ochroniarzowi świstek papieru.

– Zaparkujcie przy garażach – polecił ochroniarz – wyładujcie swój sprzęt i cofnijcie samochód za róg.

Cabrillo skinął głową. Kiedy brama się otworzyła, podjechał do garaży i ustawił furgonetkę przy krawędzi trawnika.

- Czas na przedstawienie – powiedział.

Muzycy wysiedli z samochodu i zaczęli przenosić sprzęt na tyły domu. Cabrillo ruszył za nimi w poszukiwaniu Ross. Zobaczył ją z daleka. Rozmawiała przez

komórkę. W pobliżu stało kilka osób.

- Jesteśmy The Minutemen – oznajmił, kiedy się rozłączyła.
- Dobrze – odrzekła Ross. – Estrada jest tam.
- Mamy kilka ciężkich głośników – powiedział Cabrillo – które musimy jakoś przetransportować.

- Zaraz załatwię kogoś do pomocy.
- Sami się tym zajmijmy – odparł Cabrillo. – Potrzebujemy tylko paru wózków. Ross skinęła głową i odwróciła się do jednego z dostawców.
- To lider zespołu muzycznego – wyjaśniła. – Potrzebuje kilku wózków, którymi wozicie stoliki.

Mężczyzna kiwnął głową i skinął na Cabrillo.

- Tędy.

Mark Murphy stał na scenie i przyglądał się otoczeniu. Trzy wielkie namioty ustawiono tak, że tworzyły literę Y z lekko podwyższoną estradą na końcu. W tylnej ścianie namiotu było zasłonięte wejście. Wystawały stamtąd przewody elektryczne zasilające głośniki i oświetlenie. Murphy odłożył gitarę i zerknął przez szczelinę. Dwanaście metrów za namiotem ciągnął się mur otaczający posiadłość. Po prawej stronie, w odległości dziesięciu metrów, biegła tylna ściana rezydencji z drzwiami kuchennymi. Murphy wyszedł na zewnątrz i ruszył wokół namiotu.

Z przodu, u szczytu litery Y, były wejścia dla gości. W rozwidleniu stała przenośna fontanna i mała drewniana platforma, na razie pusta. Murphy szedł dalej i patrzył, w jaki sposób namioty są przymocowane do ziemi. Od solidnych metalowych słupków podtrzymujących dach biegły linki połączone ze śledziami wbitymi w trawnik. Murphy spojrzał w górę. Ze szczytu każdego namiotu wystawały dwa długie maszty. Znalazł boczne wejście i podszedł do jednego z nich. Stał na plastikowej podstawie.

Murphy ocenił, że niewiele potrzeba, żeby wszystko się zawaliło.

Ho wracał do rezydencji, gdy nagle stanął jak wryty.

Do namiotu zbliżało się kilku długowłosych typów. Ale nie to go zainteresowało. Jego uwagę przykuła towarzysząca im dziewczyna. Zawrócił i podszedł do niej.

- Stanley Ho – przedstawił się z uśmiechem. – Gospodarz przyjęcia.

- Mam na imię Candace – odrzekła Julia Huxley.

Ho nie mógł oderwać wzroku od jej pełnego biustu.

- Trudno w to uwierzyć, ale nie przypominam sobie, żebym spotkał panią wcześniej.

Candace uśmiechnęła się zalotnie.

- Jestem z kapeli. A przynajmniej przyjechałam z nimi.

- Artystka? – zapytał Ho.

- W wielu dziedzinach – uśmiechnęła się Candace.

Ho czuł, że jeśli dobrze to rozegra, może mieć szczęście.

- Muszę wejść do środka i przywitać gości – powiedział szybko, gdy dostrzegł kątem oka nadchodzącą Iseldę. – Może uda nam się porozmawiać później.

Odwrócił się i ruszył w kierunku tylnych drzwi domu.

– Panie Ho! – zawołała za nim Ross. – Myślę, że uda się załatwić to, o czym rozmawialiśmy.

– Niech pani się tym zajmie! – odkrzyknął przez ramię.

Ross minęła Huxley.

– Dziwka – szepnęła pogardliwie.

– Lesba – odcięła się Huxley.

Max Hanley siedział w skórzanym fotelu w centrali „Oregona”.

– Dobra, ludzie – powiedział do trzech operatorów, którzy mu pozostali. – Zaczynamy. Obraz z drzewa – rozkazał.

Jeden z ekranów w sterowni wypełniło ujęcie z miniaturowej kamery na drzewie. Hanley zobaczył Cabrillo pchającego przez trawnik wózek z kilkoma długimi, prostokątnymi głośnikami. Ross właśnie minęła Huxley i teraz wracała do namiotów. Z jednego z nich wynurzył się Murphy. Jakby na zawołanie odwrócił się w kierunku drzewa i uśmiechnął.

– Larry – odezwał się Hanley – wszystko gra.

Larry King był członkiem korporacji ukrytym na drzewie. Poprawił karabin snajperski i miniaturowy mikrofon.

– Jaki jest obraz, szefie? – zapytał.

– Dobry – odrzekł Hanley. – Trzymasz się?

King musiał zająć pozycję nad posiadłością około trzeciej nad ranem. Tkwił na swoim stanowisku już ponad dwanaście godzin. Mogło się zdarzyć, że będzie musiał tam zostać drugie tyle.

– Kiedyś w Indonezji sterczałem na pozycji sześć dni – odparł. – Dzisiejsza robota to pryszcz.

– Sprawdziłeś, jakie masz pole ostrzału? – zapytał Hanley, choć znał odpowiedź.

– Zrobiłem to już tysiąc razy, szefie – odrzekł King i strącił z ramienia muchę.

King służył w wojsku jako snajper. Na rozkaz Hanleya mógł wystrzelić w posiadłość dwanaście pocisków, zanim ktoś zdążyłby kichnąć. Hanley miał nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale gdyby ktoś z załogi znalazł się w niebezpieczeństwie i nie byłoby wyboru, King zneutralizowałby zagrożenie.

– Bądź w pogotowiu, Larry – powiedział Hanley. – Damy ci znać, jeśli będziesz potrzebny.

– Przyjąłem – odparł King i nadal obserwował teren przez lunetę karabinu.

– Wnętrze namiotu – rozkazał Hanley.

Na ekranie pojawił się obraz z kamery ukrytej w obudowie klawiatury syntezytoru Cabrillo. Ujęcie nie było dobre.

– Juan – wywołał prezesa Hanley.

Cabrillo skrzył wózką za namiot, ale miał miniaturową słuchawkę.

– Musisz przesunąć klawiaturę trochę w prawo – powiedział Hanley. –  
Widzimy tylko część namiotu po lewej stronie.

Cabrillo lekko skinął głową.

– Teraz furgonetka – rozkazał Hanley.

Na innym ekranie, podzielonym na pół, wyświetlił się następny obraz. Kamery były zamontowane w bocznych lusterkach samochodu. Pokazywały większą część frontu domu. Lincoln wyjmował skrzynkę z tylnego przedziału furgonetki.

– Frankie – odezwał się Hanley.

Franklin Lincoln podszedł do kabiny samochodu, spojrział w jedno z bocznych lusterek i udał, że poprawia włosy.

– Postaraj się nie przestawiać furgonetki – polecił Hanley. – Mieliście szczęście i udało wam się zaparkować ją tak, że mamy dobre pole widzenia.

Lincoln pokazał do lusterka znak okay.

– Dobra, ludzie – powiedział Hanley do operatorów. – Mamy już oczy i uszy, więc bądźcie czujni.

# 19

Winston Spenser wszedł do rezydencji, wziął od przechodzącego kelnera kieliszek szampana, wypił połowę i ustawił się w kolejce do gospodarza. Rozpromieniony Stanley Ho ścisnął dłonie napływającym gościom. Przed Spenserem stało australijskie małżeństwo, z którym Ho właśnie się witał i konsul portugalski w Makau. Spenser cierpliwie czekał. Dopił szampana, przywołał kelnera, żeby wziąć następny kieliszek i wreszcie znalazł się naprzeciw Ho.

– Winston – uśmiechnął się gospodarz – miło cię widzieć, ale trochę się spóźniłeś. Inspektor ubezpieczeniowy już był.

– Przepraszam – odrzekł Spenser. – Późno się położyłem.

Chciał przejść dalej, ale Ho przytrzymał go za ramię.

– Nic nie szkodzi – powiedział. – Chyba zjawileś się w samą porę.

Wskazał schody.

Spenser dostał skurczu żołądka. Złoty Budda, przypasany do wózka jak pacjent szpitala psychiatrycznego, zjeżdżał w dół z pomocą ochroniarzy z Redman Security.

– Postanowiłem pokazać gościom mój najnowszy skarb – wyjaśnił Ho. – Bez obaw, powiem wszystkim, dzięki komu go zdobyłem.

Przez głowę Spensera przemknęło tysiąc myśli. Żadna nie była przyjemna.

– Nie sądzę... – zaczął, ale kolejka przesunęła się dalej i Ho zajął się następnym gościem.

– Porozmawiamy, kiedy wyjdziemy na zewnątrz – rzucił cicho Ho i odwrócił się, żeby uścisnąć dłonie jakiejś parze.

– Tylne wyjście – powiedział Hanley, wskazując ekran.

Przesunął włącznik na konsoli łączności i odezwał się do mikrofonu:

– Juan, Budda wyjeżdża na zewnątrz.

Na jednym z ekranów widać było Cabrillo wewnątrz namiotu. Sprawdzał podłączenie swojego syntezatora. Podniósł głowę i dał znak, że zrozumiał. Kiedy przywieziono Buddę, Ross przeszła do przodu namiotu i nadzorowała ustawienie posągu przy fontannie.

Cel całego planowania i wszystkich przygotowań był teraz na widoku.

Sung Rhee, główny inspektor policji w Makau, patrzył na posąg, stojąc na trawniku w pobliżu tylnych drzwi rezydencji. Znał Stanleya Ho, zanim ten dorobił się majątku. Gospodarz należał do jego znajomych, nie przyjaciół. Pierwszy statek Ho, początek jego fortuny, wciąż był cierniem w boku Rhee.

Inspektor pracował wtedy jako detektyw w wydziale do walki z przemytem. Nabral podejrzeń, że Ho przerzuca swoim statkiem narkotyki. Ale nigdy nie udało mu się przyłapać go na tym. Fortuna Ho szybko rosła, a wraz z nią jego wpływy. W ciągu

ostatnich dziesięciu lat Rhee dwukrotnie dostał rozkaz, żeby zostawić Ho w spokoju, choć miał już tyle dowodów, że mógłby wnieść oskarżenie. Inspektor obawiał się, że po zalegalizowaniu swoich interesów Ho już nigdy nie zapłaci za ciemne sprawy z przeszłości.

Rhee został zaproszony na przyjęcie jako osoba prywatna, co było zwykłym mydleniem oczu gościom.

Podobnie jak burmistrz, ambasadorowie różnych krajów i drugorzędny członek rodziny królewskiej, Rhee był tu po to, żeby dodać gospodarzowi wiarygodności, której Ho bardzo potrzebował.

Rhee pełnił tutaj funkcję rekwizytu, ale ani na moment nie przestał być policjantem. Patrzył na złoty posąg i zastanawiał się, w jaki sposób by go ukradł, gdyby był złodziejem. Rozejrzał się po terenie w poszukiwaniu drogi ucieczki. Mur wokół posiadłości zmuszał do wycofania się bramą główną. Ustawienie ekspozycji na widoku ułatwiało jego ochronę – zapewniało, że cały czas będzie w zasięgu czyjś wzroku. Rhee rozejrzał się jeszcze raz i lekko pokręcił głową.

Uznał, że posąg jest bezpieczny i wszedł do rezydencji na paszteciki z krewetkami.

Ciemnozielona limuzyna Mercedes-Benz podjechała do bramy i została wpuszczona. Kierowca Tom Reyes okrążył kolisty podjazd i zatrzymał się przed frontowym wejściem do rezydencji. Wysiadł, otworzył tylne drzwi i pomógł wyjść pasażerze.

Kiedy Crabtree stanęła obok samochodu, Reyes podbiegł do lokaja w wejściu.

– To księżna Aalborg z Danii.

Lokaj odsunął się na bok i Crabtree wkroczyła do holu z szelestem satyny i koronek. Podeszła do stojącego samotnie Ho.

– Księżna Aalborg – zaanonsował zza jej pleców Reyes.

Ho schylił się i pocałował ją lekko w rękę. Wyprostował się i uśmiechnął.

– Jestem zaszczycony, mogąc gościć panią w moim skromnym domu.

– Uroczy – stwierdziła Monica Crabtree z dziwnym akcentem.

Ho strzelił palcami i natychmiast zjawił się kelner.

– Czy mogę zaproponować drinka?

– Szampan z truskawką byłby miłym poczęstunkiem – odrzekła Crabtree.

Ho skinął kelnerowi, a ten pobiegł spełnić polecenie.

– Jeeves – zwróciła się Crabtree do kierowcy – dalej sobie poradzę. Jesteś teraz wolny.

Reyes cofnął się, odwrócił i poszedł do wyjścia. Odjechał limuzyną sprzed drzwi frontowych rezydencji, zaparkował przy garażach i wysiadł. Stanął przed maską samochodu, zsunął czapkę na tył głowy i zapalił papierosa.

Hanley połączył się z Cabrillo.

– Monica jest w środku – zameldował.

Nad posiadłością zapadł zmierzch. Lekka bryza przynosiła zapach morza. Kilka kilometrów dalej, na trasie parady, ożyły silniki samobieżnych platform stojących na czele kolumny. Orkiestra, która miała przemaszerować jako pierwsza, zaczęła ustawiać się w szeregi, oczekując na sygnał rozpoczęcia uroczystości. Makau przygotowywało się powoli do nadejścia nocy. Na wzniesieniach w centrum i wzdłuż wybrzeża zapalały się światła. Na morzu pobłyskiwały lampy nawigacyjne statków zbliżających się do portu. Na niebie zaś pojawiły się świetliste punkty przylatujących i odlatujących samolotów.

Wszyscy goście już przyjechali i trawnik przed rezydencją wyglądał jak plac autokomisu z luksusowymi samochodami. Parkowały tu jaguary i bmw, jedno lamborghini, dwa ferrari, dwanaście różnych limuzyn, opancerzony hunwee i stary rolls-royce. Kamery na szczycie muru odgradzającego posiadłość od ulicy obracały się tam i z powrotem, ale nikt już nie nadjeżdżał i ochroniarza zmęczyło patrzenie na monitor.

Toteż nikt nie zauważył dwóch motocykli, które wolno minęły posiadłość w drodze na północ.

Bystry obserwator znajdujący się na rzeczy dostrzegłby, że jeden z bocznych wózków został powiększony i wzmocniony. Zmiany były ledwo widoczne, ale przy bliższych oględzinach okazałoby się, że pod spodem dodano małe koło i usunięto siedzenie pasażera, by zrobić więcej miejsca dla ładunku. Motocykle zatrzymały się przed znakiem stopu, potem skrzyły w lewo w kierunku portu. Kierowcy mieli w pobliżu umówione spotkanie.

Zespół muzyczny sprawdzał udźwiękowanie. Ściana głośników za estradą stwarzała atmosferę dużego koncertu rockowego, ale gdyby ktoś stanął tuż przy nich, zorientowałby się, że z niewielu wydobywa się dźwięk. Funkcjonowała jedynie mała ich część. Pozostałe były pustymi obudowami, a w niektórych ukryto sprzęt potrzebny do operacji.

Ross podeszła do Cabrillo.

– Zaczynacie o siódmiej – przypomniała. – Jesteście gotowi?

Cabrillo spojrzał na muzyków, potem na tłum gości. Niektórzy siedzieli, inni kręcili się po namiocie od stolika do stolika.

– Puszczę podkład muzyczny na znak, że zaraz zaczynamy.

Podszedł do głównej konsoli i przesunął włącznik. Na dźwięk muzyki goście ruszyli do swoich krzeseł. Stanley Ho stał w wejściu do namiotu lewej stronie Y. Czarował Huxley opowieściami o swoim ogromnym majątku i wpływach.

– Podoba mi się ten Budda – powiedziała z uśmiechem Huxley. – Może ma pan inne dzieła sztuki, które mógłby mi pan później pokazać?

– Z przyjemnością – odrzekł Ho. – W gabinecie na górze mam wiele eksponatów, które mogłyby panią zainteresować. Może wymkniemy się później i obejrzymy je razem?



– Bardzo chętnie – zgodziła się Huxley.

Ho z zadowoleniem skinął głową. Widział już w wyobraźni, jak zabójcza blondynka zaspokaja jego żądzę. Był gotów zignorować swoich gości, żeby wykorzystać taką okazję.

– Muszę teraz powiedzieć kilka słów na powitanie – stwierdził – ale potem możemy się spotkać.

Huxley uśmiechnęła się i odeszła. Ho ruszył przez tłum. Zatrzymywał się przy niektórych stolikach i wymieniał uprzejmości z gośćmi. Po kilku minutach stanął przed estradą.

– Jestem Stanley Ho – przedstawił się Halpertowi. – Czy mogę skorzystać z waszego mikrofonu, żeby przywitać gości?

Halpert wręczył mu mikrofon. Ho postukał w osłonę membrany, żeby się upewnić, czy urządzenie działa.

– Panie i panowie... – zaczął.

Tłum się uciszył.

– Chciałbym powitać wszystkich na moim przyjęciu wydanym z okazji Wielkiego Piątku.

Rozległy się oklaski.

– Mam nadzieję, że będą państwu smakowały potrawy i napoje.

Następne oklaski.

– Mam również nadzieję, że wszyscy będą mieli okazję obejrzeć mój ostatni nabytek, symbol szczęścia. Ekspонат stoi przy wejściu do namiotu. Jak inni, którym składamy dzisiaj hołd, uosabia światłość i duchowość, co jest myślą przewodnią uroczystości odbywających się dziś wieczorem. Uczcijmy chwilą ciszy tych, którzy oddali życie za naszą wolność\*.

Tłum zamilkł.

– Dziękuję – odezwał się po chwili Ho. – Zobaczą dziś państwo pokaz świateł i ogni sztucznych, wystąpi też wspaniały zespół muzyczny prosto z Kalifornii w Stanach Zjednoczonych. Posłuchajmy razem grupy The Minutemen.

Oddał mikrofon Halpertowi. W tym samym momencie światła w namiocie zaczęły przygasać i pozostał tylko jeden reflektor punktowy wycelowany w plecy Halperta, który stał tyłem do tłumu. Zespół włączył instrumenty i zabrzmiały pierwsze tony *Already Gone* grupy Eagles.

Halpert odwrócił się i zaczął śpiewać.

Bardziej niż cokolwiek innego, kluczem do udanej kradzieży jest niewidzialność. Obaj motocykliści wiedzieli o tym, gdy szli cicho przez świątynię bogini A-Ma w kierunku swojego celu. Turyści rozjechali się na noc do domów, większość mnichów

---

\* Chodzi o tzw. rewolucję goździków w Portugalii. W kwietniu 1974 r. obalono przywódcę kraju M.J. Caetano, co zapoczątkowało proces dekolonizacji portugalskich posiadłości zamorskich, w tym Makau, które na mocy porozumienia przeszło w 1999 r. w ręce Chińczyków (przyp. red.).

uczestniczyła w jadalni w skromnym wieczornym posiłku. Boczne pomieszczenie, gdzie stał cel motocyklistów, było słabo oświetlone i dwaj mężczyźni w czarnych ubraniach i maskach na twarzach wtapiali się w mrok.

– Jest – szepnął jeden z nich.

Pchał przed sobą mocny wózek transportowy ukradziony poprzedniej nocy z magazynu sklepowego. Dotoczył go do celu, obejrzał artefakt i zaczął czekać, aż jego partner zamknie drewnianą skrzynię i przechyli ją tak, żeby można było wsunąć pod nią wózek. Przypięli ją pasami ruszyli z powrotem w kierunku drzwi.

Winston Spenser wypił już lampkę wina i teraz sączył koniak. Miał przyjemny szum w głowie i czuł, że chyba uda mu się osiągnąć cel. Zerknął na zegarek. Zostało mu jeszcze trochę czasu. Potem wymknął się stąd i spotkał przed świątynią z załogą opancerzonego samochodu. Pojadą na lotnisko, gdzie załatwi interes z potentatem komputerowym.

O świcie już go tu nie będzie i zrobi sobie przerwę w picciu.

Dokończył koniak i przywołał przechodzącego kelnera, żeby mu nalał następną kolejkę. Potem odwrócił się do osoby siedzącej obok.

– Doskonały zespół – powiedział.

– O, tak – odrzekła Crabtree.

Dwieście dwadzieścia siedem mil morskich od Makau wiśniowy odrzutowiec przelatywał nad wyspą Tungsha na Morzu Południowochińskim i powoli schodził do lądowania. Potentat komputerowy przeszedł na przód samolotu i ściągnął mocniej pas czarnego jedwabnego kimona.

– Panie są zmęczone – oznajmił z odcieniem ledwo ukrywanej dumy. – Moglibyście przygotować kawę, sok pomarańczowy i kruche ciasteczka i zanieść na tył?

– Już się robi – odrzekł blondyn i zerwał się z miejsca.

Miliarder poszedł dalej i zapukał do kokpitu.

Drzwi otworzył drugi pilot.

– Tak? – zapytał.

– Kiedy lądujemy?

Pilot zerknął na mapę nawigacyjną.

– Za niecałe pół godziny.

– Zorganizowaliście tankowanie?

Pierwszy pilot odwrócił głowę w kierunku drzwi.

– Wszystko załatwione.

Przechodząc przez kuchnię, miliarder poczuł zapach świeżej kawy.

– Za około pół godziny będziemy na ziemi – powiedział.

Blondyn zaczął czekać, aż miliarder pójdzie dalej, potem odczepił od paska pager i wcisnął kilka przycisków. Mrugnął do swojej koleżanki i dokończył przygotowania.

Trzej ochroniarze z Redman Security zerknęli w górę, gdy zespół muzyczny zakończył ostatnią piosenkę pierwszej części koncertu. Potem Sam Pryor odwrócił się do kamery i dotknął nosa.

Na „Oregonie” Max Hanley sięgnął po mikrofon.

– Julio – powiedział – możesz zaczynać.

Huxley wysunęła się zza ściany głośników i skinęła do Halperta. Cabrillo, Lincoln i Murphy zaczęli usuwać głośniki z zestawu za ich plecami. Podeszedł Ho.

– Macie jeszcze dwa wyjścia na estradę – przypomniał.

– Problemy techniczne – odparł Cabrillo. – Trzy głośniki nie działają. Bez obaw, bez nich też będzie dobre brzmienie.

– Chcecie, żebym zabrała je z powrotem do furgonetki? – zapytała Huxley.

– To część twojej roboty – zauważył Halpert.

Ho spojrział na Huxley. Zaniepokoił się, że jego zabójcza blondynka spoci się przy pracy.

– Przyślę wam do pomocy ochroniarza – zaproponował. – Pani Candace prosiła wcześniej, żebym oprowadził ją po moim domu.

– Okay, panie Ho – zgodził się Cabrillo. – Wystawimy głośniki przed namiot, potem ochroniarz pomoże nam zabrać je do furgonetki.

– Proszę bardzo – odrzekł Ho. – Mogę pani teraz pokazać mój dom, Candy?

Ross przywołała gestem szefa kelnerów.

– Pan Ho chce przed drugą częścią koncertu wznieść specjalny toast.

– Poncz z marakują? – zapytał mężczyzna.

– Zgadza się – przytaknęła Ross.

– Tuż przed podaniem głównego dania?

– Taki jest plan.

– Więc schłodzę poncz – powiedział szef.

– Macie tu wszyscy dużo roboty – odrzekła Ross. – Ja się tym zajmę.

Kiedy mężczyzna odszedł, wyjęła płaską butelkę i wyciągnęła korek. Gęsty płyn miał dziwny, niebieskozielony kolor i unosiły się w nim drobiny wyglądające jak sproszkowane srebro. Ross potrząsnęła mieszaniną w butelce i wlała ją do kadzi. Wzięła drewnianą łyżkę, zamieszała poncz i dodała blok lodu.

Szef kelnerów stał w głębi kuchni i rozmawiał z kucharzem.

– Można już przelać poncz do kryształowych dzbanków! – zawołała Ross – i zanieść do namiotu. Niech kelnerzy zaczną podawać.

Szef w odpowiedzi skinął ręką i Ross wyszła z powrotem na zewnątrz.

– Był sygnał od Ross – zameldował Larry King.

Na „Oregonie” Hanley obserwował monitory.

– Widzieliśmy, Larry.

Zrobił zbliżenie Buddy. Reinholt, Pryor i Barrett ustawili się w trójkącie wokół

posągu. Na lewo od nich trzy wielkie stopy głośników czekały na wózkach na zabranie.

– Kiedy tylko Ho wzniesie toast i zespół znowu zagra, zaczynamy odwrót – powiedział Hanley. – Czy ktoś widział Ho?

– Wszedł do domu z Huxley – odrzekł King.

– Słyszę go – dodał jeden z operatorów na „Oregonie”. – Jest w swoim gabinecie na górze.

– Daj go na głośnik – rozkazał Hanley.

– To Manet – rozległ się głos Ho.

– Manet i Monet zawsze mi się mylą – odpowiedziała Huxley. – Ale w końcu sztuka nie jest moją mocną stroną.

– A co jest? – zapytał Ho.

W tym momencie Hanley włączył miniaturową słuchawkę w ucho Huxley.

– Julio – szepnął – musisz zabrać Ho z powrotem do namiotu, żeby wznosił toast. Natychmiast.

– Musiałabym to panu pokazać – zamruczała Candace – ale na to potrzeba czasu. Będę się czuła dużo bezpieczniej, kiedy kapela zacznie następny kawałek i mój chłopak będzie zajęty.

– Lepiej poczekać – przyznał Ho.

Huxley podeszła do niego i otarła się biustem o jego bok.

– Szybko załatwię toast – obiecał z rosnącym pożądaniem.

– Ja też muszę się tam pokazać – odrzekła Huxley. – A potem będziemy mieli mnóstwo czasu.

Ho wskazał drzwi i oboje wyszli z pokoju.

W namiocie kelnerzy sprząтали ze stolików zakąski. Potem zaczęli nalewać poncz z kryształowych dzbanków do małych szklanych pucharków. Większość gości wróciła już na swoje miejsca. Ho siedł środkiem namiotu w kierunku estrady. Po drodze wziął pucharek ponczu od przechodzącego kelnera.

Mark Murphy zakładał ostatnie ładunki wybuchowe wokół terenu i namiotu. Schował do kieszeni małego pilota i wszedł za estradę. Juan Cabrillo stał z boku sceny i patrzył na tłum. Crabtree miała na podłodze obok siebie dużą damską torebkę. Sprawdziła nogą, czy jest blisko. Kasim, Lincoln i Halpert czekali z boku estrady na swoją kolej. Przed frontem namiotu spacerowali nerwowo trzej ochroniarze z Redman Security.

Ho podeszedł do Cabrillo.

– Czy mikrofon jest włączony?

– Moment – odrzekł Cabrillo i przesunął włącznik. – Okay.

Ho postukał w mikrofon, żeby sprawdzić, czy działa.

Mnich wyszedł z jadalni i stanął jak wryty. W poprzek niszy, gdzie ustawiono Złotego Budę, wisiał transparent z arabskim napisem, ale masywny posąg zniknął.

Mężczyzna wbiegł z powrotem do jadalni, żeby zaalarmować innych. Do głównej świątyni wkroczyło dwunastu mnichów w żółtych szatach, żeby ocenić sytuację. Potem przełożony klasztoru wszedł do biura i podniósł słuchawkę telefonu.

– Dlaczego nie robią tych wózków z hamulcami? – wysapał jeden z motocyklistów, gdy wbijał pięty w ziemię, żeby spowolnić zjazd ze wzgórza, na którym stała świątynia.

Jego kolega trzymał wózek z Buddą z przodu i próbował go wyhamować, ale na luźnej ziemi nie miał punktu oparcia i zsuwał się szybko w dół.

– Puść go i złap z tyłu – szepnął pierwszy mężczyzna.

W końcu jakoś dotarli do stóp wzniesienia. Kiedy odzyskali kontrolę nad wózkiem transportowym, dociągnęli go szybko do bocznego wózka motocykla i przecięli pasy. Mężczyzna z przodu otworzył drzwi wózka.

– Ładujemy go – powiedział.

W tym momencie rozległ się gong świątynny.

– Cholera – zaklął pierwszy mężczyzna, gdy obaj siłowali się, żeby umieścić posąg w bocznym wózku. – Myślałem, że zdążymy przynajmniej wyjechać z parkingu, zanim ktoś się połapie.

– Przypnę go – odpowiedział drugi motocyklista. – Odpalaj silnik.

Mężczyzna wsiadł na motocykl i wcisnął rozrusznik. Silnik ożył. Jego partner umocował Buddę, podszedł do swojej maszyny i uruchomił ją. Spojrzał w górę wzgórza i zobaczył kilku mnichów zbiegających na dół. Zatrąbił. Pierwszy motocyklista odwrócił głowę. Na widok mnichów sięgnął do sprzęgła i czubkiem buta wrzucił bieg. Obrócił pokrętko gazu i ruszył w kierunku wyjazdu z parkingu.

– Jeszcze raz dziękuję wszystkim za przybycie – zaczął Ho. – Zanim wzniosę toast, nagrodźmy oklaskami zespół The Minutemen.

Rozległy się brawa.

– A teraz proszę wszystkich o uniesienie pucharów.

Ho zaczekał.

– W ten święty dzień wypijmy za spokój i dobrobyt – powiedział. – Pamiętajmy o tych, którzy poświęcili tak wiele, by inni mogli żyć w pokoju.

Uniósł puchar do ust i wypił łyk. Goście poszli w jego ślady.

– Za chwilę zaproszę wszystkich na kolację – oznajmił. – A teraz zespół muzyczny rozpocznie drugą część występu.

– Wypili – powiedział Hanley do wszystkich, którzy go słuchali. – Zaczynamy za pięć minut.

Czasami, jeśli się wie, gdzie spojrzeć, można sobie uświadomić, że życie jest dobrze zgranym baletem. Widać wtedy zdarzenia pozornie niezwiązane ze sobą. Gdyby ktoś popatrzył teraz z wysoka na przyjęcie, zobaczyłby dwie zupełnie różne grupy ludzi. Członkowie korporacji zaczęli się poruszać jak figury na szachownicy,

podczas gdy wszyscy goście zdawali się zachowywać jak jedna osoba.

Sung Rhee starał się skupić wzrok na jednym punkcie, ale wewnątrz namiotu pływało i falowało. Na obrzeżach jego pola widzenia pojawiły się niebieskie plamki. Potem wydało mu się, że dostrzega kątem oka czerwonożółtą łasicę, ale kiedy odwrócił głowę, stworzenie zniknęło. W tym momencie odezwała się jego komórka.

- Rhee – zgłosił się.
- Ledwo pana słyszę – powiedział jeden z jego detektywów.

Rhee popatrzył na miniaturowy telefon. Trzymał go trzydzieści centymetrów od ust, jakby nie potrafił ocenić odległości. Spróbował przyłożyć aparat do ucha, ale trzasnął nim w skroń.

- A teraz? – zapytał.
- Lepiej – odrzekł detektyw. – Przed chwilą dostaliśmy telefon od przełożonego klasztoru przy świątyni A-Ma. Dwaj mężczyźni właśnie ukradli stamtąd duży złoty posąg Buddy.

Rhee zastanowił się. Budda stał tuż przed namiotem.

– Wszystko w porządku powiedział inspektor. – Widziałem wcześniej naszego przyjaciela.

- O czym pan mówi? – zdziwił się detektyw.

Rhee spojrział na kompozycję kwiatową na środku stolika. Wyłonił się stamtąd łeb maleńkiego konia i poprosił z brytyjskim akcentem:

- Zabierz mnie na przejażdżkę.
- Posłuchaj, no – warknął Rhee. – Mój koń tu jest.
- Zaraz tam przyjadę – oznajmił detektyw.

Rhee upuścił komórkę i odwrócił się do osoby siedzącej obok.

- Widziałeś mojego konia?

Jego sąsiad był trollem i mówił w języku, którego Rhee nie rozumiał.

Przez ryk silników motocyklowych przebił się dźwięk syreny za wzgórzem. Dwaj mężczyźni zatrzymali się i nasłuchiwali. Dźwięk nie zbliżał się ani nie oddalał.

– Dobrze jest – powiedział jeden z nich. – Utknęli w korku, tak jak przewidzieliśmy.

- Jedziemy – odrzekł jego kolega.

Uruchomili motocykle i ruszyli.

Detektyw Ling Po jechał do rezydencji i wrzeszczał przez radio. Był niecały kilometr od posiadłości, gdy utknął w korku.

- Czy ktoś ma szansę dojechać do świątyni?! – krzyknął do mikrofonu.

Kolejno zgłaszały się radiowozy. Tylko samochód na Inner Port Road posuwał się naprzód.

Po zatrąbił i znów odezwał się przez radio.

- Dwaj faceci na motorach ukradli dużego złotego Buddę. Czy ktoś ich widział?

Wszystkie odpowiedzi były negatywne.

Po skręcił na chodnik, wcisnął klakson i pojechał dalej.

Zespół wykonywał utwór *The Boys Are Back in Town* grupy Thin Lizzie.

Na „Oregonie” Hanley z niepokojem patrzył na monitory. Spodziewał się dziwnych zachowań gości po narkotyku w ponczu, ale widział kompletny chaos. Tłum w smokingach i sukniach wieczorowych nagle zappełnił parkiet. Kilka kobiet zdzierało z siebie ubrania.

Stanley Ho wtoczył się oszołomiony po namiocie. Czuł się dziwnie, ale nie wiedział, dlaczego. Dostrzegł Candace i ruszył w jej kierunku.

- Uwaga wszyscy, zaczynamy za sześćdziesiąt sekund – uprzedził Hanley.
- Słyszę syreny – zameldował King. – Zbliżają się.
- Monica – powiedział Hanley – słyszysz mnie?

Crabtree odwróciła się do kamery ukrytej w obudowie syntezatora i mrugnęła.

- Teraz – rozkazał Hanley.

Crabtree rozerwała saszetkę wyjętą z torebki i włożyła zawartość do ust. Ho był kilka kroków od niej. Zatoczyła się w jego kierunku z pianą w kącikach warg. Złapała go za szyję i przytrzymała mocno.

- Odpalaj, Murph – polecił Hanley.

Murphy wsunął rękę do kieszeni i wcisnął włącznik. Niemal natychmiast nastąpiła seria eksplozji przypominających fajerwerki. Światła w namiocie i na zewnątrz zgasły.

- Robimy zamianę – powiedział Hanley.

W tym momencie Barrett i Pryor zepchnęli z wózka transportowego jeden z wielkich głośników i otworzyli tylną ściankę. Na trawę wysunęła się gipsowa replika Buddy pomalowana złotą farbą. Jednocześnie Reinholt zarzucił brzeg namiotu na prawdziwy posąg. Kilka roślin w donicach ustawionych wewnątrz namiotu zasłaniało ochroniarzy przed wzrokiem ewentualnych obserwatorów.

– Na froncie zachodnim ciemno – zameldował King, badając teren w jasnozielonej poświacie swojej lunety noktowizyjnej.

- Żadnego ruchu? – zapytał Hanley.

King omiótł lunetą teren i spojrzał w dół wzgórza.

– Wzdłuż Avenida Republica jedzie nieoznakowany wóz policyjny z lampą błyskową na dachu. Jest trzysta dwadzieścia metrów stąd.

- Trafisz w niego z takiej odległości? – zapytał Hanley.

– O, wy, ludzie małej wiary – odrzekł King. – To samochód, nie robak. Wątpię, żebym trafił w nos kierowcy, ale nigdy nie wiadomo.

- Wystarczy w oponę, Larry – powiedział Hanley.

- Moment – odparł King.

Oparł karabin o gałąź, wyrównał oddech i zaczekał, aż samochód znajdzie się w polu ostrzału. Zastygł niemal, osiągając stan koncentracji zen. Cel pojawił się jakby w

zwolnionym tempie. King ściągnął spust i siłą woli zmusił pocisk do lotu właściwym torem. Iglica karabinu uderzyła w spłonkę, powstała iskra, w łusce zapalił się proch i wypchnięty pocisk nabrał w gwintowanej lufie ruchu obrotowego. Opuścił lufę, wydostał się z tłumika u jej wylotu i poszybował w dół wzgórza prosto do celu.

– Niech to szlag – zaklął Po, kiedy strzeliła mu przednia opona. Zatrzymał się, wysiadł z samochodu i zostawił otwarte drzwi. Popatrzył w tył na chodnik, żeby zobaczyć, na co najechał. Nic nie zauważył, ale to nie miało znaczenia. Spojrzał na wzgórze, gdzie zamierzał dotrzeć, ale uznał, że jest za strome na wspinaczkę. Wsiadł z powrotem za kierownicę i sięgnął po radio.

- Cel unieruchomiony zameldował King. – Wzywa pomoc.
- Dobra robota – pochwalił Hanley.

Patrzył na monitory, ale przy braku światła w posiadłości niewiele mógł zobaczyć. Zerknął na zegarek, potem na plan akcji. Minęło trzydzieści sekund. King nadal obserwował teren. Z domu wyszło kilku pracowników kuchni. Stanęli w grupie przed tylnymi drzwiami. King przesunął lunetę w kierunku frontu rezydencji. Zauważył, że po odcięciu dopływu prądu automatycznie otworzyła się brama wjazdowa. Dziesięć sekund.

- Masz już w lunecie ładunek przy baterii ogni sztucznych? – zapytał Hanley.
- Tak – odrzekł King.
- Po strzale uważaj na oczy – doradził Hanley.
- Przejdę na zwykłe przyrządy celownicze – odpowiedział King.
- Odliczam. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Teraz.

King ściągnął spust. Pocisk trafił w ładunek wybuchowy podłożony przez Murphy'ego kilka godzin wcześniej. Fajerwerki eksplodowały z hukiem. W niebo wystrzeliły rakiety, urządzenia podobne do moździerzki artyleryjskich plunęły ogniem. Słychać było przeraźliwe świsty i trzaski. King przetarł oczy i popatrzył na oświetlony teraz teren.

Jego uwagę zwróciły trzy błyski latarki przed frontem namiotu.

- Mam sygnał, że zamiana zakończona – zameldował.
- Wezwij helikopter – rozkazał Hanley jednemu z operatorów.
- Ona ma jakiś atak! – krzyknął Ho.

Monica Crabtree wisiała mu na szyi i przewracała oczami. Znajomy lekarz Ho tańczył na pobliskim stoliku, ale nie zareagował na jego wezwanie. W tym momencie podszedł Barrett.

- Ta kobieta jest chora – powiedział Ho.

Ochroniarz chwycił Crabtree i ułożył na ziemi. Wewnątrz namiotu panował chaos. Dudniła muzyka, ale w mroku nikt nie zauważył, że zespół zszedł z estrady. Ho miał zawroty głowy i problemy z koncentracją. Ochroniarz przytknął wargi do ust Crabtree.

- Tylko bez języczka, proszę – szepnęła.

Ochroniarz udał, że robi jej sztuczne oddychanie, potem odwrócił się do Ho.



- Ona umiera.
- Wezwij pomoc – odparł Ho.

Ochroniarz odczepił od pasa radio i wezwał karetkę.

- Juan – powiedział Hanley. – Ptaszek nadlatuje.
- Wycofujemy się – zawiadomił Cabrillo swoją ekipę. – Zbierać się.

Reinholt i Pryor pchali przez trawnik wózek z atrapami głośników. Kierowali się do lądowiska dla helikoptera na końcu terenu. Kiedy dotarli na miejsce, wyjęli z kieszeni zielone pręty świetlne i zgięli je w połowie długości.

Nastąpiła reakcja chemiczna i rurki rozżarzyły się. Mężczyźni rozrzućili je tak, że utworzyły krąg, żeby pilot wiedział, gdzie wylądować.

W namiocie nadal panował zupełny chaos. Goście śpiewali, wyli, tańczyli i skakali. Sung Rhee obmacywał kobietę przy swoim stoliku, burmistrz Makau wypijał wodę z kompozycji kwiatowej.

Tylko Winston Spenser wydawał się spokojny. Przy podrażnieniu żołądka dostawał uczulenia na sok owocowy. Udał, że wznosi toast i zorientował się, że coś jest nie tak. W tym momencie poczuł ukłucie w szyję. Po chwili głowa opadła mu na stół.

Zakorkowana Inner Port Road odblokowała się na moment i wóz policyjny wystrzelił do przodu. Kierowca dostrzegł w oddali dwóch motocyklistów. Skręcili w Calçada da Barra. Wcisnął gaz do dechy i rozpoczął pościg.

– Widzę ich! – krzyknął przez radio. – Są na Calcadzie. Jadą na północny zachód.

Motocyklista wiozący Buddę zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył zbliżający się wóz policyjny. Zamachał uniesioną ręką i drugi motocyklista odwrócił głowę. Zwolnił i zaczął, aż samochód będzie tuż za nim. Potem pociągnął dźwignię przy bocznym wózku.

## 20

Starannie zaplanowane przyjęcie Stanleya Ho przerodziło się w bachanalia.

Juan Cabrillo podszedł do gospodarza stojącego obok leżącej Crabtree. Ho był oszołomiony. Działo się tyle rzeczy, że jego zmacony narkotykiem umysł nie mógł ich ogarnąć. Przed chwilą przyszła do niego lesbijka odpowiedzialna za organizację przyjęcia i oświadczyła, że nie wie, jak z powrotem włączyć prąd. zaproponowała, że kilku pracowników podniesie boki namiotu, żeby wewnątrz oświetlał blask księżyca. W środku zrobiło się teraz trochę jaśniej, ale wielu gości zaczęło wychodzić na trawnik.

– Panie Ho – powiedział ochroniarz – ulice są tak zakorkowane, że karetka tu nie dojedzie. Proponuję zabranie chorej helikopterem.

Ho spojrział w dół. Śmierć drugorzędnej członkini rodziny królewskiej na jego przyjęciu z pewnością nie zrobiłaby mu dobrej reklamy w kręgach towarzyskich.

– Załatw to – polecił.

– Już to zrobiłem – odrzekł ochroniarz. – Ale mamy następny problem.

Tylko tego brakowało, pomyślał mętnie Ho.

– Jaki?

Ochroniarz wskazał Spensera.

– Tamten gość chyba zasłabł.

– Niech i jego zabiorą – zdecydował Ho.

– Panie Ho – wtrącił się Cabrillo. – Niektórzy członkowie mojego zespołu mają mdłości. Chyba zakąski były nieswieże. Proponuję zakończyć przyjęcie i natychmiast zapewnić gościom opiekę medyczną.

Na oczach Ho wszystko się waliło.

– Mój zespół chce już jechać – ciągnął Cabrillo. – Przystawimy furgonetkę za namiot i załadujemy sprzęt.

– Jest mi potrzebny mikrofon, żeby nadać komunikat – powiedział Ho.

– Wszystko już wyłączyliśmy – odparł Cabrillo. – Ale mamy megafon. Może pan z niego skorzystać. Przyniosę go z furgonetki.

Ho odwrócił się do ochroniarza.

– Kto pilnuje Buddy?

– Moi dwaj koledzy – odrzekł mężczyzna. – Ale proponuję wnieść posąg z powrotem do domu.

– Zanieście go do mojego gabinetu – rozkazał Ho.

Rozległ się hałas nadlatującego helikoptera.

Ochroniarz sięgnął po walkie-talkie i kazał zabrać Buddę na górę. Potem schylił się, podniósł Crabtree i wziął ją na ręce. Wyszedł z namiotu i skierował się w stronę lądowiska. Cabrillo pobiegł przez trawnik do furgonetki. Kiedy wsiadł do samochodu, poprawił boczne lusterko i spojrział w kamerę.

– Zabieramy rekwizyty – oznajmił, przekręcił kluczyk i uruchomił silnik.

Na „Oregonie” Max Hanley z niedowierzaniem śledził rozwój wypadków.

Podział na dwie grupy był wyraźny. Członkowie korporacji uwijali się gorączkowo, goście przyjęcia wydawali się niezdecydowani i oszołomieni. W posiadłości panował zupełny chaos. Nadszedł czas na ewakuację.

– Murphy, Lincoln, Halpert – powiedział Hanley – Juan podstawia furgonetkę. Załadujcie szybko sprzęt i jedźcie do bramy.

Zobaczył na monitorach gesty, że zrozumieli.

– Ross, pozbądź się ponczu i resztek spreparowanych zakąsek na stołach.

Wywołał Kinga.

– Co widzisz, Larry?

– Gliniarz stoi oparty o przód swojego samochodu i czeka na pomoc. Na razie chyba możemy go nie liczyć. Jeden z ochroniarzy właśnie wyszedł z namiotu z Monicą na rękach. Idzie do punktu ewakuacji. – King zbadał teren przez lunetę na karabinie. – Dwaj inni ochroniarze wiozą fałszywego Buddę w kierunku tylnych drzwi domu.

– W porządku – odrzekł Hanley. – Wszystko gra. Możesz się wycofać, kiedy uznasz, że to bezpieczne. Jeśli pójdziesz wzdłuż muru i zaczekasz przy ulicy, powiem Juanowi, żeby zwolnił i zabrał cię.

– Przyjąłem – odpowiedział King.

Zaczął składać karabin i pakować do nesesera. Gdy skończył, zszedł z drzewa na krawędź muru i ruszył na zachód.

– Kogo nie wykorzystaliśmy? – zapytał Hanley jednego z operatorów. Mężczyzna szybko przebiegł wzrokiem listę uczestników operacji.

– Truitta – poinformował.

– Gdzie jest Julia?

– Kiedy widzieliśmy ją ostatni raz, wchodziła z powrotem do namiotu – odrzekł operator. – Ale odkąd prezes wyłączył klawiaturę swojego instrumentu, nie mamy wewnątrz kamery.

– Dick – powiedział Hanley – jeśli mnie słyszysz, daj sygnał komuś z naszych.

Cabrillo wjechał furgonetką za namiot. Po drodze musiał uważać na gości wałęsających się po terenie. Zaparkował i otworzył drzwi. Z namiotu wyłonił się Truitt i skinął ręką do kamery w bocznym lusterku samochodu.

– Dick, musisz znaleźć Julię – polecił Hanley. – Załatwiła antykwariusza. Zabierzcie go oboje do strefy lądowania, potem wyjedźcie limuzyną Crabtree.

Truitt uniósł kciuk do kamery i pobiegł.

Członkowie ekipy wrzucali na tył furgonetki pozostałe głośniki i elektronikę. Nad jeziorami Nam Van widać było światła zbliżającego się helikoptera. Hałas rotorów narastał.

Wewnątrz namiotu trwało pandemonium. Truitt znalazł Huxley. Rozmawiała z Ho. Gospodarz przyjęcia sprawiał wrażenie, jakby nie mógł ruszyć się z miejsca, w którym stał. Zbyt wiele się działo, jego umysł nie był w stanie tego ogarnąć.

– Megafon – powiedział nieprzytomnie Ho. – Muszę ostrzec gości.

- Kto go ma? – zapytał Truitt.
- Zespół muzyczny – odrzekł Ho. – Tak mi powiedzieli.
- Widziałem ich przed chwilą za namiotem – poinformował go Truitt. – Niech pan tam pójdzie.

Ho wybiegł.

Truitt nachylił się do ucha Huxley.

- Gdzie antykwariusz? – zapytał szeptem.

Huxley zaprowadziła go. Oboje wynieśli Spensera na zewnątrz.

Helikopter zwolnił i zawisł w powietrzu. Eurocopter EC-350, który korporacja miała w leasingu, był wspaniałą maszyną – wisiał w górze niemal bez dotykania sterów. Pilot sięgnął do radia na panelu sterowniczym i zmienił częstotliwość.

- Czekam – zawiadomił „Oregon”.
- Co widzisz? – zapytał Hanley.

Pilot włączył światła lądownicze.

- Dwie osoby niosą człowieka do strefy lądowania. Poza tym wszystko jest na swoim miejscu.
- Kiedy tylko dotrą do strefy, siadaj – polecił Hanley. – Ale wypatruj reszty naszej grupy. Potrzebujemy czterech ludzi do załadowania posągu na pokład.

Hanley przełączył się.

- Tom?

Kierowca limuzyny Crabtree siedział w samochodzie. Błysnął światłami.

- Widzę jakiś samochód błyskający światłami – zameldował pilot helikoptera.
- Wjedź na trawnik i zaparkuj blisko strefy lądowania – rozkazał Hanley kierowcy. – Potem pomóż w załadunku helikoptera.

Światła znów błysnęły i limuzyna ruszyła.

- Usłyszał cię – powiedział pilot.

Hanley spacerował tam i z powrotem. Działo się kilka dokładnie skoordynowanych rzeczy. Dopóki wszyscy trzymali się planu, ewakuacja szła sprawnie. Za kilka minut ekipa powinna być bezpieczna. Korporacja nazywała to „momentem krytycznym”. W takiej chwili wszystko mogło się zawalić w ciągu sekund.

Jeden z operatorów wskazał monitor.

- Juan macha.

W tym momencie do Cabrillo podszedł Ho.

- Co pan robi? – zapytał.

Cabrillo odwrócił się i przygładził włosy.

- Poprawiam fryzurę.

Ho skinął głową.

- Mówił pan, że macie megafon, z którego mógłbym skorzystać.

Cabrillo przytaknął i sięgnął między siedzenia. Wyjął megafon i wręczył Ho.

- Akumulatorowy – wyjaśnił. – Tu jest włącznik.

Ho wypróbował urządzenie.

Działało. Zjrzał do wnętrza furgonetki. Reszta zespołu była rozwalona w poprzek siedzeń i na skrzyniach ze sprzętem.

– Gdzie Candace? – zapytał. Zaczynało mu się rozjaśniać w głowie, co było niebezpieczne.

– Mamy się z nią spotkać z przodu domu – odrzekł Cabrillo i usiadł za kierownicą. – Muszę zawieźć moich chłopaków do szpitala.

– Niech pan jej powie, że może zostać, jeśli chce – poprosił Ho.

– Przekażę – obiecał Cabrillo i przekręcił kluczyk. Wrzucił bieg i ruszył wolno przez tłum gości.

Ho wrócił do namiotu. Myślał teraz jaśniej. Megafon nie miał dużej mocy, ale gdyby Ho znalazł jakieś podwyższenie, tłum zapewne usłyszałby go. Gabinet. Pokój był na najwyższym piętrze!

Helikopter wylądował i Truitt otworzył tylne drzwi.

Potem on, Barrett, Reyes i Huxley z wysiłkiem wsunęli skrzynię do ładowni maszyny. Kiedy Złoty Budda znalazł się bezpiecznie na pokładzie, ułożyli na podłodze Spensera i pomogli wsiąść Crabtree. Truitt zasunął drzwi i klepnął dwa razy w kadłub na znak, że pilot może startować. Schylili się i zasłonili twarze przed podmuchem z rotora. Eurocopter uniósł się w powietrze.

Kiedy bezpiecznie odleciał, Reyes wyprostował się.

– Mam was zabrać na przejażdżkę – rzucił lekko.

W tym momencie Reinholt i Pryor dotarli do stóp schodów. Otworzyli drzwi frontowe i wyszli na podjazd. Kilka sekund później Ho wbiegł na pierwszy stopień w drodze do swojego gabinetu.

– Jaka sytuacja? – zapytał operatora Hanley.

– Crabtree w helikopterze, Reyes, Barrett, Truitt i Huxley w limuzynie. Reyes za kierownicą. Cabrillo z kapelą w furgonetce. – Operator wskazał monitor. – Właśnie wyjechali zza namiotu i za moment będą na podjeździe.

– Gdzie Ross?

Operator znów wskazał monitor.

– Tam.

Furgonetka minęła Ross i odsłoniła ją. Kilka minut wcześniej Ross kazała kelnerom wylać cały poncz z pucharków, potem wyprowadziła na dwór i przewróciła wózek transportowy z dzbankami.

– Linda – wywołał ją Hanley. – Do samochodu! Wynoś się stamtąd.

Ross poszła szybko w kierunku frontu domu.

– Kto jeszcze został? – zapytał Hanley.

– King czeka na murze na ewakuację – odrzekł operator – dwaj pozostali ochroniarze powinni już być z przodu domu. Są!

Hanley połączył się z Cabrillo.

– Masz miejsce w furgonetce?

Cabrillo bezgłośnie odpowiedział do lusterka, że nie. Furgonetka wjechała na

podjazd, limuzyna Mercedes-Benz tuż za nią. Ross szła za samochodami. Wsiadła do peugeota i uruchomiła silnik.

– Zwolnij przy drzwiach frontowych domu – polecił Hanley prezesowi – i powiedz ochroniarzom, że Ross ich zabierze.

Cabrillo skinął głową.

Sekundę później wykonał polecenie i pojechał dalej w kierunku bramy. Pierwsza grupa już prawie wydostała się z posiadłości.

Stanley Ho otworzył drzwi gabinetu. Ruszył do okna, żeby ostrzec gości i nagle stanął jak wryty.

Cabrillo wyjechał za bramę i skręcił w prawo.

– Zwolnij przy narożniku muru – rozkazał Hanley. – Idzie King.

Limuzyna była niedaleko za furgonetką. Przyhamowała w bramie, żeby skręcić. W tym samym momencie Ross zatrzymała się przed domem. Reinholt i Pryor wsiedli do peugeota i samochód ruszył w kierunku wyjazdu.

– Zamknąć bramę! – wrzasnął Ho.

– Nie ma prądu – odrzekł ochroniarz. – Brama jest zablokowana w pozycji otwartej.

– Nikogo nie wypuszczaj! – krzyknął Ho.

Ross była sześć metrów od bramy, gdy z wartowni wyskoczył ochroniarz i sięgnął do kabury. Nie zawahała się. Wcisnęła gaz. Ochroniarz musiał wybierać między życiem i śmiercią. Cabrillo usłyszał huk, kiedy Larry King zeskoczył z muru i wylądował na dachu furgonetki. Zsunął się z dachu, nie wypuszczając z ręki nesesera z karabinem snajperskim, otworzył drzwi pasażera, wrzucił neseser do środka i klapnął na kolana Halpertowi. Limuzyna ominęła stojącą furgonetkę i przemknęła obok znaku stopu na końcu ulicy.

Ochroniarz przy bramie nie zdążył wyciągnąć broni. Na widok pędzącego prosto na niego peugeota rzucił się w bok. Ross wypadła przez bramę z szybkością prawie osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, potem wbiła nogę w pedał hamulca i obróciła kierownicę do oporu.

Peugeotem zarzuciło. Ross wcisnęła gaz i wyprowadziła go z poślizgu. Furgonetka znów ruszyła. Cabrillo przyspieszył, zignorował znak stopu i skręcił w prawo za limuzyną. Ochroniarz wybiegł na środek jezdni przed posiadłością i wyciągnął broń. Wycelował i kilkakrotnie nacisnął spust.

Pierwszy pocisk trafił w lewe tylne światło peugeota, dwa następne chybiły. Czwarty przebił tylną szybę i roztrzaskał lusterko wsteczne. W tym samym momencie Ross minęła znak stopu i skręciła w prawo ku morzu.

## 21

Po pociągnięciu dźwigni ładunek bocznego wózka drugiego motocykla i wypadł na jezdnię. Małe metalowe kulki miały po dwanaście ostrych kolców. Odbiły się od asfaltu i rozsypały po ulicy.

Motocykl przyspieszył, a wóz policyjny najechał na kulki.

Najpierw strzeliły obie przednie opony, sekundę później tylne. Samochód wymknął się spod kontroli. Policjant kręcił kierownicą i jednocześnie hamował. Zarzuciło go mocno w lewo, wpadł na stojak z gazetami i uderzył w stojący dalej słup telefoniczny. Jednocześnie eksplodowała poduszka powietrzna i wbiła go w oparcie siedzenia. Zanim opadła wypełniająca ją mgła gazu, motocykliści byli dwie przecznice dalej.

Policjant odepchnął wiotczącą poduszkę i sięgnął po radio.

– Miałem wypadek, zgubiłem ich – zameldował.

Detektyw Ling Po słuchał w swoim nieoznakowanym samochodzie policyjnym meldunków radiowych, gdy obok zatrzymał się holownik pomocy drogowej. Komenda główna właśnie nadała komunikat o kradzieży w rezydencji i Po wiedział, że do prowadzenia śledztwa wyznaczono jego bezpośredniego przełożonego Sunga Rhee. Po nie miał pojęcia, dlaczego Rhee jeszcze nie koordynuje poszukiwań złodziei. Kilka minut wcześniej detektyw usłyszał meldunek policjanta ścigającego motocyklistów, którzy obrabowali świątynię A-Ma i zaczynał podejrzewać, że te dwie sprawy coś łączy. Wskoczył z samochodu i podbiegł do holownika.

– Niech pan szybko zaczepi mój wóz – powiedział – i zaholuje mnie na Estrada da Penha.

– Już się robi – odrzekł kierowca.

Po sięgnął do swojego samochodu i wziął radio. Nadal słuchał meldunków, gdy pracownik pomocy drogowej brał jego wóz na hol. Po chwili jechali wokół wzgórza. Osiem minut później holownik zatrzymał się przy murze otaczającym posiadłość. Po pobiegł do bramy. Obok wartowni stał w ciemności ochroniarz. Detektyw pokazał mu odznakę.

– Detektyw Ling Po – przedstawił się szybko. – Policja w Makau.

– Cieszę się, że pan przyjechał – odrzekł ochroniarz. – Pan Ho dostaje szau.

– Niech pan mi opowie, co się stało – zażądał Po.

Ochroniarz zdał mu relację.

– Oddałem kilka strzałów, ale uciekli – zakończył.

Po zapisał, jak wyglądały pojazdy i przekazał to do komendy.

– Zawiadomcie wszystkie jednostki. Jeśli ktoś zobaczy te samochody, niech je śledzi, ale niech ich nie zatrzymuje, dopóki nie dostanie wsparcia.

Kiedy komenda potwierdziła jego polecenie, Po zwrócił się do ochroniarza.

– Widział pan tu dziś innych policjantów? – zapytał. – Miał tutaj być mój szef inspektor Rhee.

– Widziałem, jak wchodził – przytaknął ochroniarz. – Jeszcze nie wyszedł.

Po skinął głową i wbiegł na podjazd. Przeciął trawnik, dotarł do rezydencji i szarpnął drzwi frontowe. Znalazł Stanleya Ho siedzącego na sofie w salonie z telefonem bezprzewodowym przy uchu. Inspektor Rhee zajmował miejsce obok w fotelu.

– Co się stało, szefie? – zapytał Po.

Rhee potarł twarz.

– Chyba podali nam narkotyk. Już rozjaśnia mi się w głowie, ale mam jeszcze problemy z koncentracją.

Po skinął głową i słuchał, co Ho mówi do telefonu.

– Co to znaczy?! – wrzasnął miliarder. – Wzywaliśmy pogotowie.

– Nie mamy żadnego zgłoszenia – odrzekła dyspozytorka.

– Jeszcze się odezwę – zapowiedział Ho i wyłączył się.

– Kim pan jest? – zapytał detektywa.

– To detektyw Ling Po – wyjaśnił Rhee. – Jeden z moich najlepszych ludzi.

– Sytuacja jest taka – powiedział Ho. – Ukradziono mi bezcenne dzieło sztuki.

– Co dokładnie? – zapytał Po.

– Złoty posąg Buddy o wysokości metr osiemdziesiąt – odrzekł Ho.

– Podobny ukradziono dziś wieczorem ze świątyni A-Ma – zauważył Po. – Wątpię, żeby to był zbieg okoliczności.

– Czuję się z tym dużo lepiej – oznajmił sarkastycznie Ho.

– O co chodziło w tej rozmowie telefonicznej, którą pan przed chwilą skończył? – zapytał Po.

– Zachorowała pewna kobieta, która była moim gościem i wezwaliśmy helikopter medyczny, żeby zabrał ją do szpitala – wyjaśnił Ho. – Tyle że w szpitalu nie mają żadnego śladu naszego wezwania.

– Dzwonił pan po helikopter?

– Nie ja – poprawił Ho. – Ochroniarz. Ale stałem tuż obok niego.

– Przesłucham go – oświadczył Po.

– Z tym będzie problem – wtrącił się Rhee. – Facet i jego koledzy z agencji ochrony zniknęli.

– Sam pan ich wynajął? – zwrócił się Po do miliardera.

– Przysłała ich firma ubezpieczeniowa – odparł Ho.

– Jaka? – zapytał detektyw.

Ho wyjął wizytówkę z kieszeni smokinga i Po wybrał numer. Przedstawił się, przycisnął recepcjonistkę w firmie, zostawił numer swojej komórki i wyłączył się.

– Dziewczyna dzwoni do swojego szefa, panie Ho – powiedział – ale nie mają śladu kontaktu z panem przez ostatni miesiąc.

– To jakaś bzdura – zirytował się Ho. – Przysłali tu agenta ubezpieczeniowego.



– Pańskiego stałego agenta? – zainteresował się Po.

Ho nagle wszystko zrozumiał. Od początku robili go w konia.

– A to skurwiele! – wrzasnął. Zamaszystym ruchem strącił wszystko z bocznego stolika, potem złapał krzesło i rzucił nim o ścianę.

– Niech pan się opanuje, panie Ho – poprosił spokojnie detektyw – i opowie mi od początku, co się stało.

Hanley śledził na ekranie odbiornika GPS sygnały wskazujące trasę furgonetki, limuzyny i peugeota. Wszystkie samochody jechały zgodnie z planem, więc przeszedł do następnego punktu programu.

– Czas zgłosić napady – powiedział do operatora.

Mężczyzna zadzwonił do komendy policji w Makau i podał adres Lassiterów, a potem Iseldy. Dwie minuty później do obu domów pędziły wozy policyjne. Do ogólnego chaosu doszło jeszcze jedno zamieszanie.

Poniżej świątyni A-Ma, w pobliżu muzeum morskiego, Linda Ross zatrzymała peugeota i wyskoczyła zza kierownicy. Podróżujący na siedzeniu pasażera Reinholt został trafiony pociskiem, który roztrzaskał lusterko wsteczne, i krwawiło mu prawe ucho.

– Pomóż mu dojść do łodzi – poleciła Pryorowi.

Potem popędziła do portu, gdzie czekał szybki, dziesięciometrowy scarab. Wspięła się na pokład, podbiegła do steru i uruchomiła silniki. Kiedy pracowały na jałowym biegu, zeszła na ląd i wróciła do peugeota. Po drodze minęła Pryora.

– Zabierz go na pokład i trzymaj mu głowę w górze – powiedziała.

Wyjęła kluczyki ze stacyjki, otworzyła bagażnik i zajrzała, do środka. Ustawiła zegar sterujący i zaczęła, żeby się upewnić, czy odmierza czas. Potem pobiegła z powrotem do łodzi.

– Umiesz tym sterować? – zapytała Pryora.

– Jasne – odparł, włączył napęd i scarab odbił od brzegu.

Ross zaczęła opatrywać Reinholta. Kiedy łódź była sto metrów od portu, peugeot eksplodował i nocne niebo oświetliła kula ognia.

– Mamy eksplozję w pobliżu muzeum morskiego – zawiadomił detektywa Po dyspozytor.

– Wyślij tam straż pożarną – polecił Po. – Co z napadami?

– Nasze wozy dojechały właśnie pod pierwszy adres – odpowiedział dyspozytor.

– To dom w północnej części miasta. Druga grupa powinna być na miejscu lada chwila.

– Informuj mnie na bieżąco – rozkazał Po. Podeszedł do okna i popatrzył na słup dymu w oddali.

Na przednim siedzeniu limuzyny, obok Reyesa, Barrett zaczął zdejmować mundur ochroniarza z agencji Redman Security. Pod spodem miał cienkie spodnie i czarny T-shirt.

– I co, Rick? – zapytała Huxley. – Wolisz pracę w kuchni czy robotę operacyjną?

Huxley siedziała z tyłu obok Richarda Truitta. Włożyła niebieski, wełniany bezrękawnik i teraz manipulowała pod nim przy zapięciu skórzanej kamizelki. Kiedy ją rozpięła i wyciągnęła spod swetra, opuściła szybę i wyrzuciła kamizelkę z samochodu. Barrett przyglądał się temu w lusterku wstecznym.

– Nie mogę powiedzieć, żeby kuchnia była równie podniecająca – odrzekł.

Truitt włączył światło na konsoli centralnej w tylnym przedziale limuzyny, wyjął z małego nesesera sztuczne wąsy i przykleił do twarzy. Potem z tego samego nesesera wyjął wkładkę stomatologiczną i nałożył na własne zęby. Sprawdził efekt w lusterku i zaczął rozcierać na twarzy szary płyn z małej buteleczki.

– Na pewno już szukają tego samochodu – powiedział.

Reyes sięgnął do piersi i szarpnął koszulę pod uniformem szofera. Rozdarła się łatwo, odsłaniając drugą koszulę pod spodem. Pociągnął ściągacze przy spodniach i rozluźnił je.

– Okulary przeciwsłoneczne – poprosił Truitta, który podał mu je z tylnego siedzenia. W tym samym czasie Huxley oderwała przypinane na zatrzaski nogawki swoich skórzanych spodni. Sięgnęła do skrytki z tyłu limuzyny, wyjęła skromną spódnicę, wciągnęła na siebie i zapięła suwak. Odkleiła sztuczne rzęsy, wzięła od Truitta plastikową torbę, wyjęła wilgotną ściereczkę i starła z twarzy krzykliwy makijaż.

– Chyba możemy iść – powiedział Truitt.

Reyes zjechał na bok, zatrzymał samochód i cała czwórka wysiadła. Weszli w zaułek, skierowali się do Main Market i podzielili na dwie pary. Na ulicy za nimi została limuzyna z otwartymi drzwiami. Dziesięć minut później znalazł ją policjant. Ale nie było w niej żadnych śladów i nie miał wiele do zameldowania.

W połowie drogi między przecznicami Cabrillo włączył pilota i drzwi garażu zaczęły się unosić.

Kiedy furgonetka wjechała do środka i drzwi się zamknęły, wszyscy wysiedli.

– Na pewno mają już nasze rysopisy – powiedział Cabrillo i zdjął pokrywę z dwustulitrowej blaszanej beczki kryjącej ubrania na zmianę – więc przebierajcie się szybko i wychodzimy.

Odłożył na bok teczkę z dokumentami leżącą na ubraniach i przebrał się. Kiedy był gotowy i inni zmieniali ubrania, otworzył teczkę i zaczął rozdawać dokumenty.

– Wy dwaj zostajecie na noc w mieście – powiedział, wręczając paszporty i rezerwacje hotelowe. – Lepiej, żeby nie zauważono zbyt dużego ruchu na „Oregonie”. Jak zwykle, żadnego picia i bądźcie w zasięgu, żebyśmy mogli się z wami skontaktować, gdyby nastąpiła zmiana planów.

Rozdzielił zadania i spojrzął na grupę.

– Jak dotąd, wszystko gra.

W pobliżu rozległ się dźwięk syreny. Cabrillo podbiegł do okna, ale samochód pojechał dalej.

– Straż pożarna – powiedział. – Ross najwyraźniej jest już bezpieczna.

Wrócił do grupy.

– Okay, panowie. Spadajcie.

Mężczyźni wyszli gęsiego bocznymi drzwiami i rozdzielili się.

Pryor okrążył scarabem kraniec Southern Peninsula i wziął kurs na zakotwiczonego „Oregon”. Ross weszła między siedzenia przy sterze.

– Co z nim? – zapytał Pryor przez hałas pędzącej łodzi.

– Kiepsko – odrzekła Ross. – Stracił trochę krwi i górny kawałek ucha.

– Boli go?

– Jasne, że boli – wtrącił się Reinholt. – Jak cholera.

– Powinniśmy się skontaktować z „Oregonem” – powiedział Pryor – żeby mogli przygotować klinikę.

– Obowiązuje nas cisza radiowa – przypomniała Ross. – Władze mogłyby nas usłyszeć.

Pryor odwrócił się i spojrzał na rannego przyjaciela. Reinholt uśmiechnął się dzielnie.

– „Oregon” monitoruje wszystkie częstotliwości, tak? – upewnił się.

– Na łądzie, na morzu i w powietrzu – przytaknęła Ross. – I mamy zachować ciszę radiową na pasmach morskich?

– Zgadza się.

– Ale helikopter może się odzywać, bo gdyby milczał, kontrola ruchu powietrznego zorientowałaby się, że coś jest nie tak, mam rację?

Ross nagle zrozumiała.

– Fakt.

Pryor sięgnął po walkie-talkie przy pasie.

– Czasem można tym nadawać na pasmach lotniczych.

Ross chwyciła małe radio i włączyła nasłuch. Kilka sekund później nad łodzią przeleciał wiśniowy boeing 737 i Ross odebrała rozmowę pilota z wieżą. Wcisnęła przycisk nadawania i wywołała helikopter. Pilot śmigłowca przed chwilą wylądował i przekazał Crabtree i Spensera kierowcy czekającego samochodu. Wrócił właśnie do maszyny, żeby zdjąć hełm i usłyszał sygnał wywoławczy. Dwie minuty później już by go nie było.

– Tu helikopter cztery dwa, Rentgen, Alfa – zgłosił się. – Mów.

– Tu sześć trzy, mam jednego Indio! – zawołała Ross przez ryk silników łodzi.

Sześćdziesiąt trzy było numerem służbowym Ross, Indio oznaczało rannego. Na „Oregonie” Hanley sięgnął po mikrofon.

– Helikopter cztery dwa, Rentgen, Alfa, słyszałem. Jedź do uzgodnionego punktu. Sześć trzy, podaj numer Indio.

- Osiem cztery.
- Daj mi akta osiemdziesiąt cztery! – krzyknął Hanley do operatora, który wyświetlił na monitorze komputera kartotekę Reinholta. Na górze ekranu była jego grupa krwi.

- Sześć trzy, zrozumiałem – powiedział Hanley. – Potwierdzam Bravo.
- Tu sześć trzy, będziemy za pięć minut.
- Przerwać łączność – rozkazał Hanley.

Ross trzykrotnie wcisnęła przycisk.

- Dodaj gazu! – zawołała.
- Skocz na dół do kliniki i sprawdź zapas krwi – polecił Hanley, patrząc na monitor. – Potrzebujemy AB plus. A ty – zwrócił się do innego operatora – zasuważ na pokład i czekaj na Linde. Weź noktowizor. Kiedy tylko zobaczysz nadpływającą łódź, włącz światła pokładowe, a potem pomóż wylądować rannego.

- Dobra – odpowiedział mężczyzna i wybiegł.

Dokładnie w tym samym momencie pilot helikoptera wyjeżdżał białym terenowym chevroletem przez bramę na krańcu pasa startowego. Dojechał do znaku stopu na końcu drogi, potem włączył się do ruchu z kierunku lotniska. Ledwo przyspieszył do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, minęły go dwa wozy policyjne z błyskającymi lampami na dachach. Zwolniły i skrzyły w drogę, z której przed chwilą wyjechał. Pilot wcisnął gaz, żeby wyprzedzić autobus i odwrócił się do Crabtree.

- Mało brakowało – powiedział.

Monica trzymała palce na szyi Spensera i sprawdzała mu tętno.

- Fakt, ale zdążyliśmy – odrzekła.

Łódź dopłynęła do burty „Oregona” i Pryor złapał rzuconą linę. Przywiązał scaraba do uprząży, która miała unieść motorówkę z powrotem na pokład i zaczął czekać, aż Ross i operator ze sterowni przetransportują Reinholta na statek. Potem poluzował linę i ustawił łódź w uprząży zanurzonej już w morzu. Wyłączył silniki, wydostał się z motorówki i podszedł do włącznika na pobliskiej przegrodzie. Scarab powoli uniósł się z wody. Kiedy minął poziom górnego pokładu, Pryor wcisnął inny przycisk i wyciąg zaczął obracać łódź tak, żeby znalazła się nad pokładem. Cała operacja trwała na szczęście tylko kilka minut. Pryor zobaczył w oddali szperacz policyjnej łodzi patrolowej.

Kiedy tylko wyciąg się zatrzymał, Pryor sięgnął do następnego włącznika. Z pokładu statku uniosły się cztery osłony o wyglądzie zardzewiałych płyt stalowych i otoczyły scaraba. Pryor wcisnął kolejny przycisk i nad motorówkę nasunął się dach. Zanim łódź policyjna przepłynęła obok farwatem, Pryor był już wewnątrz „Oregona” i szedł do kliniki.

## 22

Juan Cabrillo wyglądał w swoim nowym przebraniu jak starzejący się profesor lub emerytowany urzędnik, nie jak szef grupy specjalistów od tajnych operacji.

Idąc przez centrum Makau, pomanipulował przy swoim komunikatorze osobistym i czekał, aż zgłosi się Hanley.

Jego zespół wykonał dotąd mniej więcej jedną czwartą zadania i mogło się jeszcze wiele zdarzyć. Pierwsza część operacji poszła dobrze – zgodnie z planem załadowali Budę do helikoptera i wycofali się bez przeszkód, ale Cabrillo nie wiedział, jak poradził sobie drugi zespół. Informacja miała nadejść ze sterowni „Oregona”.

Cabrillo mijał właśnie sklep jubilerski, gdy zawibrował jego komunikator.

Na wyświetlaczu pojawił się adres i Cabrillo poszedł w tamtym kierunku.

– Tak jest – powiedział przez komórkę policjant. – Jego i żonę zwięzowano i zostawiono w łóżku.

– Stało im się coś? – zapytał Po.

– Nie – odrzekł policjant. – Ten ktoś włączył im nawet muzykę i zostawił kartkę z przeprosinami.

– Jak to było? – zapytał Po. – Mogą podać rysopisy sprawców?

– Nie – odpowiedział policjant. – Nic nie widzieli. Oboje mają małe nakłucia na ramionach, jakby dostali zastrzyk podskórny. Skrepowano ich plastikowymi więzami. Kiedy przyjechaliśmy, dopiero się obudzili.

Ktokolwiek to zrobił, był dobry – Po musiał to przyznać.

– Daj notatkę do laboratorium – polecił – i niech technicy dokładnie przeszukają dom. Może znajdą jakieś ślady.

– Już to robią – odparł policjant.

– W porządku – powiedział Po. – Będziemy w kontakcie.

Rozłączył się i odwrócił do Rhee.

– Wstrzyknęli narkotyk agentowi ubezpieczeniowemu i jego żonie – poinformował – i zostawili kartkę z przeprosinami.

Stanley Ho był coraz bardziej wściekły. Wyszedł na zupełnego idiotę. To ten skurwiol, brytyjski antykwariusz tak go załatwił.

– Od początku robili mnie w konia – powiedział głośno. – Księżna była fałszywa, jej choroba udawana, a ewakuacja powietrzna sfingowana.

Znów zadzwonił telefon Po. Detektyw podniósł rękę i uciszył miliardera.

– Po – zgłosił się.

– Jesteśmy u tej kobiety imieniem Iselda – zameldował policjant. – Znaleźliśmy ją zwięzaną w szafie.

– Coś jej się stało?

– Nic poza tym, że brakowało jej nikotyny – odrzekł policjant. – Zanim ją

rozwiązaliśmy, zdążyła wypalić pół paczki papierosów.

– Widziała sprawców?

– Powiedziała, że to było tak, jakby spojrzała w lustro – relacjonował policjant.

– Z szafy wyskoczyła kobieta ucharakteryzowana na nią i przyłożyła jej do ust nasączoną czymś ściereczkę. Tylko tyle pamięta.

Po zasłonił dłonią komórkę i zwrócił się do Rhee:

– Podmienili organizatorkę przyjęcia.

Ho wyrzucił ręce do góry i zaczął kląć.

– Przeszukajcie dokładnie mieszkanie – rozkazał Po. – Potem zabierzcie tę kobietę do komendy, żeby złożyła zeznania.

– Tak jest, szefie – odrzekł policjant i odłożył słuchawkę.

Rhee już prawie odzyskał zdolność jasnego myślenia. Zaczął spacerować po pokoju.

– To była dobrze opłacona, dokładnie zaplanowana operacja – powiedział. – Przyjrzyjmy się temu od początku.

– Facet od ubezpieczeń był podstawiony – wyrwał się Ho. – Podmienili moją koordynatorkę przyjęcia i zespół muzyczny. Wprowadzili tu fałszywych gości.

– Postarali się nawet o własnych ochroniarzy, którzy w rzeczywistości byli złodziejami – zgodził się Rhee.

W tym momencie do salonu wszedł kierowca samochodu pomocy drogowej, który przyholował Po do posiadłości.

– O co chodzi? – zapytał detektyw.

– Zmieniłem panu koło – poinformował kierowca – ale znalazłem dziurę wewnątrz wnęki błotnika.

– O czym pan mówi?

– Chyba ktoś przestrzelił panu oponę – wyjaśnił mężczyzna. – Gdzieś w komorze silnikowej pewnie jest pocisk.

– Sprawdźmy – odrzekł Po. – Jeśli mój wóz jest gotowy, może pan jechać. Niech pan wystawi rachunek na mój wydział.

Kierowca holownika wyszedł.

– To nie jest banda przypadkowych złodziei – zauważył Rhee. – Mają snajperów potrafiących strzelać z dużej odległości, pilotów helikopterów i specjalistów od charakteryzacji.

– I na pewno nie są tutejsi – dodał Po.

– To pocieszające – zadrwił głośno Ho. – Przynajmniej obrabowali mnie zawodowcy. Ale może najpierw odzyskacie mojego Buddę, a dopiero potem zajmiecie się ich metodami działania.

W tym momencie teren posiadłości przeszukiwało siedemnastu policjantów i dwóch detektywów. Dodatkowo dwie grupy pojechały do domów uwięzionych osób i jedna na lotnisko. Zmobilizowano wszystkie siły, a Ho jeszcze narzekał.

– Robimy, co w naszej mocy, panie Ho – odpowiedział detektyw. – Złapiemy

ich.

Ho pokręcił głową i wyszedł z pokoju.

Parada zeszła już ze wzgórza, gdy z barek w porcie wystrzelono pierwsze fajerwerki wieczornego pokazu. Policja działała szybko i otoczyła trasę, kiedy tylko zauważono dwóch motocyklistów. Nikt nie miał szansy uciec, chyba że użyłby broni. Złapanie mężczyzn było tylko kwestią czasu. Motocyklista wiozący Buddę skręcił w boczną ulicę i zaczął trąbić, żeby utorować sobie drogę przez tłum. Jego partner trzymał się tuż za nim. Z tyłu narastało wycie syren.

Przed nimi była platforma z wysokim smokiem. Jego paszcza w regularnych odstępach czasu zionęła ogniem.

Na „Oregonie” Max Hanley popatrzył na monitor, potem przesunął joystick trochę w lewo. Smok znalazł się na środku jezdni. Na innym ekranie kamera pokazywała widok z boku. Hanley dostrzegł dwóch motocyklistów. Monitor odbiornika GPS wyświetlał plan Makau. Pulsujące punkty wskazywały lokalizację wozów policyjnych. Sieć wokół motocyklistów zacieśniała się. Hanley znów wyregulował ruch platformy ze smokiem, potem spojrzął na plany ukradzione z wydziału robót publicznych w Makau.

Cliff Hornsby był zmęczony i spocony. Spojrzął na zegarek i wstał ze skrzyni, na której siedział w kanale burzowym. Napełnił powietrzem nadmuchiwany pływak u stóp metalowej drabinki i wspiął się po szczeblach. Po drodze wypróbował wytrzymałość drewnianej pochylni. Uznał, że jest mocna i pchnął od dołu pokrywę wjazdu, żeby się upewnić, czy da się unieść. Tego wieczoru już raz sprawdzał, czy nie jest zablokowana.

Teraz pozostało mu tylko czekać na sygnał.

Hanley popatrzył na skrzynkę sterowniczą. Gazowy miotacz ognia do wypuszczania płomieni z paszczy smoka, ładunek wybuchowy przy pojemniku ze sproszkowanym aluminium do wywołania pożaru i joystick do kierowania. Odezwowało się radio.

- Zablokowali przejazd na Avenida Infante D. Henrique – zameldował Halpert.
  - Przyjąłem – odrzekł Hanley. – Zrobiłeś swoje, Michael. Wynoś się stamtąd.
- Halpert poszedł w kierunku hotelu, w którym miał przenocować.
- Teraz – powiedział Hanley do motocyklistów.

Najechał platformą ze smokiem nad pokrywę wjazdu i zatrzymał pojazd. Obraz z bocznej kamery pokazywał motocyklistów nadjeżdżających boczną ulicą.

- Podnieś pokrywę, Hornsby – polecił Hanley przez radio.

Hornsby pchnął i unióśł wjazd. Odsunął pokrywę na bok i spojrzął w górę na trzewia bestii, która zatrzymała się nad jego kryjówką. Odczepił od pasa latarkę i oświetlił od dołu wnętrze platformy. Rama pospawana z metalowych rur była na zewnątrz przykryta tkaniną. Do jednego boku przymocowano okrągły zbiornik gazu i

przewody, do drugiego mały pojemnik i ładunek wybuchowy. Pulsowała na nim zielona dioda. Hornsby usłyszał silniki zbliżających się motocykli i dał nura na dół.

Pierwszy motocyklista wjechał pod boczne przykrycie platformy ze smokiem i zahamował z poślizgiem. Wnętrze przypominało mu namiot. Miało ponad cztery i pół metra długości, prawie dwa i pół szerokości i przeszło dwa wysokości. Kiedy mężczyzna zsiadał z motocykla, czuł się jak mały chłopiec w tajemnym forcie. Pod zasłonę z tkaniny wjechał jego partner. Hornsby wygramolił się ze swojej dziury.

Bob Meadows odpiął kask motocyklowy, zdjął go i rzucił na bok.

– Widziałem gliniarzy – powiedział szybko. – Byli na końcu ulicy.

Pete Jones też zdjął kask.

– Trudno – odrzekł.

– Cześć, Horny – przywitał się Meadows i zaczął odpinać Złotego Buddę od bocznego wózka motocykla.

Podszedł Jones i opuścił metalowe burty na zawiasach.

– To jest ciężkie, Cliff.

– Mam pochylnię – powiedział Hornsby. – Jeśli uda nam się postawić posąg na ziemi, a potem donieść do wjazdu, zsunie się na dół i wyląduje na nadmuchanym pływaku.

Meadows zaczął się siłować z Buddą.

– Śliski.

Hanley patrzył na obraz z przedniej kamery. Policja zorganizowała się. Gliniarze z wyciągniętą bronią szli ostrożnie przez rozstępujący się tłum. Hanley wcisnął przycisk i paszcza smoka zionęła ogniem.

Złoty Buddha został ustawiony nad drewnianą pochylnią i puszczony. Zsunął się w dół na pływak i przewrócił na bok. Hornsby odepchnął pochylnię, potem skinął na Meadowsa i Jonesa.

– Wy dwaj pierwsi – powiedział. – Kiedy będziecie na dole, odciągnijcie pochylnię na bok. Ja zamknę wjazd.

Meadows i Jones zaczęli schodzić po drabince. Hornsby podszedł do ramy platformy i uzbroił ładunek wybuchowy. Rozbłysła czerwona dioda. Kiedy wracał do wjazdu, przez radio odezwał się Hanley.

– Policja jest niecałe trzydzieści metrów od was – ostrzegł. – Na jakim etapie jesteście?

Hornsby zszedł kilka szczebli w dół, sięgnął w górę i nasunął pokrywę na otwór. Potem przestawił miniaturowy włącznik w klapie swojej cienkiej kurtki.

– Jesteśmy uzbrojeni, drzwi zamknięte – zameldował. – Daj mi dziesięć sekund na zejście na dół.

– Dobra – odrzekł Hanley.

Hornsby zszedł z drabinki i popatrzył na skrzynię ze Złotym Buddą.

– Więc co zamierzacie, panowie?

Hanley wcisnął przycisk i zwiększył dopływ gazu do paszczy smoka. Płomień



wystrzelił na odległość ponad dwunastu metrów i tłum cofnął się. Hanley odpalił ładunek wybuchowy. Niewielka eksplozja rozerwała bok metalowego pojemnika z aluminiowym proszkiem. Substancja zaczęła się palić białym płomieniem. Niemal natychmiast zajęła się tkanina okrywająca platformę. Po kilku sekundach cała konstrukcja stała w ogniu. Płomienie wznosiły się na wysokość siedmiu metrów.

Jeden z policjantów wezwał straż pożarną.

Potem wpatrzył się w ogień w oczekiwaniu, że wybiegną stamtąd z wrzaskiem dwaj mężczyźni.

Ale nikt się nie pojawił.

Biały terenowy chevrolet zjechał na bok i zatrzymał się. Na przednie siedzenie wsiadł Cabrillo. Pilot helikoptera George Adams odbił od krawężnika.

– Cześć, Wspaniały George – przywitał go Cabrillo. – Były jakieś problemy?

Adams wyglądał jak amerykańskie dziecko z plakatów. Miał krótkie, kasztanowe włosy z przedziałkiem, kształtną szczękę i uśmiech jak z reklamy pasty do zębów. O dziwo, mimo swojego wyglądu, nie był ani trochę zarozumiały. Ożenił się z koleżanką ze szkoły średniej i przed wstąpieniem do korporacji służył w wojsku jako podoficer.

– Nie, panie prezesie – odrzekł.

Cabrillo odwrócił się w stronę tylnego siedzenia.

– Monica?

– Nie, szefie – odpowiedziała. – Choć nasz gość jest jeszcze nieprzytomny.

Cabrillo popatrzył na Spensera opartego bezwładnie o boczną szybę. Potem spojrział na obudowę głośnika z fałszywym Buddą wewnątrz, ułożoną w przestrzeni bagażowej.

– Czy składana rampa zdała egzamin? – zapytał Adamsa.

– Bezbłędnie – odparł kierowca. – Dopasowaliśmy tylko wysokość do poziomu podłogi helikoptera, a potem przetoczyliśmy ładunek na kółkach.

– W porządku – powiedział Cabrillo. – Wynajęliśmy część małego hangaru na lotnisku. Musimy tam teraz pojechać.

Adams skinął głową i skierował chevroleta z powrotem na most.

## 23

W Makau zaczął padać niewielki deszcz. Sung Rhee i Ling Po stali na frontowym ganku rezydencji i patrzyli w kierunku miasta. Detektyw wyłączył komórkę i spojrzał na inspektora. W dole wzgórza, w pobliżu muzeum morskiego, wciąż błyskały lampy wozów strażackich, które ugasiły peugeota. Na prawo, wzdłuż trasy parady, na tle świateł miasta unosił się dym z płonącej platformy.

– Ktokolwiek ukradł posągi Buddy – odezwał się Po – jest dobrze wyszkolony i ma fundusze.

Rhee już całkowicie odzyskał zdolność jasnego myślenia. I był wściekły jak doberman. Nie dość, że jakaś banda złodziei zrobiła sobie z jego miasta plac zabaw, to na dodatek dokonała rabunku w jego obecności.

– Muszą jeszcze wywieźć posągi z kraju – zauważył.

– Nasi ludzie pilnują lotniska i patrolują port – odrzekł Po. – Na granicy z Chinami też jest stan pogotowia. Na pewno nie wydostaną się z Makau.

– Wszyscy podejrzani, w wyjątkiem brytyjskiego antykwariusza, to Amerykanie – powiedział Rhee. – Dostałeś wykaz wiz turystycznych?

– Wydział wizowy nie pracuje w nocy – przypomniał Po. – Ale załatwię to z samego rana.

– Ci faceci to zawodowcy – stwierdził Rhee. – Nie będą się tu włóczyli. Zanim dostaniemy wykaz wiz i zaczniemy przesłuchiwać wszystkich Amerykanów, tamci będą daleko.

Zadzwoił telefon Po. Detektyw wcisnął przycisk.

– Po.

– Ogień rozprzestrzenił się na część jednego z budynków – zameldował policjant na trasie parady. – Ale straż pożarna opanowała sytuację. Polewają teraz węzami platformę, ale rama jest taka rozgrzana, że się topi. Ta kupa pogiętego złomu jest ciągle za gorąca, żeby ją zbadać.

– Czy pod spodem widać wraki motocykli?

– Chyba są, ale nie jesteśmy pewni – odrzekł policjant.

– Zaraz tam będę – powiedział Po. – Trzymajcie tłum z daleka i skierujcie resztę platform do wyjazdu z trasy. Parada jest oficjalnie zakończona

– Tak jest – odpowiedział policjant. – Do zobaczenia.

Po wyłączył się i odwrócił do Rhee.

– Jadę na trasę parady. Zabierze się pan ze mną?

Rhee zastanowił się.

– Nie, Ling. Oberwiemy za to, co się stało. Lepiej pojedę do komendy i będą stamtąd koordynował działania.

– Rozumiem – odrzekł Po i ruszył podjazdem do bramy.

– Znajdź tych facetów – zawołał za nim Rhee – i odzyskaj posągi!

– Postaram się! – odkrzyknął Po.

Rhee odwrócił się i wszedł do rezydencji, żeby zdać raport burmistrzowi Makau.

Wewnątrz terenowego chevroleta Juan Cabrillo dostroił swoje radio i wywołał „Oregona”.

– Jak stoimy, Max?

Minęła chwila, zanim zakodowany sygnał został przetworzony i odebrany.

– Jeden z grupy Ross oberwał – zameldował Hanley. – Jest w naszej klinice.

– Zawiadom mnie, kiedy będziesz wiedział coś więcej – polecił Cabrillo. – Co jeszcze?

– Grupa ze świątyni dotarła do podziemi zgodnie z planem.

– Widziałem dym – powiedział Cabrillo. – Bez strat?

– Bez – odrzekł Hanley. – Jak dotąd, wszystko gra. Zaczynają odwrót.

– Co z resztą?

– Większość z tych, którzy zostali w mieście, już się odezwała. King dostał się do łodzi i będzie działał, dopóki nie wróci Murphy.

– Cel numer 3?

– Boeing 737 wylądował kilka minut temu – odpowiedział Hanley. – Powinni teraz przechodzić przez cło.

– Nasz człowiek nadal jest z nimi?

– Czeka na instrukcje.

– Co jeszcze?

– Można właściwie zaczynać drugi etap podróży – stwierdził Hanley. – Wygląda na to, że dostarczymy przesyłkę na czas.

– W porządku – odparł Cabrillo. – Jesteśmy już prawie na lotnisku.

Hanley spojrział na pulsujący punkt na jednym z monitorów.

– Widzę, Juan.

– Muszę jeszcze tylko załatwić naszą fuchę – powiedział Cabrillo – i będziemy mogli ruszać w drogę.

– Powodzenia, panie prezesie – zakończył Hanley.

– Cabrillo, bez odbioru.

Meadows, Jones i Hornsby wyglądali jak trzej turyści zwiedzający kopalnię w Arizonie.

Mieli na głowach srebrzyste metalowe kaski ochronne z małymi latarkami akumulatorowymi z przodu. Hornsby trzymał plan sieci kanałów burzowych. System przypominał macki ośmiornicy. Jones spojrział w górę, gdy pierwsze krople wody deszczowej wyciekły ze starej rury ceramicznej w ścianie.

– Czy w planach operacyjnych był przewidziany deszcz? – zapytał.

– Dopóki nie będzie lało – odrzekł Hornsby – powinno być okay.

– A jeśli będzie? – zapytał Jones.

- Zrobi się kiepsko – przyznał Hornsby.
- Więc lepiej ruszajmy – doradził Meadows.
- Właśnie – przytaknął Hornsby. – Ale nie pękajcie. Plan mówi, że potrzeba około sześciu godzin ciągłych opadów, żeby poziom wody w kanałach sięgnął człowiekowi do piersi.

- Do tej pory już nas tu nie będzie – powiedział Jones.

- Tak założyliśmy – zgodził się Hornsby.

Złoty Budda spoczywał na drewnianej platformie. Kiedy Hornsby dostał się tu wcześniej bocznym tunelem, przyniósł cztery koła na gumowych oponach i przymocował je do niej. Pojazd był prymitywny, ale dzięki niemu trzej mężczyźni mogli wieźć ciężki posąg przez sieć kanałów burzowych. Na skrzyni z Buddą leżały dwa oliwkowe worki wojskowe z zapasami awaryjnymi i bronią. Cały ładunek sięgał mężczyznom niemal do piersi.

- Wszedłem tędy – pokazał Hornsby. – Szkoda, że nie możemy wyjść tą samą drogą. To tylko około dwustu metrów do kraty. Problem w tym, że wyłoniłoby się w środku miasta, a teraz na pewno wszędzie jest już policja.

Meadows spojrział tam, gdzie Hornsby trzymał palec.

- Więc jaką trasę wyznaczyła nam sterownia?

Hornsby pokazał drogę.

- Długa trasa – zauważył Jones.

- Kilka kilometrów – zgodził się Hornsby. – Ale wyjdziemy w odludnym miejscu przy porcie, skąd nas zabiorą.

Meadows starł z krawędzi kasku kilka kropli wody, potem okrążył Złotego Buddę i stanął z tyłu.

- Ty masz plan, Hornie, więc ciągnij z przodu i kieruj. Ja i Jones będziemy pchali.

Trzej mężczyźni ruszyli wolno kanałem burzowym. Na zewnątrz deszcz przybierał na sile. Po godzinie przerodził się w monsunową ulewę.

Linda Ross weszła do centrali na „Oregonie”. Max Hanley nalewał do filiżanki kawę z dzbanka na bocznym stole. Na jego twarzy malowało się napięcie i Ross zauważyła, że jest zestresowany.

- Reinholt dochodzi do siebie – powiedziała cicho. – To jedynie źle wyglądało. Jeśli nie dopuścimy do infekcji, wyciągnie się z tego.

- Nie będzie miał żadnych trwałych uszkodzeń? – zapytał Hanley i wskazał jej dzbanek z kawą. Podeszła i napelniła filiżankę.

- Stracił czubek ucha – odparła Ross. – Będzie mu potrzebna operacja plastyczna, żeby to doprowadzić do porządku.

- W jakiej jest formie?

- Odzyskał raz przytomność i zapytał, gdzie jest – odrzekła Ross. – Kiedy mu powiedziałam, że na „Oregonie”, wyraźnie się ucieszył.

– Mechanicy okrętowi chyba zawsze czują się najlepiej na pokładzie statku – zauważył Hanley.

– Jak przebiega reszta operacji? – zapytała Ross.

Hanley wskazał monitor.

– Prawdziwy Złoty Budda jest w tej chwili w kanałach burzowych. Ta grupa idzie w kierunku wybrzeża.

– Myślałam, że Buddę zabrał helikopter – powiedziała Ross.

– Fałszywego – odrzekł Hanley.

– Ale... – zaczęła Ross.

– To była zmyłka – wyjaśnił Hanley. – Pamiętasz, jak prezes przyleciał hydroplanem, kiedy byliśmy na morzu?

– Jasne – przytaknęła Ross.

– Wrócił wtedy z aukcji dzieł sztuki, na której sprzedano posąg. Weszliśmy w to i zorganizowaliśmy transport lotniczy do Makau. Samolot pilotował Gunderson. Potem dwaj nasi ludzie odebrali Buddę z lotniska opancerzonym samochodem. Myśleliśmy, że posąg już jest nasz. Ale antykwariusz miał inne plany. Chciał wydymać nowego właściciela, dostarczając mu falsyfikat. Więc włączyliśmy się do tej gry, wiedząc przez cały czas, gdzie jest ukryty oryginał.

– Więc cała akcja na przyjęciu była mistyfikacją?

– Zaplanowaliśmy ją, żeby wywołać zamieszanie i dezorientować władze. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Cabrillo sfinalizuje sprzedaż zamiast antykwariusza i korporacja zgarnie kasę.

– Więc Reinholt oberwał na darmo? – zapytała Ross.

– Został ranny z tysiąca powodów – odparł Hanley. – Nawet z tysiąca i jeden powodów, jeśli doliczysz fakt, że skierowaliśmy policję w Makau na fałszywy trop i głównym podejrzanym jest antykwariusz.

– Więc ten facet jest kozłem ofiarnym – powiedziała Ross.

– Naszym Oswaldem – przytaknął Hanley.

– Szatańska intryga.

– To nie koniec – zauważył Hanley. – Musimy jeszcze dostać forszę i wynieść się stąd.

W Pekinie minister spraw zagranicznych, szef armii chińskiej i prezydent Hu Jintao patrzyli na zdjęcia satelitarne.

– Od wczoraj – zauważył minister – Nowosybirsk jest najbardziej ruchliwym portem lotniczym świata. Rosjanie przerzucają sprzęt wojskowy w alarmującym tempie. Samoloty transportowe lądują co kilka minut.

Hu Jintao przyjrzał się jednemu zdjęciu przez szkło powiększające.

– Czołgi, transportery opancerzone i śmigłowce szturmowe są już na ziemi.

Szef armii chińskiej wręczył prezydentowi inne zdjęcie.

– To zaopatrzenie wystarczy dla czterdziestu tysięcy żołnierzy wojsk lądowych i

stale go przybywa.

– Rozmawiałem już z Legchogiem Zhurenem w Tybecie – powiedział prezydent. – Mobilizuje tamtejsze siły i wysyła je w kierunku północnej granicy.

– Ilu ma ludzi? – zapytał minister spraw zagranicznych.

– Dwadzieścia tysięcy, razem z oddziałami pomocniczymi – odpowiedział szef armii chińskiej.

– Stosunek jeden do dwóch – zauważył minister.

Jintao odsunął zdjęcia na bok.

– Żeby utrzymać kontrolę nad Tybetem, od lat finansujemy masową migrację z innych regionów Chin. Zhuren mobilizuje obywateli chińskich w Tybecie i wciela ich do armii. To niemal dwadzieścia tysięcy ludzi, którzy z powodu wieku nie powinni być już powoływani do wojska. Niektórzy już wymaszerowali z Lhasy na północ. Spróbujemy wyszkolić ich w drodze.

– Rosjanie mają doborowe oddziały – odrzekł szef armii chińskiej. – Zetrą na proch naszych rolników i sklepikarzy, których teraz zmobilizowano.

– O ile Rosjanie przekroczą granicę – zauważył minister spraw zagranicznych.

– Wciąż zapewniają kanałami dyplomatycznymi, że to tylko ćwiczenia.

– Cholernie wielkie ćwiczenia – powiedział cicho Jintao.

Odchylił się do tyłu w fotelu, żeby pomyśleć. Ostatnia rzecz, jaka była mu teraz potrzebna, to konfrontacja z Rosjanami. Ale nie miał wyjścia – musiał stawić czoło zagrożeniu.

## 24

Kiedy Cabrillo i pozostali dotarli do wynajętego hangaru, w boeingu 737 ciągle jeszcze przeprowadzano inspekcję celną. Kilka minut wcześniej Spenser zaczął wychodzić z odrętwienia. Adams otworzył tylne drzwi białego samochodu, po czym pomachał mu pod nosem buteleczką z solą trzeźwiącą. Antykwariusz Spenser kilka razy pokręcił głową i z trudem uchylił powieki. Adams pomógł mu stanąć przy samochodzie. Spenser ledwie trzymał się na drżących nogach i próbował sobie przypomnieć, co się stało.

– Chodź tutaj – powiedział Adams, prowadząc go do stojącego przy warsztacie krzesła i sadzając na nim.

Z pomocą Kevina Nixona, Cabrillo rozkładał pochylnię, po której mieli wylądować obudowę głośnika z fałszywym Buddą w środku. Nixon zjawił się w hangarze przed kilkoma godzinami i przez cały czas był czymś zajęty.

– Wszystko gotowe? – zapytał Cabrillo.

– Tak, proszę pana – powiedział Nixon, łapiąc z jednej strony za kolumnę głośnikową.

Dwaj mężczyźni wtoczyli skrzynię na rolki. Kiedy zjechała na dół, postawili ją pionowo, zamknęli nogi pochylni, złożyli ją wpół i wsunęli urządzenie z powrotem do samochodu.

– Marny ubrania? – spytał Cabrillo.

– Zajrzałem do jego pokoju hotelowego w drodze tutaj. Był już spakowany – odparł Nixon.

– Spisek doskonały... – powiedział Cabrillo – ...myszy i ludzi...

Cabrillo i Nixon podeszli do miejsca, gdzie siedział Spenser.

Antykwariusz popatrzył na Cabrillo.

– Wydaje mi się, że... skądś... pana... znam – powiedział powoli.

– Nigdy się nie spotkaliśmy – chłodno stwierdził Cabrillo – ale dużo o panu wiem.

– Kim jesteście? – spytał Spenser, kręcąc głową, aby pozbyć się kotłującej się w niej mgły. – Czego ode mnie chcecie?

Adams stał w odległości kilku kroków. Ten przystojny mężczyzna nie wyglądał groźnie, Spenser był jednak pewien, że gdyby próbował uciekać, nie odbiegłby daleko. Cabrillo podeszedł do antykwariusza i zawłaszczył sobą przestrzeń przed nim. Wbił wzrok w jego oczy i zaczął cicho mówić:

– Akurat w tej chwili nie jest pan w najlepszym położeniu, więc proszę być cicho i słuchać – powiedział. – Kilka kilometrów stąd znajduje się wściekły azjatycki miliarder, przekonany o tym, że wyłudził pan od niego kilkaset milionów dolarów. Nie jest tak miły, jak się panu wydaje. Zrobił majątek na przemyśle narkotyków dla azjatyckiej triady i choć teraz działa legalnie, w dalszym ciągu ma z nimi kontakty.

Podejrzewam, że już wykonał telefon i w tej właśnie chwili wszyscy kryminaliści tego kraju szukają pana.

– Co pan... – zaczął Spenser.

– Nie słucha pan – przerwał mu Cabrillo. – Wiemy, że zamienił pan jednego Buddę na innego i właśnie zamierzał go pan ponownie sprzedać. Jeżeli będzie pan z nami współpracował, damy panu szansę ucieczki. W innym przypadku i tak dokonamy zamiany, a potem zadzwonimy do Ho i powiemy mu, gdzie może pana znaleźć. Jak to się mówi – nie ma pan innego wyjścia.

Spenser przez chwilę gorączkowo myślał. Jeżeli nie sprzeda Buddy, będzie zrujnowany finansowo, jeżeli jednak rozejdzie się, co próbował zrobić tu, w Makau, będzie skończony jako antykwariusz. Jedyłą jego nadzieją była zmiana tożsamości i zniknięcie. Ucieczka do jakiegoś dalekiego miejsca i rozpoczęcie życia od nowa. Naprawdę nie miał innego wyjścia.

– Nie mogę uciekać bez dokumentów – powiedział. – Moglibyście mi je zorganizować?

Cabrillo wiedział, że ma go tam, gdzie chciał – teraz pozostawało już tylko wrzucić go na pokład.

– Kevin – powiedział Cabrillo. – Masz połączenie ze statkiem?

– Tak, proszę pana – odparł Nixon.

– Świetnie. W takim razie pstryknij dla mnie pana Spensera.

– Z przyjemnością – odparł Nixon.

Ostatni prom z Hongkongu zwolnił przy doku i kapitan zaczął manipulować przepustnicami, aby ustawić statek równo z linią nabrzeża. Na dziobie czekał na zejście na ląd mężczyzna w wypolerowanych na wysoki połysk mokasynach Cole Haan, zaprasowanych w kant spodniach z lekkiej wełny i koszuli zrobionej z jedwabiu łączonego z bawełną. Włosy miał dłuższe, niż wymagała obecna moda, lekko kręcone, a koniec jedwabnego krawata wsunął między dwa guziki koszuli. Gdyby ktoś wiedział, gdzie patrzeć, dostrzegłby bardzo delikatne ślady po liftingu twarzy. Trzeba by się jednak bardzo dokładnie przyjrzeć, bowiem operacja była droga i została starannie przeprowadzona. Pomijając fakt, że mężczyzna był zmęczony podróżą z Indonezji do Hongkongu i długim dniem, który właśnie miał się ku końcowi, trudno byłoby dostrzec w pasażerze promu cokolwiek niezwykłego.

Miał czterdzieści pięć lat, ale wyglądał o dziesięć młodziej.

Patrzył, jak marynarze wiążą cumy. Byli młodzi, sprawni fizycznie i podobało mu się to. Lubił, gdy ktoś wyglądał jednoznacznie etnicznie, przyjemność sprawiał mu kontakt z pełnymi pasji młodymi ludźmi. W kraju, w którym mieszkał, zwykle wybierał towarzyszy spośród Latynosów – tam, skąd pochodził, było ich wielu i na szczęście on także wydawał im się atrakcyjny. Szczerze mówiąc, chciałby teraz krążyć po swoim pagórkowatym mieście w poszukiwaniu miłości lub rozkoszy. Niestety. Był tysiące kilometrów od domu i miał do wykonania zadania. Przechodząc obok,



uśmiechnął się do jednego z marynarzy, ale mężczyzna nie odwzajemnił pozdrowienia. Rampa na dziobie powoli się opuszczała.

Wraz z nielicznymi późnymi pasażerami wszedł na pochylnię prowadzącą na brzeg, po czym skierował kroki ku drzwiom z napisem: PRZYJEZDNI. Podał urzędnikowi paszport i czekał, aż pozwoli mu wjechać do Makau. Dziesięć minut później wyszedł z budynku i złapał taksówkę. Wyjął telefon satelitarny, włączył go i sprawdził e-maile.

Po powrocie na „Oregona” Max Hanley próbował się trochę przespać. Położył stopy na biurku w pomieszczeniu kontroli, a głowę przekręcił tak, że opierała się o zagłówek. Kiedy jeden z oficerów dotknął jego ramienia, natychmiast się obudził.

– Proszę pana... chyba mamy problem.

Hanley pomasował dłońmi twarz, wstał, podszedł do dzbanka z kawą i nalał sobie filiżankę.

– Mów.

– Ktoś z naszej listy właśnie przeszedł przez biuro imigracyjne w Makau. Korporacja miała w swoich komputerach ogromne bazy danych. Przez lata dodawano do nich nazwiska wielu ludzi. Jeżeli jedno z nich pojawiło się w którymś z licznych systemów, do których korporacja była nielegalnie podłączona, informacja była sprawdzana i analizowana. Hanley wypił łyk kawy i zaczął czytać wydruk, który podsunął mu operator.

– Braliśmy to pod uwagę – stwierdził cicho. – A teraz przyjechał...

Nixon podszedł do Spensera, wycelował obiektyw w jego kierunku i nacisnął spust migawki.

Przyjrzał się obrazowi na ekranie cyfrowego aparatu.

– Rośnie panu broda? – spytał Cabrillo.

– Słabo – przyznał Spenser.

– Co mamy, aby zmienić mu wygląd? – spytał Cabrillo.

Nixon podszedł do warsztatu i pogrzebał w pudle z rekwizytami.

– Peruki, makijaż i wkładki protetyczne. Jak bardzo chce pan go zmienić?

– Jakie ma być pańskie nowe ja? – spytał Cabrillo. – Gdzie zamierza się pan ukryć?

Spenser zaczął się zastanawiać. Z jednej strony nie chciał, aby ktokolwiek znał docelowe miejsce jego ucieczki, z drugiej – na podstawie tego, czego dotychczas był świadkiem – ci ludzie i tak by się tego dowiedzieli.

– Myślałem o Ameryce Południowej.

Cabrillo skinął głową.

– Zrób mu lekką opaleniznę, średniej wielkości wąsik, nic dużego, i nieco dłuższe włosy – powiedział do Nixona, który skinął głową i zaczął wyjmować z pudła odpowiednie akcesoria.

– Wiem z pana akt, że nie zna pan hiszpańskiego ani portugalskiego, więc na pańskim miejscu spróbowałbym Urugwaju albo Paragwaju, gdzie pański angielski akcent nie będzie się wyróżniał.

Podeszła do nich Crabtree.

– Dlaczego nie każesz Kevinowi zrobić z niego Kanadyjczyka?

Cabrillo skinął głową.

– Stoi – powiedział. – Pan wykona dla nas zamianę, my fundujemy panu nową tożsamość. Zostanie pan Kanadyjczykiem, który kilka lat temu wyemigrował do Paragwaju i dostał tam obywatelstwo. Damy panu równy milion dolarów na rozpoczęcie nowego życia i bilet na lot z Hongkongu do Asuncion. Reszta będzie zależeć od pana i pańskiego szczęścia.

– Władze zatrzymają mnie, jeśli będę próbował wyjechać z Hongkongu z milionem w gotówce – powiedział Spenser. Zaczynał wierzyć, że wyjdzie z tego cało.

– Zajmiemy się tym. Teraz niech pan wybierze sobie nazwisko.

Podszedł Nixon i zaczął Spensera charakteryzować.

– Norman McDonald – powiedział Spenser.

– No to Norm McDonald – zgodził się Cabrillo.

Kiedy jego pager zaczął wibrować, Mały Gunderson obserwował celników, przechodzących przez wielki korpus 737. Wyjął urządzenie z kieszeni i odczytał informację. Zapamiętał wiadomość, skasował ją i wsunął pager z powrotem do kieszeni. Celnicy podeszli do miejsca, gdzie stał, podpisali dokumenty i podali je pilotowi.

– Zatankujemy teraz paliwo – powiedział pilot do urzędników, którzy kiwnęli głowami, wyszli z samolotu i zaczęli schodzić przystawionymi do drzwi, samobieżnymi schodami. Po chwili schody odsunięto i odjechał nim kierowca.

– Zaniknij drzwi – powiedział pilot do Gundersona, po czym ruszył mokrym pasem startowym.

Pół godziny później 737 był już zatankowany i stał w wielkim hangarze, kilka metrów od miejsca, gdzie czekali Cabrillo i jego ludzie. Milioner wystukał numer na satelitarnym telefonie.

Hornsby, Meadows i Jones zatrzymali się, aby złapać oddech. Przez poumieszczane wzdłuż kanału burzowego metalowe i kamionkowe odpływy wylewała się deszczówka do głównego kanału. Poziom wody na dnie podniósł się mniej więcej do dwudziestu centymetrów i pływała w niej masa niedopałków, kawałków papieru i innych śmieci, splukanych tu ze świata nad ich głowami.

– Co minutę podnosi się o centymetr – powiedział Meadows.

Hornsby wpatrywał się w plan, oświetlając go nahełmową latarką. Prześledził drogę i popatrzył na kompas.

– Chyba nie podnosi się aż tak szybko – stwierdził. – Mimo to należy się

martwić.

Jones rozejrzył się po ciasnej przestrzeni. Nie lubił zamkniętych pomieszczeń i chciał jak najszybciej się stąd wydostać.

– Pójdziemy na lewo – stwierdził Hornsby.

W centrali „Oregona” Max Hanley wpatrywał się w radarowe zdjęcie meteorologiczne. Grupa chmur – sam środek wściekle czerwonej plamy – unosiła się w połowie drogi między Hongkongiem a Makau.

– Pokaż ruch.

Operator wpisał kilka komend do komputera i czerwona plama zaczęła się powoli przesuwać na zachód. Przy obecnej prędkości sztorm dotarłby do Makau około czwartej nad ranem. Mniej więcej w czasie śniadania jego kraniec znalazłby się nad Chinami i powróciłaby ładna pogoda. Do tego czasu będzie nieustannie padać.

– Eddie – powiedział Hanley. – Będę musiał cię poprosić, abyś poszedł z grupą do kanałów.

Eddie Seng był człowiekiem do zadań specjalnych. Służył w RECON, oddziałach rozpoznania piechoty morskiej, kierował niejednym projektem korporacji i miał wrodzoną zdolność przerabiania potencjalnych katastrof w sukcesy. Jak na razie Cabrillo i Hanley trzymali go z boku – stanowił rezerwę na wypadek nieprzewidzianych okoliczności i nie mógł się już doczekać, aby wejść do gry.

– Będę potrzebował dwóch zodiaków i jakiś sposób na zlokalizowanie ich, jeżeli woda jeszcze się podniesie.

– Murphy, Kasim i Huxley – szybko odparł Hanley. – Pontony są przygotowane, sprzęt czeka. Zbierz ludzi i spotkajmy się tutaj.

Seng wyszedł szybkim krokiem.

– Bez komentarza – powiedział Sung Rhee i walną słuchawką o widełki.

Dziennikarze miejscowych gazet wywęszyli, że coś się dzieje, tyle tylko że jeszcze nie mieli pojęcia, co. Szpital był pełen ludzi Ho, ale kiedy środek przestawał działać, po kolei wychodzili. W kontekście niedyspozycji gości padło słowo „zatrucie pokarmowe”, ale przykrywką była słaba i należało się spodziewać, że wkrótce ktoś przejrzy kłamstwo. Badano przypadki porwania – potwierdzali to dziennikarze wyposażeni w skanery policyjnych częstotliwości radiowych. Kradzież w świątyni A-Ma, płonący peugeot, ogień w trakcie parady – policja zajmowała się wszystkimi sprawami. Nie mieli jedynie dostępu do rezydencji Stanleya Ho. Uporządkował dom i zamknął drzwi przed obcymi. Z nadejściem ranka Rhee będzie zmuszony do skomentowania wydarzeń.

W tym momencie ponownie zadzwonił telefon.

– Wrak platformy się wychładza, ale musimy jeszcze poczekać na możliwość podejścia i zbadania resztek – powiedział detektyw Po. – Podejrzewam jednak, że spalili się w pożodze.

- Cały czas obserwowano platformę? – spytał Rhee.
- Tak.
- Więc znajdźcie zęby – powiedział Rhee. – I stopione złoto.
- Tak jest!

Po patrzył na strażaków, którzy cały czas polewali wodą poskręcany metal. Będzie mógł zbadać resztki mniej więcej za godzinę. W tym czasie kradzież w domu Ho znajdzie się w centrum uwagi. Gdzieś w Makau był drugi Złoty Budda. Po zamierzał go odnaleźć.

- Umawialiśmy się na gotówkę – odpowiedział Spenser na pytanie Cabrillo.

Monica Crabtree rozmawiała z „Oregonem” przez bezpieczną linię. Zrobiła na kawałku papieru kilka notatek, po czym się rozłączyła.

- Panie prezesie – powiedziała. – Chyba powinien pan to zobaczyć.

Nixon przygotowywał Spenserowi nowe dokumenty. Kiedy to zrobił, wpisał kod i materiały zostały przesłane na „Oregon”, gdzie trzymano zapas blankietów paszportów, dokumentów imigracyjnych i czystych kart kredytowych. Ktoś na pokładzie wydrukuje komplet dokumentów i dostarczy je do hangaru.

Cabrillo przyjrzał się notatkom, po czym oddał je Crabtree.

- Do niszcarki.

Tom Reyes jechał jak szalenię. W fotelu pasażera siedział Frank Lincoln, który popatrzył na zapis z dyspozytorni, po czym znów wyjrzał przez okno.

– Do cumowiska promu wysłano trzy taksówki – powiedział Reyes. – Czterdzieści dwa wysadził już swojego pasażera pod hotelem Lisboa, a numer 12 jedzie Nową Drogą. Musi być w sto dwadzieścia jeden. Kierowca porozumiewał się z dyspozytorem, że jedzie do Hyatt Regency na Tajpie, gdzie ma zaczekać na pasażera i zawieźć go gdzieś dalej.

Popatrzył na most, prowadzący na Tajpę.

- Zadzwoń do Hanleya i przedstaw mu sytuację.

Lincoln włączył radio i złożył sprawozdanie centrali.

– Dajcie mi minutkę – odpowiedział Hanley, po czym zwrócił się do Erica Stone’a i podał mu kartkę papieru. – Wejdz do komputera Hyatta i poszukaj tego nazwiska. Daj mi też numer pokoju.

Palce Stone’a zatańczyły na klawiaturze. Chwilę potem odwrócił się do Hanleya.

- Co za koordynacja – powiedział Stone. – Właśnie się melduje.

Stone czekał, aż ekran się zapełni.

- Pokój 22-14 – powiedział.

– Hyatt Regency, pokój 22-14 – przekazał Hanley Lincolnowi. – I złapcie go szybko – jeżeli kazał taksówkarzowi czekać, to niedługo będzie chciał jechać na lotnisko.

- Rozumiem – powiedział Lincoln. – Co potem?

- Przywieźcie go tutaj.

Reyes wjechał na podjazd przed Hyattem Regency.

- Pokój 22-14 – poinformował go Lincoln. – Łapiemy go i wieziemy na „Oregona”.

Reyes zahamował i przerzucił dźwignię na „parkowanie”.

- Masz pieniądze?
- Pewnie. Na co?
- Tam stoi taksówka – odparł Reyes, wskazując palcem. – Zapłać mu i kaź odjechać. Spotkamy się na dwudziestym drugim piętrze.

Michael Talbot zapłacił boyowi, po czym zamknął drzwi. Lada chwila miał jechać na lotnisko, ale był przeпоcony i postanowił wziąć najpierw szybki prysznic. Rozebrał się w drodze do łazienki, wszedł do kabiny i odkręcił wodę.

Tom Reyes sięgnął do portfela i wyjął uniwersalną kartę do otwierania drzwi hotelowych. Przeciągnął ją przez czytnik i zczekał, aż zapali się zielona lampka. Powoli otworzył drzwi. Z początku wydawało mu się, że w środku nikogo nie ma, zaraz jednak usłyszał szum wody. Chciał zamknąć drzwi, ale usłyszał odgłos cicho stawianych kroków. Wyjrzał i zobaczył Lincolna. Przytknął palec do ust i dał mu znak, aby wszedł do środka.

- Barrett, znasz się na obsłudze urządzeń Magicznej Pracowni? – spytał Hanley.
- Pracowałem już tam.
- To zjeźdź i rozgrzej maszynę do lateksu.
- Załatwione, szefie – odparł Barrett i wyszedł szybkim krokiem z centrali.

Talbot wycierał się ręcznikiem i zastanawiał się, co ma włożyć. Wyszedł z łazienki i poszedł do sypialni. Za stołem siedział wielki Murzyn. Ten widok tak zaskoczył antykwariusza, że przez sekundę czuł zupełną pustkę w głowie.

Czyjaś ręka zakryła mu usta. Rzucono go twarzą w dół na łóżko. Głowę wciśnięto w narzutę, tak że nic nie widział. Został błyskawicznie zakneblowany. Ktoś zasłonił mu oczy, a ręce i nogi unieruchomił plastikowymi więzami.

Wsunięto mu w uszy zatyczki. Nie słyszał, jak Reyes mówi do Lincolna:

- Pójdę poszukać wózka na brudy. Zaczekaj tutaj.

Lincoln kiwnął głową i włączył telewizor. Więzień nigdzie się nie wybierze. Leżał związany jak indyk w Święto Dziękczynienia, nie poruszał nawet palcem. Osiem minut później wywieźli go tylnym wyjściem z hotelu, sprowadzili samochód i wsadzili na tylne siedzenie.

- Jestem głodny – stwierdził Reyes, wyciągając rękę do dźwigni zmiany biegów.
- Człowieku... zawsze to mówisz.

W tym samym czasie, gdy Reyes i Lincoln podjeżdżali do „Oregona” i parkowali, Max Hanley sprawdzał jedno z urządzeń w Magicznej Pracowni. Za nim, na jednym z licznych warsztatów, maszyna do rozgrzewania lateksu zapiszczała, gdy osiągnęła temperaturę pracy, po czym automatycznie przeszła w stan oczekiwania.

Hanley odwrócił się i popatrzył na urządzenie. Potem znów spojrzął na pudełeczko, które trzymał w dłoni.

- W porządku – powiedział do Barretta. – Spróbujmy jeszcze raz.
- Sprawdzian: raz, dwa, trzy – powiedział Barrett. – Brązowa krowa przeskoczyła czerwony księżyc, cztery mecze i siedem lat temu nasz...
- W porządku – przerwał mu Hanley.

Patrzył na pudełeczko, po czym przyłożył je sobie do krtani i powtórzył słowa Barretta. Uważnie obserwował ekran komputera, na którym widać było szereg słupków, po czym za pomocą zegarmistrzowskiego śrubokręta wyregulował kilka śrubek ze stali nierdzewnej na tylnej ściance pudełeczka.

- Jeszcze raz.
- Nie miałem stosunku z tą kobietą, panno Lewinsky – powiedział Barrett. – Proszę patrzeć mi na usta: żadnych nowych podatków. Z szacunku dla rodziny nie odpowiem na to pytanie, tra la la.
- Poczekaj – powiedział Hanley.

Patrząc na ekran, powtórzył bełkot Barretta. Ten słuchał i ze zdziwieniem uniósł brew. Z ust Hanleya wydobywał się jego głos. Było to równocześnie zachwycające i upiorne.

- Moja matka by nie odróżniła – stwierdził.
- Nowoczesna technologia – odparł Hanley. – Nieustannie mnie zadziwia.
- Jak pan to przymocuje?

Hanley pokazał.

Reyes rozejrzał się po porcie. Nikt ich nie obserwował. Z pomocą Lincolna wyciągnął Talbota z samochodu, po czym powlekli go trzem do „Oregona”. Przy wewnętrznych drzwiach czekała na nich Julia Huxley i cała grupa poszła do Magicznej Pracowni. Talbot, cały czas z zasłoniętymi oczami, potykając się raz za razem, przeszedł z nimi przez kilka korytarzy, przejechał windą i przebrnął ostatni kawałek holu, aż znaleźli się na miejscu. Kiedy Lincoln otworzył drzwi, Reyes zaprowadził Talbota do krzesła, posadził go i przywiązał plastikowymi taśmami. Przed Talbotem postawiono lampę i włączono ją. Mężczyzna czuł ciepło, które emitowała żarówka. Kilka sekund później zdjęto mu opaskę z oczu i oślepiające światło poraziło jego źrenice.

- Michael Talbot? – spytał Hanley.

- Tak – odparł zapytany, odwracając głowę.
- Patrz do przodu!

Talbot zrobił, co mu kazano, nie przychodziło mu to jednak łatwo. Czuł, że ktoś za nim stoi, ale więzy były zbyt ciasne, aby mógł się odwrócić.

- Odbyleś stosunek z nieletnim chłopakiem w Indonezji?
- Kim jesteście?

Sekundę później poczuł na szyi dotyk i ciało przeszło mu elektryczny wstrząs.

– My zadajemy pytania – powiedział Hanley. – Odbyleś stosunek z nieletnim chłopakiem?

– Powiedział mi, że ma osiemnaście lat – wycedził Talbot przez zaciśnięte zęby.

– Mamy dość takich gnoi jak ty, przyjeżdżających do Azji, aby spełniać swoje chore zachcianki – powiedział Hanley. – To psuje opinię Ameryce.

– Jestem tu w sprawach służ... – zaczął Talbot, jego ciało przeszło jednak uderzenie prądu.

- Cisza! – rzucił Hanley.

Talbot się bał. Krążył w nim pierwotny strach przed tym, co nieznane i niemożliwe do zobaczenia. Lęk, który wkrada się do głębin duszy człowieka i igra z jego nerwami oraz narządami wewnętrznymi. Zaczęło mu się pocić czoło, ogarniała go nieprzeparta chęć oddania moczu.

– Muszę iść się wysikać.

– Pójdziesz, jak pozwolimy. Najpierw zrobimy ci odlew głowy – powiedział Hanley. – Wykonamy jego trójwymiarowy obraz, którzy prześlemy do naszych komputerów. Od tej chwili azjatycka policja zacznie cię szukać. Odczytasz na głos przyznanie się do winy. Jeżeli będziesz współpracował i wykonasz wszystkie zadania, zostaniesz zawieszony do Hongkongu, skąd będziesz mógł pierwszym lotem wrócić do Stanów Zjednoczonych. Spróbuj nas w jakikolwiek sposób rolować, a za kilka dni zostaniesz wyrzucony na brzeg na którąś z chińskich plaż. Jak będzie, kochasiu?

- Dobrze, dobrze! – wypluł Talbot. – Zaraz się zsikam w gacie!
- Weźcie go do toalety – powiedział Hanley.

Znów zasłonięto mu oczy, zaprowadzono do toalety i rozwiązano ręce.

Cztery minuty później siedział na krześle – mocno przywiązany. Po kolejnym kwadransie maska była gotowa, a wzór głosu nagrany. Po dalszych kilku minutach Michael Talbot leżał twarzą do dołu na tylnym siedzeniu samochodu osobowego i jechał w kierunku przystani promu.

Winston Spenser usiłował wyobrazić sobie jakieś lepsze rozwiązanie. Nie udało mu się to. Próbował chwycić się brzytwy, ale złapał jedynie powietrze. Mógł wybrać życie lub śmierć. Ludzie, w których władaniu się znajdował, złożyli mu propozycję nie do odrzucenia. Miał szansę wyjść z tego z nową tożsamością i milionem w gotówce. Postanowił, że skorzysta z ich oferty.

Przez chwilę wpatrywał się w swoje nowe dokumenty, potem zwrócił uwagę na

kobietę, rozmawiającą przez telefon komórkowy. Rozłączyła się i zwróciła do przywódcy.

– Prezes jest w drodze, szefie – powiedziała. – Zajął się problemem.

Spenser nie miał pojęcia ani kim są ludzie, którzy wzięli go jako zakładnika, ani z kim są powiązani. Z tego, co widział dotychczas, wywnioskował jedynie, że posiadali władzę, przekraczającą wszystko, z czym się spotkał. Zdawali się funkcjonować w rzeczywistości, którą sami sobie stworzyli. W świecie panowania nad otoczeniem i iluzji. Cokolwiek by zaplanował, zawsze wyprzedzali go o krok. Nagle otworzyły mu się oczy.

– Był pan na aukcji w Genewie – powiedział do przywódcy.

Cabrillo uważnie mu się przyjrzał, zdawał się myśleć nad odpowiedzią.

– Tak, byłem.

– Skąd pan wiedział, że zamieniłem posągi?

– Zapłacił pan naszej firmie, aby dostarczyła Buddę do Makau, a potem zawiozła opancerzonym samochodem do świątyni.

– Czyli cała afera na przyjęciu to podstęp?

– Tak, poza tym chcieliśmy doprowadzić do sfinalizowania pana układu z człowiekiem z zewnątrz.

– Niesamowite – stwierdził Spenser. – A sto milionów dolarów?

– Pójdzie na cele dobroczynne – odparł Cabrillo. – Zostaliśmy wynajęci po to, aby prawowity właściciel odzyskał Buddę – ten interes to jedynie lukier na cieście.

Spenser chwilę się zastanawiał.

– Jaką macie ideologię? Jakie motywy?

– Jesteśmy korporacją – odparł Cabrillo. – To jedyna ideologia, jakiej potrzebujemy.

– Więc waszym celem jest zysk?

– Istniejemy po to, aby zło przerabiać na dobro. Przy okazji nauczyliśmy się, jak robić z tego lukratywny interes.

– Zadziwiające...

– Nie tak bardzo jak to – powiedział Cabrillo, gdy otworzyły się wrota hangaru. Do środka wjechał samochód. Kiedy wrota się zamknęły, z kabiny wysiadł Hanley.

– Michael Talbot – powiedział Cabrillo do zdumionego Winstona Spensera.

Potentat komputerowy zdjął z łańcuszka na szyi kluczyk i otworzył stojącą na stole skórzaną walizeczkę. Wyjął z niej teczkę z aktami i zaczął przerzucać kartki. Plik papieru miał prawie dwa centymetry grubości, a każda kartka była obligacją na okaziciela. Opiewały na bardzo różne wartości – największa na milion dolarów, najmniej wartościowa na pięćdziesiąt tysięcy. Emisariuszami były banki ze wszystkich stron Europy – od Wielkiej Brytanii po Niemcy, najczęściej reprezentowane były jednak Szwajcaria i Liechtenstein. Plik wart był sto milionów dolarów.

Był to królewski okup, przeznaczony na zakup książęcej nagrody.



Dla posiadającego miliardy potentata były to jedynie pieniądze. Żył nie dla nich, ale po to, aby spełnić swe pragnienia. Złoty Budda intrygował go, ale nie jako dzieło sztuki. Nie nęciła go historia, otaczająca posąg niczym chmura, lecz fakt, że kiedyś go skradziono, a teraz udało się dokonać tego ponownie. Miliardera podniecało przestępstwo – chciał pokazać swoją władzę, moc powiedzieć, że jest jedynym człowiekiem na świecie, który posiada ten rzadki i bezcenny wyrób. Prawdę mówiąc, miał kolekcję skradzionych dzieł sztuki, która mogłaby konkurować z katalogiem dowolnego muzeum w Europie. Monet, Manet, Daumier, Delacroix. Szkice Leonarda da Vinci, brązy Donatella. Iluminowane manuskrypty, klejnoty koronne, kradzione historyczne dokumenty.

Magazyny w Kalifornii wypełniały stare samochody, historyczne motocykle i samoloty. Kradzione przedmioty z czasów wojny secesyjnej, ikony Romanowów wyniesione z muzeum w Petersburgu, rękopisy Nicoli Tesli zabrane z rumuńskiego muzeum zaraz po upadku komunizmu, tajne listy prezydenckie, nawet toaleta z Białego Domu.

Pierwszy komputer, pierwszy komputer osobisty, pierwszy masowo produkowany komputer.

Te ostatnie zaspokajały tęsknotę – w końcu zbił majątek dzięki komputerom. W dalszym ciągu miał dyskową kopię pierwszego programu, który sprzedawała jego firma – ukradł go niczego nie podejrzewającemu programiście, który sądził, że pomaga entuzjaście. Była to jego pierwsza i największa kradzież i wyznaczyła tory, którymi potoczyły się następne.

Wbił wzrok w obligacje, po czym sięgnął po telefon satelitarny.

Eddie Seng patrzył na dwa oliwkowozielone pontony marki Zodiac, wynoszone z dolnego pokładu przez znajdującą się w śródkręciu windę towarową. Kiedy winda się zatrzymała, Sam Pryor wpiął linę do centralnie umieszczonego uchwytu do podnoszenia pontonu i przesuwając ramieniem wysięgnika, zawiesił zodiaca nad wodą, po czym opuścił go na jej powierzchnię. Następnie Murphy wziął zamocowaną na dziobie linę i przywiązał ją do nabrzeża. Podczas gdy Pryor zajmował się drugim pontonem, Murphy wszedł na pokład pierwszego i sprawdził stan paliwa i oleju dla potężnego czterosuwowego silnika. Olej był świeży, bak pełny, paliwa nalano pod korek. Murphy przekręcił lekko kluczyk i przyjrzał się lampkom na tablicy rozdzielczej. Gdy uznał, że wszystko jest w porządku, przekręcił kluczyk o kolejne ćwierć obrotu i silnik zaczął pracować. Na wolnym biegu był ledwie słyszalny.

Kiedy opuszczono drugi ponton, Kasim powtórzył te same czynności co Murphy. Po dwóch minutach obie łodzie stały na mrocznej wodzie, gotowe do drogi. Seng wszedł na pokład pontonu Murphy'ego i sprawdził stan zapasów, które załadowano na „Oregonie”. Stwierdziwszy, że są w porządku, odezwał się cicho do Huxley:

– Masz wszystko?

Huxley popatrzyła na listę i znalazła ostatni punkt wyposażenia.

– Jesteśmy gotowi.

Seng wyciągnął rękę do stojącego na drugim zodiaku Kasima i podał mu płytę CD.

– To współrzędne dla pokładowego GPS-u, my mamy identyczną wersję. Próbujmy płynąć nie więcej niż trzy metry od siebie, aby osłona antyradarowa chroniła obie łodzie.

Kasim skinął głową.

– Jasna sprawa.

– Okay, Mark – powiedział cicho Seng i rzucił cumę – możesz ruszać.

Murphy przesunął dźwignię w dół i ponton zaczął się cofać. Kilka minut później oba zodiaki mknęły po smaganej deszczem powierzchni wody z prędkością niemal trzydziestu węzłów. Byli nie do wykrycia. Każdy radar w okolicy, który chciałby ich wysledzić, został zakłócony. Nikomu nie udało się ich usłyszeć, gdyż odgłos silników zagłuszały smagające morze strugi deszczu. Pomoc nadchodziła.

Była druga w nocy, trójce w tunelu pozostało jedynie od trzech do czterech godzin do świtu.

Wbrew pozorom nie to było największym problemem. Główne zagrożenie stanowiła woda. Hornsby patrzył przed siebie, w miejsce, gdzie duża kamionkowa rura wypluwała swoją zawartość do kanału burzowego. To, co zaczęło się kapaniem z odpływów studzienek, zamieniło się teraz we wściekle kaskady deszczówki. Woda z rury przed nimi waliła z taką siłą, że uderzający o przeciwległą ścianę strumień przypominał potok z zepsutego hydrantu.

– Od tamtego miejsca kanał zalany jest do połowy – powiedział Meadows.

Tu, gdzie stali, woda sięgała im do kolan, dalej była coraz głębsza. Znaleźli się w impasie. Blisko wyjścia z kanału burzowego woda byłaby zbyt głęboka, aby przez nią iść.

– Nadmuchajmy pontony – powiedział Jones.

Hornsby otworzył jedną z toreb i wyciągnął ponton. Następnie wyjął butlę ze sprężonym powietrzem, nakręcił rurkę na zawór i przekręcił kurek. Ponton błyskawicznie rozłożył się i usztywnił. Dwie minuty później Hornsby zakręcił butlę.

– W jednym pontonie musimy położyć Budę – powiedział. – My wsiądziemy do drugiego.

– Problem z obciążeniem?

– Ponton uniesie trzysta kilo – odparł Hornsby. – Ponieważ nikt z nas nie waży mniej niż czterdzieści kilo, Budda będzie musiał podróżować sam.

Meadows wyjmował drugi ponton. Rozłożył go i podłączył butlę.

– Jak sądzicie? – spytał kolegów. – Powinien płynąć za czy przed nami?

Hornsby zastanowił się.

– Jest ciężki, jeżeli będzie za nami, może nas na coś pchnąć.

– A jeśli przed nami, będziemy mogli puścić linę prowadzącą, gdybyśmy wpadli w kłopoty.

Meadows patrzył na gwałtownie podnoszący się poziom wody.

– Nie trzeba będzie dużo sterować. – Wskazał na wodę. – Chyba nas po prostu poniesie z prądem.

– Więc on prowadzi – powiedział Hornsby i złapał posąg z jednej strony, aby umieścić go na pontonie – a my na luzie przejedziemy się za nim.

– No, no! – sapnął Meadows.

– Dla mnie to ma sens – stwierdził Jones.

## 26

– Talbot? – spytał Spenser. – Uczestniczysz w tym?

Hanley podszedł do Spensera i czekał, aż ten go obejrzy. W końcu uznał, że zdał test wzrokowy – Spenser czekał na odpowiedź.

– Wins... ton Spen... ser, ty stary... – wyskrzecztał Hanley.

Brzmiało to jak z taniego systemu nagłaśniającego podupadającej szkoły. Hanley odsunął pudełeczko od krtani i zaczął mówić normalnym głosem.

– Kevin, rzuć na to okiem, zdawało mi się, że wszystko nastawiłem.

Nixon podszedł i odwrócił urządzenie. Wyjął z kieszonki koszuli długopis i zmienił położenie maleńkiego przełącznika.

– Szefie, miał pan włączony opóźniacz do zniekształcania głosu przy rozmowach telefonicznych. Proszę jeszcze raz spróbować.

– Cześć, Winston – powiedział Hanley. – Kopę lat.

Spenser wbijał w niego wzrok i kręcił głową. Gdyby nie był świadkiem błędnego funkcjonowania urządzenia, dałby się nabrać bez pudła. Wszystko, co dotychczas mu się przydarzyło, wróciło jak fala. Teraz ci ludzie skonstruowali coś w rodzaju robota. Kto wie, co jeszcze wymyślą?

– Talbot... – wykrztusił z siebie Spenser.

– Kevin, chyba naprawiłeś – powiedział Hanley.

Spenser milczał.

– No dobrze, niech wszyscy słuchają – wtrącił się Cabrillo. – Już prawie czas.

Detektyw Po wpatrywał się w masę stopionego metalu. Wysoka temperatura poskręcała podpórki platformy w groteskowe supły, owinięte wokół resztek motocykli jak poczerńiałe macki ośmiornicy. Po drugiej stronie wrakowiska grzebał treser z psem.

– Proszę pana – powiedział – pies nie sygnalizuje obecności ludzkich szczątków.

– Czy to znaczy, że ich tu nie ma?

– Normalnie do spopielenia zwłok potrzeba niezwykle wysokiej temperatury. W pozostałych przypadkach coś by poczuł.

Po patrzył na rumowisko. Pałac się, podest stopił asfalt ulicy, a części konstrukcji nośnej wtopiły się w nawierzchnię. Nie dało się jednoznacznie określić, co może być pod spodem.

– Zaczepcie łańcuch i odciągnijcie ten złom ciężarówką. Chcę zobaczyć, co jest pod nim.

Jeden ze strażaków pobiegł do wozu, by wyjąć ze schowka łańcuch. Kilka minut później zamocował jeden koniec do pomostu, a drugi do zderzaka wozu strażackiego. Strażak powoli ruszył, wyciągając poskręcaną platformę z asfaltu. Odciągnąwszy konstrukcję o dwa metry, zahamował.

- Wystarczy?! – krzyknął przez okno do Po.
- Doskonale! – odparł Po, patrząc na wąż do kanalizacji.

Pochylił się i spróbował podnieść metalową pokrywę, niestety, miał za mało siły. Inny strażak wziął z samochodu łom, wsunął końcówkę w otwór węża i podniósł go. Odsunął pokrywę na bok. Po wyjął z kieszeni latarkę i poświecił w dziurę.

- Bingo!

Wziął telefon i wystukał numer komendy głównej.

- Chyba wiem, gdzie zniknął Budda ze świątyni A-Ma.

W Makau kanały burzowe wychodzą na zatokę w szesnastu miejscach. Seng i jego oddział podpływali do tego jedyne. Po przywiązaniu zodiaków do głazów, Seng podszedł do metalowego wylotu tarczy i go zbadał. Zamykający kanał burzowy prostokąt został skonstruowany z solidnych rur, krzyżujących się ze sobą w taki sposób, żeby powstał szereg kwadratowych otworów o boku sześćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów – wystarczająco dużych, aby mogły przez nie przepłynąć wszelkie śmieci. Rury osadzono w płycie betonu, zamocowanej do wylotu kanału wielkimi śrubami. Seng wrócił do zodiaka i wyjął ze skrzynki narzędziowej wkrętarce akumulatorową i zamocował w niej odpowiednią końcówkę. Wrócił do kanału burzowego i zaczął odkręcać śruby. Kiedy skończył, cała czwórka – Seng, Huxley, Murphy i Kasim – zdjęła pokrywę. Strumień wody był na tyle silny, że Murphy i Kasim mieli problem z odsunięciem pokrywy na bok. Wszyscy zajrzeli do środka.

- Robi się rzeka – powiedziała w końcu Huxley.

Seng rzucił na wypływającą wodę pasek żółtego plastiku i włączył stoper. Kiedy przedmiot znalazł się mniej więcej pięćdziesiąt metrów od brzegu, sprawdził czas.

– Woda wypływa z prędkością mniej więcej piętnastu kilometrów na godzinę – stwierdził. – Ale już niedługo będzie to robić szybciej.

- Dla zodiaków żaden problem – stwierdził Murphy.

Seng skinął głową.

– Jeżeli nie zabraknie nam miejsca, powinniśmy zabrać chłopaków i wrócić na „Oregona” w ciągu godziny – myślał na głos Kasim.

Seng ruszył do pontonów.

– Okay – powiedział. – Wy dwaj wjeżdżacie i zabieracie chłopaków. Ja z Julią ubezpieczamy was – jak było umówione.

- Niedługo wracamy – powiedział Kasim i usiadł za kierownicą.

Gdyby to było takie proste...

Cabrillo wziął zmywalny marker i zaczął rysować na stojącej na jednym stołów tablicy.

– Sprawdzam jeszcze raz, 737 stoi tutaj – powiedział, robiąc znak na tablicy. – Nie ruszą się do chwili startu. Adams podwiezie Spensera samochodem do schodów i zaparkuje.

Adams skinął głową.

– Kiedy się zatrzymacie, wysiądziecie i rozłożycie nad tyłem auta daszek. Wtedy będziecie mogli otworzyć skrzynkę i pokazać Buddę.

– A jeśli kupiec zechce, żebyśmy wnieśli Buddę na pokład? – spytał Spenser.

– Odmówcie. Ma dokonać sprawdzianu na ziemi i przejąć towar na terenie Makau.

Spenser skinął głową, nie wyglądał jednak na przekonanego.

– Max, ruszysz za kilka minut i objeździsz terminal od przodu, po czym taksówka przywiezie cię z powrotem do 737.

– Rozumiem – powiedział Hanley.

Cabrillo przerwał i popatrzył na swoich ludzi.

– Powinno się to odbyć lekko, łatwo i przyjemnie – powiedział cicho. – Hanley zweryfikuje autentyczność, płatność zostanie dokonana, potem miliarder wnieśli Buddę na pokład. Pytania?

Nikt się nie odezwał.

– No to świetnie – stwierdził Cabrillo. – Max, w drogę!

Hanley skinął głową i ruszył w kierunku tylnego wyjścia z hangaru.

– George, wsiadajcie ze Spenserem do samochodu – powiedział Cabrillo. – Damy Hanleyowi kilka minut, aby nawiązał kontakt i trochę pokonwersował, potem bierzemy się do roboty.

Adams skinął głową i dał Spenserowi znak, aby wsiadał.

Miliarder pił herbatę z mleczkiem kokosowym i palił cienką cygaretkę. Szalona intryga porwała go i kilka minut wcześniej poszedł na tył samolotu, aby przebrać się w czarny strój. Sukces, jaki odniósł w przemyśle programów komputerowych, efekt nie tyle wiedzy i praktyki, co szczęścia i umiejętności wykorzystania nadarzającej się okazji, spowodował, że przez lata jego ego rozděło się do niebezpiecznych rozmiarów. Niemal przestał już odczuwać działanie narkotyków i zadowolenie z seksu, za to nikotyna i kofeina pobudzały go coraz mocniej – zaczynał uważać się za tajnego agenta. Skok, płatność, na koniec ucieczka z towarem. Już myślał o przyjemności, jaką będzie mu sprawiać opowiadanie tej historii przyjaciółom.

Hanley podszedł do taksówki i wsiadł z tyłu. Samochód objechał główny terminal,

po czym ruszył w kierunku boeinga. Kiedy byli blisko schodków do samolotu, Hanley kazał taksówkarzowi zwolnić i zatrąbić.

Miliarder usłyszał dźwięk i wyjrzał przez okno. Widząc Talbota na tylnym siedzeniu, podszedł do otwartych przednich drzwi samolotu i stanął u szczytu schodów. Hanley wysiadł z taksówki. Miliarder dał mu znak, aby wszedł na górę.

Hanley ruszył.

Dokładnie w tym momencie Juan Cabrillo wziął do ręki radionadajnik i wcisnął klawisz nadawania.

– Packa na muchy – powiedział. – Jak się trzymasz?

Larry King siedział skulony w rurze wlotowej systemu klimatyzacyjnego hangaru. Raz na jakiś czas zawiewało do środka trochę deszczu, ale przynajmniej miał dach nad głową.

– Wpadłem po przyjęciu na „Oregona” i wziąłem termos z zupą pomidorową, wodoszczelną osłonę noktowizora i kilka lekko uszkodzonych uranowych pocisków. Mam zapinaną pod szyją kurtkę.

Cabrillo zawsze cenił profesjonalizm Kinga. Korporacja mogłaby zrzucić go na spadochronie na pustyni, zostawiając mu jedynie kilka racji żywności i karabin, a w ciągu kilku godzin znalazłby schronienie i przygotował się do strzału. Potem cierpliwie, bez narzekania, czekałby, aż jego specjalne usługi będą potrzebne albo zostanie wycofany. Ponieważ Cabrillo miał dostęp do akt personalnych swoich ludzi, wiedział, że King jest właścicielem baru z pianinem w Sedonie w Arizonie. Prezes korporacji czuł się dziwnie, kiedy przejeżdżał tamtędy i miał okazję oglądać Kinga przy swej drugiej pracy. Snajper nie tylko był ubrany w czarny smoking zamiast kombinezonu kamuflującego, ale słodkim, melodyjnym głosem śpiewał piosenki miłosne i ballady.

– Jak odbiór? – spytał Cabrillo.

– Antena ma trochę zakłóceń z powodu kropel wody na szkle, ale rozumiem większość z tego, co mówią.

– Wiesz, co masz robić, gdyby wydarzyło się coś ważnego.

– Tak jest – odparł King, cały czas patrząc przez noktowizor. Dotknął palcami słuchawki w uchu. – Hanley właśnie się przywitał.

Monica Crabtree stała w przeciwległym końcu hangaru i wyglądała przez uchylone na kilka milimetrów drzwi.

– Pan Hanley wszedł do środka – powiedziała tak, aby usłyszano ją przez hangar.

– Wejdz, Michael, przecież nie będziesz mókł na deszczu – powiedział miliarder.

Hanley minął stojącego w przejściu Gundersona i poszedł za miliarderem. Środkowym palcem lewej dłoni dotknął czoła, jakby chciał strącić kroplę, w odpowiedzi Gunderson przeciągnął palcem po podbródku.

– Siadaj – powiedział miliarder, kiedy doszli do stołu konferencyjnego w sali

urządzonej w przedniej części boeinga 737.

Hanley usiadł i wbił wzrok w swego adwersarza.

– Nie mogłem powiedzieć przez telefon, co się dzieje, ale Budda, którego dla mnie licytowałeś, znów został wystawiony na sprzedaż.

– Szybko – powiedział Hanley.

Miliarder skinął głową, nie powiedział jednak nic więcej.

– Jesteś chyba nieco zachrypnięty. Może coś do picia?

– To od deszczu i powietrza w samolocie, którym leciałem – odpowiedział Hanley. – Chyba łapie przeziębienie.

Miliarder wcisnął guzik i zjawił się Gunderson.

– Mógłbyś przynieść panu Talbotowi herbatę z miodem i cytryną?

– A dla pana?

– Kieliszek ciepłego ouzo.

– Już podaję.

Skulony na dachu hangaru King wszystko słyszał.

– Zamawiają napoje – powiedział do mikrofonu.

– Otwórz drzwi, Monico – powiedział Cabrillo.

Crabtree wcisnęła klawisz i wrota hangaru zaczęły się unosić, aby samochód z Adamsem i Spenserem mógł wyjechać.

– Czas ruszać! – krzyknął Cabrillo.

Adams wrzucił bieg i podjechał powoli do wrót. Po chwili wyjechali w strugi deszczu.

Kiedy Gunderson wrócił z napojami, miliarder bez słowa wbił wzrok w Hanleya.

– Pilot prosił, aby przekazać, że nadjeżdża furgonetka – powiedział.

Miliarder odwrócił się od Hanleya i wyjrzał przez okienko. Do schodów podjechał biały terenowy chevrolet. Nieznany mu mężczyzna wysiadł od strony kierowcy i podszedł do tyłu samochodu. Wyjął składany daszek i zaczął go montować. Od strony pasażera z samochodu wysiadł Spenser.

– Chodź – powiedział miliarder do Hanleya. – Nasza nagroda przyjechała.

Kiedy miliarder i Hanley szli w kierunku schodów, Adams podciągnął skrzynię z Buddą do drzwi samochodu i otworzył ją. Potem podszedł do szoferki i usiadł za kierownicą, aby nie moknąć.

Kiedy miliarder pojawił się u szczytu schodów, Spenser dał znak, aby do niego podszedł. Mężczyźni zaczęli schodzić.

– Załatwmy to gdzieś, gdzie jest sucho – powiedział miliarder. – W moim samolocie.

Spenser pokręcił głową.

– Nie znam pana, a pan nie zna mnie, więc zanim nie dostanę pieniędzy, pan nie przejmie towaru, Budda zostanie na ziemi.

Miliarder zwrócił się do Hanleya:

– Czy to on wygrał licytację?



- Tak – powiedział Hanley.
- Pan Mike Talbot, prawda? – spytał Spenser.
- Michael.
- Przyniósł pan pieniądze zgodnie z umową? – spytał Spenser.
- Obligacje na okaziciela – odparł miliarder. – Jeżeli wszystko będzie w porządku.

Hanley stał spokojnie, nie zwracając uwagi na krople deszczu, uderzające w jego lateksową maskę na twarzy.

- Sprawdź – wydał mu polecenie miliarder.

Hanley podszedł do samochodu i szczegółowo zbadał Buddę. Pochylił się nad jego stopą i zdrapał z niej odrobinę złota.

- Ma pan próbkę do porównania? – spytał miliardera. Ten podał mu kopertę.

Hanley wyjął z kieszeni nakładaną na oko lupę zegarmistrzowską i przez chwilę udawał, że porównuje próbki.

- Są takie same – stwierdził w końcu.
- Idę po obligacje – powiedział miliarder.

Dokładnie w tej samej chwili Chuck Gunderson naklejał ostatni pasek taśmy samoprzylepnej na usta drugiego pilota. Po chwili obaj piloci mieli ręce skrępowane plastikowymi więzami. Położył ich na podłodze kokpitu.

- Cel wchodzi po schodach – powiedział do komunikatora King.
- Dzwon – polecił Nixonowi Cabrillo.

W boeingu 737 Gunderson zwrócił się do ciemnowłosej stewardesy:

- Zrób mi przysługę – zamknij drzwi do kabiny.

Miliarder wchodził po schodach. Nie słyszał kroków Hanleya, Spensera i Adamsa, biegnących przez kałuże w kierunku hangaru. Zagłuszył je deszcz. Myślał jedynie o Złotym Buddzie i wyjęciu walizki, w której znajdowały się obligacje, dzięki którym posążek stanie się jego własnością. Był w połowie schodów, kiedy drzwi do samolotu zaczęły się zamykać. Kiedy stanął na górnym stopniu, zaryglowano je. Zaczął walić w nie pięścią i ryczeć na całe gardło.

Na drugim końcu miasta Ling Po właśnie miał zejść do kanału, kiedy zadzwonił jego telefon.

- Zrobiło się dla nas zbyt gorąco – powiedział anonimowy głos. – Wygrał pan, detektywie. Na pasie startowym lotniska Makau stoi biały terenowy chevrolet. Jest w nim skradziony podczas przyjęcia Budda. Do widzenia.

Telefon zamilkł. Po przez chwilę przyglądał się aparatowi ze zdziwieniem, po czym zadzwonił do Sunga Rhee.

- Właśnie miałem telefon od złodziei – powiedział szybko. – Twierdzą, że Budda jest w białym chevroletcie, stojącym na pasie startowym w Makau.

Hanley, Spenser i Adams dobiegli na tyły hangaru, gdzie czekała limuzyna z

zapalonym silnikiem. Za kierownicą siedziała Monica Crabtree. Kiedy trójka mężczyzn wsiadła, wrzuciła bieg i pomknęła w kierunku bramy.

– Kevin – powiedział Cabrillo.

Za pomocą zdalnie sterowanego urządzenia, które zamontował kilka godzin wcześniej, Nixon zaczął odjeżdżać schodami od samolotu. Kiedy samobieżne schody się poruszyły, miliarder pojął, że został wrobiony – odwrócił się i spojrział w dół. Samochód stał, ale nikogo przy nim nie było.

Larry King obserwował boeinga przez noktowizor. Widział, jak Gunderson siada na fotelu pilota i daje znak, że jest gotów. King błysnął zamocowanym na karabinie laserem – tak, aby czerwone mignięcie światła trafiło w szybę przed pilotem i na ten znak Gunderson uruchomił silniki. Samobieżne schody odjeżdżały z coraz większą prędkością, Nixon skręcił nimi tak, aby sunęły w bok. Kiedy znalazły się w bezpiecznej odległości od samolotu, przestawił dźwostkę na pozycję neutralną i schody zaczęły zwalniać. Wrzucił urządzenie do skrzynki i razem z Cabrillo po raz ostatni rozejrzeli się po hangarze. Z pomocą Crabtree zapakowali wszystko do bagażnika limuzyny na pół godziny przed występem Spensera. Teraz musieli to tylko wywieźć z terenu lotniska.

Kiedy samobieżne schody były odpowiednio daleko od boeinga 737, King znów dał znak laserem i Gunderson zwiększył moc silników.

Cabrillo i Nixon szli szybkim krokiem na tył hangaru. Zgłosił się King:

– Chuck ruszył taksówkę.

Schody wreszcie zwolniły na tyle, aby miliarder mógł z nich zeskoczyć. Pobiegl za oddalającym się boeingiem. Po kilku sekundach pojął, że pogoń nie ma sensu, skierował się więc do chevroleta. Kiedy do niego dotarł, ze zdziwieniem stwierdził, że Budda jest w środku. Odrzucił na bok aluminiowy daszek, zatrzasnął tylne drzwi, pognął do szoferki i usiadł za kierownicą. Kluczyki były w stacyjce! Stracił co prawda sto milionów dolarów w obligacjach, ale posądek był wart dwa razy tyle. Zamierzał uciec z Buddą i później martwić się tym, że ukradziono mu samolot. Uruchomił silnik i wrzucił bieg.

Na pokładzie boeinga ciemnowłosa stewardesa pilnowała drzwi do kokpitu. Nikt nie kazał jej tego robić, ale uznała, że tak będzie lepiej. Zjawiała się jedna z dziewczyn miliardera, blondynka, i ruszyła w kierunku drzwi.

– Proszę się cofnąć – powiedziała stewardesa.

– Muszę rozmawiać z pilotem.

Zrobiła kolejny krok, na co stewardesa zamachnęła się na nią. Cios jednak nie dotarł do celu. Blondyna odparowała go, po czym jednym uderzeniem posłała stewardesę na koszt z chlebem.

– Chucky! – wrzasnęła. – Możesz powiedzieć tej dziwce, że jestem ci potrzebna?

Stewardesa stała zgięta wpół i próbowała odzyskać oddech. Drzwi kokpitu gwałtownie się otworzyły. Stewardesa od razu zauważyła, że kołują dość szybko w kierunku pasa startowego. W fotelu pilota siedział Gunderson. Odwrócił się do niej i

uśmiechnął.

– Wszystko gra, skarbie – powiedział. – To mój drugi pilot.

Taksówka stała tuż przy tylnej ścianie hangaru, z rury wydechowej wylatywały kłęby spalin, które powoli rozplywały się w deszczowym powietrzu. Cabrillo i Nixon wsiedli do środka. Znow zgłosił się King.

– Szefie, wsiadł do samochodu.

– Wychodź z gniazda – odparł Cabrillo. – Spotkamy się od frontu.

W chwili, gdy King zaczął się wygrzebywać z klimatyzacji, miliarder pędził chevroletem drogą, łączącą hangar z głównym terminalem.

W ciemnoczerwonym boeingu 737 Gunderson popatrzył na radar pogodowy i odpowiedział na telefon z wieży kontrolnej. Wcisnął klawisz, dzięki któremu można było słyszeć jego głos w kabinie pasażerskiej.

– Drogie panie, proszę o zajęcie miejsc, ponieważ za chwilę będziemy startować. Gdyby po starcie któraś z was mogła przynieść do kokpitu dzbanek kawy i kilka kanapek, miło zapisze się w mej pamięci. – Powiedziawszy to, wyłączył nagłaśnianie i odwrócił się do siedzącej obok blondynki. – Cześć, Judy, dawno się nie widzieliśmy.

Po moście, łączącym półwysep z Tajpą, na której znajdowało się lotnisko, pędziło na sygnale dwanaście radiowozów, tworząc coś w rodzaju ruchomej barykady.

– Są – powiedziała Crabtree. Ich samochód jechał w przeciwną stronę.

Obserwowała we wstecznym lusterku, jak kilka radiowozów odłącza się od grupy, przecina pas zieleni i blokuje oba kierunki ruchu.

– Ledwie zdążyliśmy – stwierdził Adams.

Kierowca powoli objechał budynek, czekał, aż King wyjdzie z rury i zajmie siedzenie pasażera. Odwrócił się i popatrzył na Cabrillo.

– Zawieź nas na południowy kraniec lotniska, do miejsca naprzeciwko wyspy Coloane – powiedział Cabrillo. – Musimy złapać łódź.

Boeing dostał zezwolenie na start w momencie, gdy chevrolet przejeżdżał przed frontem głównego terminalu. Miliarder ujrzał stojące w oddali radiowozy. Kiedy odwrócił głowę, poprzez deszcz dostrzegł światelka, migające na skrzydłach i kadłubie jego ciemnoczerwonego samolotu, który właśnie uniósł się nad ziemię i wzlatywał nad zatokę.

– Cel? – spytała Judy.

– Singapur – odparł Gunderson. – Powiedz mi, jak wam poszło z Tracy?

– Myślałyśmy, że większy z niego kozak – odparła Judy. – Szybko się zmęczył.

Burza z całą furią spadła na Makau kilka minut po tym, jak Gunderson i boeing 737 zakreślili szeroki łuk nad Morzem Południowochińskim, by skierować się na południe. Poziom wody w burzowcu podnosił się coraz szybciej a dwa pontony ze Złotym Buddą i jego trzema wyzwolicielami mknęły coraz prędzej w kierunku wolności lub zguby.

Przed każdym rozwidleniem kanału jeden z mężczyzn wysiadał, łapał linę podwiązaną do pierwszego pontonu i zwalniał jego bieg. Potem pchał ponton z boku, aby wpłynął do odpowiedniego rozgałęzienia, po czym pozwalał mu płynąć z prądem. Porozmieszczane w nieregularnych odstępach rury, łączące się z kanałem burzowym od góry, wypływały kaskady wody i gdy przepływali pod nimi, do tratw dostawały się kolejne porcje wody. Wylewali ją kapeluszami, ale z każdym kilometrem było to coraz trudniejsze.

Hornsby uważnie studiował plan.

– Pokonaliśmy pół drogi, ale jeżeli woda będzie się podnosić z tą samą szybkością, a my nie przyspieszymy, to przy ujściu do zatoki burzowiec będzie zapełniony wodą pod sam sufit.

– Z „Oregoną” na pewno wysłano już pomoc – stwierdził Jones. – Mają kopię planu.

Meadows stał z czoła wodę.

– To nie likwiduje naszego problemu. Jedyne sprawia, że narażonych jest więcej ludzi.

Hornsby stał w wodzie po pas i biodrem pchał ponton z Buddą w lewo. Kiedy ruszył pchany prądem, wtoczył się do drugiego pontonu.

– To nie jedyny kłopot. Przy tym tempie, kiedy w ogóle dotrzemy do wylotu – jeżeli dotrzemy – zrobi się jasno i ktoś może nas spostrzec.

Hornsby odwrócił głowę. Ujrzał, że Jones szeroko się uśmiecha.

– Tworzymy korporację – powiedział. – Zawsze jesteśmy krok do przodu.

Trójka mężczyzn kiwnęła głowami i pontony pomknęły w kierunku oddziału ratunkowego, który zaczął mieć swoje problemy.

Silnik zodiaca prowadzonego przez Marka Murphy’ego wyrzucał do tyłu strumień wody. Przeciwny prąd stale się nasilał, ale potężny motor pchał ponton do przodu. Siedzący pośrodku Hali Kasim demontował rurową konstrukcję daszka i czujniki. Kiedy skończył, schował elementy i odwrócił się do Murphy’ego.

– Mamy maksimum luzu od góry. Dodaj gazu. Jeżeli szybko ich nie znajdziemy, będziemy musieli popływać.

Murphy przesunął przepustnicę i skręcił. Oświetlał sobie drogę ręcznym szperaczem, nawigował za pomocą przenośnego GPS-u, który trzymał między

kolanami.

- Znajdź syrenę – poprosił Kasima. – Mam wrażenie, że zaraz się przyda.

Kiedy Rick Barrett podpływał scarabem do południowego krańca sztucznego lądu, na którym zbudowano lotnisko w Makau, ze wschodu na zachód pędziły ściany deszczu. Barrett miał na sobie żółtą przeciwdeszczową kurtkę, dzięki której normalnie byłby dobrze widoczny, warunki sprawiały jednak, że on i scarab ginęli w mroku. Wsłuchiwał się w dźwięki dochodzące ze słuchawki w uchu, były to jednak tylko trzaski.

Przeszukiwał brzeg za pomocą noktowizora i zaczynał obawiać się najgorszego.

- Co to znaczy?! – wrzasnął wściekły Po.

Szef wydziału robót publicznych Makau też nie był szczęśliwy. Wyrwano go z zasłużonego snu i kazano mu natychmiast jechać do biura, aby przygotował kopie planów burzowców. Po przybyciu do biura stwierdził, że nie jest w stanie odnaleźć dokumentów.

– To, że zniknęły – powiedział detektywowi. – Usunięto je z komputerów, a kopie dyskowe wyniesiono z biura.

- Jest pan pewien?
- Cała nocna zmiana szukała. Nic nie zostało.
- Więc nie wiemy, którędy woda z miasta wydostaje się do zatoki?
- Nie mamy mapy, ale jest sposób, aby to określić.
- Jaki?
- Włąć do rur barwnik i obserwować, gdzie się pojawi.

Po odwrócił się do jednego z mundurowych policjantów.

– Niech pan znajdzie sklep chemiczny i kupcie mi kilkanaście pięciolitrowych puszek farby.

Spojrzał ponownie w głąb kanału. Nie było sensu wchodzić w labirynt – woda sama wypłucze szumowiny. A kiedy zaczną wychodzić na światło dzienne, będzie na nich czekał. Uśmiechnął się na tę myśl, zmieniłby jednak nieco zdanie, gdyby zauważył mężczyznę, stojącego w odległości kilku metrów w wejściu do całodobowej kawiarni. Nieznajomy dotknął ucha, aby poprawić tkwiącą w nim słuchawkę, po czym wszedł do lokalu.

Miliarder przerzucił dźwignię automatycznej skrzyni biegów na parkowanie. Nie miał innego wyboru. Przed nim ulice blokowały trzy radiowozy, ukryci za nimi policjanci czekali z wyciągniętą bronią. Z tyłu miał kolejne samochody i transporter opancerzony, służący jako centrala dowodzenia. W środku siedział Sung Rhee i obserwował białego chevroleta. Sięgnął po mikrofon zewnętrznego systemu głośników.

– Jesteś otoczony! Wsiądź powoli z pojazdu, z rękami nad głową. – Odwrócił się do jednego z policjantów i dodał: – Oświetlić go reflektorem!

Policjant wcisnął odpowiedni klawisz i reflektor o mocy światła równej czterem milionom świeczek zamienił noc w dzień. Rhee patrzył na powoli otwierające się drzwi od strony kierowcy. Na mokry asfalt wysiadł ubrany całkowicie na czarno mężczyzna i odszedł dwa kroki od samochodu.

– Stój!

Mężczyzna zamarł w miejscu.

– Podnieś ręce – rozkazał Rhee. – Jeżeli jesteś jedynym pasażerem, porusz lekko lewą ręką.

Lewe ramię mężczyzny w czerni poruszyło się na boki.

– Podejdź sześć kroków w kierunku światła.

Mężczyzna wykonał polecenie.

– Uklęknij na ziemi, potem połóż się na brzuchu.

Mężczyzna ponownie zrobił, co mu kazano.

– Dwóch oficerów naprzód! Skuć podejrzanego!

Zza radiowozów wyszło dwóch policjantów. Powoli podeszli do leżącego. Jeden osłaniał kolegę, który ukląkł i skuł mężczyźnie ręce na plecach, po czym podniósł go.

– Jestem Amerykaninem i żądam widzenia z ambasadorem! – zawołał miliarder.

Rhee poczekał, aż opuści się tylna kłapa transportera, po czym wyszedł na deszcz i ruszył do chevroleta. Sprawdził latarką, czy pojazd jest pusty, przejrzał przestrzeń bagażową i odkrył Buddę. Otworzył tylne drzwi auta i popatrzył na prawie dwumetrowej wysokości kawał złota. Sięgnął do kieszeni po telefon.

Limuzyna z Hanleyem właśnie podjeżdżała do „Oregona”.

– Dokładnie wszystko powycieraj i pozbądź się samochodu – powiedział do Crabtree. – Ty idziesz ze mną.

Spenser podążył w górę trapu. Kiedy znaleźli się na pokładzie, Hanley kazał mu iść za sobą. Ruszyli w kierunku centrali sterowania. Hanley otworzył drzwi i skinął Ericowi Stone’owi.

– Wezwij strażnika dla Spensera.

Stone zaczął mówić do mikrofonu.

– Gdzie prezes? – spytał Hanley.

Stone wskazał na ekran, na którym niemal na samym końcu wyspy migały dwa światelka – jedno się poruszało, drugie nie.

– Tam – odparł. – To drugie to Barrett, który ma ich zabrać. Pierwsze światelko zaczęło zwalniać, po czym zamarło w bezruchu.

– Daj znak Barrettowi, że przybyli.

Spenser obserwował operację ze zdumieniem. Właśnie zamierzał zadać Hanleyowi pytanie, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Sam Pryor.

– Zabierz tego człowieka do celi i zamknij.

– Poziom zabezpieczenia?

– Minimalny, ale zostań z nim – nie wolno mu używać żadnych środków komunikacji ani z nikim rozmawiać. Możesz go nakarmić i pozwolić mu spać, oglądać telewizję albo wideo, ale nie powinien korzystać z komputera.

– Tak jest! – powiedział Pryor.

Hanley zwrócił się do Spensera:

– Spełnił pan swoją część umowy – powiedział. – Jeśli nie zrobi pan nic głupiego, to wypełnimy naszą.

Pryor skinął na więźnia.

– Kiedy będę wolny? – spytał antykwariusz.

– Powiadomimy pana, ale to nie potrwa długo.

Pryor wyprowadził Spensera na korytarz. Zanim zamknęły się drzwi, Spenser się odwrócił i ujrzał, jak Hanley ściąga maskę z twarzy.

Barrett usłyszał w słuchawce pisk i zaczął obserwować przez lornetkę linię brzegu. W ukazującym świat na zielono wizjerze eksplodowały dwa błyski z zapalonych na ułamek sekundy reflektorów.

Barrett mignął swoim reflektorem i podpłynął jeszcze do bliżej brzegu.

Tom Reyes skończył ścierać swoje odciski palców z kierownicy i przycisków, po czym przekręcił kluczyk, wyłączając silnik. Odwrócił się w fotelu i popatrzył na Cabrillo oraz Nixona.

– Jesteśmy czyści i weseli, szefie – powiedział, wsuwając kluczyki do kieszeni.

– No to się zmoczmy – odparł Cabrillo i otworzył tylne drzwi taksówki.

Nixon wysiadł – z ostatnim pudełkiem narzędzi w rękach – i poszedł za Cabrillo oraz Reyesem do brzegu. Niebo na wschodzie zaczynało się rozjaśniać. Wiejący z zachodu wiatr słabł. Za kilka godzin będzie dzień, a sztorm minie Makau, teraz jednak strugi ulewy jeszcze smagały wyspy.

Barrett podpłynął tak blisko do brzegu, jak tylko mógł, po czym zamknął przepustnicę, aby nie wpaść na skały. Cabrillo wszedł do wody, złapał łódź za dziób i przytrzymał ją w miejscu. Reyes wdrapał się na pokład, wziął od Nixona pudło. Położył je na pokładzie i pomógł Nixonowi dostać się do łodzi. Kiedy był już w środku, Cabrillo pchnął scaraba i sięgnął po rękę Reyesa. Wszedł z jego pomocą na pokład, zaraz po tym Barrett wrzucił wsteczny.

Powoli odpływali od południowego krańca wyspy.

Kiedy oddalili się odpowiednio od skał, Barrett skierował scaraba na „Oregona”.

– Nie rozumiem – powiedział Hanley.

– Główny detektyw kazał kupić kilkanaście puszek farby – cicho powiedział Michael Halpert. – Zamierzają wlać ją do burzowca i w ten sposób dowiedzieć się, którędy wypływa woda z kanałów.

– Dobra robota. Możesz wracać na „Oregona”.

Stone, który obserwował radar, odwrócił się do Hanleya.

– Barrett wraca. Powinien tu być za kilka minut.

Hanley popatrzył na radar pogodowy.

– Niech czeka na nich kilku marynarzy – polecił. – Musimy szybko schować scaraba do ładowni.

– Tak jest! – odparł Stone i sięgnął po mikrofon.

Sung Rhee podszedł do podejrzanego, którego zaprowadzono pod dach terminalu lotniska. W jasnym świetle palących się tam lamp mężczyzna wydał mu się znajomy.

– Jeden ze współników pana sypanął – powiedział. – Zadzwoń, informując nas, gdzie można pana znaleźć.

Mężczyzna wpatrywał się w Rhee wzrokiem, wyrażającym równocześnie litość i pogardę.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Nie ma sensu kręcić – powiedział Rhee. – Złapaliśmy pana na gorącym uczynku.

– To pomyłka. Zamierzałem kupić dzieło sztuki i grupa złodziei mnie oszukała. Ich powinniście prześladować, nie mnie.

– Kiedy przyjechał pan do Makau? – spytał Rhee.

– Dwie godziny temu.

– Ostatni prom przybił trzy godziny temu, a następny odpływa za ponad dwie. Od pierwszej w nocy do piątej rano nie lądują także samoloty. Pańska wersja nie trzyma się kupy.

– Mam własny samolot.

– Tak? Gdzie?

– Nie mam pojęcia. Złodzieje mi go ukradli.

– Jakże wygodnie – powiedział Rhee. – Proszę zrozumieć; jeżeli nie będzie pan odpowiadał na nasze pytania, możemy uczynić całe przesłuchanie bardzo nieprzyjemnym.

Miliarder coraz bardziej się irytował. Zazwyczaj jego rozmowy z wszelkimi urzędnikami ograniczały się do wydawania poleceń. Był zmęczony, miał lekkiego kaca i tęsknił za straconymi stoma milionami dolarów.

Popatrzył Rhee prosto w oczy.

– Słuchaj, palancie, skradziono mi na waszym lotnisku boeinga 737, w którego kabinie leżała walizka, zawierająca sto milionów dolarów w obligacjach na okaziciela. Nie wiem, co działo się dziś w nocy w tym przypominającym kibel kraju, ale jeżeli zdejmiesz mi te kajdanki i pozwolisz zadzwonić, wyjaśnię to w ciągu dziesięciu minut.

Gdyby Rhee posłuchał miliardera, być może udałoby się zacząć śledzić boeinga, ale jego wojownicza postawa złościła policjanta.

– Zabierzcie go do komendy głównej – polecił jednemu z mundurowych.

Barrett wpłynął scarabem w pętlę uprzęży, po czym cała czwórka zaczęła



wchodzić po drabinie na pokład, podczas gdy marynarze cumowali łódź.

– Muszę jeszcze trochę pokombinować – powiedział Cabrillo do Barretta. – Chciałbyś się dołączyć?

– Trudniejsze to nieco od lukrowania ciasta, ale znacznie bardziej podniecające – przyznał Barrett.

Czterech mężczyzn przeszło przez właz, prowadzący do wnętrza „Oregon”. Cabrillo wskazał ręką w głąb korytarza.

– Idźcie się umyć, ja mam jeszcze parę spraw do załatwienia.

Ruszyli w kierunku swoich kabin.

– Hej! – zawołał za nimi Cabrillo. – Dobra robota!

Cabrillo poszedł do centrali i otworzył drzwi. Wszedł do środka i zaczął rozpinać koszulę. Zwrócił się do Hanleya:

– Na czym stoimy, Max?

Między powierzchnią wody a szczytem kanału pozostawało metr dwadzieścia wolnej przestrzeni. Baterie latarek nahełmowych słabły, świeciły już na żółto. Poziom wody szybko się podnosił i nie mogli już bezpiecznie wysiadać ze swojego pontonu, aby sterować Buddą.

Meadows związał pontony i klęczał wraz z Jonesem w miejscu, gdzie obie jednostki pływające się stykały. Sterowali ich ruchem, odpychając się nogami to od jednej, to od drugiej ściany kanału burzowego.

– Zbliża, się rozjazd! – krzyknął Hornsby. – Musimy w lewo!

Rura rozchodziła się w kształcie litery V, rozcinając wodę niczym dziób okrętu podwodnego z napędem atomowym. Na wodzie unosiły się śmieci, a z sufitu burzowca spadało tyle wody, jakby znajdowali się na zewnątrz. Związane pontony pędziły z prędkością niemal uniemożliwiającą sterowanie.

Jones patrzył przed siebie. Miał zaplanowaną kolejność działań. Kiedy pontony dopłynęły do miejsca, znajdującego się sześć metrów przed rozwidleniem, wyciągnął nogę i odepchnął się od ściany. Pontony zmieniły kierunek i wpłynęły tam, gdzie chcieli.

– Udało się! – krzyknął Jones. – Ale jeżeli wody jeszcze przybędzie, będziemy mieli problemy z następnym rozwidleniem!

– Jeżeli szybko nie nadejdzie pomoc, trzeba będzie odciąć Buddę i zacząć walczyć o życie! – dodał Meadows.

## 29

– Po jednej naraz – nakazał policjantowi Po.

Za pomocą śrubokręta, odpiętego od pęku kluczy, policjant otworzył pierwszy kubełek farby i wlał zawartość do pędzącej w dół wody. W świetle latarki Po obserwował, jak purpura miesza się z wodą i rozchodzi. Policjant odstawił pusty kubełek, otworzył następny i powtórzył operację. W tym momencie zadzwonił telefon Po. Odszedł kilka kroków i odebrał.

– Ling! – zaczął Sung Rhee. – Przyjeżdżaj zaraz na komendę. Złapaliśmy podejrzanego.

– Jadę, szefie!

– Władze zdecydowały się prześledzić trasę przepływu wody w kanałach za pomocą dolewania farby – powiedział Hanley do Cabrillo.

Cabrillo wycierał mokrą twarz ręcznikiem. Kiedy skończył, rzucił ręcznik na stół i szybko przeciągnął przez włosy grzebieniem.

– Miałem nadzieję, że jeżeli się domyślą, iż nasi ludzie uciekli kanałami burzowymi, usunięcie planów spowolni pościg. Przynajmniej na tyle, byśmy zdążyli wyciągnąć chłopaków – stwierdził. – Wygląda jednak na to, że musimy realizować któryś z planów awaryjnych.

Hanley wskazał na ekran komputera.

– Jak pan wie, wybrana przez nas rura wypływowa jest jedyną na południowo-zachodnim krańcu Półwyspu Południowego. Woda płynie następnie między jeziorami Nam Van i wpada do morza na północ od Tajpy.

Cabrillo popatrzył na ekran. Schemat kanałów burzowców przypominał skrzywione drzewo z opadającymi gałęziami. Ten, którym mieli się wydostać jego ludzie, stanowił pień drzewa.

– Udało się nawiązać z nimi kontakt? – spytał Cabrillo.

– Nie mieliśmy szczęścia z Hornsbym, Meadowsem ani Jonesem – przyznał Hanley. – Radia, które mają, są najwyraźniej za słabe, aby fale przebiły się przez warstwy ziemi nad nimi.

– A Murphy i Kasim?

– Próbowaliśmy, ale przekaz werbalny jest przerywany. Dane przepływają, jesteśmy więc z nimi w kontakcie alfanumerycznym.

– Możemy więc przekazać im polecenie i dostać odpowiedź?

– Dotychczas było to możliwe.

Przerwał im Eric Stone.

– Panowie – powiedział, wskazując na ekran. – Przenośna kamera, którą Halpert zostawił przy wejściu do kanału, pokazuje coś, co może zechcecie obejrzeć.

Cabrillo i Hanley zaczęli oglądać policjantów, wlewających farbę do studzienki w

asfalcie.

– Daj mi symulację, ile czasu zajmie, aż farba dotrze do naszych ludzi – powiedział Cabrillo.

Palce Stone'a zatańczyły na klawiaturze i kilka sekund później system kanałów burzowych zaczął się zaczerwieniać. Patrzyli na rozprzestrzenianie się koloru. Zegarek w rogu ekranu obliczał czas.

– Siedemnaście minut do miejsca, w którym naszym zdaniem teraz są – powoli powiedział Stone. – Dwadzieścia dwie do wód powyżej Tajpy.

W tym momencie zaterkotała drukarka i wyrzuciła do koszyka kartkę. Hanley poszedł po nią.

– Właśnie wydano rozkaz dwóm łodziom policyjnym i dwóm chińskim patrolowcom. Mają natychmiast zacząć szukać czerwonej wody, a po znalezieniu jej źródła zatrzymać się w pobliżu.

– Włącz zegar – rozkazał Cabrillo. – Zaczynamy się spieszyć. Sprawdzić, czy wszyscy są na pokładzie i przygotować „Oregona” do wypłynięcia. Chcę, aby mój zespół bezpiecznie wydostał się razem ze Złotym Buddą z kanałów i wrócił na pokład, potem wraz ze świtem opuszczamy Makau. Jeżeli Chińczycy patrolują wody, „Oregon” jest zagrożony.

– Złamana Strzała? – spytał Hanley.

– Potwierdzam, Złamana Strzała – powiedział Cabrillo.

– Poinformować wszystkich, panie Stone – powiedział Hanley.

Stone włączył alarm. W dwie minuty „Oregon” stał się miejscem gorączkowego działania.

Lecąc nad Morzem Południowochińskim, Mały Gunderson jadł kanapkę z salami i popijał ją mrożoną herbatą. Ciemnowłosa stewardesa Rhonda Rosselli siedziała na fotelu mechanika pokładowego. Drzwi do kokpitu były otwarte i blondynka, pełniąca funkcję drugiego pilota, Judy Michaels, weszła do środka i usiadła na swoim fotelu. Była ubrana w kombinezon lotniczy w kolorze khaki i właśnie umyła twarz.

– Tracy zmienia i sprawdza sprzęt – powiedziała.

– Mówiłem ci już, że świetnie to rozegrałaś? – spytał Gunderson. – Jesteście bardzo przekonujące jako dziwki.

– Magisterium nauk politycznych w Georgetown, cztery lata w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, a sypiam z wrogiem – powiedziała Michaels.

Gunderson wsunął do ust ostatni kawałek kanapki i strzepnął okruchy z dłoni. Popił herbatą.

– Chyba zapomniałaś, jak kilka lat temu uwiodłem rumuńską hrabinę – powiedział. – Robimy wszystko, aby osiągnąć cel.

– Pamiętam o tamtej sprawie, Chuck. Jeśli się nie mylę, zadanie nawet dość ci się podobało.

Gunderson uśmiechnął się.

– A twoje ci się nie podobało?

Michaels zapisała w notatniku odczyty z instrumentów.

– Facet był świrem – powiedziała. – Maniakiem.

– Więc dobrze mu tak – powiedział Gunderson. Rozpiął pas i wstał. – Że stracił samolot.

– Przejmuję stery – powiedziała Michaels.

– Muszę iść do toalety – powiedział Gunderson. – Zaraz wracam.

W jadalni „Oregona” Winston Spenser popijał herbatę i martwił się. Nieopodal, przy osobnym stoliku, siedział bez słowa jego strażnik. Do jadalni wszedł Juan Cabrillo, podszedł i podał Spenserowi kawałek papieru.

– Numer konta w paragwajskim banku – powiedział. – Przekaz został dokonany, pieniądze są do dyspozycji. Jeżeli w ciągu roku od dziś konto nie zostanie przejęte, pieniądze automatycznie wrócą do nas. W chwili gdy dokona pan depozytu, pobierze pieniądze czy zrobi cokolwiek innego, komputer wymaże wszelkie informacje dotyczące tego, skąd pieniądze nadeszły i dokąd by wróciły.

– Dlaczego rok?

– Ponieważ w pańskiej sytuacji finansowej, jeśli nie skorzysta pan z tych pieniędzy w ciągu roku, będzie to oznaczało, że pan nie żyje.

Spenser skinął głową.

Cabrillo podał mu książeczkę z biletem lotniczym.

– Z Hongkongu do Dubaju, potem do Paragwaju, pierwszą klasą. Pierwszym jutrzejszym lotem.

Spenser wziął bilet.

– Tu ma pan jeszcze dziesięć tysięcy dolarów amerykańskich – powiedział Cabrillo, podając Spenserowi kopertę. – Każda większa suma ściągnęłaby na siebie uwagę.

Spenser wziął kopertę.

– To wypełnia naszą umowę, panie Spenser. Zamówiliśmy taksówkę, która zawiezie pana, gdzie tylko pan zechce. Podjedzie do statku za kilka minut.

Strażnik wstał i czekał, aż Spenser zrobi to samo. Cabrillo ruszył do drzwi.

– Mogę zadać panu pytanie? – spytał Spenser.

Cabrillo, który właśnie otwierał drzwi, zatrzymał się i odwrócił.

– To wszystko wygląda zbyt dobrze. W czym tkwi haczyk?

– Musi pan dojechać do Hongkongu.

Na pokładzie rufowym „Oregona” George Adams czekał, aż platforma do lądowania uniesie się do poziomu pokładu. Siekł deszcz, wiatr z zachodu nie schodził poniżej dwudziestu węzłów. Odwrócił się do Toma Reyesa.

– Kiedy marynarze zamocują platformę windy, trzeba obrócić ptaszka na zachód. Będę musiał ostro wystartować na wiatr.

Reyes skinął głową i patrzył, jak kolejny marynarz przetacza w pobliże windy wózek z kilkoma skrzynkami. Operator windy dał znak, że platforma jest zablokowana i Adams z Reyesem weszli na nią.

Robinson R-44 to średniej wielkości maszyna z silnikiem tłokowym, osiągająca maksymalną prędkość nieco ponad dwieście kilometrów na godzinę. Waży sześćset kilogramów, ma dwieście sześćdziesiąt koni mocy, a kosztuje około trzystu tysięcy dolarów.

Podłożyli pod koła odpowiednie podkładki do manewrowania i obrócili helikopter, po czym wyjęli podkładki i oddali je marynarzom.

– Tak jak pan kazał, umieściliśmy barwnik w plastikowych workach – powiedział jeden z marynarzy.

Adams zwrócił się do Reyesa:

– Trzymaj skrzynkę w nogach, ale nie za blisko pedałów. Zejdę jak najniżej, ale z powodu wiatru będzie nieźle szarpać.

– Rozumiem.

Adams szybko obszedł helikopter, sprawdził poziom paliwa i ogólny stan maszyny, po czym dał znak Reyesowi.

– Wskakuj i do roboty!

Kiedy usiedli w fotelach, Adams przejrzał listę czynności kontrolnych. Kiedy skończył, krzyknął przez okno: „Gotowe!” i uruchomił silnik. Po chwili łopaty wirnika zaczęły się powoli obracać, coraz bardziej przyspieszać, aż maszyna zaczęła cała drżeć i podskakiwać. Adams uważnie obserwował wskaźniki i kiedy uznał, że silnik odpowiednio się rozgrzał, włączył laryngofon.

– Trzymaj się, Tom – powiedział. – To będzie jak wielki skok.

Wystartowali prosto na wiatr, po chwili zaczęli się równocześnie unosić i oddalać od „Oregona”.

Odlecieli od statku i przez chwilę poruszali się dokładnie pod wiatr. Kiedy oddalili się wystarczająco od brzegu, Adams zawrócił na Makau. Nad kolanem kombinezonu miał pasek z klipsem, w który wpiął kawałek papieru – mapkę, ukazującą rozmieszczenie wylotów burzowców.

– Lecimy tam! – powiedział, wskazując miejsce, z którego wylewała się do zatoki brudna woda.

Reyes sięgnął do skrzynki, wyjął plastikową torbę, przeciął górny spaw i wyrzucił torbę przez okienko w drzwiach pasażera. Wirując, torba spadła do wody z wysokości trzech metrów i natychmiast zaczęła się wokół niej rozlewać krwistoczerwona plama.

Policyjna łódź patrolowa słyszała lecący helikopter, jednak z powodu deszczu załoga nie była w stanie go dostrzec. Adams prowadził helikopter wzdłuż linii, prowadzącej do lądu, na wschód od Makau. Potem okrążył szpic półwyspu, między Makau i Tajpą, aby powtórzyć zabieg.

Detektyw Po zaparkował przed komendą główną wydziału policji Makau i

przeszedł przez deszcz do frontowych drzwi. Na wschodzie niebo nieco pojaśniało, ale opady nie ustawały.

Wjechał windą na piętro Rhee. Jeszcze nie dotarł do recepcji, a już wiedział, że w powietrzu wiszą kłopoty. Przedstawiciel konsula USA, burmistrz Makau, chiński generał i czterech dziennikarzy tłoczyło się wokół ubranego na czarno mężczyzny.

– Tu nie chodzi o kradzież w sklepie – głośno powiedział obiekt ich zainteresowania. – Na Boga! Ukradli boeinga 737!

Miliarder miał szczęście. Nie pozwolono mu zatelefonować przed przesłuchaniem przez Rhee, ale kiedy weszli do jego gabinetu, Amerykanin zauważył leżący na półce egzemplarz „Fortune”. Okładkę zdobiła jego twarz. Kiedy pokazał ją Rhee, sprawy gwałtownie zmieniły obrót.

W kilka sekund z podejrzanego miliarder zamienił się w ofiarę.

Po podszedł i stanął obok Rhee. Drzwi windy znów się otworzyły i na korytarzu pojawił się Stanley Ho.

– Cholera – szepnął Rhee.

– Znaleźliście mojego Buddę? – spytał, ledwie znalazł się w zasięgu głosu.

– A to kto? – spytał miliarder.

– Stanley Ho – przesadnie dobitnie powiedział Ho. – A kim pan, do cholery, jest?

– Marcus Friday – głośno powiedział miliarder. – Mógł pan o mnie słyszeć.

– A pan o mnie – powiedział obrażony Ho. – Jestem jednym z najbogatszych ludzi na liście „Forbesa”.

– Znam wszystkich przede mną, nie ma pana wśród nich.

Po uśmiechnął się do siebie. Jeżeli to, co mówili, było prawdą, stał się świadkiem jedynej w swoim rodzaju wymiany przechwałek. Dwóch obrzydliwie bogatych dorosłych ludzi starało się zwrócić na siebie uwagę niczym dzieci, aby wybrano je do drużyny piłkarskiej.

– To moje miasto i może pan... – powiedział Ho.

– Panie Ho – przerwał mu detektyw. – Może pójdziemy do mojego gabinetu i wszystko załatwimy?

– Nigdzie nie idę! – warknął Ho.

– Proszę wszystkich o spokój! – głośno powiedział Rhee i poszedł w kierunku sali konferencyjnej. Dał dziennikarzom znak, że mają zostać przed drzwiami, a pozostałych zaprosił do środka. Kiedy zamknięto drzwi, podniósł słuchawkę i zamówił herbatę.

– W porządku. Kto chce zacząć? – zapytał.

Ho wbił wzrok w naczelnego inspektora.

– Budda, którego kupiłem w Szwajcarii za dwieście milionów dolarów, został skradziony dziś wieczór, w czasie gdy przebywał pan na przyjęciu w moim domu. Żądam informacji, czy został już odnaleziony.

– A mnie banda kryminalistów ukradła sto milionów dolarów w obligacjach na

okaziciela i boeinga 737 – powiedział miliarder. – Chcę wiedzieć, co jest grane w tym przeklętym kraju.

Po wstał i przez chwilę chodził.

– Czy pański samolot był wart sto milionów? – spytał w końcu.

Miliarder pokręcił głową.

– Więc wygląda na to, że dwieście milionów to dzisiejszej nocy najwyższa oferta podczas licytacji.

# 30

Kanał burzowy zamieniał się w wodny grób.

Wodę dzielił od szczytu łukowatego sklepienia niecały metr powietrza. Z dochodzących od góry rur płynęły prawdziwe wodospady. Składały się z deszczówki i zmywanych z ulic śmieci. Hornsby zobaczył płynącego w ich kierunku szczura i uderzył go wiosłem. Mieli przed sobą kolejne rozwidlenie.

– Musimy podjąć decyzję! – wrzasnął. – Tonać czy płynąć?

Meadows popatrzył do przodu. W coraz słabszym świetle latarek napełnionych niezbyt wyraźnie widział kłębiącą się wodę. Biała kipiela sprawiała jednak, że tracili panowanie nad pontonami.

– Przygotujcie wiosła! Koń musi ciągnąć wóz!

Zanurzając wiosła z lewej strony pontonów, obrócili się w lewo. Ponton z Buddą skręcił nieco zbyt ostro, ale wpłynął do prawidłowej odnogi. Ludzie nie mieli tyle szczęścia. Walnęli w szpic muru między odnogami, a cały impet poszedł w Jonesa. Zamarł przyklejony do betonowej ściany, aż lina, łącząca Buddę z ich pontonem, naprężyła się i szarpnęła ich w głąb kolejnej odnogi.

– Jones jest ranny! – krzyknął Meadows.

Pete Jones trzymał się za bok klatki piersiowej i z trudem łapał powietrze. Kiedy Hornsby się obrócił, ujrzał jego porwany kombinezon i przestraszoną minę.

– Moje... żebra... – wyjęczał Jones.

– Musimy odciąć ponton! – wrzasnął Hornsby. – Nie wyrobimy się na następnym rozwidleniu!

– Może powinniśmy rozciąć ponton i zatopić Buddę? – odparł Meadows. – Wrócimy, kiedy woda opadnie i zabierzemy go!

Jones popatrzył na zegarek i zagryzł wargi.

– „Oregon” ma dziś odpłynąć. Jeśli nie wyciągniemy posągu dziś, to możemy się z nim pożegnać.

Hornsby chwilę się zastanawiał. Szybko podjął decyzję. Następane rozwidlenie będzie za dwie minuty. Wyjął z kieszonki długopis, popatrzył na GPS i narysował pozostałą jeszcze trasę na grzbiecie dłoni.

– Bob, idę na pierwszy ponton. Opadnie przez to niżej, ale powinien się utrzymać na powierzchni. Kiedy położę się na skrzyni z Buddą, odetnij mnie.

Podał Meadowsowi GPS.

– Jesteś pewien, Horny?

Hornsby rzucił wiosło do pontonu z Buddą i ściągnął go bliżej.

– Przygotuj nóż.

Meadows zrobił co mu kazano i kiwnął głową.

Hornsby sprężył się i przeskoczył dzielącą pontony odległość. Kiedy się usadowił, Meadows przeciął linkę i wsadził wiosło do wody, aby spowolnić ich ponton. Hornsby



pomknął do przodu. Mimo mroku widać było, że w pontonie z Buddą jest dużo wody, a nad jej lustro unosi się jedynie głowa Hornsby'ego i kawałek tułowia.

– W prawo! – krzyczał Hornsby. – Potem w lewo!

Im bliżej wylotu, tym kanały burzowe były szersze, co miało zapobiec narastaniu ciśnienia w rurze i niszczeniu kafelków, którymi ją wyłożono. W sześciu miejscach pod Makau znajdowały się wielkie, prostokątne zbiorniki retencyjne, gdzie woda mogła się zbierać i wytracać prędkość przed wpłynięciem do końcowych fragmentów systemu, a potem do zatoki.

Murphy i Kasim krążyli po jednym ze zbiorników.

– Jeszcze pięć minut! – krzyknął Murphy. – Potem wchodzimy po nich!

Kasim trzy razy zatęchł.

– Powinni już tu być.

W tym momencie zapiszczał jego pager i Murphy wcisnął klawisz oświetlający ekran. Przeczytał wiadomość i skinął głową.

– Wlali do kanałów farbę, aby prześledzić trasę przepływu wody – powiedział i zaczął robić kolejne ciasne kółko. – Jeżeli przepłynie przez nasz tunel, mamy przechłapanie.

– Jak to?

– Farba sprowadzi Chińczyków i zabrudzi nam zodiaki. Złapią nas.

– Co radzi „Oregon”?

Murphy przez chwilę nie odpowiadał.

– Mamy wysadzić dochodzący tu tunel i zablokować wypływ zabarwionej wody.

– Ile mamy czasu?

– Sześć minut i czterdzieści siedem sekund – powiedział Murphy i wyjął z jednej torby na dnie ładunek wybuchowy.

– A co z naszymi?

– Jeżeli się do tego czasu nie pojawią, to znaczy że albo pomylili drogę, albo utonęli. Wtedy mamy chronić własne tyłki i wiać.

Murphy podpłynął do rury, doprowadzającej wodę do zbiornika retencyjnego. Odpowiednio manewrując silnikiem, trzymał zodiaca w miejscu, aż Kasim założył ładunek i uruchomił zapalnik czasowy. Cztery, trzy, dwa, jeden i zapaliła się czerwona lampka.

– Włącz jeszcze raz syrenę – powiedział Murphy i cofnął zodiaca.

Miał wrażenie, jakby pędził na kłodzie drewna w kierunku maszyny, która zaraz przemieni go na miazgę. Ponton był pełen wody, a odległość do sklepienia z każdą chwilą malała. Ostatni skręt wykonał, wbijając wiosło głęboko w wodę i robiąc lekki skręt dziobu w bok. Przygotował się do odepchnięcia nogami od ściany, aby wejść w następny zakręt. Stracił pozostałą dwójkę z oczu. Światło na jego hełmie praktycznie zgasło i nie był w stanie ocenić, czy Meadows i Jones wpłynęli w ten kanał co trzeba.

Jeżeli pomylili drogę, nie był w stanie im pomóc. Mógł się jedynie koncentrować na własnym przeżyciu. Odepchnął się nogą od ściany i ponton jeszcze raz wpłynął tam, gdzie trzeba.

Nagle – jak jazgot ptaka, nawołującego swoje pisklęta – usłyszał w przedzie trzy sygnały syreny. Ponton z leżącym na Złotym Buddzie Hornsby mknął prosto na źródło dźwięku.

Mimo ruchu zodiaca, Kasim próbował cały czas oświetlać wylot kanału. Zegarek na ładunku wybuchowym odliczał czas i tak naprawdę obaj zaczęli tracić wiarę, że operacja się uda.

– Dwie minuty – powiedział Kasim, przekrzykując odgłos silnika.

Murphy uważnie słuchał. Z tunelu dochodził odgłos przypominający ryk rannego zwierzęcia. Nagle, niczym duch, z rury wystrzelił Cliff Hornsby i przeciął powierzchnię wody w zbiorniku retencyjnym. Murphy błyskawicznie podpłynął do niego, a Kasim złapał krawędź pontonu.

– Gdzie zostali?

Hornsby starł wodę z oczu i popatrzył w górę, na wysokie sklepienie zbiornika, ledwie widoczne z powodu oślepiającego światła reflektora, skierowanego na zegar na ładunku wybuchowym.

– Byli tuż za mną.

– Widziałeś barwioną wodę?

– Jak to?

– Włali do kanału farbę, aby zobaczyć, gdzie woda wypływa. Widziałeś coś w wodzie?

– Nie.

– Minuta trzydzieści – powiedział Kasim.

– Co się dzieje? – spytał Hornsby.

– Mamy rozkaz zamknąć ten wylot, abyśmy mogli uciec – odparł Murphy. – Uruchom syrenę.

Jones leżał na dnie pontonu, ledwie zdolny się poruszyć. Meadows był pewien, że przy konieczności ucieczki z pontonu musiały go wziąć na plecy. Ledwie udało im się prawidłowo wpłynąć w ostatnie rozwidlenie. Każda następna próba będzie miała bardzo małą szansę na sukces.

– Jak się czujesz, stary? – spytał Jonesa.

Jones usłyszał dolatujący z przodu dźwięk, otworzył oczy i skrzywił się.

– Słyszałeś?

– Co? – spytał Meadows, sądząc, że Jones zaczyna mieć halucynacje.

– Przyjechali po nas.

Osiemnaście sekund później ich ponton wpadł do zbiornika.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia! – wrzasnął Murphy. – Łap linę i trzymaj!

– Trzydzieści właśnie minęło! – krzyknął Kasim.

Murphy skończył wiązać linki do ciągnięcia obu pontonów i pchnął przepustnicę. Śruba wściekle zawirowała i z potężnym szarpnięciem ruszyli w kierunku tunelu wylotowego.

– Głowy na dół! – wrzasnął Murphy, patrząc na stoper.

Ledwie skończył, przestrzeń wypełnił potężny ryk. Po sekundzie rura doprowadzająca wodę do zbiornika zapadła się, a na powierzchni wody zaczęła się tworzyć fala. Kierowała się w jedyne miejsce, które mogła ujść, czyli prosto na rurę wylotową. Ściana wody była znacznie wyższa niż rura. Kasim odwrócił się i poświecił na nadciągającą ścianę wody.

– Fala uderzeniowa się zbliża! – krzyknął.

Zodiac z dwoma pontonami za sobą wpadł do rury, prowadzącej do zatoki.

# 31

Na pokładzie „Oregona” trwały gorączkowe przygotowania do podniesienia kotwicy.

Juan Cabrillo sięgnął po słuchawkę telefonu i połączył się z kapitanatem portu.

– Proszę się nie martwić – powiedział po wstępnym kłamstwie, że kierownictwo firmy kazało mu natychmiast odpływać. – Mamy w Manili drugi statek, który przejmie fajerwerki do Stanów Zjednoczonych. Będzie tu pojutrze.

Oficer dyżurny przyjął to bez dyskusji. Ponieważ było późno i niewiele się działo, miał ochotę sobie pogadać.

– Do Singapuru – odpowiedział Cabrillo na jego pytanie – ale nie podali mi, co mam wieść. Wiem tylko tyle, że muszę tam być za siedemdziesiąt dwie godziny.

Singapur był oddalony o tysiąc pięćset mil morskich w linii prostej, więc oficer z kapitanatu obliczył sobie, że aby móc zdążyć na czas, „Oregon” będzie musiał cały czas przeć do przodu z prędkością dwudziestu węzłów. Nie mógł wiedzieć, że jeżeli „Oregonowi” uda się wypłynąć do świtu na otwarte wody, mógłby dotrzeć do Singapuru w trzydzieści godzin. Tak samo nie mógł wiedzieć, że „Oregon” wcale nie wybiera się do Singapuru.

– No tak... – powiedział Cabrillo. – To będzie harówa, ale rozkaz to rozkaz. Pilot płynie do nas?

Oficer dyżurny potwierdził.

– Będziemy go wypatrywać – powiedział Cabrillo. – I dzięki.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Hanleya. Była 4.41 rano.

– Chyba to kupił – powiedział. – Niech obserwator wygląda łodzi z pilotem.

Hanley skinął głową.

– Helikopter z Adamsem i Reyesem wrócił, kazałem pozamykać wszystkie luki. To znaczy że będziemy musieli przejąć zodiaki na otwartym morzu.

– Jakie mamy od nich wiadomości?

– Seng i Huxley czekają na zewnątrz – powiedział Huxley, patrząc na zegarek. – Murphy miał wysadzić kanał mniej więcej w tej właśnie chwili, aby zablokować wypływ barwionej wody i pozwolić uciec przynajmniej obu zodiacom. Z ostatniego meldunku sprzed dwóch minut wiemy, że Hornsby, Jones i Meadows jeszcze się nie pojawili ze Złotym Buddą.

– Nie podoba mi się to – powiedział Cabrillo.

– Kiedy zajmowałeś się antykwariuszem, musiałem podjąć decyzję – cicho powiedział Hanley. – Jeżeli akcja z wyrzucaniem farby z helikoptera nie zwiedzie Chińczyków, stracimy nie tylko ludzi w tunelu, ale także obie ekipy ratunkowe.

– Wiem, Max – powiedział Cabrillo. – Działałeś zgodnie z instrukcjami.

Przez chwilę na siebie patrzyli. Ciszę przerwał Eric Stone.

– Panowie – powiedział i wskazał na ekran. – Właśnie zarejestrowaliśmy falę

uderzeniową po wybuchu.

Murphy przesunął przepustnicę na maksimum. Połączone pontony gnały ujściem w kierunku zatoki. Fala wody pędziła trzy metry za nimi, na szczęście odległość się nie zmniejszała.

– Spróbuj złapać Senga przez radio! – krzyknął Murphy, – Powiedz mu, co się dzieje!

Kasim kiwnął głową i sięgnął po mikrofon.

– Eddie, mamy cel ze sobą! Odsuńcie się od otworu! Pędzimy jak szaleni!

– Zrozumiałem! – odkrzyknął Seng.

Kilka minut wcześniej, po usłyszeniu odgłosu wybuchu, Seng i Huxley wsiedli do swojego zodiaca. Kiedy Kasim się z nimi połączył, właśnie oddalali się od brzegu. Seng odwrócił ponton i popłynął na zatokę. Kiedy dotarli do skraju pasa mgły, skierował dziób na ląd, a reflektor na wylot rury.

– Zawiadom „Oregona”, że zespół numer 2 jest w drodze na zewnątrz.

Łódź z pilotem na pokładzie dobiła do burty „Oregona”. Nieopodal na falach podskakiwał kuter holowniczy, oczekujący instrukcji od pilota. Pilot wszedł na pokład statku i rozejrzał się wokół. Górny pokład był zawałony splątaną masą rdzewiejących lin i przeróżnego sprzętu. Popatrzył w górę na komin, z którego wydobywały się gęste kłęby brudnego oleistego dymu. Ten frachtowiec aż się prosił o skrócenie mu mąk na złomowisku.

– Co za ruina... – jęknął pilot do siebie.

Zza kolumny wyszedł jakiś marynarz.

– Kapitan Smith – przedstawił się. – Witam na pokładzie.

Kapitan miał na sobie zniszczoną żółtą kurtkę przeciwdeszczową, brudną i poplamioną olejem. Gęsta broda na twarzy była ruda wokół ust od nikotyny, a kiedy się uśmiechał, prezentował szereg nierównych, pożółkłych pieńków.

– Jestem gotów was stąd wyprowadzić – powiedział pilot, trzymając się w bezpiecznej odległości od śmierdzącego osobnika.

– Proszę za mną – powiedział kapitan i ruszył przed siebie.

Pilot poszedł za nim wokół splątanej masy złomu. Kiedy wchodzili schodkami do sterówki, pilot złapał za poręcz, która oderwała się i została mu w ręku.

– Kapitanie...

Smith odwrócił się, podszedł do pilota, wyjął mu z ręki zardzewiałą rurę poręczy i rzucił za siebie na pokład.

– Będę musiał wspomnieć o tym w moim raporcie – powiedział pilot i zaczął pokonywać ostatnie stopnie do sterówki. Pokręcił z dezaprobatą głową. Im prędzej zejdzie z tego statku, tym będzie szczęśliwszy.

Sześć minut później „Oregon” był obrócony i wysuwał się z portu. Pilot kazał rzucić linę łączącą go z holownikiem i statek zaczął się oddalać od lądu na własnym

napędzie.

Za nim w deszczu i mgle znikła wznosząca się nad Makau góra. Widać było już tylko nieliczne światła lotniska.

– Ile czasu jeszcze potrzeba, aby mógł pan zejść ze statku? – spytał pilota Cabrillo.

Pilot wskazał na umieszczoną trzydzieści metrów przed nimi boję świetlną. Silne światło reflektora przebijało mrok. Jeszcze kilka minut i będzie mógł zostawić ten wrak.

– Światło na końcu tunelu! – krzyknął Murphy.

Zodiac pędził tuż przed falą uderzeniową, która wypełniała ujście kanału burzowego do samego sklepienia. Hornsby z całej siły trzymał się pontonu i Złotego Buddy, podczas gdy Meadows chwycił bok zodiaca i patrzył na Jonesa, leżącego na dnie pontonu i ściskającego mocno żebra.

– Jeszcze kilka sekund, Jones, i będziemy na zewnątrz!

Jones skinął głową, jednak nic nie powiedział.

Wypadli z kanału niczym próbujący się popisać kaskaderzy. Woda wylatywała z niego z niesamowitą prędkością. Najpierw przez sześć metrów leciała poziomo w powietrzu, potem opadała, by zetknąć się z powierzchnią wód zatoki dwa metry niżej. Gdy znaleźli się w powietrzu, Murphy mocno trzymał kierownicę. Kiedy poczuł, że odrywają się od masy wodnej, cofnął przepustnicę, aby nieobciążony silnik nie wpadł w zbyt wysokie obroty i przygotował się do uderzenia zodiaca o wodę.

– Puście! – krzyknął do Hornsby'ego i Meadowsa.

Kiedy puścili zodiaca, łączące jednostki linki rozwinęły się i oba małe pontony odsunęły się nieco od zodiaca. W tym samym momencie woda najpierw wypełniła cały przekrój kanału, po czym wystrzeliła na zewnątrz z niewyobrażalną siłą.

– Rany... – jęknął Seng na widok lecących w powietrzu trzech pontonów.

– Trzymaj się! – krzyknął Meadows do Jonesa. Po chwili ponton klasnął o wodę i niemal znieruchomiał. – Wszystko gra? Potrzebujesz czegoś?

Jones starł wodę z twarzy, po czym przesunął ciało tak, aby ból zelżał.

– Bywało, że czułem się lepiej – odparł. – Myślę, że dobrze by mi zrobiło, gdybyś zaśpiewał kilka linijek *Suwannee River*.

Po siedział w sali konferencyjnej z Rhee, Ho i Marcusem Fridayem. Wszedł sierżant i szepnął mu coś do ucha.

– Co to ma znaczyć? – spytał Po.

– Kilku naszych ludzi słyszało helikopter – powiedział sierżant. – Teraz całe morze wokół Makau jest różowe.

– Dranie! Zatarli ślady!

– Kto? – spytał sierżant.

– Nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć.

Po machnął na sierżanta, że może odejść, po czym podszedł do Rhee i dał mu znak, że chce zamienić z nim kilka słów na osobności. Kiedy przekazał wiadomość otrzymaną od sierżanta, Rhee od razu podjął decyzję.

- Zablokować port! Nikogo nie wpuszczać, nikogo nie wypuszczać!

Kiedy Kasim pomógł Meadowsowi i Jonesowi wejść do zodiaca, Murphy przeciął bok małego pontonu nożem. Od razu zaczął tonąć. Równocześnie Seng i Huxley pomogli wejść do siebie Hornsby'emu, po czym cała trójka wciągnęła do środka Złotego Buddę. Podpłynął do nich Murphy.

- Właśnie rozmawiałem z Hanleyem – oznajmił. – „Oregon” stoi tuż przy zewnętrznej boi. Mamy się z nim spotkać na otwartym morzu.

Włączyło się radio i Kasim dał im znak, aby zamilkli. Wsłuchiwał się w komunikat ze słuchawki.

- Zrozumiałem – powiedział w końcu. – To był „Oregon”. Właśnie przechwycili rozmowę policji z władzami portu. Port został zablokowany. Policja i jednostki portowe mają otwierać ogień do każdego, kto się nie podporządkuje.

- Ciii... – szepnął Seng.

Po wodzie niósł się odgłos nadpływającej jednostki.

- Nadpływają...

Kapitan Smith zaprowadził pilota do drabinki i pożegnał się z nim. Mężczyzna szybko zszedł na pokład swojego holownika, który natychmiast się oddalił. Smith patrzył za znikającą w deszczu jednostką.

Nagle holownik zaczął zwalniać i zawracać.

Cabrillo włączył małe radio, które miał przypięte do paska.

- Max, co się dzieje?

– Władze kazały zablokować port. Pilot dostał polecenie, aby odprowadzić nas na cumowisko.

Cabrillo ruszył biegiem.

- Cała naprzód! – ryknął. – Będę w pomieszczeniu kontroli za kilka minut!

Rhee był w swoim gabinecie. Miał przy telefonie nocnego oficera zarządzającego portem.

- Nie zatrzymają się?

– Holownik pilota nie jest w stanie się z nimi połączyć – powiedział kierownik nocnej zmiany. – Pilot wspomniał, że statek jest w tragicznym stanie. Może mają zepsute radio.

- Niech holownik ich przegoni, a pilot przekaże wiadomość osobiście.

– Już mu to poleciłem, ale statek przyspiesza, wygląda na to, że holownik nie może go dogonić.

- Chyba mówił pan, że to sterta złomu.

- Szybka sterta złomu. Nasze holowniki osiągną trzydzieści węzłów.

- Cholera! Za ile dotrą do wód międzynarodowych?
- Niedługo.
- Niech mi pan da marynarkę! – wrzasnął Rhee do Po, który sięgnął po słuchawkę drugiego telefonu.

- Co mamy robić? – spytał oficer dyżurny portu.

- Nic. Już pan swoje zrobił.

Rhee walnął słuchawką o widełki i przejął telefon od Po. Miał na linii zastępcę dowódcy Chińskiej Marynarki Wojennej w Makau.

- Mówi szef policji Makau. Musicie zatrzymać statek, płynący na Morze Południowochińskie – powiedział.

- Mamy wodolot, osiągający sześćdziesiąt węzłów – powiedział chiński oficer. – Niestety, nie jest zbyt dobrze uzbrojony.

- To stary frachtowiec. Wątpię, żeby podjął walkę.

Rhee nie wiedział, że właśnie popełnił największy błąd w życiu.

Cabrillo wpadł do centrali, rzucił na bok zniszczoną kurtkę i wyjął wkładkę stomatologiczną, sprawiającą, że jego zęby wyglądały jak krzywe pieńki. Zaczął zrywać fałszywą brodę.

- Jak wygląda sytuacja?

- Właśnie przejęliśmy komunikat Chińskiej Marynarki Wojennej. Ich wodolot ma nas przechwycić – podąża za nim fregata i szybki niszczyciel.

- Inne jednostki?

- Nie. To jedyne siły chińskie, stacjonujące obecnie w Makau – odpowiedział Hanley.

- Gdzie nasi ludzie z Buddą? – spytał Cabrillo, odrzucił na bok brodę i wypluł płatek silikonu, pozostały po wkładce stomatologicznej.

- Wypływają z pełną prędkością z portu – powiedział Stone, wskazując na ekran. – Wygląda jednak na to, że złapali ogon.

- Dajcie mi Adamsa. Każcie stawiać ściany na lądowisku helikopterów i zaczniście wywozić na górę Robinsona.

- Zrozumiałem – powiedział Stone.

- Max! Daj mi na bezpiecznej linii Langstona Overholta.

Hanley zaczął nawiązywać połączenie satelitarne.

Cabrillo obserwował ekran, pokazujący postępy zodiaków i ścigającego ich statku. Potem spojrział na ekran z „Oregonem” i drogę ścigających ich Chińczyków. Oba ekrany były pełne migoczących światełek i szacowanych tras poruszania się.

- Adams będzie tu za sekundę – powiedział Stone.

- Przygotować stanowiska bojowe – cicho powiedział Cabrillo.

Stone wcisnął klawisz i statek wypełniło głośne, przenikliwe wycie.

Znajdujący się w szpitalu Gunther Reinholt usłyszał dźwięk i usiadł na łóżku. Przekręcił się na bok, spuścił nogi z łóżka i wsunął stopy w kaptcie. Wyprostował się i



zaciągnął pasek szpitalnego szlafroka. Pchając jedną ręką zaopatrzone w kółka stojaki ze zwisającą z niego kroplówką, zaczął kuśtykać w kierunku maszynowni.

Wiedział, że jeżeli „Oregon” rusza na wojnę, przyda się każda para rąk.

Kapitan chińskiego wodolotu „Sztormowy Wichur”, Deng Ching, przyłożył do oczu lornetkę i patrzył przez prostokątne, sięgające od podłogi do sufitu, okna centrali. Przed chwilą jego jednostka uniosła się do maksymalnej wysokości czterech metrów nad wodą. Dochodzili do pięćdziesięciu węzłów. Ching popatrzył na ekran radaru. Frachtowiec był jeszcze dość daleko, ale skracali dystans.

– Czy marynarze przy przednich działach są gotowi? – spytał pierwszego oficera.

– Tak jest!

– Kiedy się zbliżymy, chcę, byśmy puścili im nad głowami pełną salwę!

– Powinno wystarczyć – odparł pierwszy oficer.

Langston Overholt siedział w swoim gabinecie w Langley, w stanie Wirginia. Przy lewym uchu trzymał słuchawkę zabezpieczonego telefonu, przez który rozmawiał z Cabrillo na pokładzie „Oregon”. Do prawego miał przycięty telefon, który łączył go z admirałem dowodzącym siłami operacyjnymi na Oceanie Spokojnym.

– Zarządzenie prezydenckie cztery dwadzieścia jeden – powiedział do admirała.

– Co macie w okolicy?

– Właśnie sprawdzamy – odparł admirał. – Będę wiedział za parę minut.

– Czy może pan nacisnąć Chińczyków, ale w taki sposób, żeby nie powiązano tego ze Stanami Zjednoczonymi?

– Rozumiem, panie Overholt – oznajmił admirał. – Oddziaływanie z daleka.

– Dokładnie o to chodzi, admirale.

– Niech pan pozostawi to marynarce. Coś zorganizujemy.

W słuchawce zapadła cisza. Overholt odłożył ją i odezwał się do Cabrillo:

– Trzymaj się, Juan – powiedział spokojnie. – Pomoc jest już w drodze.

– To dobrze – rzekł Cabrillo i rozłączył się.

Na filmach, kiedy na okręcie podwodnym ogłaszany jest alarm bojowy, wszystko odbywa się przy akompaniamencie buczenia syren i brzęczenia dzwonek. Ludzie pędzą wąskimi korytarzami na stanowiska, a napięcie bijące z wielkiego ekranu jest niemal namacalne.

Rzeczywistość jest nieco inna.

Hałas na okręcie podwodnym lub w jego otoczeniu jest wrogiem – może doprowadzić do wykrycia przez inną jednostkę. Na pokładzie „Santa Fe”, szturmowego okrętu podwodnego typu Los Angeles, należącego do Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, przygotowania do walki bardziej przypominały działania reżysera koncertów rockowych niż chaos, panujący na zatłoczonej widowni, gdy ktoś zawoła „pali się!” Czerwone światelka ogłaszające alarm pulsowały we

wszystkich pomieszczeniach i przejściach. Załoga poruszała się energicznie, ale bez pośpiechu. Czynności, które mieli wykonać, zostały przećwiczone tysiące razy. Były dla nich równie zwyczajne jak golenie się czy prysznic. Dowódca „Santa Fe”, komandor Steven Farragut stał na głównym stanowisku dowodzenia i ze spokojem wynikającym z długiej praktyki odbierał meldunki od członków załogi.

– Kontrola sieci elektrycznej zakończona w pakietach jeden i dwa – zgłosił oficer.

– Przyjąłem – potwierdził Farragut.

– Okręt wychodzi na optymalną głębokość odpalenia – zameldował sternik.

– Doskonale – oznajmił komandor bez cienia zdenerwowania.

– Środki przeciwdziałania i wykrywania sto procent – powiadomił kolejny oficer.

– Świetnie.

– Na czujnikach czysto – oświadczył dowódca działu taktycznego. – Wygląda na to, że jesteśmy tu sami. Możemy rozpocząć operację w czasie do ośmiu, powtarzam, ośmiu minut.

– Przyjąłem – powiedział Farragut.

Wielki okręt wyłaniał się z głębin i szykował się, by w razie potrzeby uderzyć.

Adams wpadł do centrali „Oregona”. Miał na sobie jasnobrązowy kombinezon lotniczy i zaciągał w biegu suwak błyskawiczny.

– Panie prezesie – odezwał się, błyskając w uśmiechu oślepiająco białymi zębami. – Co mogę dla pana zrobić?

Cabrillo wskazał na jeden z monitorów komputerowych.

– George, mamy problem. Dwa zodiaki z siedmioma naszymi ludźmi usiłują wydostać się z wód terytorialnych Makau. Nie możemy zawrócić, żeby ich zabrać, bo sami jesteśmy ścigani. – Wskazał drugi monitor. – Jak widzisz, mamy ogon. Chciałbym, żebyś zapewnił wsparcie.

– Zamontuję eksperymentalne zasobniki z uzbrojeniem. Pan Hanley zaprojektował je dla robinsona. Mam tam minirakiety i niewielkie działko szybkostrzelne, więc będę mógł osłaniać ich odwrót.

– A co z systemem ewakuacyjnym? – zapytał Cabrillo.

– Nie zdołam wziąć na pokład siedmiu ludzi – odparł Adams. – Nie mam wystarczającego udźwigu.

– Nie o tym myślałem – oznajmił Cabrillo. – Zaraz wyjaśnię.

Komandor Ching wpatrywał się w ekran radaru. Powiedziano mu, że statek, który ma przechwycić, jest leciwą jednostką handlową o nazwie „Oregon”. Z opisu przekazanego przez pilota była to, na dobrą sprawę, przerdzewiała balia. Ching zaczął jednak w to wątpić. „Sztormowy Wicher” płynął z prędkością pięćdziesięciu węzłów, a jeżeli radar na ekranie komputera dawał właściwy odczyt, ścigany statek rozwijał

niewiele mniej i wciąż przyspieszał. W tej sytuacji „Oregon” znajdzie się na wodach międzynarodowych za niecałe pięć minut. A wtedy, jeżeli marynarze ze „Sztormowego Wichru” wejdą na pokład frachtowca, może to wywołać poważny incydent.

– Dajcie całą naprzód – rozkazał maszynowni Ching.

– Wodolot przyspiesza – zauważył Hanley. – Przechwyć nas minutę lub dwie przed dotarciem przez nas do linii granicznej.

Cabrillo spojrzął na ekran, pokazujący widok przed dziobem „Oregon”. Chmury rozwiewały się i wkrótce statek wyjdzie z mgły.

– Wywołajmy ich przez radio – zaproponował – i wyjaśnijmy im sytuację.

Stone zaczął stroić nadajnik, a Cabrillo sięgnął po drugi mikrofon.

– Maszynownia – powiedział.

– Tu Reinholt – odezwał się głos.

Cabrillo nie zawracał sobie głowy pytaniem, dlaczego chory mechanik nie znajduje się zgodnie z rozkazem w izbie chorych. Najwyraźniej czuł się wystarczająco dobrze, by przyjść z pomocą.

– Reinholt – oznajmił szybko. – Czy jest jakiś sposób, żeby wyciągnąć jeszcze parę węzłów?

– Właśnie się tym zajmujemy – odparł mechanik.

Pod pokładem do obu burt R-44 umocowano już zasobniki z uzbrojeniem. Kiedy winda wyniosła robinsona na platformę startową, Adams naciągnął na dłonie parę lotniczych rękawic z nomeksu i założył żółte okulary przeciwsłoneczne. Przeszepował z niecierpliwością z nogi na nogę i gdy tylko zatrzymano i zablokowano windę, podbiegł do śmigłowca, szybko wykonał kontrolę przedstartową, sprawdził umieszczoną pod spodem uprząż, a następnie podeszedł do drzwi helikoptera i otworzył je. Sadowił się już w fotelu, gdy podbiegł do niego marynarz pokładowy.

– Chcesz, żebym wyciągnął zawlecзки? – zapytał.

– Odbezpiecz mnie – odparł szybko Adams – a potem zejdź z pokładu. Wystartuję, gdy tylko silnik wystarczająco się rozgrzeje.

Marynarz schylił się, wyjął zawlecзки z pocisków i sprawdził zasilanie działka. Gdy skończył, znowu wsunął głowę przez drzwi.

– Sprawdź pulpit uzbrojenia.

Adams spojrzął na mały ekran umocowany z boku tablicy przyrządowej.

– Na zielono – odparł.

Marynarz zamknął drzwi i odbiegł na bok. Adams poczekał, aż znajdzie się w bezpiecznej odległości, a potem włączył rozrusznik. Cztery minuty i dwadzieścia osiem sekund później, wykorzystując pęd powietrza omiatający przyspieszającego „Oregon” do uzyskania dodatkowej siły nośnej, wzbił się z pokładu, obrócił R-44 w powietrzu i odleciał w stronę Makau.

Zodiaki ślizgały się po wodzie z prędkością trzydziestu węzłów. Zgodnie z ich

prymitywnymi radarami, wyprzedzały ścigające je łodzie, ale ledwie o włos. Ponton Senga, obciążony dodatkowo Złotym Buddą, z trudem utrzymywał prędkość. Manetki były przesunięte do oporu, ale z silnika nie sposób było wydusić dodatkowej mocy. Gęsta mgła i deszcz ukrywały pontony przed prześladowcami, ale Seng czuł, że są prawie w zasięgu kontaktu wzrokowego i słuchowego. Jeżeli cokolwiek zawiedzie – silnik straci obroty, przegrzeje się albo spowolni ich jakiś przeciek w pontonach – będzie po nich.

Gdy Seng pogrążał się w ponurych myślach, „Oregon” wywołał ich przez radio. Huxley przysłoniła ucho dłonią, żeby lepiej słyszeć. Ponieważ ktoś mógł przechwycić rozmowę, komunikat był krótki i rzeczowy.

- Pomoc w drodze – oznajmił Stone.
- Rozumiem – odparła Huxley.

Odwróciła się do Senga i Hornsby’ego.

- „Oregon” wysyła kawalerię – powiedziała.
- W samą porę – stwierdził, patrząc na wskaźnik temperatury silnika. Strzałka zaczęła wpełzać na czerwone pole.

Kasim, Murphy Meadows i Jones, płynący w pobliżu swoim zodiakiem, również usłyszeli informację. Kasim sterował, Meadows stał obok niego, a Jones leżał płasko na rufie. Gdy tylko Meadows odebrał wiadomość, odwrócił się, przykucnął, a potem, przekrzykując wiatr i fale, powtórzył ją Jonesowi.

- Szkoda, że nie wiedziałem. Poprosi... prosiłbym, żeby przywieźli trochę aspiryny – zażartował ranny.
- Chcesz następną butelkę wody? – spytał Meadows.
- Nie, chyba że jest tu toaleta – skrzywił się Jones.
- Trzymaj się stary! – zawołał Meadows. – Wkrótce będziemy w domu.

Mgła rozwiewała się i w lornetce Chinga zaczęła się rysować sylwetka „Oregon”, niczym odległa postać złodziejaska w zatłoczonym sklepie. Dowódca wodolotu mógł dostrzec szeroki pas skłębionej białej wody pozostawiany przez pędzący frachtowiec. Ten ślad i droga, jaką przebył, nie przypominały niczego, co widział do tej pory. Większość handlowych jednostek, a Ching śledził i przechwycił ich sporo, sunęła przez wodę jak niezgrabne manaty – natomiast ten statek pod irańską banderą rwał jak spłoszony koń wyścigowy.

Woda za rufą nie kotłowała się, jak w przypadku większości statków, ale wydawała się tworzyć koncentryczne wiry, które szybko wygładzały się na powierzchni morza, zupełnie jakby wylano za burtę wielki zbiornik z gliceryną. Ching zlustrował pokłady, ale nie było widać żadnego członka załogi. Tylko zardzewiały metal – wysoka sterta złomu.

Pokłady były wprawdzie puste, ale „Oregon” nie sprawiał wrażenia statku-widma. O nie, pomyślał Ching, pod jego metalową skórą wiele się dzieje. W tej samej chwili w odległości około stu metrów od lewej burty „Sztormowego Wichru”, tuż nad czubkami

fal, przeleciał średniej wielkości śmigłowiec

- Skąd się tu wziął? – Ching zwrócił się do oficera zajmującego się elektroniką.
- Co takiego, dowódco? – zapytał, odrywając wzrok od ekranu.
- Śmigłowiec – wyjaśnił Ching. – Leciał z morza w stronę lądu.
- Na czujnikach go nie było – odparł elektronik. – Jest pan pewien? We mgle

można zobaczyć dziwne rzeczy.

- Tak – stwierdził sucho Ching. – Jestem pewien.

Podszedł do radaru i zaczął wpatrywać się w widoczne na nim echa.

- Co się dzieje? – zapytał kilka sekund później.

Oficer elektronik był niski i szczupły. Przypominał dzokeja przebranego w elegancki mundur. Włosy miał proste i czarne jak smoła, a oczy o brązowych tęczówkach przekrwione od wpatrywania się w ekran radaru.

– Nie jestem pewien – odparł w końcu. – Nie jestem pewien. To, co pan widzi, trwa z przerwami od momentu, w którym rozpoczęliśmy pościg. W jednej sekundzie otrzymujemy wyraźny impuls, który potem przeskakuje nagle na drugą stronę ekranu, niczym w jakiejś grze komputerowej.

- Impuls nie ma nawet właściwych rozmiarów – zauważył komandor Ching.
- Powiększa się albo robi malutki jak łepiek od szpilki – stwierdził oficer.. – A

potem skacze po ekranie.

Ching ponownie spojrział przez okno. Zbliżali się do „Oregona”.

- Zakłócają nas.
- Wykryłbym to – odparł oficer.
- W takim razie, co to takiego? – spytał Ching.

Oficer zastanawiał się przez chwilę.

– Czytałem artykuł w czasopiśmie naukowym o doświadczalnym systemie skonstruowanym przez amerykańskiego inżyniera. Zamiast powodować znikanie obiektów, tak jak przy systemie stealth, czy też używać dodatkowych sygnałów, jak w większości urządzeń zakłócających, ta aparatura dysponuje komputerem, który odbiera wszystkie odbicia od naszego kadłuba i następnie modyfikuje ich kształty i moc.

– Czyli pozwala im na życzenie pojawiać się lub znikać? – powiedział z niedowierzaniem Ching.

- Na to wygląda, dowódco – przytaknął specjalista od elektroniki.
- No cóż – stwierdził w końcu Ching. – To przecież niemożliwe, aby ta stara zardzewiała łajba miała coś takiego na pokładzie.
- Miejmy taką nadzieję – odparł elektronik.
- A to niby dlaczego?
- Ponieważ w artykule stwierdzono, że zmieniając rozmiary obiektu, mogą również zwiększyć skuteczność namierzania.

– Co to znaczy? – zapytał Ching.

- Że jeśli fregata lub korweta za nami odpalą coś innego niż pocisk z kaemu, a

ci tutaj mają taki system, będą mogli przekierować ich ogień na nas.

- Posłużyć się naszymi pociskami do zatopienia naszego okrętu?
- Dokładnie tak.

– Taranowanie i zagłuszanie! – krzyknął Eric Stone.

Lincoln znajdował się z drugiej strony pomieszczenia przy głównym stanowisku kierowania ogniem. Przeprowadzał krótką kontrolę diagnostyczną baterii pocisków raketowych. Wpatrywał się uważnie w wykresy słupkowe wypełniające ekran komputera.

– Panie prezesie, mogę zaczynać! – zawołał po chwili do Cabrillo.

Ten odwrócił się do Hanleya.

– Według mnie sprawa wygląda następująco. Celem operacji było odzyskanie Złotego Buddy. Mamy go, ale w dalszym ciągu znajduje się na chińskich wodach terytorialnych. Przede wszystkim musimy bezpieczne sprowadzić nasze zespoły oraz posąg na „Oregona” i uciec.

– Z przykrością to mówię, Juan – oznajmił Hanley – ale wolałbym, żeby pogoda się nie poprawiała.

– Próżne pragnienie, ale zgadzam się – rzekł Cabrillo.

– Nie wiemy, co wysyła marynarka wojenna – zwrócił uwagę Hanley – ale spokojnie możemy założyć, że nie będą to jednostki nawodne – nasze czujniki w promieniu stu mil nie wykrywają żadnych innych okrętów.

– Wysyłali pociski samosterujące z Zatoki Perskiej na centrum Bagdadu – przypomniał Cabrillo. – Należy więc przyjąć, że będzie to wsparcie lotnicze lub za pomocą pocisków raketowych.

– Korweta wyposażona jest w rakiety i parę dalekonośnych armat z pociskami burzącymi, a na fregacie powinni mieć trochę chińskich raket samosterujących.

– Są coś warte? – zapytał Cabrillo.

– Nie tak celne jak nasze – przyznał Hanley. – Ale mogą zatopić statek.

– Wodolot?

– Tylko pokładowe kaemy.

– A zodiaki są ścigane przez portowe łodzie patrolowe?

– Tak jest – potwierdził Hanley. – Dwie czternastometrowe aluminiowe motorówki z silnikami Diesla. Każda ma na dziobie pojedynczy karabin maszynowy.

– Radia?

– Nic specjalnego – wyjaśnił Hanley.

– Tak więc jeżeli nawet wyeliminujemy łodzie patrolowe – orzekł Cabrillo – zodiaki w dalszym ciągu będą musiały wyminąć trzy jednostki za naszą rufą.

– Obawiam się, że tak.

Cabrillo zaczął szkicować coś flamastrem w żółtym notatniku. Kiedy skończył, podał go Hanleyowi.

– Czy według ciebie ma to jakiś sens?

- Tak.
- A więc wszystko w porządku – oznajmił energicznie Cabrillo. – Ster w prawo na burtę. Wracamy w stronę lądu.



Adams przesunął drążek sterowy w lewo i pochylił R-44 w zakręcie. Przed chwilą minął z lewej burty chińską korwetę i przez mgłę dostrzegł niewyraźny zarys okrętu. Zastanawiał się, czemu go nie ostrzelano – z całą pewnością Chińczycy wykryli śmigłowiec lecący w stronę łądu. Fregata zbliżała się szybko i Adams miał zamiar ominąć ją z daleka.

Utrzymał robinsona na wysokości od półtora do trzech metrów nad grzbietami fal – wątpił, aby właśnie to ochroniło go przed wykryciem. Żeby schować się przed radarem, musiałby zejść jeszcze niżej – na pół metra, najwyżej metr. Jednak z wrażliwymi na wodę morską zasobnikami z uzbrojeniem umocowanymi do płóz wolał nie ryzykować. Jeżeli chciał pomóc członkom zespołu, musiał narazić się na ogień z chińskich okrętów.

Przesunął dźwignię skoku ogólnego do przodu i obserwował, jak regulator dostosowuje prędkość wirnika. Lecił z prędkością dwustu dziesięciu kilometrów na godzinę i zgodnie z obliczeniami powinien zobaczyć pierwszego zodiaka za minutę i czterdzieści pięć sekund. Wyteżał wzrok, by dostrzec chińską jednostkę i jednocześnie obserwował umieszczony na tablicy przyrządów ekran wysyłającego impulsy w przestrzeń radaru meteorologicznego.

Huxley bez słowa wskazała na tablicę zodiaka. Seng skinął głową, a potem krzyknął do jej ucha:

– Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że coś częściowo zatkało otwory dopływu wody do napędu! Może jakiś drobiazg, na przykład kawałek namokniętego papieru albo torby plastikowej. Problem w tym, że aby to sprawdzić, musielibyśmy się zatrzymać i wyciągnąć silnik z wody.

– Nic nie wskazuje, żeby miało być gorzej – zauważyła Julia Huxley.

– Owszem – przytaknął Seng. – Wskaźnik jest w dolnej części czerwonego pola i nie przesuwają się. Jeżeli silnik przytrzyma jeszcze trochę przy tej temperaturze, może uda się nam ujść z życiem.

Mknęli dalej i Huxley przez mgłę wpatrywała się w wodę. Odwróciła się i przez moment z prawej strony za rufą widziała zarys zodiaka sterowanego przez Kasima. Goniące ich motorówki musiałyby podплыwać bliżej, aby dostrzec któryś z pontonów, a jeżeli zodiaki utrzymają obecną prędkość, nigdy im się to nie uda.

– Szkoda, że nie możemy poprosić o przerwę – stwierdziła Huxley. – Oczyszcilibyśmy dopływ wody.

Eddie Seng starał się usłyszeć Huxley poprzez ogłuszający ryk silnika. Nagle jakiś nowy dźwięk dobiegł do jego uszu – ciche dudnienie docierające od strony dziobu. Chwilę później dostrzegł we mgle kształt R-44 i usłyszał głos w radioodbiorniku.

Na mostku „Sztormowego Wichru” słychać było gwar wykrzykiwanych poleceń. Powtarzano meldunki. Informacje, że „Oregon” zawraca w stronę lądu, przekazywane były przez operatora radaru dowódcy, a potem sternikowi i innym oficerom. Komunikat przesłano również dowódcom korwety i fregaty, które natychmiast zmniejszyły prędkość.

Komandor Ching obliczył, że „Oregon” do wykonania zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni będzie potrzebował prawie mili morskiej.

Po raz kolejny źle ocenił sytuację.

Dzięki silnikom magnetohydrodynamicznym, „Oregon” nie musiał zwalniać, aby zmienić kierunek napędów. Nie było wałów, które mogły ulec skręceniu, śrub, które by się powyginały, rozsypujących się przekładni. Na rufie strumienie wody wylały się z prostokątnych szybów zakończonych dyszami, które jak w silnikach odrzutowych Harriera mogły obracać się do przodu i do tyłu. Naciskając kilka guzików, mechanik zajmujący się napędem mógł w jednym silniku skierować przepływ wody do przodu, a w drugim do tyłu. Wtedy, dopóki szybkość statku wynosiła poniżej trzydziestu węzłów, „Oregon” obracał się niemal w miejscu. Taki gwałtowny manewr nie był przyjemny – statek przechylał się i nadburcia niemal zanurzały się w wodzie – ale korporacja wykonywała go już nieraz. Poza paroma stłuczonymi talerzami i rozrzuconymi przedmiotami „Oregon” nie odnosił żadnego szwanku.

Mechanik wykreślił na komputerze profil zwrotu, przypominający kształtem literę U. Potem powiadomił mostek, że są gotowi. Kiedy dowódca wyda rozkaz, po prostu naciśnie guzik i złapie się za najbliższy stół, a „Oregon” jak na szynach przesunie się po powierzchni wody. W maszynowni Sam Pryor zerknął na Gunthera Reinholda, który właśnie odłączył czwarty sektor i po wprowadzeniu polecenia wykonania zwrotu popijał z kubka mocną kawę.

- Proste, panie Reinhold – oznajmił Pryor z uśmiechem.
- Owszem, panie Pryor – odparł Reinhold.

Obaj mężczyźni spojrzeli na przypominający literę U wykres na ekranie komputera.

– Panie prezesie – powiedział Reinhold do interkomu. – Jeżeli jest pan gotowy, to my też.

– Mamy zamiar wykonać szybki zwrot i zbliżyć się do trzech ścigających nas okrętów – oznajmił Cabrillo przez radio z szyfratorem. – Będziesz musiał załatwić szybko tę parę motorówek, żeby zodiaki mogły zwolnić, zanim wjadą w rufę fregacie.

- Rozumiem – odparł Adams.
- Powiemy Sengowi i Kasimowi, aby zwolnili, gdy tylko motorówki zostaną wyeliminowane.
- Odpalę rakiety z lewego zasobnika do czołowej motorówki – wyjaśnił Adams.
- A z prawego do drugiej. To powinno zatrzymać ich na dobre.

– Postaraj się trafić je w rufy – polecił Cabrillo. – O ile to możliwe, chcielibyśmy ograniczyć ofiary w ludziach do minimum.

Niemal w tym samym momencie, gdy z pierwszej motorówki policji portowej dostrzeżono w rozstępującej się mgłę zodiak Kassima, obserwator zameldował, że od strony morza nadlatuje śmigłowiec. Adams zawrócił i położył R-44 w ciasnym skręcie, aby przechwycić pierwszą łódź. Umieściwszy nitki ekranu celownika w jednej trzeciej długości od strony rufy, przekręcił przełącznik i wszystkie pociski zostały wycelowane w to samo miejsce, tuż nad linią wodną.

Potem wziął głęboki oddech i nacisnął spust.

Obserwator dostrzegł kulistą kabinę śmigłowca na sekundę przed tym, jak z lewego zasobnika wystrzeliła salwa czterech rakiet. Pociski były nieduże – nieco grubsze od przedramienia mężczyzny – ale ich głowice wypełniono materiałem wybuchowym. Rakiety ciągnąc za sobą dwumetrowy płomień z dysz, przecięły powietrze i uderzyły w burtę pierwszej motorówki, oddzielając dziób od rufy z równą łatwością, jak maczeta rozcina ananasa.

Zanim dziób zaczął zagłębiać się w wodę, dowódca zdążył jedynie wydać rozkaz opuszczenia łodzi.

– Teraz, panie Reinholt – powiedział Cabrillo, gdy na statku rozległ się sygnał alarmowy.

Mechanik wyciągnął rękę w stronę pulpitu i przycisnął czerwony guzik, a następnie z całej siły złapał się stołu. „Oregon” przechylił się na burtę i zaczął zawracać. Odnosiło się wrażenie, że statek znalazł się na torze kolejki górskiej. Przeciężenia były bardzo silne. Wszyscy na pokładzie trzymali się najbliższych nieruchomych przedmiotów i uginali kolana jak narciarze na wyboistym stoku. Kilka chwil później frachtowiec zakończył zwrot i wyprostował się.

Lincoln, który siedział przypięty pasem w wysokim fotelu na stanowisku kierowania ogniem, zawołał:

– Tak, dziecinko!

– Za dwadzieścia sekund będziemy na trawersie wodolotu – zameldował Hanley.

– Niech pan go trafi we wspornik podwodnego płata, panie Lincoln – polecił Cabrillo.

– Co to... – zaczął Ching, widząc, jak wielki statek handlowy zmienia kurs. – Lewo na burtę! – rozkazał.

Ale zanim polecenie mogło zostać wykonane, „Oregon” znalazł się tuż przy wodolocie.

– „Gdziekolwiek pójdę, jestem tylko żigolo...” – zaśpiewał Lincoln, celując, i nacisnął przycisk odpalenia.

Wyrzutnia pocisków rakietowych na dziobie „Oregona” wysunęła się i obróciła w kierunku celu. Dwa harpoony wystartowały z prowadnic i pomknęły przed siebie. Uderzyły w cienki, płaski wspornik, do którego umocowany był podwody płat i obcięły go równie gładko, jak gilotyna ucina palec.

W chwili trafienia „Sztormowy Wichur” wciąż płynął z dużą szybkością. Gdy zniknął wspornik, unoszący kadłub nad powierzchnię wody, pokład przechylił się gwałtownie na bok. Hydropląt nie przewrócił się całkowicie – zapobiegły temu tkwiące pod wodą zmasakrowane szczątki płata. Zanim pokład stanął pionowo, sternik zdążył jeszcze przestawić silniki na bieg jałowy, co uratowało załogę życie, ale nie mogło ocalić wodolotu.

Minutę później pokład „Sztormowego Wichru” obmywała woda. Hydropląt tonął.

Kapitan Deng Ching, który uderzył w pulpity sterowania, krwawił z nosa i ust. Był na wpół przytomny z bólu. Jego zastępca wydał rozkaz opuszczenia jednostki.

– Właśnie zaatakował nas śmigłowiec! – krzyknął do przenośnej radiostacji dowódca szybko znikającej pod wodą motorówki policji portowej, przechodząc na tratwę ratunkową. – Nasza łódź tonie.

– Zrozumiałem – odparł jego kolega z drugiej łodzi. – Podejdziemy, żeby podnieść was z wody.

– Wystrzelę raketę.

– Będziemy jej wypatrywać.

Dowódca drugiej motorówki zwrócił się do stojącego przy nim marynarza.

– Obsadzić kaem – polecił szybko. – Jeżeli zbliży się jakiś helikopter, zestrzelić go.

Ponieważ za pierwszym razem poszło mu tak dobrze, Adams postanowił powtórzyć atak. Ponownie nadleciał z lewej burty, naprowadził nitki celownika na następną jednostkę policji portowej i przycisnął spust. Bez skutku. Być może do prawego zasobnika dostało się więcej wody morskiej niż do lewego albo tych kilka dodatkowych minut sprawiło, że mgła i deszcz przeniknęły do obwodów elektrycznych. A może zawiniła jakaś usterka – zasobniki były prototypami, a przecież rzadko się zdarza, by system działał nienagannie już za pierwszym razem.

W każdym razie, pociski nie opuściły wyrzutni.

R-44 przeleciał nad motorówką policyjną w chwili, gdy marynarz odciągnął do tyłu rączkę zamka i odbezpieczył kaem. Obrócił broń, naprowadził lufę na odpowiednią wysokość i zaczął strzelać w ogon odlatującego śmigłowca. Jeden pocisk otarł się o popychacz sterowania i Adams poczuł, że drążek zaczyna się ciężko poruszać. Odleciał, znikając we mgle, żeby ocenić sytuację.

– Kontrola – połączył się zabezpieczonym kanałem radiowym ze statkiem. – Wyeliminowałem jeden cel, ale mój koń został ranny i złamali mi łuk.

Hanley odebrał meldunek w centrali „Oregona”.

– Panujesz nad maszyną?

– Jest nie najgorzej – odparł spokojnie Adams. – Sądzę, że mogę ją posadzić bez problemów.

– Płyniemy w twoim kierunku – powiedział Hanley. – Odstrzel zasobniki i wracaj do domu.

– Co mam zrobić? – spytał Adams.

– Na tablicy sterowania bronią jest przełącznik – wyjaśnił Hanley. – Podnieś osłonę i opuść dźwignię, a zasobniki odpadną. Z drugą łodzią sami się uporamy.

Adams zaczął zawracać.

– Daj mi jeszcze sekundę – powiedział. – Mam pomysł.

W drugim końcu pomieszczenia Juan Cabrillo połączył się telefonem satelitarnym z Langstonem Overholtem w Wirginii.

– Musieliśmy zatopić najbliższą jednostkę – oznajmił. – Wciąż mamy na karku korwetę i fregatę.

Overholt rozmawiał z Cabrillo, chodząc po gabinecie. Przed jego biurkiem siedział w fotelu, ubrany w mundur wyjściowy, komandor porucznik Marynarki Stanów Zjednoczonych przydzielony do CIA jako oficer łącznikowy.

– Mam u siebie w gabinecie marynarza. Moi przełożeni niepokoją się konsekwencjami, jeżeli zaatakujesz i zatopisz dwa pozostałe okręty. Jak daleko są od ciebie?

– Przez kilka minut nie będziemy bezpośrednio zagrożeni – stwierdził Cabrillo.

– Czy będziesz mógł uciec, jeżeli je zatrzymamy? – zapytał Overholt.

Cabrillo odpowiedział po chwili zastanowienia.

– Zdołamy zabrać ludzi, obiekt, po który przy płynęliśmy i ruszyć znowu pełną parą za pięć do dziesięciu minut. Dopóki Chińczycy nie skierują przeciw nam samolotów, mam wrażenie, że uda nam się dotrzeć do domu.

– Na razie – wyjaśnił Overholt – jedyna transmisja radiowa, która się przedostała, mówiła o śmigłowcu atakującym łódź policji portowej. Jak do tej pory dla Chińczyków jesteście zwykłym statkiem handlowym, z którym nie mogą nawiązać łączności. To jednak może ulec zmianie, kiedy wyciągną z wody rozbitków z zatopionej przez was jednostki.

– Wtedy powinniśmy być już daleko na morzu i iść na południe pod osłoną mgły. – Stwierdził Cabrillo. – Dzięki elektronice, jaką mamy na pokładzie, zdołamy się ukryć przed radarami pokładowymi samolotów. Mgła sprawi, że będziemy niewidoczni z powietrza.

Overholt zwrócił się do komandora:

– Czy to nowe urządzenie będzie miało wpływ również na nasz statek?

– Nie, jeżeli w chwili, gdy będzie ich mijać, wyłączą całą elektronikę.

– Juan, słyszałeś? – spytał Overholt.

– Tak, ale nie rozumiem.

– To nowa zabawka marynarki wojennej – wyjaśnił Overholt. – Nazywa się

Fritzy. Zaprojektowano ją, aby powodowała zwarcie w obwodach elektrycznych i jesteśmy przekonani, że unieruchomi pozostałe okręty. Kiedy damy ci rozkaz, będziesz musiał wyłączyć wszystkie systemy na „Oregonie”.

Obserwujący ekran radaru Eric Stone poinformował:

- Podchodzimy do zodiaków.
- Zwolnić i zatrzymać statek. Przygotować się do przyjęcia na pokład naszych ludzi – rozkazał Cabrillo.

Adams wyszedł na wysokości dziewięciuset metrów, a potem znurkował w stronę motorówki policyjnej pod najostriejszym kątem, jakim był w stanie lecieć R-44. Czuł, jak jego ciało w fotelu staje się coraz lżejsze, a potem napiera na pasy na ramionach. Kiedy sunął w dół, przez pleksiglasową kulistą osłonę kabiny dostrzegł motorówkę, która rosła mu w oczach.

Strzelec na dziobie otworzył ogień do śmigłowca ale pole ostrzału ograniczała mu znajdująca się za nim sterówka. Wystrzelił kilkaset pocisków, gdy maszyna znajdowała się jeszcze wysoko, ale chybił. Potem nie mógł już strzelać.

Adams ostro nurkował. Gdy znalazł się zaledwie dwadzieścia pięć metrów nad rufą, ściągnął drążek i pchnął dźwignię skoku ogólnego. Wytracił prędkość i podniósł nos maszyny. W chwili, gdy robinson znalazł się w najniższym punkcie łuku, odchylił osłonę zabezpieczającą i przesunął w dół dźwignię przełącznika. Oba zasobniki odłączyły się od płóz śmigłowca i spadły na rufę policyjnej motorówki. Wyładowanie statyczne w zasobniku odpaliło jeden z pocisków, który przemknął sześć metrów dzielące go od łodzi i zniszczył jej rufę w ognistym wybuchu.

Kiedy śmigłowiec uwolnił się od ciężaru i oporu stawianego przez zasobniki, Adams poczuł, że stery zaczęły lepiej reagować. Zawrócił na „Oregonia” i zaczął wypatrywać zarysów statku.

- Skreślić dwa – oznajmił spokojnie. – Wracam do domu.

Gdy ktoś podczas złej pogody znajduje się daleko na oceanie, widok jakiegokolwiek dzieła rąk ludzkich przynosi mu ulgę i spokój. Dla siedmiu ludzi i Złotego Buddy, znajdujących się na małych pontonach ściganych przez Chińską Marynarkę Wojenną, wyłaniający się z mgły dziób „Oregonia” był równie upragnionym widokiem, jak kareta asów dla kogoś, kto przegrywa w pokera ostatnie pieniądze.

- Podejdźcie pod żurawie – polecił przez radio Hanley. – Musimy szybko podnieść was na pokład.

Sternicy zodiaków podprowadzili je pod żurawie umieszczone z lewej i prawej strony rufy „Oregonia”. Marynarze w ciągu dwóch minut podnieśli i umieścili na pokładzie pontony oraz ludzi. Murphy wychodził właśnie z zodiaka, gdy podszedł Franklin Lincoln.

- Bawiłem się twoimi zabawkami – powiedział. – Możesz umieścić na swoim

pulpicie następną sylwetkę okrętu.

Murphy uśmiechnął się.

– Dobry strzał.

– Wszyscy cali i zdrowi? – zapytał Lincoln.

– Tak, poza Jonesem – odparł Murphy, wskazując ręką. – Musimy zanieść go do izby chorych.

Lincoln przeszedł przez pokład do drugiego zodiaca i zajrzał do środka.

– Wyglądasz żałośnie, Jones – powiedział z uśmiechem.

– Nie zmuszaj mnie do śmiechu – zaprotestował Jones. – Żebra mnie zabijają.

– Zrobiliście to, po co was wysłaliśmy? – spytał Lincoln.

– Jak zawsze – odparł Jones, wskazując skrzynię ze Złotym Buddą. – A teraz wyślij mnie do izby chorych i nafaszeruj środkami przeciwbólowymi.

– Proszę uprzejmie – rzekł Lincoln, pochylając się nad pontonem. Delikatnie podniósł Jonesa z równą łatwością, jakby wyjmował szczeniaka z koszyka.

– Trzy minuty do odpalenia – rozległ się głos w intercomie na pokładzie „Santa Fe”.

W przedziale wyrzutni znajdowały się przygotowane do startu dwa zmodyfikowane pociski samosterujące Tomahawk zaopatrzone w doświadczalne moduły Fritzy, przeznaczone do niszczenia elektroniki. Za pomocą impulsu fal elektromagnetycznych niszczyły one obwody każdego działającego urządzenia elektrycznego. Komandor Farragut z niepokojem czekał na odpalenie pocisków. Obawa nie miała nic wspólnego z działaniami załogi – jej członkowie byli świetnie wyszkoleni i wykonywali swoje czynności nienagannie. Irytowało go raczej to, że nie wiedział, czego się spodziewać. Był ciekaw, czy Fritzy rzeczywiście jest w stanie dokonać tego, co mu przypisywano i czy on sam będzie mógł wkrótce pretendować do tytułu pierwszego dowódcy, który użył go w walce. Mogło mu to pomóc w awansie, a przynajmniej okazać się warte kilku drinków po powrocie „Santa Fe” do bazy.

– Pokrywy wyrzutni otwarte – zameldował oficer taktyczny. – Wszystko w porządku.

– Widzimy cię – powiedział Hanley do Adamsa. – Musisz natychmiast lądować.

Adams podszedł od rury „Oregona” i przymierzał się do posadzenia śmigłowca na platformie lądowiska.

– Jakies dwie minuty – powiedział.

– Za półtorej minuty szlag trafi całą twoją elektronikę – oświadczył Hanley, spoglądając na zegarek.

– Oczyścić pokład – polecił głośno Adams. – Wyjdę w górę, a potem zamknę silnik i wyląduję na autorotacji.

– Piana przeciwpożarowa na pokład – rzucił do intercomu Hanley. – Za minutę wyłączamy całe zasilanie elektryczne.

Wiele osób uważa, że kiedy śmigłowiec traci napęd, spada w dół jak kamień. W rzeczywistości jednak, jeżeli silnik przestanie obracać motor, pilot może w czasie opadania wykorzystać strumień powietrza do wprawienia łopat w ruch obrotowy. Autorotacja jest ryzykowna, ale manewr ten ocalił niejedno ludzkie życie. Zazwyczaj jednak pilot może osiąść na dużym lądowisku lub polanie. Wykonanie przymusowej autorotacji tak, aby jednocześnie trafić w platformę niewiele większą niż sam śmigłowiec, wymaga szczęścia i nerwów ze stali. Adams wykorzystał swoją minutę na nabranie wysokości. Następnie zajął pozycję za platformą. Kiedy nadeszła pora, wyłączył rozrząd i cofnął manetkę. Włączyło się sprzęgło jednokierunkowe R-44 i odłączony został wał napędu głównego wirnika i śmigła ogonowego.

Adams wyciągnął rękę i przekręcił kluczyk.

Nagle, kiedy ucichł hałas silnika, zapanowała dziwna cisza, w której poprzez szum powietrza opływającego kadłub słychać było jedynie melodię Bobby Danina *Mackthe Knife*, gwizdaną przez Adamsa. Robinson schodził ostrzej niż zazwyczaj, ale pilot całkowicie panował nad sterami.

Zaczął się zastanawiać, czy nie zrobił głupstwa, dopiero gdy zgasły wszystkie widoczne do tej pory przez mgłę światła „Oregonu”.

– Pierwszy poszedł – zameldował spokojnie oficer taktyczny. – Teraz drugi.

Pociski samosterujące opuściły wyrzutnie, wzbily się w niebo, a potem zawróciły i zeszyły tuż nad powierzchnię morza. Ich trasę zaprogramował skomplikowany komputer. Pędziły w kierunku chińskiej korwety i fregaty z prędkością czterystu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Kiedy zbliżyły się do okrętów, wysłały skupioną wiązkę promieniowania elektromagnetycznego, podobną do emitowanej w czasie wybuchu bomby atomowej.

Obwody elektroniczne na obu okrętach przepaliły się błyskawicznie, zupełnie, jakby ktoś nagle przekręcił jakiś przełącznik. Silniki stanęły i cała elektronika na pomostach i pod pokładami przestała działać. Chińskie jednostki zwolniły i zatrzymały się w chwili, gdy deszczowy szkwał smagnął powierzchnię morza.

– Jahuu! – krzyknął Adams, gdy wiatr uderzył w R-44.

Kiedy zaczął opadać, znajdował się na wysokości sześciu metrów nad pokładem i dwadzieścia pięć za rufą statku. Ściągnął drażek, unosząc nos śmigłowca, wykorzystując opór pozbawionego napędu silnika do wytracenia prędkości poziomej. Znajdował się nieco ponad metr nad platformą, kiedy Robinson przez chwilę wisiał nieruchomo, a potem opadł w dół, uderzając z łomotem o pokład. Piana zakryła kadłub do połowy. Adams włączył hamulec motora, zatrzymując obracające się łopaty. Potem odsunął drzwiczki i zaczął rozpinąć pasy.

Brodząc w opadającej pianie, Richard Truitt podszedł do drzwi śmigłowca, gdy tylko wirnik stanął.

– Jesteś cały? – zapytał.



– Wstrząśnięty, ale nie zmieszany – uśmiechnął się Adams. – Co nowego?

W tym samym momencie „Oregon” drgnął.

Truitt wzruszył ramionami.

– Odrywamy się stąd.

– Witajcie, otwarte morza – powiedział Adams, wychodząc z kabiny. – Oto przybywamy.

– Wypełnij kartę remontów – polecił mu Truitt. – A potem spotkajmy się w jadalni. Musimy się zająć drobnym planowaniem.

Dotarli do skraju piany w chwili, gdy marynarz zaczął ją zmywać za burtę strumieniem morskiej wody. Strząsnęli ze spodni białe bąbelki i ruszyli w stronę drzwi prowadzących do wnętrza statku.

– Czy mam przynieść coś specjalnego? – zapytał Adams.

– Wykres warunków na dużych wysokościach – odparł Truitt.

# 34

„Oregon” płynął na południe pod osłoną sztormu, tuż za jego skrajem. Była szósta rano i w jadalni pachniało bekonem, kiełbaskami, jajkami i bułeczkami z cynamonem. Cabrillo siedział przy stole, rozmawiając z Julią Huxley, kiedy podszedł do nich Hanley, trzymając w ręku kubek z parującą kawą. Uśmiechnął się i skinął głową.

- To było ekscytujące – powiedział do Cabrillo.
- Ani przez chwilę się nie nudzimy – przytaknął Cabrillo.
- Jak się miewają Reinholt i Jones? – zapytał Hanley.
- Drobnie obrażenia – odpowiedziała lekarz. – Jones ma kilka pękniętych żeber.

Dałam mu środki na uśmierzanie bólu i teraz śpi w izbie chorych. Reinholt twierdzi, że czuje się lepiej, ale na wszelki wypadek kazałam mu odpoczywać w kabinie.

- Sprawdziłeś remont R-44? – spytał Cabrillo.
- Tak – odparł Hanley. Podszedł do niego marynarz z obsługi i postawił na stole talerzyk z bułką z cynamonem. – Wygiął się popychacz sterujący położeniem wirnika. Właśnie go wymieniają i przypuszczam, że za parę godzin będzie gotów do lotu.

– Doskonale – stwierdził Cabrillo. – Kiedy tylko „Oregon” podejdzie bliżej brzegu, Adams podrzuci mnie na lotnisko.

- Tak jak planowaliśmy – zauważył Hanley.
- A teraz musimy tylko znaleźć skrytkę wewnątrz Złotego Buddy – oznajmił Cabrillo – i sprawdzić, czy jej zawartość jest wciąż nienaruszona.

Sung Rhee zobaczył przez okno czterech ludzi zbliżających się do jego biura. Nie wyglądali na zadowolonych. Otworzyli drzwi, nie zadając sobie nawet trudu, aby zapukać. Rhee wstał zza biurka, gdy adiutant odsunął się na bok, przepuszczając admirała.

– Udało nam się umieścić worki powietrzne pod wodolotem, żeby utrzymać go na powierzchni do momentu przybycia statku ratowniczego – poinformował admirał bez żadnych wstępów – ale moi ludzie twierdzą, że naprawy zajmą około sześciu miesięcy.

- Panie adm... – zaczął Rhee.
- Dość – zagrzmiął admirał. – Mam uszkodzony wodolot, nasza jedyna fregata oraz korweta są unieruchomione i tkwią na morzu. Wrobiłeś mnie. I zapłacisz za to.
- Panie admirale – odezwał się pospiesznie Rhee. – Nie mieliśmy pojęcia. Ten statek pod każdym względem sprawiał wrażenie rozsypującego się frachtowca.
- Daleko mu było do tego – rzekł głośno admirał. – Odstrzelił wodolotowi wspornik jak na rutynowych ćwiczeniach. Wciąż nie wiemy, co się stało na tamtych dwóch okrętach.

Adiutant admirała szeptał tuż za drzwiami do telefonu satelitarnego. Potem

wsunął głowę do gabinetu Rhee.

– Admirale – powiedział cicho. – Pekin na linii.

Chuck „Mały” Gunderson uśmiechnął się do Rhondy Roselli i podał jej jedną obligację na okaziciela.

– A więc – odezwał się – umowa jest następująca: Tracy, Judy i ja musimy wysiąść z samolotu w miejscu i czasie nieprzewidzianym w rozkładzie. Kiedy już znajdziemy się bezpiecznie na zewnątrz, możesz rozwiązać pilotów.

– Porzucacie mnie? – zapytała znacząco Roselli. – Cała gadka o tym, że przyłączę się do waszego zespołu, była kłamstwem?

Gunderson wyjął grube cygaro z kieszeni kombinezonu lotniczego i przeciągnął nim pod nosem. Potem odgryzł koniec i zapalił je złotą zapalniczką. Pociągnął mocno kilka razy, budząc cygaro do życia.

– Nigdy nie kłamię ładnym dziewczynom – oznajmił z uśmiechem. – I zawsze mam rację.

– A więc jak wygląda umowa?

Gunderson wsunął papier do plastikowej koperty i zapieczętował ją razem z innymi.

– Obligacja, którą ci pokazałem, zostanie wysłana na twój adres domowy, natychmiast po tym, jak dotrę do lądu. To twoje wynagrodzenie za dobrze wykonaną pracę.

– Co mam powiedzieć, kiedy wylądujemy? – spytała Roselli.

– Na twoim miejscu powiedziałbym o wszystkim, tylko nie o obligacji. To powinno pozostać naszą małą tajemnicą – odparł Gunderson.

– Mam o wszystkim opowiedzieć? – zdziwiła się Roselli.

– A dlaczego nie? – powiedział. – Uważałem, żeby nie przekazać żadnej informacji, która mogłaby obciążać moją grupę. Zadbamy o to, by poinformować o sytuacji ambasadę Stanów Zjednoczonych w dowolnym kraju, w którym wylądujecie. Po prostu wyśpiewaj wszystko i zwolnią cię po kilku dniach. Kiedy wrócisz do Kalifornii, któryś z moich kolegów skontaktuje się z tobą w odpowiednim czasie.

– A więc już cię nie zobaczę? – spytała.

– Nigdy nic nie wiadomo – stwierdził Gunderson. W tym momencie podeszła do nich rudowłosa Tracy Pilston.

– Miejsce spotkania jest zaledwie parę mil przed nami – powiedziała. – Możemy już zwiewać.

– Poinstruowałaś ich? – zapytał Gunderson.

Pilston kiwnęła głową.

– Mamy otrzymać sygnał. Skoczmy w odpowiednim momencie.

Gunderson wyjął dwa spadochrony z przedziału bagażowego, w którym członek zespołu korporacji ukrył je podczas postoju 737 w hangarze w Kalifornii. Pomógł Pilston założyć jeden z nich na plecy, a następnie sam przypiął drugi. Wyjąwszy torbę

z goglami, podał jedne Pilston.

– Uprzedzimy Judy – oznajmił cicho. – Wszyscy wyskoczmy z tyłu. Idź do kokpitu – zwrócił się do Roselli. – Powiedz Judy, że już czas, a potem zostań w kabinie pilotów.

– Czy z tyłu nie wyssie wszystkiego? – spytała Roselli.

– W kabinie nie ma zwiększonego ciśnienia – wyjaśnił Gunderson. – Nie będzie więc aż tak źle... Ale mimo to nie próbowałbym urządzić tam spacerów. Zostań w kabinie, a kiedy minutnik zadzwoni, podnieś tylne drzwi i rozwiąż pilotów.

– Dobra. – Roselli poszła do przodu, otworzyła drzwi do kokpitu i przekazała wiadomość Judy Michaels.

– Rozumiem – odparła kobieta.

Jeszcze raz sprawdziła prędkość, upewniła się, że autopilot działa, a następnie nacisnęła dźwignię uruchamiającą mechanizm opuszczający tylne drzwi. Zaczęły się wolno otwierać i na tablicy przyrządów zahuczały sygnały alarmowe. Nakręciwszy tani plastikowy minutnik, Michaels precyzyjnie przycisnęła się obok Roselli.

– Zostaw drzwi zamknięte, a kiedy to zadzwoni, wiesz co zrobić.

Roselli skinęła głową.

– Miło było cię poznać – powiedziała Michaels, wychodząc z kabiny.

Przebiegła wzdłuż przejścia i zatrzymała się przy Gundersonie, żeby sprawdził jej spadochron. Im bardziej opuszczała się klapa tylnych drzwi, tym silniej prądy powietrza szalały wewnątrz kadłuba 737. Czasopisma szeleściły i każdy nieumocowany przedmiot trzepotał pod uderzeniami wichru. Gunderson patrzył, jak jedwabne kimono wydeło się niczym żagiel i wyleciało na zewnątrz. Potem cała trójka przeszła do tyłu, gdzie schodki prowadziły prosto pod ogon 737.

– Jak sądzisz, co zrobią Rhondzie? – spytała Pilston.

– Niewiele mogą – stwierdził Gunderson, poprawiając gogle i pomagając Michaels zająć pozycję do skoku.

– Myślę, że ma do ciebie słabość – stwierdziła Pilston, zajmując miejsce koło Michaels.

– W mężczyźnie używającym Aqua-Velva jest coś zniewalającego – wyjaśnił Gunderson.

W tym samym momencie jego pager odebrał sygnał z satelity i zaczął wibrować. Gunderson ujął obie panie pod ręce, pobiegł do końca rampy, skoczył, a kiedy znaleźli się poza samolotem, odepchnął je od siebie.

Sternik pełznącego przez Morze Południowochińskie frachtowca „Kalia Challenger” spostrzegł, że niebo wreszcie się przejaśnia. Zauważył to, ponieważ nad jego głową pojawiły się nagle dwa chińskie samoloty do zwalczania okrętów podwodnych, a także pojedynczy ciężki śmigłowiec dalekiego zasięgu. „Kalia Challenger” został zbudowany w 1962 roku dla United States Lines jako jeden z jedenastotysięczników pływających jako ekspresowe statki handlowe. Później został

sprzedany greckiemu koncernowi żeglugowemu i teraz wykonywał regularne rejsy z Azji do portów zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych.

Statek miał nieco ponad sto pięćdziesiąt metrów długości i dwadzieścia jeden szerokości, na jego górnym pokładzie znajdowały się żurawie bomowe do przeładunku. Kadłub pomalowano rdzawą czerwienią, z czarnym pasem wzdłuż górnej części nadburcia. Był to pracowity frachtowiec mający ze sobą długie pożyteczne życie i znać było na nim ząb czasu. Wprawdzie przestarzały, ale wciąż sprawny, miał jeden duży mankament.

Z większej odległości, dla niewprawnego oka przypominał „Oregona”.

Był daleko na wodach międzynarodowych, kiedy jeden z samolotów do zwalczania okrętów podwodnych zrzucił bombę głębinową. Spadła sto metrów przed dziobem i eksplodowała, wzbijając w powietrze dwudziestopięciometrowy słup wody.

– Maszyny stop! – krzyknął kapitan.

Sygnal dotarł do maszynowni i „Kalia Challenger” zwolnił, a potem zatrzymał się.

Minęła prawie godzina, zanim na jego pokład wszedł chiński oddział abordażowy.

Nielegalne zatrzymanie nigdy nie zostało wyjaśnione.

Delbert Chiglack z oszołomieniem wpatrywał się w niebo. W czasie czternastu lat pracy na morskich platformach wiertniczych widział niewiarygodne rzeczy – dziwne morskie stwory, których istnienia w żaden sposób nie dawało się wyjaśnić, niezidentyfikowane obiekty latające, przedziwne zjawiska atmosferyczne. Ale przez cały czas pracy na morzu, po raz pierwszy widział trójkę spadochroniarzy, którzy pojawili się znikąd i próbowali wylądować na jego platformie. Gunderson, Michaels i Pilston wyskoczyli z 737 na wysokości czterech i pół tysiąca metrów, tuż ponad warstwą chmur, zasłaniającą samolot. Korzystając z butli tlenowych w czasie opadania, krążyli wokół celu, by w końcu ostrym korkociągiem skierować spadochrony w dół. Wreszcie znaleźli się nad lądowiskiem śmigłowców platformy wiertniczej.

Znajdowała się dwadzieścia mil od wybrzeża Wietnamu, osiemset mil od Makau i należała do Zapala Petroleum w Houston, w stanie Teksas. Właścicielem firmy był George Herbert Walker Bush – a ktoś z Wirginii poprosił go o drobną przysługę.

Tracy Pilston wylądowała prawie pośrodku lądowiska, a Judy Michaels zaledwie dwa metry dalej. Najgorzej poszło Chuckowi Gundersonowi. Trafił na samą krawędź platformy. Wiatr pociągnął jego spadochron, zanim zdążył go odpiąć i gdyby Del Chiglack go nie złapał, wyleciałby do morza.

Gdy tylko uwolnił się od spadochronu, a Chiglack odciągnął go od krawędzi, Gunderson uśmiechnął się i powiedział:

– Dzwonili moi przyjaciele. Sądzę, że mamy rezerwację dla trzech osób.

Chiglack wypluł z wiatrem trochę tytoniowego soku.

– Witam na pokładzie – oznajmił. – Wasz transport wkrótce tu będzie.

– Dzięki.

– A teraz – zaproponował Chiglack – jeżeli pan i damy zechcecie wejść do środka, postawię wam po kubku kawy.

Hanley wrócił do centrali i zwrócił się do Cabrillo:

– Właśnie dostaliśmy wiadomości od Małego. Przybyli cali i zdrowi z obligacjami. Czekają na transport do domu.

Cabrillo skinął głową.

– Wyglądasz na wykończonego – zauważył Hanley. – Czemu nie prześpisz się parę godzin i nie pozwolisz mi bronić fortu?

Cabrillo był zbyt zmęczony, żeby dyskutować. Wstał i ruszył w stronę drzwi.

– Obudź mnie, gdybym był potrzebny.

– A nie robię tego zawsze? – odparł Hanley

Kiedy Cabrillo szedł już korytarzem do swojej kabiny, Hanley zwrócił się do Stone'a:

– Truitt będzie tu za parę minut, żeby cię zmienić. Weź cztery godziny wolnego i prześpij się trochę.

– Tak jest.

Potem Hanley podszedł do komputera obok jego fotela i zaczął od nowa czytać plan.

Langston Overholt spał przez całą drogę do Paryża. Odrzutowiec challenger, którym leciał, był zarejestrowany na firmę o nazwie Strontium Holding PLC, mieszczącą się rzekomo w Bazylei w Szwajcarii. W rzeczywistości koła samolotu nigdy nie dotknęły szwajcarskiej ziemi.

Challenger CL-604 został zakupiony od pośrednika w Londynie za fundusze CIA i wyposażony w najnowocześniejszą elektronikę w warsztatach w Alexandrii w stanie Wirginia, w pobliżu bazy lotniczej Bolling. W dużym odrzutowcu kanadyjskiej produkcji mieściło się dziesięć osób, miał prędkość podróżną siedemset osiemdziesiąt kilometrów na godzinę i zasięg siedmiu tysięcy czterystu.

Odległość z Wirginii do Paryża wynosiła nieco ponad sześć tysięcy kilometrów. Tam maszynę zatankowano i zaopatrzono w prowiant. Drugi odcinek podróży – z Paryża do New Delhi – miał sześć tysięcy pięćset czterdzieści dwa kilometry. Pokonanie pierwszego etapu zajęło osiem godzin, w czasie drugiego wiał sprzyjający tylny wiatr i lot trwał zaledwie siedem godzin. Cabrillo wysłał wiadomość, że korporacja jest w posiadaniu Złotego Buddy, o szóstej rano czasu Makau. Overholt opuścił terytorium Stanów Zjednoczonych w godzinę później. W Wirginii była szósta po południu w Wielki Piątek. W chwili gdy challenger wylądował, czas zmieniono na lokalny i na zegarze samolotu była dziewiąta rano w Wielką Sobotę.

Podróż samolotem turbośmigłowym do Małej Lhasy w północnych Indiach trwała nieco ponad dwie godziny. Było niemal dokładnie sobotnie południe, kiedy Overholt wreszcie ponownie spotkał się z dalajlamą. Czcigodny tybetański przywódca

oświadczył wyraźnie, że jeżeli nastąpi zamach stanu, będzie miał miejsce w Niedzielę Wielkanocną, 31 marca, dokładnie czterdzieści sześć lat po tym, jak został zmuszony do emigracji.

Overholt i korporacja mieli więc dwadzieścia cztery godziny na dokonanie cudu.

Carl Gannon przez ostatnie kilka dni zarabiał na swoje utrzymanie. Po podstawieniu ciężarówki w Thimphu w Bhutanie i wyznaczeniu trasy do Tybetu, otrzymał z centrali na „Oregonie” listę zadań do wykonania. Jako specjalista do spraw zaopatrzenia korporacji, Gannon przywykł już do robienia rzeczy niemożliwych. Oby zdobyć to, czego się domagano, musiał wykorzystać rozległą sieć kontaktów, które starannie podtrzymywał przez wiele lat.

Fundusze miały nadejść z banku korporacji mieszczącego się na wyspie Vanuatu, na południowym Pacyfiku, a zleceniodawcy z „Oregonia” wyraźnie stwierdzili, że ważny jest czas, a nie koszty. Gannon uwielbiał otrzymywać takie właśnie polecenia. Posługując się laptopem podłączonym do telefonu komórkowego, zaczął z prędkością siedemdziesięciu słów na minutę wypisywać z pamięci szereg numerów telefonicznych, kodów oraz haseł.

Osiemdziesiąt rakietowych pocisków przeciwlotniczych Stinger zakupiono w zaprzyjaźnionym państwie na Bliskim Wschodzie, zaś ich dostawę do Bhutanu miała zapewnić południowoafrykańska firma, która nigdy dotąd nie zawiodła. Osiem śmigłowców Bell 212 z dodatkowymi zbiornikami paliwa przybyło z indonezyjskiej kompanii specjalizującej się w wydobywaniu ropy naftowej z dna morza, aby dostarczyć ładunek pocisków rakietowych i broni strzeleckiej. Na całym Dalekim Wschodzie zwerbowano osiemnastu pilotów najemników. Szesnastu miało latać, dwóch było w zastępstwie na wypadek, gdyby któryś z tamtych zachorował. W tajemnicy zorganizowano zbiorniki z paliwem, prowiant dla wszystkich uczestników i szereg hangarów obsadzonych przez strażników z filipińskich sił specjalnych.

Ostatni zakup Gannona był najdziwniejszy. Na „Oregonie” chcieli wiedzieć, czy może zorganizować w Wietnamie duży, ale powolny samolot. A także wciągarkę z trzydziestoma metrami cienkiej, mocnej stalowej liny, którą można będzie zamocować do pokładu samolotu. Gannon musiał wykonać kilka telefonów, ale ostatecznie znalazł wyprodukowanego w 1985 roku w Rosji antonowa An-2 Colt. Był on własnością laotańskiej firmy, która miała zawarty z rządem wietnamskim kontrakt na wyrąb lasów. Do tego solidnego dwupłata o rozpiętości skrzydeł siedemnaście i pół metra, prędkości podróźnej zaledwie sto dziewięćdziesiąt dwa kilometry na godzinę i prędkości przeciągnięcia dziewięćdziesiąt dwa kilometry na godzinę oraz udźwigu prawie dwa tysiące dwieście pięćdziesiąt kilogramów najlepiej pasowało określenie latająca furgonetka. Obszerne wnętrze było przede wszystkim ładownią.

Nowiutką wciągarkę kupił w Hosziminie na firmową kartę kredytową.

Kiedy załadował już samolot i wciągarkę, wysączył ostatnie krople z butelki coca-coli, za pomocą telefonu satelitarnego połączył się z „Oregonem”. Czekał, w słuchawce

buczało i pukało, gdy sygnał był kodowany.

- Mów, Carl – w chwilę później odezwał się Hanley.
- Mam samolot, Max. Ale nie prosiłeś o pilota.
- Będzie go pilotował jeden z naszych ludzi.
- To ruski antonow – zwrócił mu uwagę Gannon. – Wątpię, czy macie kogoś przeszkolonego na tej maszynie.
- Ściągniemy instrukcje z Internetu – oświadczył Hanley. – To wszystko co możemy zrobić.
- Będzie czekał zatankowany na lotnisku w starym Sajgonie – poinformował go Gannon. – Mechanik za godzinę powinien zakończyć mocowanie wciągarki. Faksuję zdjęcie.
- Wkrótce się zobaczymy – obiecał Hanley. – A tymczasem wszystko w porządku?
- Jak w zegarku – odparł beztróska Gannon.

Na platformie wiertniczej Zapata Petroleum u wybrzeży Wietnamu Delbery Chiglack wziął arkusz papieru, który właśnie wypełził z faksu, a następnie jeszcze raz połączył się z nadlatującym śmigłowcem. Gdy skończył rozmowę, wrócił do stołówki platformy i podał kartkę Gundersonowi.

- Właśnie przyszło do pana.
- Dzięki – odparł szybko Chuck, patrząc na przysłane z „Oregona” zdjęcie dwupłatowca. Potem złożył je i wsunął do kieszeni kombinezonu.

W tym samym momencie dwukrotnie zahuczała syrena platformy.

- Jest wasz transport – oznajmił Chiglack.

Odprowadził całą trójkę tuż pod lądowisko, poczekał, aż bell wyląduje, a potem zawołał, przekrzykując hałas:

- W górę po drabince, trzymajcie nisko głowy, drzwi powinny być otwarte!
- Dziękujemy za gościnę! – krzyknęła Michaels.
- Uważajcie na kapelusze, moje panie! – zawołał za nimi, gdy ruszyli na górę.

Cztery minuty później śmigłowiec znowu był w powietrzu i kierował się w stronę lądu. Kiedy zniknął w oddali, Chiglack pokręcił głową. A potem wrócił do biura, aby zameldować, że goście opuścili platformę.

Gunderson podał zdjęcie dwupłatowca drugiemu pilotowi.

- Stoi w północnej części lotniska – powiedział, a pilot przypiął fotografię do paska na kolanie. – Jeżeli będzie pan mógł wylądować blisko niego, będziemy wdzięczni.

Drugi pilot ponownie nasunął słuchawki na uszy, a potem przekazał informację pierwszemu, który zasygnalizował gestem, że nie ma sprawy. Drugi pilot uśmiechnął się do Gundersona, kiwnął głową i pokazał mu, żeby z powrotem usiadł w fotelu.

Dwadzieścia minut później pojawiło się wybrzeże południowego Wietnamu. Gdy



przelatywali nad płyciznami, Chuck zobaczył pod powierzchnią wrak statku. W krzewach na brzegu sterczało coś, co przypominało szczątki czołgu, zbombardowanego w czasie wojny przed trzydziestu laty.

Kiedy śmigłowiec zbliżył się do lotniska i pilot odnalazł z powietrza miejsce postoju antonowa, Pilston postukała Gundersona w ramię. Maszyna zwolniła, pilot zbliżył ją do wielkiego dwupłatowca i ustawił nad pasem startowym. Kiedy podwozie delikatnie dotknęło ziemi w odległości jakichś piętnastu metrów od samolotu, drugi pilot rozpiął pasy, a potem przeszedł do tyłu i otworzył drzwiczki bellowa.

– Do zobaczenia, aligatory! – zawołał.

Gunderson, Pilston i Michaels, pochylając głowy, odbiegli od śmigłowca.

W chwili, gdy znaleźli się poza zasięgiem łopat wirnika, pilot dodał gazu, ściągnął drążek i przesunął dźwignię skoku ogólnego. Bell poderwał się w powietrze i wykonał płaski skręt. Następnie skierował się na południe i zniknął we mgle.

Michaels odezwała się, kiedy cała trójka była w odległości trzech metrów od dwupłatowca.

– Co mamy robić z tą bestią? – spytała.

– Zgodnie z planem – odparł Gunderson, podchodząc do otwartych drzwi i zaglądając do środka – mamy nim polecieć na „Oregona”.

– Po co, na litość boską? – zdziwiła się Pilston.

– Nasz prezes musi wziąć udział w spotkaniu.

Kevin Nixon w Magicznej Pracowni na „Oregonie” podważał łomem wieko długiej, drewnianej skrzyni. Widniał na niej napis: LOTNICTWO WOJSKOWE STANÓW ZJEDNOCZONYCH, OPERACJE SPECJALNE. Druga linijka informowała: (1) EGZ. SYSTEM EWAKUACJI POWIETRZNEJ FULTONA, KONTROLA 02.11.90, obok był podpis lotnika, który sprawdzał urządzenie. Nixon odsunął wieko, zajrzał do środka i zaczął wyjmować zawartość.

Pierwsza była nylonowa uprząż, przypominająca nieco spadochronową. Na przedzie znajdował się zamocowany obrotowo hak. Potem – długi odcinek liny o dużej wytrzymałości na naprężenia, a na samym końcu pusty balon i elementy służące do połączenia całego systemu. Wyciągając poszczególne przedmioty ze skrzyni, Nixon sprawdzał je bardzo starannie. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku.

Drzwi Magicznej Pracowni otworzyły się.

- Jak to wygląda? – zapytał Hanley.
- Dobrze – odparł Nixon.

Hanley wskazał leżący na ziemi dziwny, trzyramienny hak.

- Co to takiego?

Nixon ruchem głowy wskazał na wewnętrzną stronę pokrywy, na której znajdował się zestaw rysunków z instrukcją obsługi.

- To hak, który zaczepia linę podwieszoną do balonu.
- Czy nie powinien być na pokładzie samolotu?
- Dokładnie tak – przyznał Nixon.
- I co teraz?

Nixon wskazał na drugą stronę pomieszczenia.

- Dobrze że mamy odpowiednie przepisy – oznajmił.
- Zawsze miej rezerwę – Hanley z uśmiechem przeczytał napis.
- No, oczywiście.
- Powiadomię samolot – powiedział Hanley. – Mamy jeszcze parę godzin.
- Niech mi pan tylko powie kiedy, panie Hanley.

Silnik antonowa warczał monotonna, niosąc Gundersona, Michaels i Pilston nad Morzem Południowochińskim. Niebo było czyste, ściana przesuwanego się na południe sztormu wciąż znajdowała się daleko przed nimi. Gunderson miał nadzieję, że zanim dotrze do statku, płynący z maksymalną prędkością „Oregon” wyjdzie poza obszar objęty burzą. Był świetnym pilotem, ale nawet przy dobrej pogodzie to, co miał zrobić, przypominało próbę trafienia strzałką w sam środek tarczy – z odległości dziesięciu kroków i z zawiązanymi oczami.

Gunderson otworzył szeroko okna w kabinie pilotów i ładowni, aby pozbyć się oparów benzyny. W normalnych okolicznościach antonow zabierał tysiąc sto

osiemdziesiąt litrów paliwa, ale ponieważ wykorzystywano go do zaopatrywania odległych wyrębów leśnych, pośrodku ładowni zamontowano dwa dodatkowe zbiorniki o pojemności tysiąca stu dwudziestu litrów każdy. Była to pomyślna okoliczność. Bez dodatkowego zapasu paliwa w żaden sposób nie zdołaliby dolecieć do „Oregona” i wrócić do Wietnamu. Odległość ta znacznie przekraczała także zasięg śmigłowca. Kłopot polegał jednak na tym, że w samolocie śmierdziało jak na stacji benzynowej po wielkim przecieku. Gunderson spojrzął na przenośny odbiornik GPS.

– Jak to wygląda, Mały? – spytała Michaels.

– Jak na razie, wszystko w porządku – odpowiedział. – Ale ten dzyngs wyczerpuje baterie szybciej niż dzieciak grający na Nintendo. Czy przez przypadek nie zostawili tu paru zapasowych?

Pilston, siedząca w kucki pomiędzy fotelami pierwszego i drugiego pilota, zajrzała do kilku papierowych toreb, ale pokręciła głową.

– Przykro mi, Chuck, nic z tego – oznajmiła.

– Co mamy? – zapytał.

Szybko wyrecytowała mu cały spis:

– Kilka wojskowych racji żywnościowych, dwa termosy z czymś, co wygląda jak kawa, trochę batonów Herseya, woda w butelkach, mapy i płyn do płukania ust.

– A ręczniki i mydło?

Pilston sięgnęła na dno jednej z toreb.

– Są.

– Gannon jest w tym dobry – stwierdził Gunderson, ziewając.

Michaels spojrzała na prędkościomierz.

– Minie jeszcze pięć godzin, zanim dolecimy do „Oregona” – powiedziała. – Tracy i ja trochę się przespałyśmy ubiegłej nocy. Może doprowadzisz się do porządku i spróbujesz odpocząć? Obudzimy cię, kiedy będziemy blisko.

– Uważasz, że możesz pełnić obowiązki drugiego pilota? – zwrócił się do Pilston.

– W ubiegłym roku dostałam licencję prywatnego pilota – poinformowała go. – Nie wylatałam zbyt wielu godzin, ale mam wrażenie, że dysponuję wystarczającymi kwalifikacjami, żeby obserwować wskaźniki.

Gunderson ze zmęczeniem skinął głową.

– Oddaję stery – oznajmił.

Gdy tylko upewnił się, że Michaels panuje nad maszyną, wstał z fotela i przesunął się obok Pilston, która szybko zajęła jego miejsce. Antonowa można było pilotować zarówno z lewego, jak i prawego fotela, nie było więc powodu, aby Michaels się przesiadała. Gdy tylko Pilston się usadowiła, odwróciła się do Gundersona.

– Na burcie jest odchylane łóżko – powiedziała – a z tyłu toaleta z odpływem na zewnątrz. Chciałbyś najpierw coś zjeść?

– Nie, moje panie. Obudźcie mnie, kiedy będę potrzebny.

Przeszedł do tyłu, rozłożył łóżko, zdjął koszulę i zwinął ją, aby służyła mu jako

poduszka, wyciągnął się i po paru minutach już spał. Antonow, mruczając silnikiem, leciał na spotkanie.

Przez wiele lat swojego istnienia, korporacja inwestowała w szereg rozmaitych całkowicie legalnych przedsięwzięć. Firma była właścicielem koncernów wydobywczych, plantacji palm kokosowych, zakładów produkujących specjalną broń palną, hoteli, ośrodków wypoczynkowych, fabryki obrabiarek, a nawet przedsiębiorstwa czarterującego odrzutowce, które miało swoje oddziały w Ameryce Północnej i Południowej, Europie oraz Azji.

Żaden z pracowników tych koncernów nie miał najmniejszego pojęcia o źródłach finansowania i prawdziwych celach firmy matki. Wiedzieli jedynie, że dostają wysokie pensje, są dobrze traktowani i nigdy nie są ofiarami cięć budżetowych czy redukcji. Najczęściej prawdziwe służby operacyjne korporacji – specjaliści wojskowi i wywiadowcy, którzy stworzyli załóżek rosnącej fortuny – pozwalały przedsiębiorstwom działać samodzielnie. Niekiedy okazywało się to pożyteczne.

Teraz właśnie nadszedł moment, aby to wykorzystać.

Max Hanley wrócił do centrali „Oregona” i usiadł w swoim fotelu.

– Znajdź ośrodek koordynacji lotów Pegasus Air – polecił Stone’owi.

Ten wprowadził polecenia do komputera i parę sekund później na jednym z wielkich monitorów pokazała się mapa świata.

– Jak najszybciej możemy dostarczyć prezesa na spotkanie?

Stone stuknął w klawisze i na ekranie pojawiły się dwie trasy.

– To długi lot – powiedział. – Zakładam, że nie chcesz międzylądowań?

– Absolutnie.

– W takim razie wszystko wskazuje na to, że będziemy musieli użyć G550.

– Gdzie są teraz? – spytał Hanley.

Stone znowu wprowadził polecenia i na mapę nałożyły się dane rejsów.

– Azjatycki G550 jest w drodze na Hawaje, więc odpada – stwierdził Stone. – Jeden w Paryżu... nie, poczekaj... południowoamerykański G550 właśnie wylądował w Dubaju, Powinien wystartować jutro.

– Kiedy może dotrzeć do Da Nang?

– To pięć tysięcy siedemset sześćdziesiąt kilometrów, czyli z grubsza sześć i pół godziny lotu.

Hanley wziął notatnik, ołówek i zaczął coś obliczać.

– Będzie na styk – oznajmił w końcu. – Przeskakujemy strefy czasowe, trzeba będzie szybko załatwić tankowanie i zezwolenia na lądowanie, ale sprawa jest do wykonania.

– Chcesz, żebym zarezerwował ten odrzutowiec? – spytał Stone.

Hanley podał mu kartkę papieru.

– To jest plan lotu.

– Co poza tym?

– Upewnij się, że nasz człowiek w wietnamskim lotnictwie wojskowym dostał w łapę i nie będziemy mieli żadnych problemów z wylądowaniem w Da Nang oraz szybkim startem po uzupełnieniu paliwa.

- Coś jeszcze?
- Połącz mnie na bezpiecznej linii z Karamozowem. Muszę potwierdzić.
- Czy jeszcze coś? – spytał Stone, robiąc notatki.
- Kiedy załatwisz to wszystko, wezwij Truitta, żeby cię zastąpił i prześpij się.
- A co z panem?
- Zdrzemnę się tutaj – odparł Hanley. – Lubię tu siedzieć.

Dalajlama modlił się właśnie przed posągiem Buddy, gdy Overholt wszedł do pokoju. Stał w milczeniu, dopóki tybetański przywódca nie wstał.

– Czuję, że pan się tu znalazł – powiedział dalajlama. – I że jest pan zadowolony.,

- Czy Wasza Świątobliwość jest gotowa do powrotu? – zapytał Overholt.
- Jak najbardziej.
- Doskonale. W takim razie jutro.
- Czy pańscy ludzie odzyskali Złotego Budę?
- Owszem – oznajmił Overholt, kiwając głową.
- A czy znaleźli już skrytkę?
- Pracują nad tym, Wasza Świątobliwość.

Dalajlama skinął głową i uśmiechnął się.

– Domyślą się. A wtedy będą wiedzieli co zrobić z tym, co tam znajdują. – Przerwał na chwilę. – Trudno uwierzyć, że coś, co mój naród posiadał przez cały czas, może stać się naszym zbawieniem.

- Jeszcze nie jesteśmy w domu, Wasza Świątobliwość – ostrzegł Overholt.

Dalajlama uśmiechnął się i zastanawiał przez chwilę.

– Nie, panie Overholt, jeszcze nie jesteśmy, ale będziemy. Chciwość sprowadziła Chińczyków do mojego kraju. I chciwość nas wyzwoli.

Overholt skinął w milczeniu głową.

- Życie jest kręgiem – stwierdził Tybetańczyk. – Kiedyś się pan o tym przekona.

Overholt uśmiechnął się, widząc, że dalajlama idzie w stronę drzwi.

– A teraz – powiedział uprzejmie tybetański przywódca – pozwoli pan, że moi ludzie nakarmią pana. Musi pan być głodny po tak długiej podróży.

Obaj mężczyźni wyszli z pokoju na spotkanie przeznaczenia, które uzależnione było od tajemniczego statku obsadzonego przez najemników.

O jedenastej miejscowego czasu, „Oregon” wyszedł z mgły. Przed naciągającym sztormem pogoda była idealna. Prawdziwa cisza przed burzą – lazurowe niebo, spokojne i lśniące jak lustro morze. Od momentu wyjścia z Makau „Oregon” zrobił kawał drogi. Znajdował się teraz w pobliżu wyspy Hainan na wodach

międzynarodowych. Przy tej prędkości powinien minąć Singapur jutro w południe miejscowego czasu. Kiedy wykona zwrot, przejdzie przez cieśninę Malakka i skieruje się na północ, powinien dotrzeć w głąb Zatoki Bengalskiej, w pobliże wybrzeża Bangladeszu około drugiej po południu w niedzielę.

W chwili gdy – jeżeli wszystko przebiegnie zgodnie z planem – dalejłama będzie znowu u władzy, a korporacja wycofa się dyskretnie, nikt nie będzie nic wiedział.

Juan Cabrillo obudził się w swojej kabinie, wziął prysznic i ubrał się.

Przeszedł korytarzami do centrali, zatrzymał się i otworzył drzwi. Max Hanley spał w swoim fotelu, ale gdy Cabrillo wszedł, wyprostował się. Potem wstał, podszedł do dzbanka z kawą i napełnił dwa kubki.

Podał jeden prezesowi i zapytał:

– Lepiej się czujesz?  
– Zdziwiająca, ile może dać trochę odpoczynku – odparł Cabrillo, biorąc kubek.

– Richard? – zapytał Hanley.

Truitt odwrócił się od ekranu, w który się wpatrywał.

– W porządku – odparł.

– Jaki rezultat? – zainteresował się Cabrillo.

Hanley wrócił do swojego fotela i gestem poprosił go, by usiadł. A potem pokazał na ekran, na którym od miasta Hoszimin prosto do „Oregona” prowadziła czerwona linia.

– To Gundersen i jego zespół. Przylecą za jakieś pół godziny, żeby pana zabrać.

– Mają amfibię?

– Nie, była za daleko, żeby ją tu ściągnąć.

– Załatwiliśmy więc inny hydroplan?

– Gannon próbował na wszystkie strony, ale żadnego nie było.

Cabrillo wypił łyk kawy, a Truitt obrócił głowę i popatrzył na niego.

– Chcecie mnie podnieść? – zapytał Cabrillo.

– Przykro mi, ale to był jedyny sposób, żebyś zdążył na swój lot z Wietnamu – wyjaśnił Hanley.

– A Budda?

– Pójdzie pierwszy.

– Czemu – poskarżył się Cabrillo – zawsze pakuję się w takie sytuacje?

– Dla pieniędzy? – zasugerował z uśmiechem Truitt.

– A może dla emocji? – dodał Hanley.

Na pokładzie antonowa Gunderson umył twarz i zęby. Wypluł pastę przez okno i wytarł ręcznikiem szczecinę na policzkach. Kiedy skończył, przeszedł do kabiny pilotów i odezwał się do Pilston:

– Może pozwolisz mi przejąć stery?

Pilston wstała z fotela i Gunderson zajął jej miejsce.

- Jak sprawował się nasz rekrut? – zapytał Michaels.
- Jest niezłym pilotem – odparła. – Pozwoliłam jej prowadzić maszynę przez cały czas, kiedy drzemałam.

Gunderson uśmiechnął się i odwrócił do Pilston.

- Pamiętaj, żeby zapisać te godziny w książce lotów – powiedział. – Kiedy będziesz miała dwieście, możesz wystąpić o zawodową licencję. Nasz ostatni człowiek, który ją zdobył, dostał od Cabrillo pięć tysięcy dolarów premii.

- Ta stara bestia leci sama. Wolna jak ślimak, ale stabilna jak stół.

- Jak daleko jesteśmy? – Gunderson zwrócił się do Michaels.

Spojrzała na GPS, sprawdziła znaki na mapach, a potem wykonała kilka obliczeń na komputerze.

- Mniej więcej dwadzieścia cztery minuty.

- Zachowałam ciszę radiową?

- Tak jak ustalono – odparła.

Gunderson ustawił mieszankę paliwa i przez kilka sekund spoglądał na zegary. Widząc, że wszystko w porządku, odezwał się znowu.

- Tracy, mogłabyś mi nalać kubek kawy? Pora wywołać statek-matkę.

Pilston odkręciła korek termosu, przycisnęła do denka kubka kawałek złożonej na pół taśmy klejącej, nalała kawy i podała naczynie Gundersonowi. Wypił łyk gorącego płynu, a następnie odstawił kubek. Taśma przylepiła się do pulpitu, unieruchamiając naczynie. Potem wyciągnął rękę do radia, ustawił częstotliwość i powiedział:

- Mały wzywa prezesa na pokładzie. Jest pan tam?

Po kilku minutach przyszła odpowiedź.

- Tu kontrola, możesz mówić.

- Panie i ja będziemy za parę minut, żeby zabrać pana na pokład.

- Mamy cię na ekranie – odparł Cabrillo. – Wkrótce powinniśmy nas zobaczyć.

- Jaka procedura? – spytał Gunderson.

- Masz dwóch pasażerów. Pierwszym jest przedmiot... Pamiętaj, że jest ciężki.

- Mamy rampę załadunkową z pasem, ale w tym starszku drzwi są z boku – wyjaśnił Gunderson. – Zamierzam wciągarką podciągnąć to, co bierzemy, na pokład blisko maszyny, a potem wykazać się troszkę wyższym pilotażem, żeby zabrać to do środka.

Na „Oregonie” Cabrillo pokręcił ze zdumieniem głową.

- Nie próbuj tego z drugim ładunkiem.

- A co to takiego, szefie?

- Drugi ładunek to ja.

Michaels patrzyła przez okno. W polu widzenia pojawiła się plamka – „Oregon”.

- Mam kontakt wzrokowy – powiedziała.

- Widzimy was – oznajmił Gunderson. – Weźmiemy pana na pokład elegancko, niech się pan nie martwi.

- Idę na górę założyć uprząż – rzekł Cabrillo. – Czy czegoś wam potrzeba?

Gunderson popatrzył na Pilston i Michaels, które pokręciły przecząco głowami.

- Może parę kanapek z szynką i serem – powiedział.
- Zobaczę, co da się zrobić.
- Zaczynamy schodzić. Do zobaczenia wkrótce.

Cabrillo otworzył drzwi i wszedł do Magicznej Pracowni. Kevin Nixon postawił Złotego Buddę na małym stoliku i przesuwając nad jego brzuchem małym elektronicznym urządzeniem radarowym. Spoglądał na monitor i kręcił głową.

– Tam jest pusta przestrzeń, szefie – powiedział do prezesa – ale niech mnie diabli, jeżeli wiem, jak się do niej dostać.

Cabrillo stał, zastanawiając się przez chwilę, a potem zwrócił się do Nixona.

- Daj mi dmuchawę termiczną – powiedział.

Nixon podszedł do regału z narzędziami, zdjął z haka dmuchawę, umocował przedłużacz i przeciągnął wszystko do Złotego Buddy. Cabrillo włączył urządzenie i zaczął nagrzewać brzuch posągu.

– O czym pan myśli, szefie?! – zawołał Nixon, przekrzykując głośny szum dmuchawy.

– Ludzie zawsze na szczęście pocierają brzuch Buddy – wyjaśnił Cabrillo. – A jak się będzie tarło coś wystarczająco długo, powstanie ciepło.

Nixon wyciągnął rękę i dotknął złotego brzucha. Stawał się ciepły jak ludzka skóra. Cabrillo popatrzył na posąg i zwrócił się do Nixona:

- Daj mi żyłkę.

Nixon wrócił do stołu z narzędziami, znalazł pudełko żyłek, wziął je i wrócił do Cabrillo, zdejmując papierowe opakowanie z jednej z nich.

- Tutaj – rzekł Cabrillo. – Pokazuje się rysa.

Nixon wsunął ostrze w małą szczelinę.

- Włóż drugą i zacznij luzować płytkę na brzuchu.

Mijały minuty, szczelina poszerzyła się. Cabrillo skierował strumień gorącego powietrza pod płytkę, nagrzewając nałożony przed wiekami klej. W końcu szczelina zrobiła się tak duża, że można było do niej wcisnąć dłoń. Cabrillo podał Kevinowi dmuchawę, aby nadal rozgrzewał klej z kopyt jaka. Sam zaś wsunął palce w otwór i delikatnie podważył płytkę.

Pokrywa powoli odchyłała się, aż nagle odskoczyła i została w ręku Cabrillo.

Zajrzał do skrytki. W środku leżały zwinięte w rulon stare pergaminy przewiązane rozsypującym się skórzanym paskiem. Cabrillo włożył rękę i ostrożnie, wyjął zwitek.

Nixon spojrzał na Cabrillo i uśmiechnął się.

- I co teraz, szefie?
- Skopiujemy je – odparł spokojnie Cabrillo – i włożymy z powrotem.

Sung Rhee znajdował się w samym środku gromadki rozwścieczonych ludzi. Admirał Chińskiej Marynarki Wojennej zatelefonował do Pekinu, żeby zameldować o



uszkodzeniu jego okrętów, dwaj miliarderzy wrócili z ekipami adwokatów, a jego asystent właśnie zadzwonił z informacją, że burmistrz Makau jest na dole i idzie do niego.

W tym momencie zadzwonił telefon.

- Powiedziałem – burknął do recepcjonistki – żeby nikt mi nie przeszkadzał.
- To z gabinetu prezydenta Hu Jintao.
- Proszę połączyć – powiedział Rhee, dając ręką znaki, aby wszyscy wyszli z pokoju. – Proszę połączyć.

Kilka sekund później w słuchawce rozległ się głos.

- Łączę z prezydentem Jintao.
- Dzień dobry, panie prezydencie.
- Dzień dobry, panie Rhee – odezwał się spokojnie Jintao. – Słyszałem, że ubiegłej nocy miał pan trochę kłopotów.

Rhee zaczął się pocić.

- Eee... drobna kradzież – wyjąkał. – Nic, z czym nie bylibyśmy w stanie sobie poradzić.

– Panie Rhee. Dziś rano mieliśmy telefony z ambasady Stanów Zjednoczonych, dowództwa i Chińskiej Marynarki Wojennej, a wiceprezydent Grecji chciał wiedzieć, dlaczego jeden z ich statków został na pański rozkaz nielegalnie zatrzymany i przeszukany. To nie wygląda na drobną kradzież.

- No cóż... mieliśmy tu trochę problemów – przyznał Rhee.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

- Panie Rhee – głos Jintao był zimny jak lód. – Chcę, żeby opowiedział mi pan o wszystkim, co się zdarzyło. Natychmiast, od samego początku.

Rhee powoli zaczął wyjaśniać.

Gunderson słynął z tego, że nigdy się nie denerwował. Bez względu na sytuację, zawsze zachowywał spokój. Otworzył klapy antonowa, zwalniając tak, że niewiele brakowało do prędkości przeciągnięcia, a potem wyrównał na wysokości niespełna trzydziestu metrów nad pokładem.

- Czy ktoś ma gumę? – zapytał.

Michaels szybko zdjęła folię z jednego listka i wsunęła mu go do ust.

- Idź do tyłu pomóc Tracy – polecił Gunderson. – Podczepię grubaska za pierwszym przelotem, a potem zawołam, zanim przechyle maszynę.

Ustawione na pokładzie „Oregona” kamery transmitowały operację na cały statek. Wszyscy obserwowali, jak Gunderson zbliża się do frachtowca.

W ładowni antonowa Pilston i Michaels wyglądały przez otwarte drzwi. Stalowa lina ciągnęła się za samolotem, ale hak był niewidoczny. Gunderson spoglądał przez wiatrochron i boczne okna, tak szybko przenosząc wzrok, jakby chciał pobić jakiś rekord. Lina prowadząca do systemu ewakuacji powietrznej Fultona rozdzielała się pod balonem, tworząc literę Y. Gunderson żuł z zapalem gumę, podprowadzając

samolot coraz bliżej.

– Pora na przedstawienie! – zawołał.

Hak zwisający pod samolotem wsunął się gładko w Y i zaczął linę. Ułamek sekundy później skrzynia ze Złotym Buddą została poderwana z pokładu tak raptownie, jakby ktoś zerwał bandaż z rany. Gunderson natychmiast poczuł opór i krzyknął do Pilston, by włączyła wciągarkę.

Kobieta przesunęła dźwignię do przodu i lina zaczęła wpełzać do samolotu. W tym samym czasie Gunderson pochylił samolot na skrzydło. Hanley z podziwem przyglądał się temu z pokładu statku.

– Powiedźcie, kiedy ładunek będzie trzy metry od maszyny! – wrzasnął Gunderson.

Mniej więcej minutę później Michaels zawołała:

– Okay, Chuck!

Gunderson wykonał szybki ślizg na skrzydło, opadając w stronę znajdującego się zaledwie jakieś dwadzieścia pięć metrów niżej oceanu. Przeciężenie ujemne sprawiło, że skrzynia nagle stała się nieważka i zawisała na moment w powietrzu.

– Wyrównuję! – krzyknął Gunderson.

Pilston i Michaels odsunęły się od drzwi. Lina napięła się i wciągnęła Złotego Buddę na pokład z taką łatwością, jakby ktoś wstawiał książkę do regału. Skrzynia wyrznęła w wewnętrzne poszycie kadłuba i znieruchomiała. Parę desek pękło, ale nie za bardzo. Pilston wyłączyła silnik wciągarki.

Gunderson spojrział do tyłu, zadowolony z rezultatów. Sięgnął do radia.

– Panie Hanley – zameldował – trochę porysowałem pańskie pudełko, ale ładunek jest cały i zdrowy.

Gunderson zaczął nabierać wysokości i zakręcać, a Hanley wcisnął guzik przenośnej radiostacji.

– Dobra robota, Mały. Do skrzyni masz przyczepiony inny hak. Zamocuj go do liny, zanim zabierzesz się do wciągania prezesa na pokład.

– Zrozumiałem – odparł Gunderson, a potem krzyknął do Michales, przekazując polecenie. W chwili gdy przelatował nad „Oregonem” i zawracał, by rozpocząć podejście, hak był już umocowany i Pilston znowu zaczęła wypuszczać linę. Gunderson przymknął gaz i samolot ponownie zwolnił prawie do prędkości przeciągnięcia.

– Kiedy zahaczę szefa! – krzyknął – zwijajcie linę najszybciej jak się da. Gdy będzie przy drzwiach, złapcie go i wciągnijcie do środka!

– Jasne! – odkrzyknęła Pilston.

– Lecę, szefie – powiedział przez radio Gunderson. – Obojętne, czy jesteś gotów, czy nie.

Cabrillo przeszedł na tylny pokład i Nixon napełnił balon, który wzbił się w powietrze w momencie, gdy antonow znajdował się zaledwie trzydzieści metrów przed dziobem.

– Oczyszczyć pokład! – zawołał Nixon, odbiegając.

Juan Cabrillo stał spokojnie. Na dobrą sprawę nie sposób było przygotować się na to, co za chwilę się stanie. Za parę sekund zostanie wyszarpięty z bezpiecznego pokładu „Oregona” i znajdzie się w powietrzu nad oceanem. W ułamku sekundy przeniesie się ze znanego w nieznanie. Tak więc Cabrillo po prostu przestał o tym myśleć i czekał.

Żując gumę, Gunderson uważnie obserwował linę, a potem ponownie umieścił trójramienny hak w samym środku Y. Bam! Przed sekundą stopy Cabrillo stały na pokładzie, a teraz wisały w powietrzu. Poruszał nimi w tył i w przód, jakby próbując biec. Wiatr wciskał się pod gogle, które miał na twarzy i w miarę jak antonow robił się coraz większy, oczy zaczęły mu łzawić. Zbliżając się do bezpiecznego wnętrza maszyny, Cabrillo widział ręce wysuwające się mu na spotkanie. Odwrócił głowę i rozejrzał się. Co parę sekund lina uderzała w statecznik poziomy, musiał być w pogotowiu, żeby się od niego odepchnąć.

– Uderzy w ogon! – krzyknęła Pilston do Gundersona.

Cabrillo uniósł nogi, szykując się na zderzenie ze statecznikiem. Znajdował się od niego w odległości kilkudziesięciu centymetrów, kiedy Gunderson ściągnął wolant, unosząc nos antenowa ku górze. Kołyszący się na linie Cabrillo opadł nieco w dół i przeleciał obok ogona. Parę sekund później był już przy drzwiach. Michaels i Pilston chwyciły go za ręce i wciągnęły do środka.

Gunderson zaczął nabierać wysokości, a potem odwrócił głowę w stronę ładowni.

– Hej, szefie! – wrzasnął. – Jak się podobało?!

Michael Halpert włączył komputer w bibliotece „Oregon”. Akcja w Makau była podniecająca i spodobał mu się dreszczyk emocji wywołany niebezpieczeństwem. Ale silną stroną Halperta były tajniki księgowości i sieć bankowa, którą stworzył na potrzeby korporacji. Pokręcona materia prawa i struktur finansowych fascynowała go. Uwielbiał ukrywać dochody korporacji niczym centa pod lodowcem i chronić jej własność w firmach dzięki skomplikowanym konstrukcjom, które całe brygady księgowych musiałyby rozplątywać latami.

Dzisiaj będzie musiał wykorzystać wszystkie swoje umiejętności.

Halpert budował coś, co lubił nazywać szkieletem. Był to szereg korporacji tworzących kościec podtrzymujący czaszkę, w której znajdował się ośrodek nerwowy operacji. Każdą z nich należało zbudować, finansować i powiązać ze sobą nawzajem, aż rzeczywisty tytuł własności oraz źródło zarządzania staną się zamglone jak londyński poranek.

Przejrzał bazę danych istniejących firm, którymi mógł dysponować.

Na pierwszy ogień pójdzie czaszka – ewentualny właściciel zasobów, które wkrótce zostaną stworzone. W tym celu wybrał korporację znajdującą się w maleńkim państewku Andora. Przedsiębiorstwo Cataluna Esteme zostało założone w 1972 roku i zajmowało się wydobyciem ołowiu i handlem tym surowcem.

Andora, której powierzchnia wynosi czterysta sześćdziesiąt osiem kilometrów kwadratowych, leży w Pirenejach, granicząc od południa z Hiszpanią i od północy z Francją. Ma sześćdziesiąt siedem tysięcy ludności, a jej podstawowym źródłem dochodu jest turystyka. Szczególnie przyciąga miłośników narciarstwa. Państwo to istnieje od 1278 roku, jest nowoczesne i postępowe, a poza tym Halpert nigdy dotąd z niego nie korzystał.

Cataluna Esteme zajmowała się ołowiem aż do 1998 roku, kiedy to jej leciwy właściciel zmarł na serce w czasie wizyty w Paryżu. Przez następny rok lub dwa, aktywa firmy zostały rozdzielone pomiędzy spadkobierców, a przedsiębiorstwo przeszło w stan uśpienia. Cataluna Esteme istniała tylko w szufladzie biurka prawnika działającego w stolicy Andory – Andorra la Vella.

Halpert przeszedł historię firmy i uznał, że jest idealna. Cataluna Esteme cieszyła się zaufaniem, w przeszłości przez jej sejfy przepływały spore sumy pieniędzy, chroniła ją również tarcza prywatności, zapewniana przez prawo Andory. Reszta akcji przedsiębiorstwa dostępna była za równowartość pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Suma ta zapewniała pełną kontrolę nad firmą, która istniała od ponad trzydziestu lat, miała statut zbliżony do tego, który zamierzano wykorzystać i była całkowicie nie do rozszyfrowania.

Halpert postanowił kupić Cataluna Esteme.

W charakterze stóp szkieletu wykorzystał dwie firmy, będące już własnością

korporacji. Pierwszą było Gizo Properties na Wyspach Salomona na południowym Pacyfiku. Drugą – Paisen Industries z siedzibą w San Marino, kraju na wybrzeżu Adriatyku, stanowiącym enklawę na terytorium Włoch. Za pośrednictwem komputera Halpert wszedł na konta przedsiębiorstw i przelał osiemset siedemdziesiąt cztery tysiące dolarów na rachunek Gizo Properties i czterysta osiemnaście tysięcy dolarów dla Paisen Industries. W mgnieniu oka przerzucił milion dwieście dziewięćdziesiąt dwa tysiące dolarów na już istniejące konta. Ale pieniądzom tym nie było sądzone pozostać na nich długo.

Następnie Gizo Properties i Paisen Industries, na podstawie specjalnej uchwały akcjonariuszy, napisanej i przyjętej przez Halperta, postanowiły zakupić akcje dwóch dalszych przedsiębiorstw. Pierwsze, Alcato, miało siedzibę w Lizbonie, drugie, Tellemedicis – w Asunción w Paragwaju. Oba cały czas prosperowały. Alcato produkowało specjalistyczną elektronikę stosowaną na morzu, Tellemedicis zaś sprzęt telemetryczny używany w szpitalach Ameryki Południowej. Portugalska firma miała wartość księgową trzy miliony dolarów, paragwajska – dziesięć milionów.

Obie od prawie dziesięciu lat należały potajemnie do korporacji.

Halpert ściągnął ich dokumentację księgową i ustalił, że rezerwy finansowe wystarczą do zrealizowania planu.

Kiedy nogi były już na swoim miejscu, zaczął szukać torsu.

Musiał znaleźć łatwą do rozpoznania, stabilną platformę, która spodoba się przyszłym partnerom korporacji. Do tego celu nadawała się jedynie określona część Europy. Halpertowi potrzebne było przedsiębiorstwo znajdujące się w kraju o stuprocentowej stabilności politycznej, mocnym pieniądzu i cieszącym się uznaniem w całym finansowym świecie. Przejrzał bazę danych i znalazł trzy firmy do wyboru – pierwsza znajdowała się w Bazylei, w Szwajcarii, druga w Luksemburgu, a trzecia, która podobała mu się najbardziej – w Liechtensteinie.

Wybór padł na Liechtenstein.

Albertinian Investments SA było koncernem zajmującym się obrotem walutami i złotem, który odniósł spore sukcesy dzięki niedawnemu wzrostowi cen metali szlachetnych. Potajemnie kontrolowany przez korporację, posiadał piękny sześciokondygnacyjny budynek w Vaduz i zajmował w nim dwa najwyższe piętra. Saldo na jego rachunkach bankowych wynosiło ponad osiemnaście milionów dolarów i często inwestował w obiecujące przedsiębiorstwa.

Następnie Alcato i Tellemedicis uchwaliły rezolucje, na których podstawie każde z nich udzieliło Albertinian Investments pożyczkę w wysokości miliona dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Składała się ona z pieniędzy przelanych z Gizo Properties i Paisen Industries oraz pewnej ilości gotówki z ich sejfów. Albertinian Investments zgodziło się zapłacić każdej firmie siedem procent odsetek od sumy pożyczki oraz przyznać opcję pozwalającą w czasie pięciu najbliższych lat po ustalonej cenie zamienić pożyczki na akcje. Ślad pieniędzy stawał się z każdą chwilą coraz bardziej zagmatwany.

Teraz w Albertinian Industries było już dodatkowe pięć milionów dolarów – wypranych i czystych.

Księgowy wypił łyk mrożonej herbaty. Następnie wprowadził do komputera odpowiednie polecenia i Alberinian Investments wyraziło chęć zakupu Cataluna Esteme za cenę wywoławczą pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Zrealizowanie transakcji powinno zająć adwokatowi w Andorze kilka godzin.

Halpert sprawdził bazę danych prawników w Hiszpanii, z których usług korporacja korzystała w przeszłości. Znalazł odpowiedniego człowieka w Madrycie, wybrał numer telefonu i czekał.

– Z Carlosem Drugim – powiedział po hiszpańsku, kiedy odezwała się recepcjonistka. – Dzwoni Halpert.

Dokładnie czterdzieści dwie sekundy później w słuchawce rozległ się głos adwokata.

– Przepraszam, że musiał pan czekać, panie Halpert – powiedział. – Czym mogę służyć?

– Chciałbym, żeby pan natychmiast poleciał do Andory. Kupujemy firmę.

– Standardowa procedura? – zapytał prawnik. – Otworzyć rachunki bankowe, wynająć biura i tak dalej?

– O to nam chodzi – przytaknął Halpert. – I musimy to mieć na wczoraj.

– W takim razie będę musiał wyczarterować samolot – oznajmił prawnik. – Wątpię, czy o tak późnej porze będą jakieś rejsowe loty.

– Zatwierdzimy wydatki – oznajmił Halpert.

– Jaki rząd wielkości pan przewiduje?

– Kapitał początkowy wyniesie dziesięć milionów. Pięć będzie bezpośrednią pożyczką od jednego z naszych oddziałów w Liechtensteinie, drugie pięć to uruchomiona natychmiast linia kredytowa.

– Rozumiem, proszę pana. Natychmiast jadę.

– Jeszcze jedno – powiedział Halpert. – Proszę znaleźć w Andorze firmę zajmującą się rzecznictwem medialnym. Mam wrażenie, że to co planujemy wywoła pewne zainteresowanie prasy.

– Czy coś jeszcze?

– Jeżeli będę coś miał, porozumiem się z panem, kiedy dotrze pan na miejsce.

– Bardzo dobrze – odparł prawnik, odkładając słuchawkę.

A potem usiadł w fotelu i uśmiechnął się. Wiedział, że jego dość wygórowane honorarium zostanie uregulowane gotówką i że zapomni umieścić tej sumy w swoim zeznaniu podatkowym. Sięgnął po telefon i zadzwonił do miejscowej firmy lotniczej, aby wynająć turbośmigłowy samolot, którym polecą na północ.

– To było jak kopnięcie muła – oznajmił Cabrillo, przekrzykując warkot silnika.

Pilston przyciągnęła i mocno trzymała boczne drzwi antonowa, w czasie gdy Michaels domykała je i blokowała. Cabrillo oparł się o skrzynię ze Złotym Buddą, by

złapać równowagę, a potem wyjął plik papierów oraz torbę z jedzeniem. Położył je na podłodze, rozpiął uprząż i odwiesił ją. Rozejrzał się po ładowni samolotu, po czym przeszedł do kabiny pilotów.

- Jak się nim lata, Mały? – zapytał, siadając w fotelu drugiego pilota.
- Jest wolny i stabilny jak trawler z silnikiem Diesla.
- Przespaleś się trochę?
- Tak – odparł Gunderson. – Tracy musi sobie wylatać jeszcze parę godzin,

więc przywiozła nas tu razem z Judy z Wietnamu.

Cabrillo kiwnął głową i odwrócił się w stronę ładowni.

- Jak się udało z Panem Doliną Krzemową?
- Poradziłyśmy sobie – zapewniła Michaels.
- Chciałbym was obie przeprosić – rzekł cicho Cabrillo. – Gdyby był jakiś inny sposób...

– Wiemy, proszę pana – odparła Pilston. – To była po prostu praca... i tak potraktowałyśmy całą sprawę.

– Mimo wszystko... – kontynuował Cabrillo – wykraczała daleko poza wszystko, o co moglibyśmy was prosić. Zatwierdziłem dla was obu specjalną premię, a Hanley zaplanował dla was miesięczny urlop z pełnym wynagrodzeniem, kiedy tylko zakończymy tę akcję.

– Dziękujemy – powiedziała Michaels. – A to pomogło nieco złagodzić cios. – Uniosła paczkę obligacji.

- Wierzę – oznajmił Gunderson – że mówisz to w przenośni, a nie dosłownie.

Ambasador Stanów Zjednoczonych upił łyk wódki z małej szklaneczki i uśmiechnął się do prezydenta Rosji. Obaj panowie siedzieli przed huczącym ogniem palącym się w kominku w prezydenckim gabinecie w Moskwie. Na zewnątrz wiosenna burza wreszcie ucichła, zasypawszy stolicę niemal trzydziestoma centymetrami mokrego śniegu. Wkrótce z ziemi wyłonią się główki pierwszych kwiatów. A potem wszystko się zazieleni.

- O jakich sumach rozmawiamy? – zapytał prezydent.
- O miliardach – odparł ambasador.
- A organizacja?

– Jak pan wie – odparł dyplomata, pociągając kolejny łyżeczek – nie jest to operacja rządu Stanów Zjednoczonych. W istocie zawrze pan umowę z oddzielną firmą, która będzie naszym podwykonawcą.

- Ale pracuje dla was?
- Nie na papierze – wyjaśnił ambasador. – Ale korzystaliśmy z niej w przeszłości.

– Proszę o parę szczegółów – powiedział Rosjanin, wstając, by poruszyć ogień porzeczkiem. – Lubię wiedzieć, z kim będę miał do czynienia.

- Nazywają się korporacją. Załatwiają sprawy o delikatnym charakterze dla nas

i dla innych krajów. Firma ma wyspecjalizowane kadry, ogromne zaplecze finansowe i słynie z niekwestionowanej uczciwości.

- Można mieć do nich zaufanie?
- Może pan całkowicie polegać na ich słowie – potwierdził ambasador.
- Kto kieruje korporacją?
- Niejaki Juan Cabrillo.
- A kiedy się z nim spotkam? – zapytał prezydent. Odwrócił się od kominka, odłożył pogrzebacza na podstawkę i ponownie usiadł w fotelu.

- Będzie w Moskwie dziś późnym wieczorem.
- Znakomicie. Cieszę się, że będę mógł go posłuchać.

Ambasador dopił szklaneczkę wódki i gestem ręki powstrzymał przywódcę Rosji, który chciał napełnić ją znowu.

- A teraz inna sprawa – odezwał się. – Jak bardzo awanturują się Chińczycy?
- Dość poważnie – przyznał prezydent Rosji – ale nie na tyle, żebym nie mógł sobie z tym poradzić.

- Czy jeżeli będzie pan musiał, jest pan gotów działać?

Prezydent wskazał leżącą na stole teczkę z dokumentami.

– Tu jest plan. W niecałe dwadzieścia cztery godziny przejdziemy przez basen Tarim i dotrzemy do granicy Tybetu.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.
- Jeżeli będę musiał wydać taki rozkaz – oznajmił Rosjanin – chcę, aby pański prezydent poparł ten krok na piśmie. Nie ma innego sposobu.

– Nie przypuszczamy, żeby było to panu potrzebne. Sprawy nie zajdą aż tak daleko.

– Chcę, aby wszystko było jasne. Jeżeli zaczniemy działać, on musi zrobić to samo.

- Dam mu znać – zapewnił ambasador.

- Pojawili się znikąd – powiedział szef chińskiej służby bezpieczeństwa.

Prezydent Hu Jintao patrzył na niego z ledwo ukrywaną pogardą.

– Pięciuset buddyjskich mnichów zmaterializowało się z mgły w Parku Ludowym w śródmieściu Pekinu? – zapytał. – Niezła magia.

Szef bezpieczeństwa milczał. Nie miał nic do powiedzenia.

- Śpiewali i domagali się wolności dla Tybetu?
- Tak.
- Kiedy po raz ostatni mieliśmy do czynienia z protestem Tybetańczyków?
- W Pekinie? Ponad dziesięć lat temu. Ale wtedy demonstracja była niewielka i łatwo dała się rozproszyc.

- A ta?
- Rozrasta się z każdą minutą.
- Mam wielkie rosyjskie manewry wojskowe na granicy z Mongolią,



tybetańskich separatystów w centrum Pekinu, i nie jestem pewien, co się dzieje w prowincji Makau. Nie zapowiada się, aby ta wiosna pachniała kwiatami.

– Czy chce pan wysłać wojsko, żeby rozpedziło demonstrantów? – spytał szef służby bezpieczeństwa.

– Wykluczone – odparł Jintao. – Nasza reputacja międzynarodowa jeszcze się nie poprawiła po placu Tien’anmen, a to było w 1989 roku. Jeżeli podejmiemy działania przeciwko pokojowo nastawionym buddyjskim mnichom, reperkusje będą trwały przez dziesięciolecia.

– W takim razie mam nic nie robić?

– Jak na razie – odparł Jintao. – Dopóki nie zorientujemy się, co się dzieje.

– Jak wygląda nasza sytuacja w tej sprawie? – zapytał prezydent Stanów Zjednoczonych.

– Poza protokołem? – upewnił się dyrektor CIA.

– Nie ściągnąłem pana do Białego Domu przez podziemny tunel po to, abyśmy sobie porozmawiali o najnowszym filmie, dyrektorze. Oczywiście, że całkowicie poza protokołem.

– Wszystko rozwija się idealnie – stwierdził szef CIA. – A naszych dementi nie da się podważyć nawet łomem.

– Jak szybko będzie pan chciał, żebym zrobił swoje? – spytał prezydent.

– Jutro, o ile wszystko pójdzie zgodnie z planem.

– W takim razie – oświadczył prezydent, wstając – niech się pan upewni, żeby rzeczywiście poszło.

– Tak jest, panie prezydencie – odparł dyrektor CIA, a prezydent wyszedł z gabinetu i ruszył korytarzem na trwający już bankiet.

„Oregon” szedł z pełną prędkością. Zgodnie z harmonogramem, statek miał zatrzymać się w Hosziminie. Po przybyciu na miejsce ludzie, którzy będą potrzebni w Tybecie, zejść z pokładu i zostaną przewiezieni samolotem C-130 do Bhutanu. Potem „Oregon” popłynie dalej, mijając Singapur. Po przejściu cieśniny Malakka, statek jak najszybciej skieruje się na północ, do Zatoki Bengalskiej i dotrze do wybrzeży Bangladeszu w niedzielę.

Wtedy też „Oregon” znajdzie się możliwie najbliżej Tybetu.

Nikt w korporacji nie był zadowolony, kiedy okręt z jego wyposażeniem elektronicznym oraz siłą ognia znajdował się tak daleko od miejsca prowadzonej przez nich operacji. Statek był dla jego załogi liną ratunkową, domem i kotwicą na wzburzonym morzu intryg, na którym działali.

Ross i Kasim robili co w ich mocy, aby usunąć trudności.

– Sprawdziłem połączenie satelitarne – powiedział Kasim. – „Oregon” będzie dysponował możliwościami dowodzenia i kierowania. Do każdego można będzie dotrzeć przez radio albo przez zabezpieczone łącze telefoniczne.

Ross spojrzała na ekran komputera.

– Programuję samoloty bezzałogowe. Mamy dwa predatory. Mniej niżbym chciała, ale są tak cholernie drogie.

– Kto będzie nimi kierował?

– Operator musi znajdować się w promieniu czterystu osiemdziesięciu kilometrów – wyjaśniła. – W Thimphu albo w samym Tybecie.

Kasim skinął głową.

Popatrzyła na kartkę papieru z wymienionymi umiejętnościami członków załogi.

– Czworo z nas zostało przeszkolonych w ich pilotażu. Ty, ja, Lincoln i Jones.

– Lincoln będzie się wyróżniał w Tybecie jak uczestniczka balu debutantek na zawodach traktorów – stwierdził Kasim. – Sterując bezzałogowcami, przynajmniej będzie siedział ukryty w namiocie. Na twoim miejscu powiedziałbym Hanleyowi, żeby dał mu tę robotę.

Ross kiwnęła potakująco głową.

– Jest dobry – potwierdziła. – A samoloty bezzałogowe mają podstawowe znaczenie. Będą naszymi jedynymi oczami na niebie. Jeżeli Lincoln zdoła utrzymać je nad portem lotniczym w Lhasie, centrala będzie mogła obserwować, jak rozwija się akcja.

– Czy Chińczycy w Tybecie mają czym je zestrzelić?

Ross popatrzyła na kartkę papieru z wymienionymi chińskimi środkami obrony, którą niedawno przemycił z Tybetu konspiracyjny ruch niepodległościowy.

– Parę starych armat przeciwlotniczych, a także jedna bateria obrony przeciwlotniczej z dziesięcioletnimi pociskami raketowymi. Koło portu lotniczego Gonggar, niedaleko Lhasy, też mają tego niewiele. Wygląda na to, że parę samolotów transportowych, kilka śmigłowców i karabiny żołnierzy.

– Chyba zrobimy notatkę dla Hanleya, żeby w pierwszej kolejności zniszczyli te armaty przeciwlotnicze – powiedział Kasim. – A potem niech Lincoln steruje tylko pojedynczymi bezzałogowcami.

– Tak właśnie myślałam – odparła Ross. – Jeżeli będzie trzymał się na wysokim pułapie, będzie mógł obserwować całe miasto, a ptaszek będzie poza zasięgiem wzroku żołnierzy.

– To ma sens.

– Czy zlokalizowałeś nadajniki radiowe i telewizyjne?

– Jest jeden telewizyjny i dwa radiowe. Powinniśmy szybko je opanować, żebyśmy mogli informować Tybetańczyków.

– Co mówi raport? – zapytała Ross. – Czy kiedy nadejdzie właściwa pora, powstaną przeciwko Chińczykom?

– Uważamy, że tak – powiedział Kasim. – I niech Bóg ma w swojej opiece Chińczyków, jeżeli to zrobią.

– Co to takiego *dungkar*? – zainteresowała się Ross.

– Tybetańska nazwa czarnych ptaków z czerwonymi dziobami. I zbrojnego

ramienia tybetańskiego podziemia.

Ross spojrzała na kartkę ze zgromadzonymi danymi rozpoznania.

– „Kiedy nastąpi czas, będziemy się karmić trupami ciemężycieli, a nasze dzioby będą czerwone od krwi i dzień stanie się czarny od śmierci”.

– Ciarki mnie przechodzą – wzdrygnął się Kasim.

– A ja myślałam – powiedziała Ross – że to klimatyzacja za bardzo chłodzi.

Na niższym pokładzie niż pomieszczenie, w którym Ross i Kasim zajmowali się planowaniem, Mark Murphy pracował w zbrojowni. Ekwipunek i skrzynie zgromadzono pod jedną ścianą i Sam Pryor z Cliffem Hornsbym powoli przesuwali je w stronę windy. Miała je przenieść do górnego rejonu składowego, skąd zostaną wylądowane na brzeg w Da Nang. Murphy mocował czerwoną nalepkę na każdej skrzyni przygotowanej do wykorzystania. Potem flamastrem wypisywał na niej zawartość. W czasie pracy podśpiewywał pod nosem piosenkę własnego autorstwa.

– „Jutro sobie coś wysadzę, coś wysadzę w powietrze...”

Pryor otarł czoło chustką, a potem pochylił się, żeby podnieść skrzynię i przenieść ją do windy.

– Słuchaj, Murph, wzięłeś dosyć C-6?

– Moim zdaniem, nigdy nie ma się go dosyć – odparł Murphy z uśmiechem. – Do licha, to się nie psuje, a nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać.

– Wzięłeś go tyle, że można nim wysadzić egipską piramidę – oświadczył Hornsby, wróciwszy do pomieszczenia po tym, jak postawił swoją skrzynię w windzie. – I tyle min, że sejsmograf zarejestruje wstrząsy.

– To na port lotniczy – wyjaśnił Murphy. – Przecież nie chcesz, żeby mogły tam wylądować chińskie samoloty z wojskiem.

– Wylądować? – zdziwił się Pryor. – Jak zużyjesz je wszystkie, nie będzie żadnego portu lotniczego.

– Dla niektórych z nich mam inne plany – powiedział Murphy.

– Odnoszę dziwne wrażenie, że już się na to cieszysz – stwierdził Hornsby.

Murphy znowu zaczął śpiewać. Podeszedł do skrzynek ze stingerami i zaczął mocować czerwone karteczki. Potem gwizdnął przeciągle i zakończył głośnym „buum!”

– Bardzo bym nie chciał, żeby się kiedyś na mnie rozzłościł – skonstatował Pryor.

Antonow znajdował się niecałe sto sześćdziesiąt kilometrów od Da Nang i leciał prosto na zachód. Przy obecnej prędkości powinien wylądować za jakieś czterdzieści minut, czyli mniej więcej o 16.30 miejscowego czasu. Dwupłat, choć powolny, zachowywał się nienagannie. Gunderson przytrzymał wolant kolanami, podniósł ręce i przeciągnął się.

– Ta dziecinka to sam miód – powiedział do Cabrillo.

– Po zakończeniu tej misji możesz kupić jednego dla firmy, jeżeli uważasz, że będziemy mieli dość okazji, by z niego korzystać – odparł Cabrillo.

– Jeżeli odłączyć mu skrzydła, pewnie zmieściłby się do dwunastometrowego kontenera pokładowego – stwierdził Gunderson. – A jeżeli Murphy zamontuje działko w drzwiach, będziemy mieli powietrzną kanonierkę jak diabli.

Przez minioną godzinę Cabrillo porozumiewał się z „Oregonem” przez zabezpieczone łącze telefoniczne, sprawdzając stan przygotowań. Z ostatniego telefonu Hanleya dowiedział się, że gulfstream G550 jest na ostatniej prostej przed lądowaniem na lotnisku Da Nang. Cabrillo kiwał głową, słuchając komentarzy Gundersona, kiedy telefon zabrzączał znowu.

– Gulfstream jest na ziemi i uzupełnia paliwo – poinformował go Hanley. – Pilot ustala trasę. Porozumiałem się z generałem Siphondonem w Laosie i uzyskałem zgodę na pański przelot przez ich przestrzeń powietrzną.

– Jak się miewa generał? – zapytał Cabrillo.

– Jak zwykle – odparł Hanley. – Robi aluzje na temat klasycznego samochodu, który mu się podoba.

– Przynajmniej szczerze mówi, czego chce. I potrafię zrozumieć miłość do starych samochodów. O jaki mu chodzi?

– Kabriolet Hemi Roadrunner. Najwidoczniej w czasie wojny jakiś pilot Air America przywiózł go tu, żeby nim jeździć. Generał był wtedy jeszcze dzieciakiem, ale ta maszyna wryła mu się w pamięć.

– Jest gdzieś jakiś dostępny?

– Poleciałem Keithowi Lowdenowi w Kolorado, żeby sprawdził na rynku. Da nam znać, jeśli jest jakiś do nabycia.

– Doskonale – ucieszył się Cabrillo. – A teraz, co z Tajlandią i Myanmarem?

– Wszystko załatwione, skok do Indii będzie prosty.

– C-130?

– Powinien wystartować z Bhutanu i wylądować w Da Nang tuż po ósmej wieczorem.

– Zespół jest gotowy?

– Będzie gotowy w chwili, gdy „Oregon” wpłynie do portu – oświadczył Hanley.

– Harmonogram jest bardzo napięty – przypomniał Cabrillo. – I mamy tylko

jedno podejście.

- Bez powtórek – powiedział spokojnie Hanley.
- Dokładnie tak – przytaknął Cabrillo.

W północnych Indiach, w Małej Lhasie, prorok pogrążony był w głębokim transie. Dalajlama siedział z boku, a mnich wirował i tańczył. Od czasu do czasu podbiegał do arkusza ryżowego papieru i gorączkowo robił jakąś notatkę, a potem powracał do rytualnych czynności. Z jego gardła wydobywał się dziwny, zwierzęcy głos, a w powietrzu wokół niego rozpryskiwały się kropelki potu.

W końcu runął bezwładnie na podłogę, a pomocnicy zdjęli z niego nakrycie głowy oraz szaty.

Dalajlama wziął drewnianą misę z wodą i namoczył w niej skórę jagnięcia. Podeszedł do leżącego, pochylił się i zaczął obmywać leciwego mężczyznę z potu.

– Dobrze się sprawiłeś – powiedział uspokajającym tonem. – Na kartkach zapisane jest wiele informacji.

Prorok pozwolił, by dalajlama wlał mu między wargi trochę wody. Przeplukał nią usta i wypluł na bok.

- Widziałem rozlew krwi i walki – powiedział cicho. – Bardzo wiele krwi.
- Módlmy się, by do tego nie doszło – rzekł przywódca Tybetu.
- Ale jest też druga droga. Sądzę, że zapisałem właśnie to, co jej dotyczy.
- Przynieś herbatę i tsampę – polecił swojemu asystentowi dalajlama. Ten natychmiast wybiegł z pokoju.

Dwadzieścia minut później mnich i dalajlama siedzieli przy stole w dużym pokoju. Tybetańska herbata doprawiona masłem i solą, podobnie jak tsampa, prażona mąka jęczmienna zazwyczaj zmieszana z mlekiem lub jogurtem, sprawiły, że na twarz proroka wróciły kolory. Niedawno jeszcze robił wrażenie starego i słabego, teraz jednak był ożywiony i w pełni sił.

– Wasza Świątobliwość – zapytał ochoczo – czy nie powinniśmy zobaczyć, co zapisałem?

- Proszę.

Mnich spojrzał na kartki papieru pokryte literami starego pisma, które tylko on i zaledwie paru jeszcze ludzi potrafiło odczytać. Przebiegł je dwukrotnie wzrokiem i uśmiechnął się do przywódcy Tybetu.

- Czy przybywa do ciebie ktoś z Zachodu? – zapytał.
- Tak. Dzisiaj, późnym wieczorem.
- Oto, co mu powiesz, Wasza Świątobliwość.

Trzydzieści minut później dalajlama skinął głową i uśmiechnął się do proroka.

– Polecę moim asystentom, aby przygotowali notatki, które wzmocnią nasze argumenty. Dziękuję.

Mnich wstał z krzesła i niepewnym krokiem wyszedł z pokoju.

Langston Overholt korzystał z cudzego biura w odległym krańcu Małej Lhasy. Przyciszonym głosem rozmawiał za pośrednictwem zabezpieczonej linii z dyrektorem CIA.

– To nie na mój rozkaz – oznajmił. – Po prostu nie mam odpowiedniej siatki w Chinach, żeby zrobić coś takiego.

– Nasi ludzie na miejscu oceniają, że jest ich pięciuset i liczba ta rośnie – zauważył dyrektor.

– Zapytam wykonawcę – powiedział Overholt. – Ale być może to tylko szczęśliwy zbieg okoliczności.

– W każdym razie, zgodnie z meldunkami, Chińczycy zwracają baczną uwagę na protesty.

– A co z Mongołami?

– Miałem tajne spotkanie z ich ambasadorem. Wezmą udział tak czy owak.

– Ile to będzie kosztowało?

– Nie pytaj – rzekł dyrektor. – Ale wystarczy powiedzieć, że przez jakiś czas nie będziemy musieli uzupełniać strategicznych rezerw wolframu i molibdenu.

– Dzięki temu mamy opcje, które wykonawca może przedstawić Rosjanom – stwierdził Overholt.

– Gdy tylko się z nimi spotka, muszę wiedzieć, co postanowili – zaznaczył dyrektor CIA.

– Bez względu na porę.

– W dzień lub w nocy – potwierdził dyrektor i rozłączył się.

Gunderson nie mógł uwierzyć, jak wielką siłę nośną dają antonowowi dwa płaty. Chociaż razem z innymi leciał nim przez prawie osiem godzin, po raz pierwszy musiał nim lądować. Maszyna unosiła się nad pasem lekko jak piórko opadające na podłogę. W połowie długości lotniska Gunderson zdał sobie sprawę, że samolot trzeba zmusić, by wylądował. Przesunął wolant do przodu i poczuł, jak koła wreszcie dotykają ziemi.

– Przepraszam za to, szefie – wskazał przez okno na gulfstreama, stojącego na drugim końcu pasa. – Ta zabawka lata lekko jak motylek. Podkołuję do niego.

Cabrillo skinął głową i rozpiął pasy. Wszedł do ładowni i zaczął zbierać rzeczy. Wziął plik obligacji, włożył je do torby, ale potem się rozmyślił. Odwrócił się w stronę kabiny pilotów.

– Lecicie nim z powrotem na południe? – zapytał Gundersona.

– Nie, proszę pana – odparł Gunderson, zwalnając przy zbliżaniu się do gulfstreama. – Gannon to załatwił. Firma go stąd odbierze. Damy zaokrętujać się na „Oregonie”, a ja, kiedy pojawi się C-130, polecę nim na północ.

Cabrillo zaczął liczyć obligacje. Kiedy skończył, odezwał się znowu.

– Zostawiam wam to – powiedział, zwracając się do pozostałych. – Przekażcie je Hanleyowi, kiedy się pojawi. Powiedzcie mu, że resztę zabrałem na północ – może będą mi potrzebne, żeby trochę posmarować.

Gunderson zatrzymał antonowa, a potem sięgnął po pokładową listę czynności po locie.

– Dobra, szefie – oznajmił, zaczynając procedurę wyłączania silnika. Michaels otwierała drzwi, a Pilston stała z boku.

– Zanim przyplynie „Oregon”, będziecie miały trochę wolnego czasu – zwrócił się do nich Cabrillo. – Wietnamskie lotnictwo wojskowe zapewni wam strażników, ale na waszym miejscu nie urządzałbym spacerów. Hanley po przybyciu rozliczy się z ich generałem, a więc nie będziecie mieć wiele do załatwiania.

– Czy zaprowadzą nas do toalety? – spytała Michaels.

– Z całą pewnością – przytaknął Cabrillo, podchodząc do drzwi. – Ale, proszę, idźcie tam pojedynczo. I cokolwiek będziecie robiły, niech nikt się nie dowie, że macie ten plik obligacji.

– Jesteśmy na miejscu, szefie! – zawołał Gunderson.

Cabrillo zatrzymał się na chwilę w drzwiach.

– Moje panie, Mały – powiedział z uśmiechem. – Do zobaczenia wkrótce.

Wysiadł z antonowa i ruszył w stronę gulfstreama. Obaj piloci stali przy otwartych drzwiach. Pierwszy pilot uśmiechnął się do Cabrillo i wskazał na schodki.

– Jesteśmy gotowi, proszę pana. Witamy na pokładzie.

– W tym dwupłacie jest skrzynka – oznajmił Cabrillo. – Niech pan załatwi jakąś pomoc i weźmie ją na pokład.

Cabrillo wszedł po schodkach, podszedł do fotela, a potem czekał, aż piloci załatwią załadunek skrzyni, zamkną drzwi i zapuszczą silniki. Dwie minuty później byli już w powietrzu. Minęli góry Laosu, gdy gulfstream wciąż jeszcze wchodził na wysokość przelotu.

W Nowosybirsku, w Rosji, generał Aleksander Kiernieczikow patrzył na wielką tablicę umieszczoną w hangarze lotniska. Wojsko i materiał wciąż spływały w ten rejon w tempie rzadko spotykanym w czasie pokoju. Trzeba było dopilnować tysięcy szczegółów, ale jeden z nich wyjątkowo niepokoił generała.

– Czy dostaliśmy już odpowiedź? – zapytał adiutanta. – Jeżeli wyruszymy, muszę wiedzieć, jak mam dalej iść z Barnaułu. Albo pogwałcimy terytorium Kazachstanu i wejdziemy do Chin koło Tacheng, albo będziemy musieli przesunąć wojska do Mongolii, skierować się na Ałtaj i sforsować góry, a potem szybko przejść równinę i ominąć Lop Nur.

Adiutant spojrział na generała. W Lop Nur mieścił się chiński ośrodek badań jądrowych, zapewne silnie broniony. Na drugiej trasie przeszkodę stanowiły góry, które w dalszym ciągu pokrywał śnieg. Było więc tak, jakby wybierali pomiędzy kanałowym leczeniem zęba a zrywaniem paznokcia.

– Nie dostaliśmy informacji, generale. Nie wiemy też, czy nie są to jedynie ćwiczenia w szybkim rozwijaniu wojsk i planowaniu wojennym.

– Mam tylko przecucie – oznajmił cicho generał. – Ale wydaje mi się, że zanim

to się skończy, będziemy forsować góry jak Hannibal.

Adiutant kiwnął głową. Każdy dobry oficer, pod którego dowództwem służył, znał historię. Miał jednak nadzieję, że generał się myli. Starcie z Chińczykami, nawet przy sile ognia jaką dysponowały wojska rosyjskie, nie było przyjemną perspektywą.

W Pekinie generał Tudeng Quing przedstawiał prezydentowi Jintao ewentualne rozwiązanie.

– Jeżeli wycofamy z Tybetu całe wojsko z wyjątkiem dwóch tysięcy żołnierzy, których zgromadzimy wyłącznie w Lhasie, będziemy mogli przerzucić resztę do Urumqi w prowincji Xinjiang. Na miejscu mogą się znaleźć już jutro.

– Ile?

– Powiedzmy tysiąc drogą lotniczą w czasie paru następnych godzin – powiedział Quing. – Czołgi i transportery opancerzone mają do pokonania tysiąc czterysta kilometrów. Znajdą się na miejscu jutro o tej porze.

– Czy nie mamy żadnych wojsk bliżej?

– Powietrznodesantowe. Możemy je ściągnąć z dowolnego miejsca. Ale potrzebujemy broni pancernej. Jeżeli nie liczyć Tybetu, najbliższa dywizja pancerna jest niemal dwa razy dalej, a droga prowadzi przez trudniejszy teren. Moi adiutanci obliczyli, że przemarsz zajmie minimum trzy do czterech dni.

Jintao usiadł w fotelu i popatrzył w sufit. Potem zwrócił się do Legchoga Raidi Zhurerta, przewodniczącego Autonomicznego Regionu Tybetu, który do tej pory zachowywał milczenie.

– Czy dwa tysiące żołnierzy zapewni odpowiedni poziom bezpieczeństwa, dopóki za cztery lub pięć dni nie zdołamy ściągnąć innej jednostki pancernej?

– Panie prezydencie – odparł Zhuren. – Tybet jest spokojny od lat i nie przypuszczam, aby ten stan szybko się zmienił. A teraz, jeżeli wolno, chciałbym już tam wrócić.

– Niech pan wyda rozkazy – Jintao zwrócił się do generała Quinga, a potem spojrzał na chińskiego ambasadora w Rosji. – Zorientuj się – powiedział głośno – co zamierzają Rosjanie. Jeżeli chcą anektować Mongolię, daj im do zrozumienia, że nie zgodzimy się na to. Mongołowie raz nas podbili i nie zamierzam dać im okazji, aby spróbowali jeszcze raz.

Dwie godziny po spotkaniu pierwsze chińskie samoloty transportowe zaczęły lądować na lotnisku w Lhasie i przerzucać wojska na północ, do prowincji Xinjiang. Pośpiech, z jakim starano się zapobiec zagrożeniu ze strony Rosji, źle wpłynął na organizację chińskich wojsk w Tybecie. Dowódcami batalionów o niepełnych stanach zostali młodszy oficerowie. Zmniejszyły się zasoby broni i amunicji. Zadania i cele zostały zagrożone.

Cabrillo drzemał z tyłu gulfstreama, gdy zadzwonił jego telefon satelitarny.

– Słucham – powiedział, zupełnie rozbudzony.



– To ja – odezwał się głos Overholta. – Mam dobre nowiny. NSA, Agencja Bezpieczeństwa Państwowego, właśnie zadzwoniła do dyrektora CIA, a ten przekazał to mnie. Rosyjski blef podziałał. Samoloty transportowe startują z lotniska w Lhasie i przerzucają wojska na północ. Poza tym z miasta wycofano właśnie kolumnę czołgów. Wszyscy twierdzą, że jak na razie sprawy dobrze się układają.

Cabrillo spojrzął na zegarek.

– Będę na miejscu mniej więcej za godzinę. Czy wszystko przygotowaliśmy do spotkania?

- Zadbano o całość – odparł Overholt.
- Doskonale. Jeżeli dojdziemy tam do porozumienia, polecę dalej na północ.
- Naprawdę myślisz, że zdołasz wszystkim sprzedać tę ideę? – zapytał Overholt.
- Ta misja jest jak cebula – wyjaśnił Cabrillo. – Za każdym razem, gdy zdejmuję jedną warstwę, wyłania się spod niej następna.
- To jeszcze nawet nie połowa – oznajmił Overholt. – Dalajlama ma nowy plan.
- Nie mogę się doczekać.
- Mam wrażenie, że się panu spodoba – powiedział Overholt.

„Oregon” stanął na kotwicy w pobliżu Hosziminu. Zespół, który miał przedostać się do Tybetu, przewieziono na brzeg łodzią. Stamtąd ciężarówka wietnamskiego lotnictwa wojskowego zabrała go na lotnisko, gdzie czekał C-130. Ogółem siły korporacji liczyły tuzin ludzi.

Sześciu mężczyzn – Seng, Murphy, Reyes, King, Meadows i Kasim – mieli prowadzić działania zaczepne. Powinni nawiązać kontakt z *dungkar*, którzy znajdowali się w kraju i skierować ich na właściwe cele. Crabtree i Gannon czekali już w Bhutanie na przybycie zespołu – byli odpowiedzialni za zaopatrzenie i logistykę. Do Adamsa i Gundersona należało latanie, natomiast Lincoln był odpowiedzialny za uruchomienie i obsługę bezzałogowych samolotów. Zadanie Huxley polegało na zorganizowaniu punktu medycznego, w którym udzielono by pomocy wszystkim rannym.

Trzynastym członkiem grupy był Cabrillo. Miał przybyć po zakończeniu swoich dwóch spotkań.

Na kimś niewyszkolonym misja mogła sprawiać wrażenie samobójczej. Trzynastu ludzi przeciwko siłom liczącym prawie dwa tysiące. Stosunek wynosił ponad sto pięćdziesiąt do jednego. Wyglądało więc, że szykuje się krwawa jatka. Ale znajdujący się na rzeczy obserwator modliłby się za chińskie wojska. Przede wszystkim należało brać pod uwagę *dungkar*, tajemniczy, podziemny ruch poru, który jak uważano, miał w Lhasie parę tysięcy ludzi. Wszyscy palili się do walki ze znieprawionym okupantem. Drugim czynnikiem było zaskoczenie. Chińczycy nie spodziewali się, że w czasie następnym dwudziestu czterech godzin dojdzie do zdecydowanego i doskonale przeprowadzonego zamachu stanu. Trzeci był najważniejszy. Niemal na pewno dobrze zaplanowane działania zaczepne zawsze doprowadzą do pokonania prowadzonej bez planu obrony.

A właśnie w tym korporacja celowała.

Większość chińskich wojsk w Tybecie już podążała na północ, dokonując bezładnej dyslokacji, w której niewiele było czasu na planowanie, a jeszcze mniej na przygotowania. Żołnierze pozostawieni wokół Lhasy na pewno nie należeli do elity. Były to raczej nędzne resztki – pracownicy administracji, mechanicy i malarze, pianiści i ludzie od najgorszej roboty. Oficerowie nie mieli przeszkolenia bojowego, nie znali zalet i wad swoich poszczególnych podkomendnych i nie dysponowali jakimś ogólnym obrazem sytuacji, w którym mieliby swoje wyznaczone miejsce.

W chwili obecnej w Tybecie chińskie wojsko było rozsypanymi kawałkami układanki, której nikt nie umiał ułożyć.

Kasim wysiadł z ciężarówki i podszedł do radiooperatora C-130.

- Jakie masz wiadomości? – zapytał.
- Nasz samolot krąży poza polem widzenia chińskich wojsk, przechwytuje ich

komunikację radiową i przekazuje ją tutaj – odparł operator. – W tej chwili większość depech dotyczy składów z paliwem wzdłuż szosy na północ. Czołgi nie nadążają za zaopatrzeniem.

– A co na tyłach? – zainteresował się Kasim.

Operator, Amerykanin chińskiego pochodzenia zatrudniony poprzednio przez agencję wywiadu wojskowego, a teraz przydzielony do będącej własnością CIA linii lotniczej, która dostarczyła C-130, zerknął w notatki:

– O 19.30 czasu Zulu koniec konwoju przejechał przez Naggu.

– Mają dobry czas – zauważył Kasim. – Przy tej prędkości przed dwudziestą trzecią miną Amdo, a potem, po mniej więcej dwóch godzinach dotrą do granicy prowincji Tsinghai.

Operator spojrzął na tajne zdjęcie satelitarne i porównał je ze szczegółową mapą wojskowej agencji kartograficznej.

– Stracą trochę czasu na przełęczy w Bosatongwula Shan. Pełno tam stromych podjazdów i ostrych zakrętów. Wszystko prawie sześć tysięcy sto metrów nad poziomem morza.

– Wysoko – stwierdził Kasim. – Granica jest około czterystu kilometrów od Lhasy, a według naszych meldunków przerzucają czołgi starszego typu – pięćdziesiątki dziewiątki. Mają zasięg czterysta trzydzieści dwa kilometry na pełnym zbiorniku paliwa i o jakieś sto sześćdziesiąt więcej, jeżeli zamontowano im zewnętrzne zbiorniki.

Operator skinął głową.

– Obserwowałem ich przemarsz. Typ pięćdziesiąt dziewięć na drodze może jechać około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ale w normalnych okolicznościach ich prędkość marszowa wynosi jakieś trzydzieści dwa kilometry na godzinę.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zainteresował się Kasim.

Operator uśmiechnął się i sięgnął po paczkę papierosów. Wyjął jednego, przypalił go od zapalniczki Zippo i zaciągnął się. Wydmuchując dym, odpowiedział.

– To, że te chłopaki rwą niemal z maksymalną prędkością, nie zwracając sobie głowy zużyciem paliwa. Żeby sforsować przełęcz, będą musieli zatrzymać się w Amdo i zatankować. Potem będzie zjazd, który doprowadzi ich do Kekexili, gdzie będą mieli następny postój.

– A więc kiedy niedzielnego ranka dotrą na miejsce, znajdą się sześćset czterdzieści kilometrów od Lhasy, a pomiędzy nami i nimi będzie przełęcz o wysokości sześciu tysięcy metrów?

– Coś w tym rodzaju – przytaknął operator.

– Dzięki za pomoc – rzekł Kasim.

Ustawieni w szereg wietnamscy żołnierze lotnictwa przynosili ostatnie skrzynki na pokład C-130. Hanley stał z boku, rozmawiając z wietnamskim generałem nadzorującym prace. Kasim zobaczył, jak Hanley podaje generałowi kopertę, a potem obaj śmieją się serdecznie. Hanley uściśnął rozmówcy rękę i podszedł do samolotu.

- Panie Hanley – odezwał się Kasim. – Mam plan.

Gulfstream G550 z Cabrillo i Złotym Buddą na pokładzie wylądował w Amritsarze w Indiach, skąd śmigłowiec przewiózł ich do Małej Lhasy, niedaleko Dharamsala w regionie Himachal Pradesh na północy kraju.

Asystent szybko zaprowadził prezesa korporacji na spotkanie z dalajlamą.

- Wasza Świątobliwość – powiedział Cabrillo, wchodząc i pochylając lekko głowę. Przywódca Tybetu stał w milczeniu, przez całą minutę przypatrując się gościowi. W końcu uśmiechnął się.

- Jest pan dobrym człowiekiem – powiedział w końcu. – Langston mi to powiedział, ale musiałem sam się upewnić.

- Dziękuję – rzekł Cabrillo. – Oto dokumenty, które wyjęliśmy z wnętrza Buddy – oznajmił, podając je asystentowi dalajlami. – Chciałbym, żeby je przetłumaczono przed moim spotkaniem z Rosjanami.

- Proszę je skopiować i przetłumaczyć na angielski – polecił dalajlama. – Pan Cabrillo wkrótce będzie musiał znowu wyjechać.

Tybetański przywódca wskazał długą sofę, na której siedział już Overholt. Cabrillo zajął miejsce na jej końcu, a dalajlama wsunął się pomiędzy obu mężczyzn.

- Proszę więc wyjaśnić mi plan – powiedział.

- Uważam, że Rosjanie poprą pańskie starania o odzyskanie kraju. Zaoferują pomoc wojskową, aby zapobiec chińskiemu natarciu po tym, jak zdobędziemy kontrolę nad Lhasą, w zamian za to, o czym zgodnie z pańskim oświadczeniem mówią dokumenty – za zyski z eksploatacji złóż ropy naftowej w Himalajach.

- Miejsce, w którym się znajdują, znamy tylko my – oznajmił Tybetańczyk. – Podane jest w tych dokumentach. Tak więc... pański prezydent zachęci ich jeszcze bardziej, proponując udzielenie pomocy gospodarczej. Ale żeby walczyć, będą chcieli coś więcej.

- Dokładnie tak – potwierdził Cabrillo.

- A pan? – zapytał dalajlama. – Pańska firma? Do czego was wynajęto?

- Zlecono nam wykradzenie Złotego Buddy i przygotowanie pańskiego powrotu. W chwili, gdy znajdzie się pan w Tybecie, nasze zobowiązania, jak określa to kontrakt, zakończą się.

- I w ten sposób zostanę... Jak to określacie? Sam jak palec?

- Niewykluczone – przyznał Cabrillo. – I ten właśnie fakt martwił mnie i moich współników.

- Dlaczego? – spytał Tybetańczyk. – Czy nie jesteście najemnikami? I czy kiedy wasze zobowiązania się kończą, nie rozplývacie się w mroku nocy?

Cabrillo zastanawiał się przez chwilę, jak ma odpowiedzieć na to pytanie. Milczał, pogrążony w myślach, a dalajlama czekał.

- To trochę bardziej skomplikowane, Wasza Świątobliwość. Gdybyśmy robili to wszystko tylko dla pieniędzy, już byśmy się wycofali ze sprawy. Ale wiąże się z tym coś

więcej. W przeszłości większość z nas pracowała dla takiej czy innej agencji rządowej i byliśmy zmuszeni przez Kongres lub opinię publiczną robić rzeczy, które zgodnie z naszą wiedzą lub przeczuciem, były niesłuszne. Porzuciliśmy to. Oczywiście, zorganizowaliśmy się, aby zarabiać, ale bez względu na to, jak lubimy pieniądze, zdajemy sobie również sprawę z powstających możliwości naprawiania złych uczynków innych.

– Mówi pan o karmie – stwierdził dalajlama. – O czymś, czego jestem niezwykle świadom.

Cabrillo skinął głową.

– Uznaliśmy, że pozostawienie Waszej Świątobliwości i pozwolenie na samotną walkę z Chińczykami byłoby niewłaściwe. Znaleźliśmy rozwiązanie w chwili, gdy uświadomiliśmy sobie znaczenie dokumentów znajdujących się w Złotym Buddzie.

– I zakładam, że pańska firma odniesie z niego korzyści? – stwierdził dalajlama.

– Czy to źle? – zapytał Cabrillo.

– Niekoniecznie – odparł Tybetańczyk. – Ale proszę wyjaśnić dokładniej.

Dziesięć minut później Cabrillo skończył mówić.

– Jestem pod wrażeniem. A teraz, proszę pozwolić, że wytłumaczę coś jeszcze.

W czasie następnych pięciu minut mówił dalajlama, a kiedy skończył, Cabrillo oświadczył:

– Wspaniale.

– Dziękuję. Ale aby zdobyć głosy, potrzebne będą pieniądze. Czy zdołacie ponieść takie koszty?

– Zarobiliśmy trochę na boku – powiedział Cabrillo, myśląc o stu milionach dolarów w obligacjach. – Tak więc koszty nie będą problemem.

Do tej pory Overholt nie uczestniczył w rozmowie. Teraz jednak się wtrącił.

– Jeżeli to ci się uda – oznajmił z zapalem – prezydent cię ucałuje.

– Panie Cabrillo – rzekł dalajlama – daje nam to szansę powstrzymać rozlew krwi, a jednocześnie pańskie działania będą w niepodważalny sposób legalne. Jeżeli uda się panu do tego doprowadzić, przyjmę pańską ofertę w takiej postaci, w jakiej mi ją pan przedstawił.

– Dziękuję Waszej Świątobliwości.

– Powodzenia, panie Cabrillo. Niech Budda błogosławi pańskiej misji.

Po krótkiej rozmowie z Overholtem Cabrillo zabrał przetłumaczone stronice oraz mapy, wsiadł do śmigłowca i poleciał z powrotem do Amritsaru. Prezydentowi Rosji obiecano, że spotkanie warte będzie włożonego wysiłku. Cabrillo nie miał zamiaru go zawieść.

Tuż po północy C-130 z członkami zespołu korporacji wylądował w Thimphu w Bhutanie i samolot otoczyło dwunastu żołnierzy filipińskich oddziałów specjalnych. Niedaleko stało w szeregu, w odległości trzech metrów jeden od drugiego, osiem śmigłowców bell 212.

W pobliżu znajdował się wielki hangar z półokrągłym dachem. Z jego otwartych drzwi padała na pas startowy smuga światła. Carl Gannon wyszedł ze środka i podał rękę Eddiemu Sengowi.

– Powiedziano mi, że do przyjazdu prezesa ty tu dowodzisz – oznajmił. – Pozwól, że cię oprowadzę.

Reszta grupy weszła za Sengiem i Gannonem do hangaru.

– Udało mi się zorganizować radia i mam połączenie z „Oregonem” – rzekł Gannon, wskazując drewniany stół z komputerem i stosem papierów. – Najnowsze dane są na wierzchu.

Obok stołu znajdowało się kilka tablic korkowych z przypiętymi do nich mapami Tybetu, zdjęciami z satelitów meteorologicznych i innymi materiałami. Na sztaludze stała zwyczajna tablica, na której Seng mógł zapisywać notatki i rysować plany, obok niej na stole leżał umocowany na kawałku dykty i przykryty plastikiem wielki plan Lhasy. Z boku, koło wielkiego ekspresu do kawy, małej lodówki i tekturowych pudeł z prowiantem kręciło się osiemnastu pilotów najemników. Murphy podszedł do ekspresu, nalał sobie kubek kawy i przywitał się ze starym przyjacielem.

– Gurt, ty draniu.

Gurt, ostrzyżony najeża blondyn w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, uśmiechnął się, błyskając złotym zębem.

– Cześć, Murphy. Pomyślałem, że skoro bierzesz udział, będzie to coś ciekawego. Pachnie mi tu akcją korporacji.

Zgromadzeni mężczyźni rozmawiali między sobą, podczas gdy Seng przeglądał informacje zebrane przez Gannona. Pięć minut później polecił wszystkim zająć miejsca na składanych drewnianych krzeselkach ustawionych w rzędach przed tablicami. Piloci podeszli i usiedli za członkami zespołu korporacji. Seng, zanim się odezwał, przyjrzał się zebranym.

– Tych, którzy mnie nie znają, informuję, że nazywam się Eddie Seng. Żeby nie było zamieszania, proszę nazywać mnie Seng, nie Eddie. Będę dowodził tą operacją, dopóki nie przybędzie nasz prezes Juan Cabrillo.

Cała grupa skinęła głowami.

– Działania powietrzne będą prowadzone w następujący sposób. Sześć śmigłowców ma przydzielone zadania ofensywne, jeden – medyczne, a jeden znajdzie się w dyspozycji prezesa, kiedy tu przyjedzie. Żeby było sprawiedliwe, przydziały rozlosujemy. Każdy śmigłowiec będzie przewoził jednego członka naszego zespołu i piloci mają obowiązek dostarczyć tę osobę wszędzie tam, gdzie zażąda. Panowie, prawdopodobnie przez następne dwadzieścia cztery do czterdziestu ośmiu godzin będziemy pod ostrzałem i w zagrożeniu. Jeżeli nie jest to coś, do czego się zgłaszaliście, dajcie mi znać. Jeżeli nie, chcę, żebyście dobrze zrozumieli, że jako piloci jesteście podporządkowani członkowi zespołu, którego będziecie mieli w maszynie. Jeżeli któryś z was się zawaha lub odmówi spełnienia polecenia, zostanie zastąpiony przez dysponującego odpowiednimi kwalifikacjami członka naszego zespołu i nie

dostanie drugiej części wynagrodzenia. Jakież pytania?

Gurt podniósł rękę.

- A kiedy dostaniemy pierwszą połowę?
- Aha... prawdziwy pilot – stwierdził Seng. – Odpowiedź brzmi: kiedy tylko skończymy tę odprawę. Wszyscy się zgadzają?

Piloci skinęli głowami.

- Jeżeli macie jakieś przedmioty osobiste, listy do najbliższych albo chcecie, żebyśmy przekazali pieniądze jakiejś osobie, gdyby coś wam się stało, proszę zwrócić się do Gannona lub Crabtree.

Oboje wymienieni podnieśli ręce.

- Czy chcecie o coś zapytać, zanim zapoznam was z operacją?

W hangarze panowała cisza.

- A więc dobrze – oznajmił Seng. – Plan wygląda następująco.

Gulfstream G550 leciał na wysokości tysiąca dwustu metrów w kierunku Moskwy, a Cabrillo rozmawiał przez bezpieczny telefon satelitarny z „Oregonem”.

- Powtórz jeszcze raz – powiedział, pisząc w żółtym notatniku. – W porządku, już mam.

Gdy Cabrillo czytał uważnie spis, w telefonie panowała cisza.

- Halpert umieścił główną jednostkę korporacji w Andorze?
- Tak jest – odparł Hanley.
- Szczęśliwy przypadek – stwierdził Cabrillo. – Ale z drugiej strony, kiedy patrzę na tę listę, widzę, że dalejlma też ma szczęście. Gdyby to wszystko działo się w ubiegłym roku, nie wiem, czy zdołalibyśmy to przeprowadzić.

- Prawda?

– A teraz jak widzę tę sprawę. Z piętnastu członków Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych, możemy liczyć na trzech z pięciu stałych członków: Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię i Rosję. Chiny z oczywistych względów nie będą głosowały tak jak chcemy, a Francja w chwili obecnej próbuje sprzedawać Chińczykom wszystko co się da, w związku z czym będzie prawdopodobnie głosować razem z nimi, aby nie narażać na szwank swoich interesów. Pozostała dziesiątka sprawi nam trochę kłopotu – musimy pozyskać sześć krajów, aby zdobyć dziewięć głosów potrzebnych do uchwalenia rezolucji. Przyjrzyjmy się im razem. Z Afganistanem nic nie wyjdzie – pomimo amerykańskiego zaangażowania w tym kraju przed kilkanaście laty jest tam zbyt wiele grup antybuddyjskich rewolucjonistów, żeby ich przywódcy zaryzykowali i głosowali razem z nami. Szwecja jest i zawsze będzie pacyfistyczna, przynajmniej na początku, podobnie jak Kanada. Kuba otrzymuje zbyt wielką pomoc z Chin, żeby głosować za rezolucją, nie wspominając nawet o tym, że prawie zawsze robi na odwrót niż Stany.

- Jak na razie się zgadza – przytaknął Hanley.
- Pozostają nam Brunei, Laos, Katar, Andora, Kiribati i Tuvalu.

- Tak jest.
- Mamy dzikie szczęście, że w Radzie Bezpieczeństwa jednocześnie zasiadają dwa państwa z południowego Pacyfiku.
- Taka sama sytuacja była parę lat temu, kiedy członkami były jednocześnie Kamerun i Gwinea – przypomniał Hanley. – To się zdarza.
- Każde państwo ma w ONZ jeden głos – stwierdził Cabrillo – ale tak naprawdę po raz pierwszy zrozumiałem, jakie to ma znaczenie.

– Ja też.

Cabrillo zastanawiał się przez moment.

– Znam emira Kataru – powiedział. – Jeżeli zaproponujemy, że wyświadczymy mu później jakąś przysługę, poleci swoim ludziom, żeby głosowali tak jak chcemy. Co mielibyśmy dla niego?

Po chwili namysłu Hanley powiedział:

– W chwili obecnej nic, ale to się może zmienić. Ostatnim razem, kiedy działał razem z nami, zarobił około osiemdziesięciu milionów. Jeżeli mu to przypomnimy i pokażemy mu jakąś marchewkę, będziemy mieli jego głos.

– Masz rację – odparł Cabrillo. – Załatwię to z nim.

– Doskonale. Laos powinien być łatwy. Są buddystami, a generał chce dostać samochód.

– Zaproponuj mu kilka – powiedział Cabrillo.

– Skąd będą fundusze? – zapytał Hanley.

– Mamy do wykorzystania na wszystko jakieś pięćdziesiąt milionów.

– Łatwo przyszło, łatwo poszło. Brunei powinno być nasze. Piętnaście procent ludności kraju to buddyści, a sułtan nie może narażać się na niezadowolenie swoich poddanych.

– A poza tym przed paroma laty uratowaliśmy życie jego bratu – przypomniał Cabrillo.

– Co z Andorą?

– To dobrze, że Halpert założył tam nową firmę – stwierdził Cabrillo. – Jaki mają produkt krajowy brutto?

Hanley spojrzał do informatora i znalazł informację.

– Mniej więcej jeden i dwie dziesiąte miliarda.

– Kiedy wypłynie sprawa ropy, dorzucimy im jeszcze dwadzieścia procent. Jeżeli ktoś wyjaśni to ich ambasadorowi, byłby głupi, gdyby nie dostrzegł korzyści w oddaniu nam ich głosu. Pieniądze mają dużą siłę przekonywania – a poza tym działamy w słusznej sprawie.

– Zgadza się – przytaknął Hanley.

– Pozostają więc te dwa maluchy. Kiribati i Tuvalu.

– Produkt krajowy brutto Kiribati wynosi sześćdziesiąt milionów – poinformował Hanley. – Tuvalu ma jeszcze mniejszy. To jakieś osiem milionów podzielone na dziesięć tysięcy obywateli. Gdyby umieściło się po dwie osoby w



pokoju, jeden duży hotel w Las Vegas mógłby pomieścić całą ludność kraju.

Cabrillo milczał przez chwilę.

– Zadzwoń do Lowdena w Kolorado i powiedz, żeby zaczął kupować samochody dla generała. Następnie wyślij Halperta do Andory, żeby wyjaśnił, jaki wpływ na ich gospodarkę będzie miała nasza firma. Ja zajmę się emirem Kataru i sułtanem Brunei.

- A maluchy?
- Truitt jest wolny, prawda? – zapytał Cabrillo.
- Tak.
- Wsadź go do odrzutowca z paczką obligacji.
- Chce pan, żeby kupił głosy?
- Właśnie.

# 39

Burza, która spowodowała ulewne deszcze w Makau, po dotarciu do Rosji przyniosła wiosenną śnieżycę. Gdyby nie to, że była noc, Cabrillo zobaczyłby Moskwę przykrytą wilgotną białą kołdrą, która zaokrągląła rogi budynków i wyciszała dźwięki. Wyjrzał przez okno gulfstreama, gdy piloci wyłączyli silniki i zobaczył trzy czarne limuzyny z eskortą milicyjną z przodu i z tyłu. Wziął faks, który przed paroma minutami otrzymał od Overholta, wsunął dokument do teczki, rozpiął pas i wstał. Gdy przeszedł do przodu, drugi pilot właśnie otwierał drzwi.

– Potrzebujecie czegoś? – spytał Cabrillo.

– Chyba nie, szefie – odparł pilot. – Uzupełnimy tylko paliwo i będziemy czekali na pana powrót.

Cabrillo skinął głową i poczekał, aż opuszczą schodki.

– Życie mi szczęścia – powiedział, schodząc na pokryty śniegiem beton.

Wysoki mężczyzna w grubym płaszczu z granatowej wełny stał parę kroków od gulfstreama. Na głowie miał futrzaną czapkę i z jego ust wydobywały się obłoczki pary. Zdejmując rękawiczkę, podszedł do Cabrillo i podał mu rękę. Cabrillo uściśnię ją, a potem mężczyzna gestem zaprosił go do środkowej limuzyny.

– Jestem Siergiej Makelikow – przedstawił się, kiedy kierowca otworzył drzwi.

– Specjalny asystent prezydenta.

Cabrillo usiadł razem z nim na tylnym siedzeniu samochodu.

– Juan Cabrillo, prezes korporacji.

Drzwi zamknęły się i kilka sekund później milicyjne samochody ruszyły, torując drogę trzem limuzynom

– Prezydent jest bardzo ciekaw, co ma mu pan do powiedzenia – oznajmił Makelikow. – Czy mogę zaproponować panu coś do picia? Może wódkę albo kawę?

– Prosiłbym o kawę – odparł Cabrillo.

Asystent wziął posrebrzany termos i nalał kawy do czerwonego kubka z godłem Rosji. Podał go Cabrillo.

– Jak minął lot?

O tak późnej godzinie ulice były puste. Kawalkada mknęła w kierunku centrum Moskwy, ciągnąc za sobą chmurę śniegowych płatków. Cabrillo wypił łyk kawy.

– Bez problemów – odpowiedział z uśmiechem.

– Może kubańskie cygaro? – spytał Makelikow.

– Z przyjemnością.

Cabrillo wybrał cygaro z pudełka trzymanego przez Rosjanina. Obciął koniec gilotyneką znajdującą się w pudełku i pochylił, aby przypalić cygaro od zapalniczki Makelikowa.

– Wkrótce będziemy na miejscu – oświadczył Rosjanin. – Może tymczasem chciałby pan posłuchać muzyki?

Wskazał na odtwarzacz CD i stosik kompaktów. Na wszystkich był jazz.

- Widzę, że panowie znacie mój gust muzyczny – zauważył Cabrillo.
- Wiemy o panu bardzo dużo – uśmiechnął się lekko Rosjanin. – Właśnie dlatego prezydent został do późna, żeby się z panem zobaczyć.

Cabrillo z uśmiechem skinął głową.

- Wspaniałe cygaro.

Makelikow również zapalił i wypuścił kłąb dymu.

- Nieprawdaż?

Cabrillo włożył kompakt do odtwarzacza i obaj mężczyźni odprężeni słuchali muzyki. Czternaście minut później kolumna samochodów zatrzymała się przed domami koło Parku Gorkiego. Makelikow poczekał, aż kierowca otworzy drzwi, a potem wyszedł na zaśnieżony chodnik.

- Jedna z kryjówek prezydenta – powiedział Cabrillo. – Tu możemy porozmawiać w prywatnej atmosferze.

Obaj mężczyźni weszli schodkami pod drzwi, gdzie Makelikow kiwnął głową sierżantowi rosyjskich wojsk lądowych. Podoficer zsalutował i otworzył drzwi. Weszli do środka.

- Panie prezydencie – powiedział głośno Makelikow. – Przyjechał pański gość.
- Jestem w salonie – odezwał się głos z pokoju z prawej strony.
- Pozwoli pan, że to wezmę – asystent pomógł Cabrillo zdjąć płaszcz. – Proszę do środka. Za parę minut przyłączę się do panów.

Cabrillo wszedł do saloniku. Pokój urządzono jak bibliotekę w drogim klubie dla dżentelmenów. Wyłożono go boazerią z ciemnego drewna, a na ścianach wisały obrazy przedstawiające sceny myśliwskie i ptaki. Po prawej stronie znajdował się kominek, na którym z trzaskiem płonęły kawałki drewna. Obok niego stały dwa fotele z wysokimi oparciami i tapicerką z czerwonej skóry, a za nimi, bliżej drzwi – sofa. Na intarsjowanej drewnianej podłodze leżał gruby czerwony dywan, dochodzący prawie do samego kominka. Dwie mosiężne lampy stojące z obu końców sofy rzucały jedyne plamy światła w tym ciemnym pokoju. Prezydent stał odwrócony plecami do Cabrillo i poprawiał ogień. Gdy skończył, wyprostował się i odwrócił.

- Panie Cabrillo – powiedział z uśmiechem – proszę wejść i się rozgościć.

Cabrillo usiadł w fotelu z lewej strony kominka, Rosjanin z prawej.

- Kiedy byłem jeszcze w KGB, miałem grubą teczkę materiałów o panu.
- A ja o panu – odparł po rosyjsku Cabrillo.

Prezydent skinął głową i spojrzał Cabrillo prosto w oczy.

- Pański rosyjski jest lepszy niż mój angielski.
- Dziękuję.
- Jak przypuszczam, przeprowadził pan niedawno analizę psychologiczną mojej osoby. Czy znajdowała się tam prognoza, jaka będzie moja odpowiedź?

- Nie potrzeba było zespołu psychologów – stwierdził Cabrillo – żeby uznać, że powie pan „tak”.

– Więc może powiedziałby mi pan, na co się mam zgodzić – oznajmił z uśmiechem prezydent.

Cabrillo skinął głową i otworzył przyniesioną ze sobą teczkę.

– Panie prezydencie – oświadczył – zostaliśmy wynajęci, aby przywrócić dalajlamę do władzy. Uważamy, że opracowaliśmy rozwiązanie, które wszystkim przyniesie korzyści. Potrzebujemy jedynie siłowego wsparcia Rosji.

– Proszę to wyjaśnić – rzekł prezydent.

Cabrillo podał mu dwa dokumenty, które Overholt przesłał faksem na gulfstreama.

– Są to tajne zdjęcia satelitarne potencjalnych złóż naftowych na terenie Tybetu. Ostatnio odzyskaliśmy starożytny dokument, który wymienia tysiące wycieków ropy w północnym regionie.

– Ze Złotego Buddy, którego pańska firma ukradła w Makau?

– Ma pan dobry wywiad – stwierdził Cabrillo.

Rosjanin obejrzał zdjęcie i skinął głową.

– Rzeczywiście – powiedział.

– Wstępne szacunki pozwalają stwierdzić, że zasoby ropy wynoszą około pięćdziesięciu miliardów baryłek.

– Dość bogate – zauważył prezydent. – Około połowy zasobów Kuwejtu i mniej więcej pięć procent zasobów światowych.

– Potencjalnie jest to gigantyczne pole – przytaknął Cabrillo. – Nawet jeżeli nie jest tak bogate, przypuszczamy, że jest zdecydowanie większe niż jego odpowiednik na północy Alaski.

– Umieści je to pomiędzy dwudziestką największych pól świata.

– Dokładnie tak.

– W tym momencie jednak znajduje się ono pod chińskim panowaniem, a oni nawet nie wiedzą o jego istnieniu. Dlatego chce pan, żebyśmy ich usunęli z Tybetu.

– Niezupełnie, panie prezydencie. Proponujemy, żeby Rosja wstąpiła do konsorcjum eksploatującego to pole. Pięćdziesiąt procent dla Tybetu, czterdzieści dla pańskiego kraju.

– A pozostałe dziesięć procent?

– Zatrzyma je moja firma za zorganizowanie tego wszystkiego.

– Niezły napiwek – uśmiechnął się Rosjanin. – Ale chce pan, abym zaangażował moje wojska dla zysku. Jak tylko zaczną padać ofiary, moi obywatele poczują pismo nosem.

Cabrillo wolno pokiwał głową, a potem zarzucił haczyk.

– W takim razie zawrzemy porozumienie z Chinami – powiedział lekkim tonem. – Jintao i tak chce się stamtąd wypłatać. Jego gospodarka kuleje, a coraz większy import ropy naftowej tylko pogłębia problemy. Wyśle pan misję dyplomatyczną do Chin i zaproponuje, że przez dziesięć lat będzie mu pan dostarczał połowę produkcji po piętnaście dolarów za baryłkę. Przypuszczam, że się zgodzi i

wycofa.

- Wspaniale – roześmiał się prezydent Rosji.
- Jest jeszcze jedna sprawa – oznajmił powoli Cabrillo.
- Tak?
- Będziemy potrzebowali waszego głosu na poniedziałkowym spotkaniu Rady

Bezpieczeństwa ONZ.

- Macie zamiar zalegalizować przewrót?
- Uważamy, że zdołamy zgromadzić głosy – przytaknął Cabrillo.
- Wiele rzeczy może przybrać zły obrót, ale to powinno się udać. Co konkretnie Rosja powinna zrobić, aby wziąć udział w tym przedsięwzięciu?

– Przede wszystkim chcemy, aby wasze wojska weszły do Mongolii. O ile się orientuję, rząd mongolski zgodzi się na to. To jeszcze bardziej odciągnie Chińczyków od Tybetu. Po drugie, jak najwięcej pańskich doborowych spadochroniarzy powinno znaleźć się w Tybecie, gdy tylko powróci dalajlama, dzięki czemu ustabilizujemy sytuację. Dalajlama zgodził się poprosić Rosję, aby zapewniła bezpieczeństwo jego krajowi, dopóki wszystko się nie unormuje. O zaproszeniu zostanie poinformowana światowa społeczność, w związku z czym negatywne reperkusje powinny być niewielkie – nie licząc oczywiście Chin. Po trzecie, powinien pan drogą dyplomatyczną przedstawić Chinom propozycję dotyczącą ropy naftowej – zostałem wyraźnie poinformowany, że Stany Zjednoczone nie chcą być bezpośrednio łączone z wyzwoleniem Tybetu.

– Rozmawiałem z pańskim prezydentem – poinformował go Rosjanin. – Wspomniał o konieczności zachowania tajemnicy.

– Doskonale. Następnie będę potrzebował głosu w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jeżeli zdołamy powstrzymać Chińczyków do chwili rozstrzygnięcia głosowania i przybycia sił pokojowych, zastąpią one rosyjskie wojska.

Prezydent wstał z fotela i poprawił ogień.

– A więc Rosja nie będzie inwestować pieniędzy, a jedynie siłę wojskową.

– Firma, która będzie eksploatować pole roponośne, już została powołana – oznajmił Cabrillo. – Potrzebna jest tylko pańska sygnatura na tym dokumencie, który został już podpisany przez dalajlamę, i pańskie słowo, że to, co tu omówiliśmy, zostanie wykonane i będziemy mogli zaczynać.

Makelikow wszedł do pokoju w momencie, gdy prezydent Rosji odłożył pogrzbacz na podstawkę, podszedł do Cabrillo i wziął od niego dokument. Przeczytał go szybko i powiedział:

– Siergieju, przynieś mi pióro.

– Zamieniłbym się z tobą, jeżeli nie masz nic przeciwko temu – powiedział Gurt do jednego z pilotów najemników.

– A co wyciągnąłeś?

– Medyczno-ewakuacyjny.

- Bardzo chętnie się zamienię. Moje zadanie wygląda na najniebezpieczniejsze.
  - Już pracowałem z Murphym – wyjaśnił Gurt. – A poza tym mam więcej wylatanych godzin na dużych wysokościach niż ty.
  - Proszę cię uprzejmie – odparł pilot. – Lot na północ z ładunkiem materiałów wybuchowych nie jest moją ulubioną formą rozrywki.
  - Upewnię się, czy Seng nie ma zastrzeżeń – oznajmił Gurt, odchodząc.
  
  - Najszybciej dostaniesz się na miejsce – powiedział Hanley – jeżeli wysadzimy cię w Singapurze, skąd polecisz odrzutowcem na Vanuatu. Tam przesiądziesz się na turbośmigłowy STOL\*, który może wylądować na małych lotniskach na Kiribati i Tuvalu.
- Truitt skinął głową.
- Te głosy są nam potrzebne – dodał cicho Hanley. – Zrób wszystko, żebyśmy je dostali.
  - Nie martw się – zapewnił go Truitt. – Nawet jeżeli do posmarowania zużyję całą górę szmalu, do chwili poniedziałkowego głosowania będą nasze.
- Tej samej nocy „Oregon” minął falochron i wszedł do portu, Truitt zaś wsiadł do oczekującego odrzutowca, żeby rozpocząć dziewięciogodzinny lot na wyspy południowego Pacyfiku. Miał tam przybyć w niedzielę rano.

---

\* *Short Take-Off and Landing* – samolot krótkiego startu i lądowania (przyp. tłum.).

# 40

Limuzyna ził zatrzymała się przy gulfstreamie G550. Cabrillo wysiadł, wziął teczkę z dokumentami i bez wahania wspiął się do samolotu. Drugi pilot natychmiast podniósł schodki i zamknął drzwi. Potem krzyknął w kierunku kokpitu:

– Możemy startować!

Pilot włączył układ zapłonowy i kilka sekund później silniki odrzutowca zaczęły nabierać obrotów. Cabrillo podszedł do fotela, usiadł i zapiął pas. Drugi pilot ruszył do kokpitu.

– Zgodnie z pańskimi instrukcjami – rzucił przez ramię, kiedy sadowił się za sterami. – Kurs jest wyznaczony i mamy wstępną zgodę na przelot.

– Jaki to dystans? – zapytał Cabrillo.

– W linii prostej około pięciu i pół tysiąca kilometrów – odrzekł drugi pilot. – Wiatr jest sprzyjający, więc powinniśmy być na miejscu za sześć godzin.

Gulfstream zaczął kołować w kierunku pasa startowego.

– W niedzielę o siódmej rano – stwierdził Cabrillo.

– Taki jest plan – przyznał drugi pilot.

Czasami wszystko sprowadza się do kilku minut, paru ludzi i uśmiechu losu.

Tym razem było ich dwóch: Murphy i Gurt. Dwaj mężczyźni w helikopterze z dodatkowymi zbiornikami paliwa i ładunkiem materiałów wybuchowych mieli zapoczątkować wyzwalenie Tybetu.

Wystartowali tuż po czwartej rano w blednym świetle ćwiartki księżyca.

Kiedy Gurt uniósł bella 212 na wysokość trzystu metrów od ziemi, skierował go na wprost i odezwał się przez radio w helmie:

– Chyba nie wykonam tej misji.

– Z powodu wysokości przeleć? – zapytał Murphy. – A może martwi cię brak paliwa na powrót?

– Ani jedno, ani drugie – odparł Gurt. – Stracę niedzielną mszę i kurczaki na obiad.

Murphy sięgnął za siedzenie i wziął małą torbę podróżną. Odsunął suwak i wyjął jakąś puszkę i niewielką książkę w niebieskiej okładce.

– Konserwa drobiowa i Biblia – wyjaśnił.

– Super – odrzekł Gurt. – Teraz mogę lecieć.

– Będzie jeszcze coś? – zapytał Murphy.

– Tylko jedno – odpowiedział Gurt.

– To znaczy?

– Wypatruj drogi – poprosił Gurt. – Nie chcę się zgubić.

– Bez obaw – uspokoił go Murphy. – „Oregon” czuwa. W czasie tej operacji wszystko będzie działało jak dobrze naoliwiona maszyna do szycia.

– Poczuję się lepiej – odparł Gurt, wskazując stado jeleni w dole, oświetlone blaskiem księżyca – gdybyś powiedział „jak komputer”.

Murphy popatrzył na tablicę przyrządów.

– Za wysoka temperatura – zauważył. – Odpuść trochę.

Gurt zmniejszył obroty. Lecieli dalej na północ.

Prawie w tym samym czasie, gdy Bell 212 z Murphym i Gurtem na pokładzie wlatywał w tybetańską przestrzeń powietrzną, Briktin Gampo prowadził dwupółtonową ciężarówkę wyboistą gruntową drogą. Zlokalizował miejsce wyznaczone przez dowódcę jego podziału *dungkar*, zwolnił i zatrzymał się.

Był na równinach tuż poniżej Basatongwula Shan, na rozległej łące otoczonej karłowatymi drzewami. Wsiadł z ciężarówki, poszedł na tył samochodu i wyładował kilka metalowych rur. Były zimne w dotyku. Pamiętając o tym, co mu powiedziano, wyjął piecyk na olej opałowy i ustawił kawałek dalej. Wziął słupki namiotowe, które wsunął pod spłowiały brezent. Kiedy rozstawił namiot i zapalił piecyk, wniósł do środka rury, żeby się ogrzały. Potem wrócił do ciężarówki, zabrał radio, składane krzesło i futro, aby się okryć, dopóki namiot się nie nagrzeje.

Włączył radio i zaczął nasłuchiwać.

Wysoko na czarnym tle dalekiego kosmosu mrugały tysiące gwiazd. Od gór wiał zimny wiatr. Gampo podciągnął futro pod brodę i cierpliwie czekał.

Na „Oregonie” Hanley patrzył na ścianę płaskoekranowych monitorów. Nagle na przekazie satelitarnym pokazującym koncentrację oddziałów rosyjskich w rejonie Nowosybirsk wyświetlił się obraz termiczny uruchamianych silników czołgowych. Jednocześnie zadzwonił telefon bezpiecznej łączności.

– Wchodzimy – oznajmił Cabrillo.

– Mam potwierdzenie z satelity – odpowiedział Hanley. – Rosjanie rozgrzewają czołgi.

– Podłącz mój komputer do bazy danych „Oregon” – rozkazał Cabrillo. – Chcę monitorować stąd sytuację, dopóki nie będę na miejscu.

Hanley skinął do Stone’a, który wpisał polecenie na klawiaturze swojego komputera.

– Sygnał już idzie – powiedział Stone minutę później.

W kabinie gulfstreama G550 Cabrillo patrzył na wyświetlacz swojego laptopa. Monitor nagle rozbłysnął, potem pociemniał i znów rozjarzył się wolno. Ekran podzielił się na sześć części. Każda pokazywała to samo, co widział Hanley.

– Mam obraz – zawiadomił Cabrillo.

– Powodzenia – powiedział Hanley.

– Trzymaj się planu – odrzekł Cabrillo – i połącz mnie z Sengiem.

– Już się robi.

Eddie Seng spacerował tam i z powrotem po hangarze w Thimphu w Bhutanie.



Od czasu do czasu podchodził do stołu, gdzie monitor komputera pokazywał czerwony pulsujący punkt oznaczający pozycję helikoptera z Murphym i Gurtem na pokładzie. Potem znów zaczynał krążyć po hangarze jak lew w klatce.

Odebrał telefon po pierwszym sygnale.

- Wchodzimy, Eddie – oznajmił Cabrillo.
- Tak jest – odpowiedział Seng. – Pozwoliłem sobie wysłać już załogę helikoptera na północ, wiedząc, że w razie potrzeby, możemy wezwać ich z powrotem.
- Dobra robota – pochwalił Cabrillo. – Max?
- Działam trzytorowo – odezwał się Hanley z „Oregona”.
- Wyślij Sengowi ostatnie dane na temat lotniska w pobliżu Lhasy.
- Już idą.

Seng podszedł do drukarki. Kilka sekund później zaczęła wypływać dokumenty.

- Są – potwierdził Seng.
- Okay – odrzekł Cabrillo. – Masz plan działania i ostatnie informacje wywiadowcze.
- Tak jest – odpowiedział Seng.
- Ruszaj na lotnisko Gonggar – polecił Cabrillo.
- Już się robi, szefie – odrzekł z zapalem Seng.

Piąta rano. Godzina, kiedy pocą się pijacy i narastają koszmary.

Nad płytą lotniska Gonggar położonego dziewięćdziesiąt pięć kilometrów od Lhasy wiał zimny wiatr. Na krańcu pasa startowego stały dwa chińskie samoloty transportowe i trzy helikoptery. Inne chińskie maszyny w Tybecie wezwano na północ jako wsparcie kolumny czołgów.

Na lotnisku Gonggar było pusto jak na cmentarzu w środku tygodnia.

W prymitywnym terminalu samotny dozorca zamiatał zniszczoną betonową podłogę. Zrobił sobie przerwę na papierosa, wyszedł na zewnątrz i stanął za ścianą zasłaniającą go od wiatru. Mały oddział wojskowy dyżurujący na lotnisku spał. Żołnierze mieli pobudkę dopiero za godzinę.

Z doliny dobiegł dźwięk. Przypominał odgłos dobrze rzuconej piłki do gry w futbol amerykański. Potem dziesięć metrów nad płytą lotniska przemknął dziwny biały pojazd powietrzny. Obiekt doleciał do końca terenu, zatoczył łuk i zawrócił. Nagle z jego boków wystrzeliły dwie smugi ognia i w kierunku transportowców poszybowały dwa pociski rakietowe.

Bezzałogowy predator znalazł swoją ofiarę.

W hangarze w Bhutanie Lincoln patrzył na obraz z kamer pokładowych samolotu bezzałogowego. Zatoczył zdalnie sterowanym pojazdem następny łuk, naprowadził go na helikoptery i nacisnął spust. Potem znów zawrócił, żeby zobaczyć efekty.

Samoloty transportowe płonęły. Sekundę później stanęły w ogniu śmigłowce.

W tym samym momencie sto pięćdziesiąt metrów od skraju lotniska spod białych

brezentowych przykryć, niewidocznych na śniegu, wyłonił się prawie stuosobowy oddział *dungkar*. Bojownicy z wojennym okrzykiem popędzili w kierunku terminalu. Mieli na sobie czarne szaty, ceremonialne sztylety przy pasach, pistolety i karabiny. Zostali przemyceni do kraju zaledwie przed kilkoma dniami. Zalali lotnisko jak szarańcza i zajęli wyznaczone wcześniej pozycje. Z południa dobiegł odgłos siedmiu nadlatujących helikopterów. Kiedy śmigłowiec z Sengiem wzniósł się nad wyżynę, Eddie zobaczył płonące chińskie maszyny zaatakowane przez predatora.

Na płycie lotniska zaczęły błyskać czerwone latarki. Tybetańczycy sygnalizowali, że można bezpiecznie lądować.

- Siadaj wewnątrz kwadratu – polecił pilotowi Seng.
- Tak jest – odpowiedział mężczyzna i zaczął zmniejszać wysokość.

Helikopter wylądował chwilę później. Z przodu wysiadł Seng, z tyłu pojawił się King. Seng wszedł szybko do terminalu, gdzie spotkał się z dowódcą *dungkar*. W tym samym czasie King przywołał bojowników, żeby pomogli wylądować skrzynie z karabinami i amunicją.

– Co tu mamy? – zapytał Seng dowódcę, który wyglądał najwyżej na trzydzieści lat.

– Hangary są tam – odrzekł mężczyzna, wskazując kierunek. – W jednym stoi myśliwiec, transportowiec i dwa śmigłowce szturmowe. Drugi hangar wygląda na remontowy. Jest tam rozmontowany helikopter i kadłub samolotu zwiadowczego z wyjętym silnikiem.

Cabrillo poprosił dalajlamę, żeby wybrał oficerów *dungkar* znających angielski. Członkowie korporacji nie zdążyliby nauczyć się tybetańskiego, a nie było czasu na nieporozumienia językowe.

- Gdzie pan chodził do szkoły? – zapytał Seng.
- W Arizonie – pochwalił się dowódca. – Naprzód, Sun Devils!
- W porządku – odrzekł Seng. – Na pewno cieszy się pan z powrotu do kraju.

Postarajmy się, żeby tak zostało. Po pierwsze, niech kilku pańskich ludzi pomoże facetowi w tamtym helikopterze. – Wskazał kolejnego bella lądującego w odległości dwudziestu metrów. – Musimy założyć w tych budynkach ładunki wybuchowe, żeby je spalić w razie potrzeby.

- Przydzielę do tego dwunastu moich najlepszych ludzi – obiecał dowódca.
- Ilu Chińczyków złapaliście? – zapytał Seng.
- Niecały tuzin – odpowiedział mężczyzna. – Zginął jeden z moich i dwaj tamci.

Wokół panował ruch i hałas. Na krańcu lotniska płonęły na tle świtu chińskie maszyny, odgłos lądujących helikopterów w porannym powietrzu potęgował wrażenie nierzeczywistości. Ciche odludzie tętniło życiem.

– Niech pan uważnie słucha – powiedział Seng do dowódcy oddziału *dungkar*. – To rozkaz samego dalajlamy. Żadnej brutalności czy złego traktowania więźniów. Niech pan to przekaże swoim ludziom. Kiedy wszystko się skończy, odeślemy jeńców do Chin. Moja firma nie chce słyszeć o jakichkolwiek okrucieństwach. To zamach

stanu, nie czystki etniczne. Rozumiemy się?

– Pańska firma? – zdziwił się mężczyzna. – Nie jesteście z armii Stanów Zjednoczonych?

– Jesteśmy ze Stanów – przyznał Seng. – Przynajmniej większość z nas. Ale jesteśmy prywatną firmą, która teraz pracuje pod kierunkiem waszego przywódcy. Jeśli pan i pańscy ludzie będziecie słuchali naszych rozkazów, za dobę lub dwie Tybet znów będzie wolny.

– Robiliście już takie rzeczy? – zdumiał się dowódca *dungkar*.

– Nie ma czasu na pogawędki – warknął Seng. – Róbcie dokładnie to, co wam każemy i wszystko pójdzie gładko.

– Tak jest.

– W porządku. Przyprowadźcie do głównego budynku najwyższego stopniem jeńca, posadźcie na krzesło i pilnujcie. Za kilka minut skończymy naszą robotę i wtedy z nim porozmawiam.

Dowódca krzyknął coś do Tybetańczyków. Żołnierze *dungkar* ustawili się w szeregi. Mężczyzna przekazał im słowa Senga, potem kazał wystąpić sześciu sierżantom. Jedna drużyna z podoficerem na czele poszła po więźniów. Druga skierowała się do helikoptera, którym przyleciał Kasim.

– Hali! – zawołał Seng. – Weź tych ludzi i załóżcie ładunki w hangarach, żebyśmy mogli wysadzić je w powietrze w razie potrzeby!

Kasim skinął na żołnierzy i pobiegł z powrotem do śmigłowca.

Bell, który dostarczył na lotnisko Senga i Kinga, był już rozładowany. King dał znak pilotowi, że może startować. Maszyna uniosła się na wysokość trzystu metrów i zaczęła powoli zataczać szerokie kręgi. Wylądowały dwie następne z Crabtree i Gannonem na pokładzie.

– Jak się pan nazywa?! – krzyknął Seng do dowódcy Tybetańczyków.

– Rimpoche. Pache Rimpoche.

Podbiegli Crabtree i Gannon.

– Carl – zwrócił się Seng do Gannona – to jest generał Rimpoche. Powiedz mu, czego potrzebujesz.

Gannon odprowadził generała kawałek na bok, gdzie mogli się lepiej słyszeć i wyjaśnił, o jaki sprzęt chodzi. Rimpoche wezwał sierżanta i dwunastu ludzi pobiegło wykonać zadanie.

– Chcę wylądować zapasy i wnieść do środka – powiedziała Crabtree do Senga, który wskazał Rimpoche'a i przywołał go gestem.

– Generał wyznaczy ludzi – odrzekł.

Odpiął od pasa radio.

– Lotnisko jest pod naszą kontrolą – zameldował Hanleyowi na „Oregonie”. – Co widzisz?

Hanley popatrzył na obraz satelitarny na monitorze.

– Na razie żadnych wojsk. Ale jeśli się ruszą, nadjadą drogą ze wschodu.

Wygląda na to, że kilometr od lotniska w kierunku Lhasy jest most. Obsadź go, to w razie potrzeby będziesz miał punkt obrony.

– Żadnych samolotów ani helikopterów w powietrzu? – zapytał Seng.

– Nie – odrzekł Hanley. – Wszystko, co nie zostało na ziemi, jest daleko na północy. Nawet gdyby wezwali lotnictwo z powrotem, miałbyś godzinę czasu.

– W porządku – powiedział Seng, kiedy podszedł Meadows. – Gdyby sytuacja się zmieniła, łącz się ze mną przez radio.

– Cały czas czuwamy – zapewnił Hanley. – Wszystko sprowadza się do tego, co się stanie w ciągu najbliższych kilku godzin.

Seng przypiął radio do pasa i zwrócił się do Meadowsa:

– Bob, weź pięćdziesięciu żołnierzy i twoje uzbrojenie. Obsadzicie most kawałek stąd na tamtej drodze – polecił, wskazując kierunek.

– Kto nimi dowodzi? – zapytał Meadows.

– Generał Rimpoche – odrzekł Seng i wskazał mężczyznę.

W tym momencie przed terminal podjechały wolno trzy ciężarówki. Gannon zatrzymał je gestem. Jednocześnie zjawił się Tom Reyes.

– Generale! – krzyknął Seng.

Rimpoche podszedł.

– Tak?

– Potrzebuję czterech pańskich najlepszych ludzi, odważnych i dobrych strzelców.

Rimpoche odwrócił się i wywołał głośno nazwiska. Od grupy żołnierzy odłączyli się czterej mężczyźni. Żaden nie miał powyżej metra siedemdziesięciu wzrostu ani nie ważył więcej niż siedemdziesiąt kilogramów.

– Czy któryś z nich zna angielski? – zapytał Seng.

– Wszyscy trochę znają – odrzekł Rimpoche.

– Niech pan im przekaze – rozkazał Seng – że polecą z dwoma moimi ludźmi do Lhasy złapać bardzo ważnego faceta. Mają robić dokładnie to, co usłyszą od moich ludzi. Bez najmniejszego wahania.

Rimpoche przetłumaczył.

Kiedy tylko skończył, żołnierze coś odkrzyknęli i tupnęli jedną nogą w asfalt.

– Masz akta? – zapytał Seng Reyesa.

– Tak jest – odparł służbiście Reyes.

King był niedaleko i wyjmował ze skrzyni czarny długi neseser.

– Okay, Lany! – krzyknął Seng. – Ty i Tom możecie robić swoje.

King podszedł bliżej. Trzymał gogle noktowizyjne.

– To do roboty – powiedział.

Reyes skinął na czterech Tybetańczyków, którzy niecierpliwie czekali.

– Lecimy kogoś złapać i powinniśmy to zrobić w miarę cicho, rozumiecie?

– Znam dobrze angielski – zgłosił się jeden z żołnierzy. – Będę tłumaczył.

Przekazał słowa Reyesa i odwrócił się.

– Który helikopter?  
– Tędy – odrzekł Reyes i poprowadził ich do śmigłowca, z którego przed chwilą wysiadł. King ruszył za czterema Tybetańczykami. Kiedy usadowili się wewnątrz, helikopter wystartował i odleciał w kierunku miasta.

- Kogo mają złapać? – zapytał Rimpoche.
- Naczelnika Tybetańskiego Regionu Autonomicznego, Legchoga Zhurena.

Wylądował ostatni śmigłowiec, wysiadła z niego Huxley.

– To nasza lekarka – wyjaśnił generałowi Seng. – Niech pan zbierze swoich ludzi i zapyta, czy są wśród nich lekarze lub sanitariusze. Jeśli tak, pomogą Julii. Ale na razie trzeba rozładować jej helikopter i wnieść wszystko do terminalu. Doktor Huxley zorganizuje tu szpital polowy. Jeśli ktoś z pańskich ludzi został ranny, Julia zajmie się nim.

Rimpoche wykrzyknął rozkazy i żołnierze pobiegli rozładować śmigłowiec. Adams i Gunderson stali z boku i czekali, aż Seng skończy rozmawiać. Wreszcie odwrócił się i uśmiechnął.

– Wy dwaj idźcie sprawdzić, czy Chińczycy mają tu coś, co może nam się przydać – polecił. – Ja muszę przesłuchać więźnia.

Dwaj piloci ruszyli w kierunku hangarów. Seng wszedł do budynku terminalu. Na środku hali siedział na krześle porucznik chińskich wojsk lotniczych. Otaczali go czterej tybetańscy żołnierze o groźnym wyglądzie.

# 41

– Cholernie ładna sceneria – zauważył Murphy, patrząc przez szybę. – Jak Alaska na sterydach.

Gurt obserwował wysokościomierz. Wznosili się wyżej, żeby przelecieć nad imponującym łańcuchem górskim na wprost. Słońce jeszcze nie weszło, ale górzysty teren oświetlał już różowy blask zza horyzontu.

– Pewnie pobijemy rekord wysokości lotu helikopterem – odezwał się Gurt.

– Wątpię – odparł Murphy. – Kilka lat temu pewien facet przekroczył pułap siedmiu tysięcy trzystu metrów, żeby przeprowadzić akcję ratowniczą w Himalajach.

– Czytałem o tym – przytaknął Gurt. – Ale to był bell 206. I miał specjalne łopaty wirnika.

– Wydajesz się nieco zaniepokojony – powiedział Murphy.

– Nie jestem zaniepokojony, tylko ostrożny – odrzekł Gurt.

Wskazał zbliżającą się ścianę. Odległość malała. Drzewa nikły z tyłu, pozostały tylko czarne i szare skały z pionowymi pasmami śniegu i lodu na zboczach okazałej góry. Widok przypominał strużki roztopionego lodu spływające po ręku dziecka. W helikopter uderzył podmuch wiatru i zepchnął go w bok. Wokół bella pojawiły się chmury. Gurt znów spojrzał na wysokościomierz.

Przekroczyli pułap pięciu tysięcy czterystu osiemdziesięciu metrów i nadal się wznosili.

Helikopter z Reyesem, Kingiem i czterema *dungkar* na pokładzie leciał sześć metrów nad ziemią i zbliżał się do Lhasy z południa. Szum rzeki Lhasa stłumił hałas, gdy pilot lądował na małym piaszczystym cyplu na wschód od malowniczego miejsca nazywanego przez Chińczyków Wyspą Marzeń, gdzie kiedyś urządzano pikniki, a teraz stały brudne chińskie sklepy i bary karaoke.

– Wyładujcie skrzynie! – krzyknął Reyes do Tybetańczyków.

Kiedy tylko opróżniono ładownię i z wnętrza wyskoczył King, wszyscy uciekli kawałek dalej i przykucnęli, żeby podmuch od rotora startującego śmigłowca nie sypnął w nich piaskiem. Helikopter uniósł się szybko i odleciał w dół rzeki. Gdy znalazł się poza zasięgiem wzroku i słuchu, Reyes otworzył małą torbę i wyjął antenę paraboliczną. Włączył ją szybko i nasłuchiwał przez chwilę, czy w mieście nie wyją syreny alarmowe. Ale słyszał tylko szum rzeki.

Skinął głową do jednego z Tybetańczyków i powiedział:

– Zobacz.

Otworzył skrzynię i pokazał zawartość. Wewnątrz były flagi tybetańskie zakazane dawno temu przez chińskich okupantów. Przedstawiały białego lwa otoczonego czerwonymi i niebieskimi promieniami. Mężczyzna schylił się i dotknął delikatnie flag. Kiedy się wyprostował i spojrzał na Reyesa, miał łzy w oczach.

– Musimy przetransportować wszystkie te skrzynie za rzekę – powiedział do niego Reyes – i zostawić je tam. Potem ty i reszta pójdziecie ze mną i Kingiem do domu Zhurena.

– Dobrze – zgodził się z zapalem Tybetańczyk.

– Jeden z was będzie pilnował flag, drugi dołączy do pana Kinga – ciągnął Reyes. – Dwaj pozostali wejdą ze mną do domu.

Tybetańczyk skinął głową, potem zaczął szeptem wydawać rozkazy swoim ludziom.

Pięć minut później wszyscy dotarli bezpiecznie na drugi brzeg rzeki i ruszyli w kierunku dzielnicy Barkhor. King i jego tybetański pomocnik odłączyli się od grupy i poszli do najwyższego budynku w pobliżu domu chińskiego urzędnika państwowego. Na ulicach nie było nikogo, z wyjątkiem kilku tybetańskich kupców, którzy zamiatali rynek przed rozstawieniem straganów. King i jego pomocnik wspięli się na ostatnie piętro budowli, pokonując po dwa stopnie naraz i zajęli pozycję na dachu. King sięgnął do torby, wyjął małą butlę tlenową i zrobił kilka głębokich wdechów. Potem podsunął butlę Tybetańczykowi, który uśmiechnął się i przecząco pokręcił głową. King zbadał teren przez lunetę.

Dom Legchoga Zhurena był przeładowaną ozdobami rezydencją zwróconą frontem na południe w kierunku placu Barkhor. Na wschód od budynku stała świątynia Jokhang zbudowana w VII wieku, najbardziej czczone miejsce kultu religijnego w Lhasie z tuzinami posągów, złotymi dziełami sztuki i około trzydziestoma kaplicami.

King obserwował, jak Reyes mija front świątyni. Zatrzymał się na moment i uniósł pięść. Potem z dwoma Tybetańczykami wszedł w zaułek między Jokhang a domem naczelnika i zniknął z widoku.

King wcisnął przycisk posrebrzanego stopera, ustawił go na jedną minutę i śledził czas.

Kiedy zostało piętnaście sekund, wyjął z torby wydrążony róg barani i wręczył Tybetańczykowi.

– Kiedy powiem, zacznij trąbić – polecił – i nie przestawaj, dopóki ci nie każe, bo zginiemy.

Mężczyzna z zapalem skinął głową i wziął róg. King znów zaczerpnął tlenu z butli i spojrzał na stoper. Pięć sekund. Zerknął na wartowników przed domem Zhurena. Dwaj stali na zewnątrz żelaznej bramy, dwaj inni siedzieli na krzesłach przy drzwiach frontowych. Wziął ich na cel.

– Teraz – powiedział głośno.

Dźwięk rogu zabrzmiał jak wrzask kota wciąganego do odkurzacza. Plac zapełnił się nagle czterema tuzinami bojowników *dungkar*. Udawali sklepikarzy i porannych przechodniów i byli ukryci w beczkach z przyprawami i nasionami. Pojawili się niczym duchy na cmentarzu. Wydali okrzyki wojenne i popędzili do bramy domu naczelnika. Jeden z wartowników na ganku frontowym drzemał. Obudził go dźwięk

rogu i odgłos zbliżającego się tłumu. Wstał i sięgnął do dzwonka przy drzwiach. Ale zanim zdążył włączyć alarm, usłyszał ostry trzask. Patrzył niczym we śnie, jak jego ręka ucięta poniżej łokcia upada na ganek.

Wrzasnął, gdy z kikuta trysnęła krew.

W tym samym momencie *dungkar* dobiegli do dwóch wartowników przed bramą. Obaj zginęli, zanim zorientowali się, co się dzieje. Poderżnięto im gardła jak świniom w rzeźni.

Ranny wartownik na ganku wpatrywał się z przerażeniem w atakujących. Jego kolega zaczął coś mówić, ale sekundę później głowa odpadła mu od tułowia i wylądowała z głuchym odgłosem na ganku. Martwe usta zastygły w niemej odpowiedzi na ostatni impuls pochodzący z mózgu. Pierwszy bojownik wpadł na schody z wymierzoną przed siebie szablą. Wartownik sięgnął do kabury, ale bez ręki nie miał szans.

Szabla przebiła go na wylot i przygwoździła do drewnianych drzwi jak makabryczny stroik bożonarodzeniowy. Przed śmiercią wymówił bezgłośnie kilka słów i z ust wypłynęła mu krew. Siła uderzenia wyrwała zamek i otworzyła drzwi.

Do środka wtargnęli *dungkar*.

Scena za domem była mniej krwawa. Samotny wartownik przy drzwiach kuchennych spał. Lekceważenie obowiązków uratowało mu życie. Reyes podkrał się i strzelił do niego z broni obezwładniającej. Potem kazał jednemu z Tybetańczyków zakneblować go i skrępować taśmą samoprzylepną. Otworzył wytrychem zamek i wszedł do środka. Zanim rozległ się dźwięk rogu, Reyes i Tybetańczycy byli w połowie schodów prowadzących na górę do sypialni Zhurena.

Wtedy Reyes ich zobaczył.

Na półpiętrze stali trzej nieuzbrojeni mężczyźni. Reyes sięgnął do kabury z pistoletem, ale nie zdążył strzelić. Za plecami przeciwników pojawił się tybetański służący, zarzucił im na szyje skórzaną garotę i mocno ścisnął. Ich głowy uderzyły o siebie, zaczęli wierzgać nogami. Reyes kazał jednemu z Tybetańczyków pomóc służącemu, wyminął mężczyzn i pobiegł do pokoju Zhurena. Zatrzymał się przed drzwiami, przyjął odpowiednią pozycję i kopnął wypolerowanym czarnym wojskowym butem w zamek. Drzwi otworzyły się gwałtownie i wszedł do sypialni. Mężczyzna w łóżku zaczął się wolno podnosić, przecierając oczy. Nagle sięgnął do nocnego stolika. Reyes strzelił w wezglowie łóżka i pokój wypełnił zapach prochu.

– Na twoim miejscu nie próbowałbym żadnych sztuczek – ostrzegł Reyes.

– Niewiele widzę – wyznał Gurt.

Chmury zgęstniały, gdy zbliżyli się do szczytu przełęczy. W szybę helikoptera siekł deszcz ze śniegiem. Bell 212 wznosił się powoli, ale ledwo poruszał się na wprost. Lecieli na ślepo na granicy możliwości maszyny.

– Jest droga! – krzyknął nagle Murphy. – Na lewo.



Gurt dostrzegł czarną linię na białym tle. Koła samochodów rozjeździły większość śniegu i odsłoniły nawierzchnię. Gurt wyteńczył wzrok.

- Co to jest?
- Chyba kolumna czołgów – odrzekł Murphy.
- Zejdę w bok – powiedział Gurt – i schowam się za chmury.

Na poboczu drogi dowódca chińskiego czołgu obserwował, jak jego załoga naprawia zerwaną gaśnicę. Usłyszał w oddali helikopter, więc wspiał się do wnętrza czołgu i wywołał przez radio przełożonego.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział zwierzchnik – ale lepiej sprawdźcie, co się dzieje.

Dowódca czołgu wystawił głowę z otworu włazu i zawołał swoich ludzi. Potem zaczął im podawać karabiny. Dwie minuty później żołnierze ruszyli wzdłuż drogi, zostawiając za sobą unieruchomiony czołg.

- Jest grzbiet! – zawołał Murphy. – Znajdź jakieś miejsce do wylądowania.

Gurt manipulował sterami, ale na tej wysokości miał małą kontrolę nad helikopterem.

- Trzymaj się! – krzyknął.

Łądowanie było bardziej kontrolowanym uderzeniem o ziemię niż zwykłym manewrem. Bell 212 walnął płozami w podłoże, ale wytrzymał wstrząs. Murphy odpiął pasy bezpieczeństwa.

– Nie gaś pan silnika, panie kierowco – powiedział z uśmiechem. – Zaraz wracam.

Wysiadł, przeszedł kilka kroków i otworzył drzwi ładowni. Wyjął raki i przymocował do butów. Wciągnął drugą kurtkę na tę, którą miał na sobie, potem zaczął grzebać w skrzyni i przekładać potrzebne mu rzeczy do plecaka.

– Czekaj tu na mnie! – krzyknął w kierunku kabiny helikoptera. – Idę założyć ładunki.

Gurt skinął głową i patrzył, jak Murphy znika wśród śnieżycy. Potem zaczął manipulować przy radiu. Znalazł niewiele do słuchania, więc wrócił na stałą częstotliwość.

- Sherpa, Sherpa, Sherpa, tu „Oregon”, odbiór.

W sterowni Eric Stone z niepokojem spojrział na Hanleya.

- To już piąty raz i ciągle nic.
- Sherpa, Sherpa, Sherpa, tu „Oregon”, odbiór.
- „Oregon”, tu Sherpa – zgłosił się Gurt. – Słyszę cię głośno i wyraźnie.

Sygnal odbijał się od jonosfery i docierał do statku z dwusekundową zwłoką. Hanley wziął mikrofon.

- Gdzie jesteście?
- Na miejscu – odrzekł Gurt. – Wasz człowiek właśnie poszedł na spotkanie.

– Przed chwilą przechwyciliśmy łączność między złymi facetami – poinformował Hanley. – Ktoś was usłyszał w górze i dostał rozkaz sprawdzenia, co się dzieje.

– To niedobrze, „Oregon” – powiedział szybko Gurt. – Nie mam kontaktu z Murphym i nie mogę go ostrzec. Poza tym, start zajmie nam trochę czasu.

– Okay – odparł Hanley – wyślemy Murphy’emu sygnał na pager. Każemy mu wrócić do ciebie. W międzyczasie rozglądaj się uważnie. Gdyby ktoś się pojawił, startuj.

– Wyślij Murphy’emu wiadomość, żeby się wycofał – zwrócił się Hanley do Stone’a, który szybko wystukał polecenia na klawiaturze.

– Mam widoczność dziesięć do dwunastu metrów – odezwał się Gurt – i nie zostawię Murpha, nie ma mowy.

– Nie chcemy, żebyś go zostawił... – zaczął Hanley.

– „Oregon”! – krzyknął przez radio Gurt – nadchodzą chińscy żołnierze.

Murphy był schylony i zakładał w śniegu ładunki wybuchowe, kiedy zadzwieczał jego pager. Dokończył podłączanie przewodu detonacyjnego, wyprostował się i wyjął aparat z kieszeni.

– Cholera – zaklął i przesunął włącznik w pozycję „on”, żeby móc zdalnie odpalić ładunki. Potem ściągnął z pleców M-16 i ruszył w kierunku helikoptera.

Gurt sięgnął za siedzenie i wymacał pistolet w uchwycie. Chińscy żołnierze brnęli przez głęboki śnieg. Szli wolno, ale byli coraz bliżej bella. Trzymali karabiny, lecz jeszcze nie strzelali.

Murphy biegł w rakach najszybciej, jak mógł. Po drodze rozkładał granatnik. Sięgnął przez ramię do plecaka, wyjął pocisk rakietowy i zaczął go ładować. Był na zboczu i pędził w dół, gdy zobaczył Chińczyków. Od bella dzieliło ich około ośmiu metrów. Murphy wycelował i strzelił. Granat przeleciał nad głowami żołnierzy i eksplodował. Chińczycy padli na brzuchy.

– Co za... – zaczął Gurt, odwrócił się i dostrzegł w oddali wracającego Murphy’ego.

Zwiększył dopływ paliwa do turbiny i spróbował wystartować. Nic. Murphy był już w odległości sześciu metrów i biegł do helikoptera. Pierwsi Chińczycy podnosili się ze śniegu i przykładali karabiny do ramienia. Gurt zaczął strzelać przez okno z pistoletu. Kilka sekund później Murphy otworzył ogień z M-16.

Trzy metry. Gurt wyciągnął rękę nad siedzeniem drugiego pilota i pchnął drzwi. Murphy przestał strzelać, zdjął plecak i umieścił delikatnie za swoim fotelem. Wdrapał się do kokpitu i położył M-16 na kolanach. Gurt nadal strzelał z pistoletu i jednocześnie manipulował sterem.

– Sie masz – powiedział Murphy, gdy nastąpiła chwila ciszy. – Nie działo się nic podniecającego, kiedy mnie nie było?

– Trzeba stąd spadać – odparł Gurt i znów kilka razy nacisnął spust. – Będę musiał rozbujać bella, żeby oderwać się od ziemi.

Chińczycy zatrzymali się. Okopywali się w śniegu, żeby oddać zabójczą salwę.

Murphy precyzyjnie przesunął się między siedzeniami do ładowni i odsunął obie pary drzwi.

– Przestań strzelać i startuj, Gurt. Zajmę się tymi facetami.

„Bujanie” helikoptera jest ryzykowne. Polega na przestawianiu drążka skoku okresowego od oporu do oporu przy jednoczesnym pompowaniu drążkiem skoku ogólnego. Może wytworzyć siłę nośną, kiedy jej brakuje, ale grozi uderzeniem wału rotora w inne części maszyny i jego uszkodzeniem lub zniszczeniem.

Strata wału to strata helikoptera.

Strzelanina wybuchła tak nagle, że dowódca chińskiego czołgu nie zdążył zebrać swoich ludzi. Teraz, kiedy miał kilka minut na przygotowania i jego żołnierze byli okopani, zaczął wykrzykiwać rozkazy, żeby skoncentrować ogień na celu.

Gurt szarpnął drążkiem skoku okresowego od oporu do oporu i bell zaczął się powoli unosić.

W tym samym momencie chiński dowódca wrzasnął do swoich ludzi, żeby atakowali i żołnierze poderwali się do biegu. Murphy nacisnął spust i granat z szumem opuścił wyrzutnię. Kabinę wypełnił zapach spalenizny. Pocisk wylądował niecałe dwa metry przed pierwszym żołnierzem i eksplodował. Murphy wystrzelił cały magazynek M-16, załadował następny i przygotował się do drugiej serii.

Gurt wreszcie oderwał bella od ziemi i starał się oddalić od pola walki.

Kiedy byli trzydzieści metrów od Chińczyków, Murphy opróżnił drugi magazynek i ciała na zakrwawionym śniegu zaczęły zostawać z tyłu. Szybko znów załadował M-16, odłożył na bok i sięgnął po zdalny detonator.

Materiał wybuchowy C-6 eksplodował z siłą czterech i pół ton trotylu. Od zbocza góry oderwała się lawina i przysypała Chińczyków. Pędząc dalej w dół, zsunęła się na drogę i utworzyła śnieżno-lodową ścianę o wysokości sześciu metrów. Fala uderzeniową od której zatrzęsała się ziemia, wywołała kilka mniejszych osunięć na przeciwległych zboczach i bariera na drodze urosła o kolejne trzy metry. Kilku Chińczyków ocalałych ze strzelaniny zginęło pod śniegiem.

## 42

Pilot gulfstreama patrzył uważnie na ekran nawigacyjny. Trasa nie pozwalała na duży margines błędu. Samolot leciał nad wąskim korytarzem indyjskiej przestrzeni powietrznej między Bangladeszem i Nepalem. Szerokość obszaru wynosiła zaledwie trzydzieści kilometrów w najwęższym miejscu. Terytorium w dole było przedmiotem ostrego sporu między trzema krajami. Pilot wolno przechylił gulfstreama w szerokim skrócie w lewo.

– Najgorsze za nami! – zawołał przez ramię do tylnej kabiny.

Samolot był teraz nad szerszym obszarem między Nepalem i Bhutanem.

– Kiedy będziemy w tybetańskiej przestrzeni powietrznej? – zapytał Cabrillo.

Pilot spojrział na ekran odbiornika GPS.

– Za niecałe pięć minut.

Juan Cabrillo powinien być śmiertelnie zmęczony, ale nie był. Popatrzył przez okno na górzysty teren w dole. Wschodzące słońce otaczał różowy i żółty blask. Na wprost leżał Tybet. Cabrillo sięgnął po telefon bezpiecznej łączności i wybrał numer.

W Pekinie Hu Jintao obudził się wcześnie. Wydarzenia na placu Barkhor nie przeszły bez echa. Jintao szybko wstał z łóżka, umył twarz i zszedł w piżamie na dół.

– Jaka sytuacja? – zapytał bez wstępów generała.

– Niepewna, panie prezydencie – odrzekł wojskowy. – Rosyjska kolumna pancerna wjeżdża do Mongolii. Ambasador Mongolii zapewnia nas, że to tylko wspólne ćwiczenia z Rosjanami. Ale przy szybkości, z jaką się poruszają, rosyjskie czołgi mogą za kilka godzin dotrzeć przez góry Ałtaj do naszej Kotliny Tarymskiej.

– A samoloty? – zapytał Jintao.

– Nasze satelity wykryły przygotowania transportowców – odparł generał. – W Rosji czeka w pogotowiu kilka dywizji spadochronowych. Ale żadna maszyna jeszcze nie wystartowała.

Prezydent odwrócił się do ministra spraw zagranicznych.

– W tej chwili nie mamy żadnych zagrażeń z Rosjanami. Z jakiego powodu mogliby nas zaatakować?

– Utrzymujemy z nimi pokojowe stosunki.

– Bardzo dziwne – stwierdził Jintao.

– Ambasador Rosji prosi o spotkanie dziś o dziesiątej rano – powiedział minister. – Prośba przysłała w nocy kanałem priorytetowym.

– Wyjaśnił, o co chodzi? – zapytał prezydent.

– Nie – zaprzeczył minister.

Jintao przez chwilę zastanawiał się w milczeniu.

– Panie prezydencie – odezwał się generał – jest jeszcze coś. Właśnie dostaliśmy raport ze stolicy Tybetu, że na jednym z głównych placów miasta zaczyna

się demonstracja.

– Co mówi naczelnik regionu? – zapytał Jintao.

Wojskowy nie od razu odpowiedział.

– Problem w tym, panie prezydencie, że nie możemy się z nim skontaktować.

– Cholera, Gurt – zaklął Murphy. – Mało brakowało.

– Jeden z pocisków trafił w przewód hydrauliczny sterowania ciągiem. Ja dostałem w lewe ramię.

– Jak źle to wygląda? – zapytał szybko Murphy.

– Bell doleci do celu – uspokoił go Gurt. – Choć będzie trochę emocji.

– Chodziło mi o ciebie! – zagrział Murphy. – Mocno oberwałeś?

Gurt leciał przez gęste chmury w dół zbocza przełęczy. Maszyna nurkowała i ciała obu mężczyzn ciasno przylegały do pasów bezpieczeństwa.

– Uważaj – powiedział Gurt. – Pochyłę się do przodu, a ty sprawdź. Odsunął plecy od oparcia fotela, Murphy wyciągnął się w bok, popatrzył, potem pomacał dookoła. Po sekundzie wydłubał z oparcia spłaszczony pocisk.

– Przeszedł na wylot, przebił warstwę pianki i zatrzymał się na metalowej płycie – oznajmił. – Ale krwawisz.

– Do tej pory nie bolało – odrzekł Gurt. – Widocznie miałem tyle adrenaliny we krwi, że niewiele czułem.

– Muszę założyć ci opatrunek – powiedział Murphy. – Zaczekaj chwilę.

Sięgnął po swoje radio i połączył się z centralą na „Oregonie”.

– Wciśnij to tutaj – polecił Gunderson – ale upewnij się, czy łuski będą wylatywały przez boczne drzwi. Nie chcę, żeby jakiś niewypał eksplodował mi w ładowni.

Pomagający mu żołnierz *dungkar* skinął głową. Dziesięć minut wcześniej wyrwali z podstawy na krańcu lotniska Gonggar szybkostrzelne działko przeciwlotnicze. Teraz dopasowywali je do transportowca, żeby zrobić z niego prymitywny samolot bojowy. Żołnierze uwijali się, podobnie jak inna grupa na drugim końcu hangaru.

George Adams popatrzył, jak Tybetańczycy tankują śmigłowiec szturmowy. Od dziesięciu minut tkwił wewnątrz i próbował zapoznać się z przyrządami sterowniczymi i systemami uzbrojenia. W końcu uznał, że chyba będzie potrafił tym latać. Obsługa uzbrojenia wydawała się trudniejsza.

Podszedł Gunderson.

– Witamy w siłach powietrznych *dungkar*. Kiedy nadlecimy, wszystko rozwalimy.

Adams uśmiechnął się.

– Jak wam idzie?

– Sam nie wiem – wyznał Gunderson. – Mamy z tyłu działko wzmocnione tyłoma deskami, że wystarczyłoby na zbudowanie stodoły. Jeśli po pierwszym

odpaleniu tamta maszyna nie poleci wstecz zamiast naprzód, powinno być okay. A co u ciebie?

– Mój chiński trochę zardzewiał – odrzekł Adams. – Mniej więcej tak, jak statek na dnie morza. Ale chyba poradzę sobie z pilotowaniem tej bestii.

Gunderson skinął głową.

– Zawrzyjmy układ, stary.

– Jaki? – zapytał Adams.

– Że kiedy tam dolecimy – odparł Gunderson – nie zestrzelimy się nawzajem.

Odwrócił się i ruszył z powrotem do transportowca.

– Powodzenia – rzucił przez ramię.

– Nawzajem – odpowiedział Adams.

W tym momencie drzwi hangaru zaczęły się unosić i do środka dostał się blask słońca i zimne powietrze. Minutę później śmigłowiec szturmowy wytoczono na płytę. Potem ciągnik doczepiono do transportowca, żeby zaholować samolot na pas startowy.

Plac Barkhor zapełniał się szybko Tybetańczykami. Prymitywny system podawania sobie wiadomości z ust do ust, używany w czasie kryzysu, działał bez przerwy. Cztery przecznice dalej pluton chińskich żołnierzy próbował dotrzeć z koszar na plac transporterem opancerzonym po otrzymaniu informacji o ataku na dom naczelnika.

Tybetańczycy blokowali ulice i jazda trwała długo.

– Kobziarz, Kobziarz, tu Przebieraniec.

– Przebieraniec, tu Kobziarz, słyszymy cię.

– Proszę o natychmiastową ewakuację – powiedział Reyes. – Mamy cel.

– Podaj miejsca, Przebieraniec.

– Najpierw punkt jeden jeden, Kobziarz, potem punkt jeden trzy.

– Przyjąłem współrzędne, Przebieraniec. Wykonuję.

Po odebraniu wiadomości pilot helikoptera, który dostarczył ich nad rzekę, wystartował z miejsca odległego o piętnaście kilometrów od Lhasy. Kiedy przeszedł do lotu poziomego, spojrzął na mapę z zaznaczonymi punktami ewakuacyjnymi. Potem zerknął na własną notatkę na bloczku przypiętym do uda. Poleciał nisko i szybko w kierunku placu Barkhor.

W Małej Lhasie dalajlama czekał w pokoju łączności przy aparatach radiowych. Po kilku minutach zaczęły nadchodzić meldunki od siatki jego szpiegów w Tybecie. Wyglądało na to, że operacja przebiegała gładko. Przynajmniej na razie.

Odwrócił się do swojego asystenta.

– Czy przygotowania do naszego powrotu do domu są zakończone?

– Kiedy tylko dostaniemy wiadomość od pana Cabrillo – odrzekł mężczyzna – dostarczymy tam Waszą Świątobliwość samolotem w ciągu dwóch godzin.

Dalajlama zastanowił się.

- Jak szybko znajdziemy się nad Tybetem?
- Mniej więcej po trzydziestu minutach.

Dalajlama wstał.

- Pójdę teraz do świątyni pomodlić się. Obserwuj sytuację.
- Tak jest, Wasza Świątobliwość – odpowiedział asystent.

Chuck Gunderson pomagał George'owi Adamsowi zapiąć pasy w śmigłowcu szturmowym. Żaden z chińskich hełmów lotniczych w hangarze nie pasował na niego – wszystkie były za małe. Adams musiał podłączyć do radia własne słuchawki. Był ściśnięty w fotelu pilota jak gruba kobieta w gorsecie.

- Nie robią tych maszyn dla takich wielkich facetów jak my – zażartował.
- Szkoda, że nie widziałeś mojej – odparł Gunderson. – Chińczycy wciąż stawiają na ilość, nie na jakość. Kokpit wygląda jak w czasach II wojny światowej. Brakuje tylko muzyki Glenna Millera w radiu.

- Spójrz na tę tablicę przyrządów – powiedział Adams, kiedy Gunderson skończył i wyprostował się na drabince. – Tu jest więcej metalu niż w chevy z pięćdziesiątego siódmego roku.

Podszedł do nich Eddie Seng.

- Startujcie. Muszę mieć wolny pas. Właśnie dzwonił Cabrillo. Będzie za pięć minut.

Gunderson opuścił pleksiglasową kopułę kabiny nad głową Adamsa, docisnął ją i zamknął. Potem uderzył w nią pięścią i uniósł kciuk. Zszedł z drabinki i skinął na tybetańskich pomocników, żeby ją zabrali. Kiedy ruszył za Sengiem w kierunku swojego transportowca, za plecami usłyszał zapłon silnika turbinowego helikoptera.

- Co nowego, panie Seng? – zapytał.
- Przesłuchałem chińskiego porucznika, który tu dowodził. Nie zdążył zawiadomić Pekinu o naszym ataku.

Gunderson podszedł do drzwi transportowca.

- Więc na razie nie musimy się obawiać chińskich myśliwców spoza kraju?
- Jeśli Rosjanie zrobią swoje i utrzymają Chińczyków w napięciu – odrzekł Seng – wasza rola powinna się ograniczyć do udzielenia wsparcia lotniczego siłom *dungkar*.

- Zrobimy, co się da – obiecał Gunderson i wspiął się bocznymi drzwiami do samolotu.

- W porządku – powiedział Seng i klepnął kadłub transportowca. – Do roboty. Szef przylatuje.

W tym samym momencie Adams pociągnął drążek skoku ogólnego i chiński helikopter uniósł się z ziemi. Chwiał się trochę, kiedy Adams starał się go wyczuć, potem wystartował na wprost, pokonał efekt przyziemny i poleciał w kierunku Lhasy.

Gunderson wszedł do kokpitu, usiadł w fotelu pilota i rozpoczął procedurę

uruchamiania silników. Kiedy oba pracowały równo, zerknął w tył na czterech żołnierzy *dungkar* przy działku w ładowni.

– Okay, panowie! – krzyknął przez hałas silników. – Powiem wam, gdzie i kiedy otworzyć ogień. Na razie trochę się przelecimy.

Brzmiało to prosto, ale żaden z Tybetańczyków jeszcze nigdy nie był wewnątrz samolotu.

W centrali „Oregona” Hanley stał nad mikrofonem.

– Właśnie zawiadomiłem wasz kontakt – powiedział. – Wypatruj błyskających czerwonych świateł. To będzie sygnał.

– W tym miejscu, które zaplanowaliśmy? – upewnił się Murphy.

– Tak – odrzekł Hanley. – Jeśli chodzi o Gurta, to rozmawialiśmy z Huxley. Musisz jak najszybciej założyć opaskę uciskową na ranę.

– Obserwujecie nas przez satelitę? – zapytał Murphy.

Hanley spojrzał na ekran.

– Tak. Jesteście około pięciu minut lotu od punktu spotkania.

– Zameldujemy się po wylądowaniu – obiecał Murphy.

Radio zamilkło. Hanley zadzwonił do Senga i czekał, aż się zgłosi.

Briktin Gampo sprawdził, czy lampy błyskowe działają, potem spojrzał w górę. Chmury wisiały nisko i niemal tworzyły mgłę, ale co chwila rozstępowały się i odsłaniały kawałki nieba. Usłyszał w oddali zbliżający się helikopter. Wszedł z powrotem do namiotu, zamieszał herbatę w dzbanku na piecyku i wrócił na dwór, żeby czekać na śmigłowiec.

– Jedno światło jest – wskazał ręką Murphy.

Od kilku minut twarz Gurta miała kolor popiołu. Murphy widział krople potu na jego czole i trzęsącą się rękę na sterze.

– Trzymaj się – powiedział. – Jesteśmy prawie na miejscu.

– Zaczyna mi ciemnieć w oczach – odrzekł Gurt. – Może będziesz musiał mi mówić, gdzie lądować.

Hałas startującego transportowca był taki głośny, że Eddie Serg musiał krzyczeć do telefonu.

– Jak źle to wygląda?! – zawołał do Hanleya.

– Nie wiemy – odrzekł Hanley – ale powinniśmy tam kogoś wysłać. Lot na północ potrwa tylko parę godzin. Jeśli pomoc okaże się niepotrzebna, wezwiemy ją z powrotem.

– Załatwione – odparł Seng.

Potem ruszył w kierunku prowizorycznego szpitala, żeby zobaczyć, czy Huxley znalazła kogoś z kwalifikacjami medycznymi, kto mógłby polecieć. Pięć minut później zatankowany helikopter z tybetańskim sanitariuszem wojskowym i zapasami był w powietrzu.



– Jesteś już blisko, Gurt – powiedział Murphy – i około czterech metrów nad ziemią.

Gurt zaczął schodzić niżej i nagle zwymiotował na tablicę przyrządów.

– Na wypadek, gdybym nie mógł – uprzedził i otarł usta rękawem kombinezonu lotniczego – po zapaleniu się tej zielonej kontrolki przesunąć te trzy dźwignienki w dół. Wyłączysz wtedy turbiny.

Dwa metry nad ziemią Gurt przerwał powolne schodzenie w dół, na moment zawiesił białą w powietrzu, potem wylądował. Kiedy tylko helikopter usiadł na płozach, Gurt bezwładnie zwiesił głowę i znieruchomiał w uprzęży.

Murphy zaczął mu odpinać pasy i jednocześnie czekał, aż ostygną silniki. Potem je wyłączył i kiedy wirnik przestał się obracać, szybko wysiadł i podbiegł do drzwi pilota. Z pomocą Gampo wniósł Gurta do namiotu.

Tam zaczął mu rozcinać nożem kombinezon lotniczy.

Materiał był mokry i rana nadal krwawiła.

– Podchodzimy do lądowania – poinformował pilot gulfstreama.

Cabrillo wyjrzał przez okno. Płonące wraki na krańcu lotniska Gonggar wciąż dymiły. Słońce już weszło nad horyzont i Cabrillo dostrzegł Lhasę oddaloną o dziewięćdziesiąt pięć kilometrów. Spojrzał wzdłuż przejścia między siedzeniami w kierunku otwartych drzwi kokpitu. Przez przednią szybę zobaczył wznoszący się samolot. Niezgrabna srebrzysta maszyna była około dwudziestu metrów nad pasem startowym i oddalała się od gulfstreama. Drogą z lotniska jechało kilka ciężarówek.

Byli trzydzieści metrów nad ziemią i dwie minuty później opony z piskiem dotknęły płyty. Pilot podkołował z pasa startowego w pobliże budynku terminalu i zatrzymał samolot. Turbiny jeszcze wirowały, kiedy Cabrillo wysiadał.

Naczelnik Zhuren miał oczy zaklejone taśmą i ręce skrupowane za plecami. Ciemnowłosy mężczyzna, który wdarł się do jego sypialni, ciągnął go szybko ze sobą. Zhuren słyszał w pobliżu hałaśliwy tłum. Potem kilka przecznic dalej rozległy się strzały.

W oddali narastał odgłos nadlatującego helikoptera.

King obserwował przez lunetę, jak Reyes prowadzi Zhurena przez tłum. Zobaczył, że Reyes pokazuje towarzyszącym mu żołnierzom *dungkar*, żeby usunęli ludzi ze strefy lądowania. King odwrócił się i spojrzał ze swojego stanowiska na dachu kilka przecznic dalej. Nadjeżdżały tamtędy transportery opancerzone. Tybetańczycy próbowali je zatrzymać, ale padali pod ogniem karabinów maszynowych. Pierwszy transporter jechał wąską uliczką za uciekającymi Tybetańczykami. King patrzył, jak pojazd miażdży poległego bojownika o wolność Tybetu. Rozplaszczył ciało niczym pociąg żabę na torach.

King sięgnął do torby, wyjął pas amunicyjny z pociskami przeciwpancernymi i załadował je do karabinu. Zaczął strzelać w momencie, kiedy helikopter był tuż nad

ziemią.

Dziesięć pocisków w siedem sekund. I jeszcze dziesięć do równego rachunku.

Pierwszy transporter stanął. Następne też.

Hałas helikoptera ogłuszał Zhurena. Poczul, że ktoś wciąga go do środka, a równocześnie ktoś z zewnątrz wpycha go na siedzenie. Potem jakaś osoba usiadła obok. Zhuren pociągnął nosem. Rozpoznał ciemnowłosego mężczyznę, który wywłókł go z bezpiecznego domu w nieznaną.

Helikopter wystartował.

– Zawisną w powietrzu i zabiorą nas – powiedział King do swojego pomocnika.

– Mogę tu zostać? – zapytał Tybetańczyk.

– Jaki masz plan? – zainteresował się King.

Mężczyzna wskazał tam, gdzie tłum jego rodaków otoczył unieruchomiony transporter.

Helikopter był już prawie nad budynkiem. King sięgnął do torby i wyjął czarny worek.

– Tu są granaty ręczne – wyjaśnił. – Wiesz, jak się z tym obchodzić?

Tybetańczyk uśmiechnął się.

– Wyciągnąć taką metalową rzecz i uciekać?

– Dokładnie – przytaknął King. – Ale trzymaj swoich ludzi z daleka, kiedy będziesz tego używał. Taki granat robi z człowieka tarty ser.

Helikopter był teraz nad dachem i zniżał się. Mężczyzna chwycił worek i pobiegł do drabinki zejściowej.

– Dziękuję panu! – zawołał.

– Powodzenia! – odkrzyknął King, gdy z helikoptera sięgnęła po niego para rąk. Stanął na płozie, schylił się i dał nura do środka.

– Jak sprawy?! – zawołał Reyes, kiedy drzwi się zamknęły i maszyna poleciała z powrotem w kierunku lotniska Gonggar.

– Wiesz, co mówią – odrzekł zmęczonym głosem King. – Robimy więcej przed lunchem niż większość ludzi przez cały dzień.

# 43

– Jak dotąd, wspaniała robota, panie Seng – pochwalił Cabrillo.

Z północy wiał zimny wiatr. Przynosił zapach lasów i lodowców, paliwa lotniczego i prochu. Cabrillo podciągnął pod szyję suwak skórzaney kurtki, potem sięgnął do tylnej kieszeni. Wyjął starannie złożoną białą chusteczkę i wytarł nos.

– Dziękuję – odrzekł Seng. – W tej chwili sytuacja wygląda tak: Murphy i wynajęty pilot zdołali założyć ładunki wybuchowe na przełęczy i wywołali lawinę. Wszystkie chińskie pojazdy pancerne są teraz skutecznie zablokowane. Nawet gdyby Chińczycy postanowili zignorować nadciągających Rosjan i wrócić do Lhasy jedyną możliwą drogą okrężną, zajęłoby im to co najmniej czterdzieści osiem godzin i to pod warunkiem, że nie zmieniałaby się pogoda.

– Były jakieś problemy z tą częścią operacji? – zapytał Cabrillo.

– Ten wynajęty pilot, Gurt Guenther, został postrzelony z broni ręcznej. Nie wiemy, jak mocno oberwał.

– Wysłaliście pomoc?

– Helikopter z Kasimem na pokładzie jest w drodze – odparł Seng – ale Guentherowi udało się dolecieć do punktu tankowania i wylądować, więc może nie jest z nim tak źle. Jeśli będzie w stanie znów wystartować, wezwiemy Kasima z powrotem.

– Dobrze – powiedział Cabrillo. – Może być nam tu potrzebny.

– Wracając do pogody – meldował dalej Seng – dziś po południu ma być wiosenna burza, ale jutro i przez kilka następných dni powinno być ładnie. Utrzyma się pięć do siedmiu centymetrów śniegu i temperatura spadnie poniżej zera, potem przyjdzie stopniowe ocieplenie.

– Tutejszy klimat ma taki sam wpływ na nas, jak na Chińczyków – zauważył Cabrillo – ale może dać przewagę żołnierzom *dungkar*. Wykorzystamy to.

Ze wschodu dobiegł odgłos zbliżającego się helikoptera. Cabrillo wpatrzył się w dal i próbował rozpoznać typ.

– To jeden z naszych – powiedział Seng. – Z Reyesem, Kingiem i Legchogiem Zhurenem na pokładzie.

– Doskonale.

Obaj mężczyźni ruszyli w kierunku terminalu. Wkrótce miał tam być Zhuren.

– Udało nam się włączyć do akcji zdobyty śmigłowiec szturmowy. Pilotuje go Adams. I przerobiliśmy transportowiec na maszynę bojową. Leci nim Gunderson. W powietrzu są też nasze wynajęte belle.

– Wspaniała eskadra dla odrodzonych tybetańskich sił zbrojnych – odrzekł Cabrillo.

– Cała reszta idzie zgodnie z planem – ciągnął Seng – ale pojawił się jeden problem. Odkryłem go, kiedy przesłuchiwałem złapanego przez nas porucznika

chińskiego lotnictwa.

- O co chodzi? – zapytał Cabrillo.
- Ponieważ siły chińskie w Tybecie nigdy nie miały przewagi liczebnej – wyjaśnił Seng – był plan, żeby w wypadku masowego buntu użyć przeciwko rebeliantom gazu paralizującego.
- Beczki muszą być oznaczone jakimiś symbolami – zauważył Cabrillo. – Zaraz zadzwonimy do Waszyngtonu i zapytamy, jak to unieszkodliwić.
- Problem w tym... – krzyknął Seng przez hałas lądującego helikoptera – że ten porucznik nie wie, gdzie jest zmagazynowany gaz. Wie tylko, że istnieje.
- Cabrillo sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął kubańskie cygaro. Odgryzł koniec, wypłuł na bok, drugą ręką wyciągnął zapalniczkę Zippo i przypalił. Potem zaciągnął się kilka razy cygarem, żeby się dobrze rozżarzyło.
- Czuję, panie Seng, że to będzie długi dzień – powiedział.

Murphy był wściekły. Gampo zostawił go samego w namiocie z osłabionym i krwawiącym Gurtem. Jeśli groźni *dungkar* w ten sposób reagują na widok krwi, pomyślał, to przegram tę wojnę, zanim się w ogóle zacznie. „Oregon” wysłał pomoc, ale nawet przy wykorzystaniu maksymalnej szybkości przelotowej *bella* mogła tu dotrzeć dopiero za kilka godzin. Gurt, jego przyjaciel i towarzysz broni, z każdą minutą był coraz słabszy. Siniał i często tracił przytomność.

Nagle do namiotu wrócił Gampo.

W jednej dłoni ścisnął pęk długiej trawy, w drugiej pecynę czegoś o wyglądzie błota, brodą przytrzymał kawał mięsa jakiejś nieokreślonej bestii.

- Dokąd polazłeś, do cholery? – zapytał Murphy.
- Przegarnij palenisko – poleciał spokojnie Gampo, kładąc na ziemi trawę i błoto – i wrzuc do ognia to – dodał i odczepił od pasa skórzany woreczek ze sproszkowanymi minerałami. – W namiocie musi być dużo dymu. Kiedy zrobisz to, co ci powiedziałem, rozgotuj mi to w herbacie na bulion – wskazał mięso.

Murphy popatrzył na niego jak na wariata.

Ale Tybetańczyk był już zajęty czyszczeniem i opatrywaniem rany Gurta, więc Murphy wziął się do roboty. Dwie minuty później namiot wypełnił dym o zapachu podobnym do cynamonu z cytryną. Po następnych trzech minutach Gampo wyprostował się i spojrzał na Murphy'ego. Potem pokazał gestem, żeby pomógł mu podnieść Gurta do pozycji siedzącej. Trawa i błoto wyschły, tworząc dwa podłużne opatrunki z przodu i z tyłu ramienia. Przylegały do skóry jak przyklejony plaster. Gurt poruszył powiekami, otworzył oczy i wziął kilka głębokich oddechów.

- Daj mi bulion z niedźwiedzia – powiedział Gampo. – Pójdę wlać benzynę do waszego statku powietrznego.

Tuż za granicą rosyjsko-mongolską generał Aleksander Kiernieczikow oddychał głęboko powietrzem przesyconym spalinami diesla. Po opuszczeniu Nowosybirsk

jego kolumna pancerna przemknęła przez Kraj Ałtajski jak dragster do wyścigów na ćwierć mili. Kiernieczikow jechał w pierwszym czołgu z głową wystającą z otwartego przedniego włazu i kontaktował się z innymi oficerami przez helmfon. Baretki na jego mundurze wystarczyłyby do przybrania choinki. W ustach trzymał niezapalone kubańskie cygaro. W ręku miał odbiornik GPS i monitorował szybkość kolumny.

Do granicy tybetańskiej było osiemset kilometrów. Czołgi jechały z prędkością pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

Kiernieczikow podniósł głowę, gdy wysoko w górze przeleciała eskadra myśliwców. Potem wywołał przez radio swojego oficera wywiadu i zapytał, czy jest coś nowego. Usłyszał, że za kilka godzin ma padać śnieg. Poza tym bez zmian.

W Makau inspektor Sung Rhee zaczynał tracić cierpliwość.

Marcus Friday dowiedział się, że odnaleziono jego samolot i rozkazał pilotowi, żeby wrócił po niego i zabrał go z miasta. Stanley Ho był wciąż wściekły z powodu kradzieży jego bezcennego Buddy. Późniejsze odkrycie, że odzyskany przez Fridaya posąg to falsyfikat, rozwścieczyło go jeszcze bardziej.

Kiedy Chińska Marynarka Wojenna zdała sobie sprawę, że statek zatrzymany przez nią bezprawnie na pełnym morzu nie ma nic wspólnego z incydentem w Makau, rozszerzyła krąg poszukiwań i wytropiła „Oregona” w Wietnamie.

Po wykonał kilka telefonów do zaprzyjaźnionego policjanta w Da Nang i ustalił, że pewien C-130 odleciał stamtąd do Bhutanu. Dzięki następnym telefonom i paru łapówkom uzyskał informację, że grupa, która ukradła posąg, jest podobno w drodze do Tybetu.

Tybet był chińskim regionem, a Po chińskim policjantem, toteż postanowił pójść tym tropem. Poleciał z Makau do Czungtu i dotarł do celu ostatnim samolotem, jaki wylądował wieczorem na lotnisku Gonggar. Zanim dojechał do siedziby biura bezpieczeństwa publicznego, tybetańskiej policji, urząd był już zamknięty. Zameldował się w hotelu i zaczekał do rana.

Rano w Lhasie panował chaos, ale udało mu się spotkać z szefem policji i dostać sześciu ludzi do pomocy w śledztwie, zanim nastąpiła eskalacja walk ulicznych. Już wiedział, kto jest liderem zespołu muzycznego. Twarz Cabrillo na kasecie z jedynej czynnej kamery wideo wryła mu się w pamięć tak głęboko, że tylko choroba psychiczna lub śmierć mogłaby wymazać ten obraz.

Po wybrał się na poszukiwania swojego celu – nie miał pojęcia, że nadciąga wojna.

Kiedy razem z innymi policjantami wsiadał do dużego, siedmioosobowego samochodu terenowego, żeby przeczesać Lhasę, chińscy wojskowi zdali sobie sprawę z powagi sytuacji. Zaczęli gromadzić siły, żeby odzyskać kontrolę nad miastem i stłumić bunt.

*Dungkar* też zaczęli wprowadzać w życie swój plan.

Czas uciekał i Cabrillo nie miał chwili do stracenia.

Jak na człowieka wyrwanego ze snu, związanego i przetransportowanego pod strażą na lotnisko na południu, Legchog Zhuren był zaskakująco wojowniczy. Cabrillo najpierw spróbował zaapelować do jego sumienia i zapytał go o procedury postępowania z trującym gazem i miejsce przechowywania pojemników. Ale Zhuren plunął mu w twarz i wyprężył pierś.

Najwyraźniej nie miał sumienia.

– Zwiążcie go – rozkazał Cabrillo.

Dotąd okazywał więźniowi szacunek, pozwalając mu siedzieć swobodnie na krześle na wprost siebie. Teraz nadszedł czas, żeby wydobyć z niego niezbędne informacje i dlatego chiński urzędnik musiał być skrepowany. Seng i Gannon owinęli mu ręce i nogi taśmą samoprzylepną i przymocowali do krzesła.

– Przygotuj zastrzyk – powiedział Cabrillo do Huxley.

– Co to ma... – zaczął Zhuren.

– Prosiłem cię grzecznie – przerwał mu Cabrillo – żebyś pomógł mi uratować Chińczyków w Tybecie i miejscową ludność. Wygląda na to, że nie chcesz z nami współpracować. Mamy pewien środek, który rozwiąże ci język. Proszę mi wierzyć, że opowiesz nam wszystko, od swojego pierwszego wspomnienia z dzieciństwa do ostatniego stosunku seksualnego. Jest tylko jeden problem – nie zawsze udaje nam się dobrać odpowiednią dawkę. Jeśli będzie za duża, wymażemy ci z pamięci wszystko, jakbyśmy wytarli tablicę szkolną mokrą ścierką. Zwykle stopniowo zwiększamy dawkę, ale z ciebie jest kawał kutasa, więc darujemy to sobie.

– Kłamiesz – wykrztusił przerażony Zhuren.

– Pani doktor – zwrócił się Cabrillo do Huxley – dwadzieścia centymetrów sześciennych w ramię porucznika, proszę.

Huxley podeszła do chińskiego oficera lotnictwa wciąż przywiązanego do krzesła. Wypuściła trochę płynu ze strzykawki w powietrze, żeby mieć odpowiednią ilość, potem drugą ręką przetrła skórę wacikiem nasączonym alkoholem i wkuła igłę w żyłę. Cabrillo wpatrzył się w tarczę zegarka i odczekał piętnaście sekund.

– Nazwisko i miejsce urodzenia, proszę – powiedział.

Porucznik wyrzucił z siebie informację, jakby parzyła go w język.

– Ilu żołnierzy jest ogółem w Lhasie?

– Było około ośmiu tysięcy czterystu – odrzekł porucznik. – Ponad sześć tysięcy wysłano na północ w kierunku Mongolii. Zostało mniej więcej dwa tysiące czterystu. W tym około dwustu pięćdziesięciu chorych lub rannych. Pozostali to kompania S, kompania L...

– Wystarczy – przerwał Cabrillo.

– Mogę mówić dalej – uśmiechnął się porucznik. – Mamy następujące pojazdy pancerne: cztery T-59...

– W porządku – uciszył go Cabrillo.

Zhuren patrzył na oficera ze zgrozą.

– Pani doktor – powiedział wolno Cabrillo – proszę przygotować sto centymetrów sześciennych.

Zhuren zaczął mówić i minęło prawie pół godziny, zanim skończył.

Cabrillo przeszedł uważnie notatki z jego zeznań. Odwrócił się do Senga, wskazał miejsce na mapie, potem przyjrzał się zdjęciu satelitarnemu tamtej okolicy.

– Ja się tym zajmę – powiedział wolno. – Będę potrzebował dwunastu ludzi, osłony z powietrza i czegoś do zniszczenia gazu.

– Przeszukałem hangar – odezwał się Gannon. – Są tam dwie kasetonowe bomby zapalające.

– To powinno wystarczyć – odrzekł Cabrillo.

Stanley Ho mógł mieć rezydencję w Makau i wyglądać na porządnego obywatela, ale w rzeczywistości niewiele się różnił od ulicznego bandziora.

Odkąd zdał sobie sprawę, że Winston Spenser podmienił Złotego Budkę, nie przestawał planować zemsty. Nie chodziło tylko o to, że Spenser go wykołował – to była jedna sprawa. Gryzł go fakt, że w przeszłości wiele razy robił interesy ze Spenserem. Antykwariusz uśmiechał się do niego, a potem wbił mu nóż w plecy. Ho doszedł do wniosku, że Spenser cały czas bawił się z nim. Podlizywał się i załatwiał jego zlecenia po to, żeby później zrobić wielki przekręt. Potraktował go jak frajera, a tego Ho najbardziej nie cierpiał.

Ho wybrał się osobiście do biura imigracyjnego w Makau, żeby przekupić urzędnika. Dostał od niego listę wszystkich osób, które opuściły kraj nazajutrz po kradzieży. Drogą eliminacji doszedł do tego, że w grę wchodzi zaledwie trzy osoby. Potem wysłał trzech ludzi wynajętych od szefa lokalnej triady do Singapuru, Los Angeles i Asunción w Paragwaju. Dwa pierwsze tropy okazały się fałszywe. Podejrzanych obserwowano i zdyskwalifikowano, a ludzi triady wezwano z powrotem. Ho zastanawiał się, czy nie rozszerzyć poszukiwań. Pomyślał, że może przypadkowo odrzucił Spensera podczas pierwszej eliminacji. Obawiał się, że sprawa potrwa dłużej, niż planował.

Wtedy jego faks zaczął drukować zdjęcie.

Ho patrzył na fotografię, kiedy zadzwonił telefon.

– Tak czy nie? – zapytał po chińsku szorstki głos.

Ho uśmiechnął się.

– Ręce i głowa – powiedział cicho. – Włóżcie je na noc do lodu.

Rozmówca wyłączył się.

Paragwaj, a zwłaszcza Asunción, przypomina bardziej Europę niż Amerykę Południową. Masywne budynki i rozległe parki z fontannami kojarzą się z Wiedniem, nie z Rio. Spenser rzucił gołębiom trochę karmy kupionej w pobliskim automacie, potem otarł z czoła zimny pot.

Człowiek, który popełnia przestępstwo, nigdy nie jest wolny – nawet jeśli

wszystko wskazuje na to, że mu się udało.

To, że złamał prawo, nie daje mu spokoju i ciąży na jego psychice. Noszenie tego w sobie tylko pogarsza sprawę. Jedyne socjopaci nie mają wyrzutów sumienia. A jeśli nawet zdarza się to i zwykłym ludziom, Spencer do nich nie należał.

Antykwariusz otrzepał dłonie z resztek karmy, popatrzył na ptaki walczące o pożywienie i wstał. Było późne popołudnie. Postanowił wrócić do swojego hotelu i zdrzemnąć się przed wyjściem na późną kolację. Jutro zacznie szukać domu do wynajęcia i odbudowywać swoje życie. Dziś się naje, wyśpi i spróbuje zapamiętać.

Nie był głupi. Wiedział, że Ho będzie go szukał.

Ale w tej chwili Spenser starał się o tym nie myśleć. Uważał, że minie co najmniej kilka dni, zanim ktoś go tu wytropi – jeśli w ogóle komuś się to uda. Przez ten czas zdąży się wynieść ze stolicy na prowincję. Tam w końcu zaprzyjaźni się z kimś, kto go ostrzeże, jeśli jacyś ludzie zaczną go szukać. I ukryje go, jeśli będą zbyt blisko.

Zmęczenie osłabiło jego czujność. Jutro będzie się martwił. Dziś wieczorem zje doskonały stek argentyński i wypije całą butelkę czerwonego wina. Przeszedł przez park i ruszył brukowaną uliczką w górę do swojego hotelu.

Chodnik był pusty. Większość ludzi nie zakończyła jeszcze południowej sjeisty. Spenser poczuł się pewniej. Po drodze nucił *I Left My Heart in San Francisco*. W połowie odległości między przecznicami zobaczył zadaszenie nad wejściem do swojego hotelu.

Wciąż nucił, gdy z boku otworzyły się drzwi i ktoś zarzucił mu garotę na szyję. Spenser zadławił się słowami piosenki.

Zabójca z triady udusił go błyskawicznie i wciągnął do ogrodu na tyłach domu. Mieszkańcy wyjechali z miasta, ale to nie miało znaczenia dla zabójcy – gdyby nieszczęśliwie zostali w domu, ich też by zabił.

Minęły cztery dni, zanim znaleziono szczątki Spensera. Zwłoki nie miały dłoni i głowy, ale ręce skrzyżowano starannie na piersi. Za paskiem trupa tkwił paszport kanadyjski.



# 44

Truitt patrzył na morze, gdy turbośmigłowiec podchodził do lądowania w Tarawie, stolicy Kiribati. Woda miała jasnoszafirowy kolor, widać było wyraźnie rafy koralowe pod powierzchnią. Morze przemierzali rybacy w małych łódkach i łodziach z silnikami doczepnymi, w porcie stał przycumowany parowy tramp z czarnym kadłubem.

Scena jak z filmu *Południowy Pacyfik*.

Samolot nie był zatłoczony. Leciał nim tylko Truitt, puciołowaty wyspiarz, który nie przestawał się uśmiechać, i ładunek z tyłu. W kabinie unosił się zapach soli, piasku i wszechobecna w tropikach słaba woń pleśni. Było gorąco i wilgotno i Truitt ocierał czoło chusteczką.

Pilot sprowadził maszynę nad ziemny pas startowy i wylądował. Truitt poczuł uderzenie i wyraźne hamowanie. Samolot wytracił szybkość, a potem powoli kołował do betonowego terminalu. Mężczyzna patrzył przez okno, jak turbośmigłowiec zatrzymuje się przed budynkiem. Ogarnęła go fala wilgotnego gorąca i zapach kwiatów, kiedy pilot przeszedł do tyłu i opuścił drzwi. Wyspiarz wysiadł pierwszy i podszedł do kobiety z dwójką uśmiechniętych dzieci na rękach. Truitt wziął torbę podróżną z siedzenia za plecami, wstał i zszedł po stopniach. Prezydenci Kiribati i Tuvalu czekali.

Prawnik wynajęty przez Halperta siedział na tylnym tarasie przestronnego domku górskiego. W oddali, za łąką i kamiennym murem granicznym, stał stóg siana niepozostawiający wątpliwości co do charakteru terenu. Ciemnowłosa mężczyzna wyregulował przenośny grzejnik gazowy, potem usiadł w fotelu po drugiej stronie stołu.

Marc Forne Molne, szef rządu Andory, był uprzejmy, ale bezpośredni.

– Może pan przekazać swoim przełożonym, że naprawdę doceniam tę inwestycję w moim kraju. Zawsze chętnie widzimy u nas solidne firmy. Ale nawet gdyby nie zdecydowały się tu działać, głosowałibyśmy za wolnym Tybetem.

Molne znów wstał i zwiększył płomień w grzejniku.

– Przeciwstawianie się tyranii i uciskowi to dziedzictwo Andory.

Premier starł z rąk krople wody.

– Niech pan powie swoim zwierzchnikom, że mają nasz głos. I niech pan doda, że jeśli potrzebują jeszcze czegoś, wystarczy poprosić.

Prawnik wstał.

– Dziękuję panu. Natychmiast to przekażę.

Molne skinął ręką i jakby znikąd zjawił się lokaj.

– Zaprowadź pana do mojego gabinetu – polecił. – Chce skorzystać z telefonu.

Dwie godziny później Truitt zawarł porozumienie. Dwa kredyty, po jednym dla każdego kraju. Kiribati, z liczbą ludności nieznacznie przekraczającą osiemdziesiąt cztery tysiące, otrzymało osiem milionów czterysta tysięcy dolarów. Ponieważ Tuvalu miało prawie jedenaście tysięcy mieszkańców, dostało milion sto tysięcy. Następne pięć i pół miliona przeznaczono na rozwój ekoturystyki na dwóch łańcuchach wysp. Oba kraje postanowiły promować turystykę na wyspach, budując szereg małych ośrodków wypoczynkowych, gdzie miejscowi byliby przewodnikami, instruktorami nurkowania i nadzorcami.

Domki na palach miały być samoobsługowe. Turyści mogliby sami sprzątać swoje kwatery.

Truitt złapał ostatni samolot powrotny w Wielkanoc.

W centrali na „Oregonie” Hanley patrzył na przekaz satelitarny z Tybetu i rozmawiał przez telefon.

– Jesteś pewien, Murph? – zapytał. – Będzie w stanie pilotować?  
– To było jak magia – odrzekł Murphy przez bezpieczną linię. – Gurt wygląda lepiej niż przed postrzałem. W tej chwili jest na zewnątrz i naprawia helikopter.

– Zaczekaj – powiedział Hanley. – Odwołam kawalerię.

Sięgnął po radio kodujące i wywołał helikopter ratowniczy.

– Zostańcie tam, gdzie jesteście – polecił – i czekajcie. Jeśli dobrze obliczam zużycie paliwa, powinniście mieć jeszcze ponad połowę zbiorników. Zaczekajcie, dopóki nie zobaczycie w powietrzu drugiego bella, potem lećcie za nim z powrotem do Gonggar.

– Przyjąłem – odpowiedział pilot. – Kiedy może się zjawić?

– Są mniej więcej godzinę lotu od was – odparł Hanley – ale będę monitorował sytuację i zawiadomię was, kiedy będą blisko.

– Już lądujemy – zameldował pilot – i jesteśmy w pogotowiu.

W Waszyngtonie nadszedł czas działania.

Langston Overholt siedział w Gabinetcie Owalnym i czekał na prezydenta. Truitt zawiadomił Hanleya o powodzeniu swojej misji. Ten przefaksował szczegóły Cabrillo w Tybecie. Potem zadzwonił do Overholta i przekazał mu wiadomość.

Wtedy Langston pojechał do Białego Domu porozmawiać z prezydentem.

– Jak na kogoś, kto powinien trzymać się od tego z daleka – oświadczył prezydent, wchodząc do gabinetu – jestem w to zaplątany jak kotek w kłębek wełny.

W Waszyngtonie dawno minęła północ i prezydent szykował się do snu, kiedy go wezwano. Miał na sobie szare spodnie dresowe i niebieski T-shirt. Popijał sok pomarańczowy ze szklanki.

Popatrzył na Overholta i uśmiechnął się.

– Musiałeś wiedzieć, że do późna oglądam Saturday Night Live.

– Czy nie robią tego wszyscy politycy, panie prezydencie? – zauważył Overholt.

- Możliwe. Podobno ten zwyczaj kosztował Geralda Forda elekcję.
  - Jak poszło, panie prezydencie? – zapytał Overholt.
  - Z Katarom łatwo – odrzekł swobodnie prezydent. – Ja i pan al-Thani jesteśmy starymi przyjaciółmi. Z Brunei trudniej. Sułtan chciał, żebym w kilku sprawach poszedł na ustępstwo. Obiecałem mu to i zgodził się.
  - Przepraszam, że musieliśmy pana w to zaangażować, panie prezydencie – powiedział Overholt. – Ale kontrahentom brakowało ludzi i czasu.
  - Macie ostatni głos? – zapytał prezydent. – Laos jest z nami?
- Overholt zerknął na zegarek.
- Jeszcze nie, panie prezydencie. Ale za piętnaście minut będzie.
  - Poinstruuje naszego ambasadora w ONZ-cie, żeby rano zażądał specjalnego głosowania – obiecał prezydent. – Jeśli twoi ludzie utrzymają fort przez sześć godzin, będziemy w domu.
  - Zaraz ich zawiadomię, panie prezydencie – powiedział Overholt i wstał.
  - Dobrze. W takim razie idę złapać kilka godzin snu.
- Agent Secret Service zaprowadził Overholta do windy i tajnego tunelu. Dwadzieścia minut później Langston wracał swoim samochodem do Langley.

Biały transportowy boeing 747 zwolnił i zatrzymał się na końcu pasa startowego w Wientian, potem podkołował do strefy parkingowej. Pilot wyłączył silniki i kiedy przestały się obracać, zaczął podnosić cały dziób maszyny, odsłaniając rozległą ładownię. Do dolnej krawędzi otworu w kadłubie przymocowano pochylnię i na płycę lotniska wyjechały kolejno samochody.

Pierwszy był cytrynowozielony plymouth superbird z silnikiem hemi. Drugi, żółty ford mustang boss 302, rocznik 1971, z wlotem powietrza na masce, listwami zasłaniającymi na zewnątrz tylną szybę i licznikiem zegarowym do wyścigów na ćwierć mili na tablicy przyrządów. Trzeci, czerwony pontiac GTO kabriolet z roku 1967, z czarnym wnętrzem, czerwonymi obrzeżami opon i klimatyzacją. Ostatnia wyjechała zielona corvette'a greenwood, rocznik 1967, z fabrycznym pakietem poprawiającym osiągi i blokadą mechanizmu różnicowego.

Mężczyzna, który ostrożnie wyprowadził samochody z wnętrza boeinga, był średniego wzrostu i miał gęste kasztanowe włosy. Kiedy tylko corvette'a zjechała na płycę, sięgnął do schowka na tablicy przyrządów i wyjął list. Potem wysiadł i zapalił camela z filtrem.

- To pewnie pan jest tym generałem – powiedział do oficera nadchodzącego na czele dwunastu żołnierzy.
- Tak.
- Keith Lowden – przedstawił się mężczyzna. – Miałem to panu przekazać. Generał przeczytał list, złożył i schował do tylnej kieszeni spodni.
- To oryginały?
- Tak – odrzekł Lowden. – Zgadzą się wszystkie numery seryjne.

Potem skinął na generała, żeby podszedł do superbirda i zaczął opowiadać o samochodzie, dokumentacji i rzadkich opcjach. Zanim skończył z drugim samochodem, bossem 302, generał przerwał mu.

- Chce pan... – zaczął, ale zadzwoniła komórka Lowdena.
- Przepraszam – powiedział Lowden i odebrał. Słuchał przez minutę, potem zasłonił ręką telefon i odwrócił się do generała. – Chcą wiedzieć, czy umowa stoi.

Generał skinął głową.

- Wszystko gra – przekazał Lowden.

Wyłączył się i znów odwrócił do generała.

- O co chciał mnie pan zapytać?
- Czy miałby pan czas zostać na noc w moim kraju, żebyśmy mogli porozmawiać o samochodach – wyjaśnił generał.

Lowden uśmiechnął się.

- Sam nie wiem. Jest tu jakieś piwo?

Generał odwzajemnił uśmiech.

- Jedno z najlepszych.
- To dobrze – powiedział Lowden. – Bo nie można rozmawiać o samochodach, kiedy człowiek jest spragniony.

Po i jego sześciuosobowy zespół przeszukiwali Lhasę, ale jeszcze nie znaleźli żadnego Amerykanina ani Europejczyka. Wszyscy policjanci towarzyszący detektywowi byli Tybetańczykami i nie przypadli mu do gustu. Po pierwsze, jak większość ludzi, nie cierpiał zdrajców – jakkolwiek na to patrzeć, Tybetańczycy pracujący w biurze bezpieczeństwa publicznego sprzedali się Chińczykom. Po drugie, okazali się leniwi. Przepytywali ludzi od niechcenia i sprawiali wrażenie, jakby nie zależało im na znalezieniu podejrzanych, których szukał detektyw. Po trzecie, jak na członków doborowych sił policyjnych, wydawali się kiepsko wyszkoleni.

Ale Po nie miał wyboru, więc podwajał własne wysiłki i liczył na łut szczęścia.

- Skurwysyny – zaklął wściekle Cabrillo. – To tak, jakby podłożyć bombę atomową w Watykanie.

Zhuren zdradził im właśnie, gdzie jest trujący gaz. Okazało się, że w Potali, siedzibie dalajlamy, jednym z najbardziej świętych miejsc w całym Tybecie. Chiński plan był okrutny, ale pomysłowy. Potala stoi na wzgórzu za miastem. Wystarczyłoby zaczekać na sprzyjający wiatr, żeby zagazować Lhasę w ciągu kilku minut.

Seng skinął głową i sięgnął po swoje radio nadające sygnał wywoławczy.

- Mów, „Oregon” – zgłosił się.
- Jest tam Cabrillo?
- Moment – odrzekł Seng i wręczył prezesowi aparat.
- Juan – powiedział szybko Hanley. – Mamy wszystkie głosy. Musicie tylko wytrzymać kilka godzin i nadejdzie pomoc.

– Co z Rosjanami? – zapytał Cabrillo.

Hanley spojrział na duży monitor na ścianie.

– Są mniej więcej pięć godzin drogi od granicy mongolsko-tybetańskiej.

– Skontaktuj się z nimi i każ im zwolnić – polecił Cabrillo. – Jeśli kolumna pancerna dojedzie do granicy przed głosowaniem, możemy mieć III wojnę światową.

– Załatwię to – obiecał Hanley. – Co u was?

– Właśnie odkryłem, że Chińczycy mają ostatniego asa w rękawie – odrzekł Cabrillo. – Gaz paraliżujący.

– Znasz jego lokalizację i skład chemiczny? – zapytał Hanley.

Cabrillo wyrecytował komponenty.

– Zaraz popracujemy nad tym, jak go unieszkodliwić – odparł Hanley.

– Dobrze – powiedział Cabrillo. – Przez ten czas ustalę, gdzie dokładnie się znajduje.

– Wiedziałem, że to powiesz – odrzekł Hanley.

„Oregon” wpływał do Zatoki Bengalskiej, żeby ewakuować zespół. Wiadomość o walkach ulicznych w Lhasie dotarła do mediów. Ekipy telewizyjne, radiowe i prasowe kończyły przygotowania do wyjazdu na miejsce zdarzeń. Interesy prowadzone przez korporację wymagały zachowania jej istnienia w tajemnicy, dlatego musiała wycofać się z Tybetu, zanim zjawią się tam reporterzy.

Jak dotąd, wszystko szło zgodnie z planem, ale mogło się jeszcze wydarzyć coś nieprzewidzianego.

Fortel Rosjan skutecznie związał chińskie wojska lądowe daleko na północy, ale teraz zagrożeniem było lotnictwo. Gdyby Pekin wydał eskadrom bombowców i myśliwców rozkaz zaatakowania Tybetu, skutki byłyby katastrofalne. *Dungkar* mieli ograniczone środki obrony przeciwlotniczej. Naloty dywanowe na Lhasę spowodowałyby ciężkie straty.

Jedyną nadzieją było to, że media ujawnią prawdę o Chinach.

Gdyby dzięki przekazom telewizyjnym świat zobaczył, że Tybetańczycy sami pokonali okupantów i kraj jest w rękach narodu i jego duchowego przywódcy, dalajlamy, chińskie naloty uznano by za bezsensowny akt brutalności. Ogólnoświatowe potępienie byłoby ciężarem, którego nawet Chiny nie zdołałyby udźwignąć.

Hanley zadzwonił do Bhutanu i wydał rozkaz przygotowania transportowców C-130 do ewakuacji zespołu.

– Alpinista Jeden do Ratownika – powiedział Murphy.

Gurt pilotował bella 212 nad górską doliną z poszarpanymi szczytami z każdej strony. W odległości kilku kilometrów widział helikopter ratowniczy czekający na ziemi. Kiedy Murphy obserwował śmigłowiec przez lornetkę, rotor zaczął się obracać, potem nabrał szybkości i łopaty zamazały się.

– Tu Ratownik Jeden – zatrzeszczało radio. – Widzimy was i ruszamy za wami.

Murphy obserwował, jak helikopter unosi się i zawisa wysoko, potem wolno rusza naprzód. Przysunął się do bocznej szyby, obejrzał i wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, czy helikopter leci z boku za nimi.

– Jak się czujesz? – zapytał Gurta przez interkom.

– Jakby muł kopnął mnie w ramię. Ale ogólnie, całkiem nieźle.

– Ciekawe, co ci dał Gampo – powiedział Murphy.

– Jakiś starodawny napój tybetański – odrzekł Gurt, patrząc na wskaźniki. – Mam tylko nadzieję, że to będzie nadal działało.

– Rozmawiałem z „Oregonem” – odparł Murphy. – Jeden z pilotów rezerwowych zabierze cię z powrotem do Bhutanu.

– Miałem fart. Myślałem, że już po mnie.

- Ja też, stary – odpowiedział cicho Murphy.

Dla Chińczyków bitwa o Lhasę prawie się skończyła. Stracili inicjatywę, kiedy King zatrzymał kolumnę transporterów opancerzonych. Od tej chwili Tybetańczycy wpadli w szal, który nie znał granic.

Drużyny pod dowództwem generała Rimpoche'a rozbiegły się po mieście i otoczyły Chińczyków w koszarach i na wszystkich posterunkach. Walka o bazę transportową była krwawa, ale po czterdziestu minutach zażartych zmagania jego żołnierze opanowali placówkę.

- To cała czerwona farba, jaka była w mieście – zameldował tybetański żołnierz na ogrodzonym placu bazy.

Generał Rimpoche siedział na fotelu pasażera w chińskim dżipie. Wokół łydki miał zakrwawiony bandaż. Został trafiony odłamkiem granatu, gdy prowadził swoich ludzi do ostatniego natarcia.

- Oznaczenie zdobyte transportery opancerzone i trzy pozostałe czołgi symbolami dalajlamy – rozkazał i zakaszał. – Potem zawiadomcie nasze siły, że przejęliśmy te pojazdy.

Żołnierz pobiegł wykonać zadanie. Do generała podszedł adiutant.

- Znalazłem dwunastu ludzi, którzy mają przynajmniej podstawowe umiejętności kierowców – powiedział. – Możemy wyjechać tymi pojazdami na ulice, kiedy tylko zostaną pomalowane.

- To dobrze – odrzekł Rimpoche. – Musimy pokazać, że mamy kontrolę nad miastem.

W tym momencie usłyszał helikopter lecący z Gonggar. Uniósł głowę i patrzył, jak maszyna kieruje się do pałacu Potala.

Detektyw Po i jego miejscowi pomocnicy właśnie uciekli przed tłumem Tybetańczyków, którzy chcieli ich złapać. Po był teraz na wschodnich obrzeżach miasta. Coraz bardziej wątpił w powodzenie swojej misji. Albo nikt nie odpowiadał rysopisom poszukiwanych, albo Tybetańczycy przepytывani przez niego i jego ludzi kłamali. Ale było jeszcze coś – zmienił się nastrój panujący w mieście.

Od pół godziny Po czuł się bardziej jak zwierzyna niż myśliwy.

Nikt nie odpowiedział na jego ostatni telefon do biura bezpieczeństwa publicznego. I może mu się tylko zdawało, ale miał wrażenie, że jego tybetańscy pomocnicy patrzą teraz na niego inaczej.

Właśnie wtedy w górze przeleciał helikopter i zwolnił, żeby wylądować na równinie poniżej pałacu Potala.

- Zatrzymać samochód – rozkazał Po.

Kierowca zahamował i pojazd stanął. Śmigłowiec był w odległości zaledwie dwustu metrów, jego płozy właśnie dotknęły ziemi. Po uniósł do oczu lornetkę i wyteżył wzrok. Czekał, aż opadnie kurz wzbijany do góry podmuchem od rotora i z

maszyny wysiądą pasażerowie. Szef grupy był w hełmie lotniczym i wskazywał pozostałym jakieś miejsce na terenach pałacowych. Po zobaczył, że mężczyzna odpina od pasa telefon komórkowy i zdejmuje hełm.

Detektyw nadal patrzył przez lornetkę. Mężczyzna miał krótkie jasne włosy, ale twarz wyglądała znajomo. Po czekał.

- Jesteś pewien, Max? – zapytał Cabrillo.
- Właśnie dostałem potwierdzenie – odrzekł Hanley z „Oregona” oddalonego o ponad półtora tysiąca kilometrów.
- W porządku, wchodzę – powiedział Cabrillo.
- Media są w drodze – poinformował go Hanley – a dalejlana już opuścił Indie. I on, i reporterzy powinni być w Lhasie za godzinę. Musicie się stamtąd wynosić. Wysłałem z Thimphu C-130, a Seng zbiera ludzi. Zróbcie swoje i znikajcie stamtąd.
- Mogę powiedzieć tylko tyle, że lepiej się postaraj, żeby na pokładzie tamtego samolotu było trochę piwa – odparł ze śmiechem Cabrillo.
- Załatwione – odparł Hanley.

Uśmiech. Taki sam, jak człowieka na kasecie. Po schował lornetkę do futerału i odwrócił się do kierowcy.

- Do pałacu.
- Helikopter podniesie was i ładunek do tamtego poziomu – powiedział Cabrillo, wskazując białą, środkową część pałacu. – Potem zaczniecie szukać. Spotkamy się na dziedzińcu przylegającym do wyższej części budynku.

Tybetańczyk dowodzący drużyną skinął głową.

- Ja wejdę schodami i przeszukam niższe poziomy – dodał Cabrillo. Wyjął z helikoptera małą butlę tlenową i przypasał do pleców. Włożył zacisk na nos, otworzył dopływ tlenu i ruszył po stopniach w górę.

Helikopter uniósł się z równiny i dostarczył na miejsce żołnierzy i ładunek. Cztery minuty później u stóp schodów zatrzymał się samochód z Po i policjantami z biura bezpieczeństwa publicznego. Detektyw wyciągnął pistolet z kabury i na czele pomocników ruszył w górę schodów. Cabrillo zniknął w pierwszym budynku na szczycie.

Pusty helikopter wylądował z powrotem na równinie niedaleko samochodu.

Pilot zauważył pojazd i połączył się przez radio z „Oregonem”.

- Ma oznakowania biura bezpieczeństwa publicznego – powiedział.
- Zadzwoń do Cabrillo – obiecał Hanley. – Choć w tej chwili nie przejmowałbym się tym. Odbieramy sporadyczne sygnały radarowe. Jeszcze nie ustaliliśmy źródła. Obserwuj niebo.

George Adams dwukrotnie lądował, żeby zatankować chiński śmigłowiec szturmowy. Chuck Gunderson miał jeszcze połowę zbiornika. Jak dotąd, ich misja



przebiegała spokojnie. Gunderson został skierowany do monitorowania walki w bazie transportowej, ale *dungkar* opanowali placówkę tak szybko, że jego samolot okazał się niepotrzebny. Adams ciągle szukał celu do ostrzału. W ciągu ostatnich dwudziestu minut sytuacja w mieście zmieniła się – w kilku miejscach doszło do wymiany ognia, ale wyglądało na to, że Tybetańczycy mają pełną kontrolę nad Lhasą. Obaj mężczyźni widzieli to wyraźnie z powietrza – wojna była niemal zakończona.

- Wspaniały George, tu Mały – odezwał się przez radio Gunderson.
- Hej, Chuckie! – zawołał George. – Jesteś tak samo znudzony jak ja?
- Mówię ci... – zaczął Gunderson.
- Tu Alpinista Jeden – wtrącił się Murphy. – Trzy chińskie myśliwce właśnie przeleciały obok mnie i Ratownika Jeden. Jesteśmy osiemdziesiąt kilometrów od Lhasy w kierunku Gonggar.

- Wszyscy członkowie korporacji, tu „Oregon” – powiedział Hanley. – Wykryliśmy trzy chińskie myśliwce zbliżające się z północy. Zakładamy, że mają wrogie zamiary. Przygotować się do ukrycia. Wszystkie siły ofensywne, meldować się.

- Predator, gotowy – zgłosił się Lincoln ze swojego odległego stanowiska w Bhutanie.

- Szturmowiec Jeden, gotowy – odezwał się Adams.
- Transportowiec Jeden, gotowy – zawtórował mu Gunderson.
- Przepraszam, panowie – odrzekł Hanley. – Tamci musieli zejść poniżej zasięgu radaru. Odbieramy teraz sporadyczne sygnały i spodziewamy się gości za kilka minut.

Trzy myśliwce mknęły kanionem z północy w kierunku Lhasy.

Cabrillo był w dużej sali modlitw z małymi pokojami po obu stronach. Przeszukiwał kolejno pomieszczenia, ale szło mu to bardzo wolno. Po i jego drużyna weszli już po schodach na górę. Detektyw zatrzymał się przed drzwiami, uniósł pistolet i zajrzał do środka. Nikogo nie zauważył, więc wśliznął się do wnętrza. Cabrillo przeszukiwał w magazynie duży stos drewnianych skrzyń. Był skoncentrowany na zlokalizowaniu trującego gazu i nieświadomy tego, że na zewnątrz jest Po i jego ludzie. W skrzyniach znalazł zwoje papieru, stare księgi i dokumenty. Wytarł ręce i wyszedł.

Po stał za progiem z pistoletem wycelowanym w jego pierś. Sześciu policjantów z biura bezpieczeństwa publicznego mierzyło do niego z karabinów.

Cabrillo uśmiechnął się.

- Witam, panowie – powiedział swobodnie. – Właśnie zmieniam filtry w piecu. W tym starym pałacu jest słaby ciąg, kiedy napada dużo śniegu.

- Detektyw Ling Po z policji w Makau. Jest pan aresztowany za kradzież i zabójstwo.

- Zabójstwo? – zdziwił się Cabrillo. – Nikogo nie zabiłem.

- Pańska drobna kradzież posągu Buddy i późniejsza ucieczka kosztowała życie

trzech obywateli chińskich.

– Mówi pan o ataku Chińskiej Marynarki Wojennej na mój statek? – zapytał Cabrillo. – To oni zaczęli walkę.

W tym momencie pierwszy myśliwiec przeleciał nad Lhasą i rozpętało się piekło.

Ostrzeżenie Murphy'ego dało Adamsowi i Gundersonowi czas na przygotowania. Adams przywarł śmigłowcem do zbocza góry na zachód od Lhasy i odwrócił maszynę ogonem w kierunku myśliwców. Gunderson trzymał się blisko gór na wschodzie z minidziałkiem gotowym do otwarcia ognia. Bezzałogowy predator krążył wolno nad lotniskiem Gonggar jako osłona okolicy.

Myśliwce ostrzelały miasto, zabiły dziesiątki Tybetańczyków i poleciały dalej w kierunku lotniska. Minutę później zbliżyły się do Gonggar i działka przeciwlotnicze otworzyły ogień. Pilot pierwszego myśliwca przeleciał nad lotniskiem przez grad pocisków, zatoczył łuk w lewo i zawrócił w kierunku Lhasy. Na tle góry pojawił się wolno śmigłowiec. Potem spod jego kadłuba buchnął obłok dymu i wystrzeliła smuga ognia.

Adams patrzył na monitor kamery wideo i korygował tor lotu pocisku mknącego w kierunku myśliwca. Wycelował w kadłub, trafił w skrzydło. Pilot się katapultował i Adams zobaczył czaszę spadochronu.

Pilot drugiego myśliwca wykonał podręcznikowy manewr i odbił w prawo. Wracał do Lhasy, gdy ekran jego radaru pokazał cel po stronie lewego skrzydła. Zanim zdążył zareagować, pojawił się chiński transportowiec. Zdezorientowany obecnością pozornie przyjaznej maszyny, pilot myśliwca zawahał się przed oddaniem strzału.

– Ognia! – ryknął z kokpitu Gunderson.

Tybetański strzelec pokładowy nacisnął spust i seria podziurawiła bok myśliwca jak śrut brzuch kaczki. Żołnierz nie przerywał ostrzału, choć myśliwiec zniknął mu z oczu.

– Chyba go trafiłeś! – krzyknął przez ramię Gunderson. – Wstrzymaj ogień.

Zatoczył łuk i dostrzegł, że płonący wrak opada korkociągiem ku zboczcu góry. Nie zauważył spadochronu, pilot się nie uratował.

Kiedy tylko pilot trzeciego myśliwca zorientował się, że są pod ostrzałem, wzbil się pionowo w powietrze. Ale predator siedział mu już na ogonie.

– Salwa z czterech – powiedział Lincoln przez radio i wystrzelił wszystkie swoje pozostałe pociski jednocześnie.

Odrzutowiec mknął do góry, ale lżejsze i mniejsze pociski były szybsze.

Tybetańczycy na ziemi patrzyli, jak prosto ku niebu wznosi się biały ślad myśliwca. Ścigały go dwie podwójne smugi pary. Potem wysoko nad Lhasą eksplodowała kula ognia. Trzy myśliwce zostały wyłączone z walki.

– Idź zobaczyć, co to było – rozkazał Po jednemu z Tybetańczyków.

Policjant wyszedł, popatrzył w dół na Lhasę i wrócił do środka.

- Samoloty atakują.
- To znaczy, że Chińczycy z powrotem przejmują miasto – stwierdził Po. – Za kilka minut...

W tym momencie zadzwonił telefon Cabrillo. Prezes odebrał.

- Przepraszam – zwrócił się do Po i zasłonił komórkę ręką. – W porządku – powiedział do telefonu. – Okay, dobra. Nie, jeszcze nie. Jest drobna przeszkoda. Zjawił się tu policjant z Makau, który...

Po wsunął pistolet do kabury i walnął w aparat. Komórka upadła na podłogę.

- Nie powinien był pan tego robić – zauważył Cabrillo. – Nie wykupiłem przedłużonej gwarancji.

Detektywowi puściły nerwy. Musiał szybko odzyskać panowanie nad sobą.

Na „Oregonie” Hanley czekał na linii.

- Pod ścianę – warknął Po i pociągnął Cabrillo w stronę kamiennego muru. Potem się cofnął.

Cabrillo stał pod ścianą i powoli uświadamiał sobie, co się dzieje.

- Co ty sobie wyobrazasz, Po? – parsknął do detektywa. – Że jesteś sędzią, ławą przysięgłych i katem?

- Ustawić się w szeregu – rozkazał policjantom Po.

Tybetańczycy z wycelowanymi karabinami sformowali pluton egzekucyjny.

Na „Oregonie” razem z Hanleyem nasłuchiwał Eric Stone.

- I co zrobimy? – zapytał.

Hanley podniósł rękę i uciszył go.

- W imieniu władz Makau – zaczął Po – wysłuchałem twojego przyznania się do winy i uznaję cię winnym zabójstwa. Skazuję cię na karę śmierci przez rozstrzelanie z natychmiastowym wykonaniem wyroku.

Stone spojrział z przerażeniem na Hanleya, ale ten zachował kamienną twarz.

- Chcesz powiedzieć ostatnie słowo lub masz jakieś życzenie? – zapytał Po.
- Mam – przytaknął Cabrillo. – Proszę, żebyś natychmiast skończył z tym bzdurami. Gdzieś w tym pałacu jest zabójczy gaz i jeśli go szybko nie znajdziemy, wszyscy zginiemy.

- Dość tych kłamstw! – zagrział Po. – Pluton egzekucyjny, przygotować się do otwarcia ognia.

Cabrillo przesunął dłonią po krótkich włosach, uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo.

- Ognia! – krzyknął Po.

Huknęły strzały i salę modlitw wypełnił zapach prochu.

- Są – powiedział dowódca drużyny *dungkar*.

Trzy pojemniki ze stali nierdzewnej były oznakowane chińskimi symbolami. Stały dokładnie tam, gdzie powiedział Zhuren. Tybetańczycy rozstawili urządzenie do spalania gazu, potem zaczęli wkładać maski i gumowe rękawice.

– Czy ktoś widział Amerykanina? – zapytał dowódca drużyny.

Wszyscy odpowiedzieli przecząco.

– Zaczynajcie – rozkazał dowódca. – Wolno i ostrożnie. Pójdę na dół złożyć meldunek.

Dym się rozwiął, a Cabrillo nadal stał.

Jeden z funkcjonariuszy biura bezpieczeństwa publicznego wyciągnął detektywowi pistolet z kabury. Potem obszukał go szybko, żeby sprawdzić, czy nie ma innej broni.

– Chybiliście – stwierdził Cabrillo i starł krew z policzka. Odprysk kamienia przeciął mu skórę.

Stone spojrział na Hanleya, który się uśmiechnął.

– Ci Tybetańczycy są z nami – wyjaśnił. – Byli od początku.

Stone z rozdrażnieniem wyrzucił rękę do góry.

– Nikt mi nic nie mówi – poskarżył się.

Cabrillo szedł, żeby podnieść telefon z podłogi, gdy do sali wpadł dowódca *dungkar*. Stał jak wryty i popatrzył zaszokowany na całą scenę. Na przeciwległej ścianie widniał zarys sylwetki ludzkiej, który tworzyły dziury po pociskach. Pięciu policjantów z biura bezpieczeństwa publicznego stało z karabinami, szósty zakładał kajdanki jakiemuś mężczyźnie.

– Znaleźliśmy gaz – wyrzucił z siebie Tybetańczyk. – Już go spalamy.

Cabrillo schylił się i podniósł telefon.

– Max – odezwał się – słyszałeś to?

– Tak, Juan – potwierdził Hanley. – A teraz wynoście się stamtąd, do cholery.

Cabrillo złożył telefon na pół i schował do kieszeni.

– Norquay, jak się domyślam? – zapytał przywódcę grupy policjantów z biura bezpieczeństwa publicznego.

– Tak jest – odpowiedział mężczyzna.

– Pomóżcie *dungkar* zniszczyć gaz – polecił Cabrillo. – Potem zabezpieczcie pałac. Generał Rimpoche niedługo skontaktuje się z wami. Dzięki za pomoc.

Norquay skinął głową.

– Za wolny Tybet! – krzyknął Cabrillo.

– Za wolny Tybet! – zawołali mężczyźni.

Cabrillo ruszył do drzwi.

– Moment – odezwał się Norquay. – Jest jeszcze coś.

Cabrillo przystanął.

Norquay wskazał Po.

– Co mamy z nim zrobić? – zapytał.

Cabrillo uśmiechnął się.

– Puście go. – Sięgnął do klamki. – Ale zabierzcie mu mundur i dokumenty. Jest zbyt nerwowy, żeby być policjantem.

Cabrillo wyszedł, zbiegł na dół po schodach i wszedł do helikoptera. Pięć minut później był z powrotem na lotnisku Gonggar. Dziesięć minut później on i jego zespół lecieli C-130. W powietrzu minęli eskadrę wynajętych helikopterów kierujących się do Bhutanu. Pilot transportowca pomachał im na pożegnanie skrzydłami. Helikoptery odpowiedziały błyskami świateł lądowniczych.

Po krótkim locie zespół miał być znów na „Oregonie”.

Informacje o wydarzeniach w Tybecie docierały do Pekinu, gdzie zwołano pilne zebranie. Prezydent Jintao zapytał wprost:

- Jaka jest nasza sytuacja?
- Moglibyśmy wysłać do Lhasy bombowce – odrzekł szef chińskich sił powietrznych. – A potem spadochroniarzy.
- Ale to uszczupliłoby nasze siły na granicy z Mongolią – zauważył prezydent. – Jakie są ostatnie doniesienia wywiadu o ruchach Rosjan?

Szef chińskiego wywiadu był niskim mężczyzną z wydatnym brzuchem. Zanim się odezwał, poprawił okulary.

- Siły rosyjskie są wystarczające, żeby odepchnąć i oskrzydlić nasze oddziały, które w tej chwili wciąż kierują się przez przełęcz do prowincji Cinghaj. Gdyby Rosjanie dodatkowo użyli lotnictwa, moglibyśmy stracić prowincję Cinghaj i region autonomiczny Sinciang, czyli praktycznie cały zachodni rejon przygraniczny.

– Zdobyliby zakłady w Lop Nur pracujące nad tajną, zaawansowaną bronią i dużą część naszego programu kosmicznego – powiedział zmęczonym głosem Jintao.

- Obawiam się, że tak – przyznał szef wywiadu.
- Dobrze... – zaczął prezydent, gdy do pokoju wpadł jego sekretarz, podszedł i szepnął mu coś do ucha.

– Kontynuujcie dyskusję, panowie – polecił Jintao. – Mam pilne spotkanie. Ambasador Rosji nalegał, żebyśmy porozmawiali i przyjechał przed czasem.

Ambasador Rosji czekał w gabinecie obok. Na widok Jintao wstał.

- Panie prezydencie – zaczął z zakłopotaniem – przepraszam, że przeszkodziłem panu w zebraniu, ale prezydent mojego kraju polecił mi spotkać się z panem natychmiast.

– Przynosi mi pan wypowiedzenie wojny? – zapytał wprost Jintao i wskazał Rosjaninowi sofę w pobliżu okna z widokiem na ogrody.

Ambasador Rosji usiadł na lewym końcu sofy, Jintao na prawym.

- Nie, panie prezydencie – zaprzeczył Rosjanin i poprawił kanty spodni garnituru. – Przyszedłem zaproponować interes, który może zakończyć napięcie między naszymi krajami i z powrotem postawić na nogi gospodarkę chińską.

Jintao zerknął na zegarek.

- Ma pan pięć minut.

Ambasador Rosji wyjaśnił wszystko w ciągu czterech.

- Więc jesteście przekonani, że możecie przegłosować przyjęcie uchwały Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych? – zapytał Jintao.

- Możemy – przytaknął Rosjanin.

– Co dostaniemy, jeśli się przyłączymy? – zainteresował się Jintao. – Co zyskają Chiny, jeśli będą głosowały „za”?

Rosjanin uśmiechnął się.

- A pokój światowy?
- Myślałem o większym procencie złóż.

Dwie minuty później ambasador Rosji miał gotową ofertę.

- Pozwoli pan, że zadzwonię, panie prezydencie?
- Niech pan im powie, żeby natychmiast zatrzymali waszą kolumnę pancerną – zażądał Jintao. – Chcę mieć potwierdzenie z satelity.

Osiem minut później nowy udział Chin został zatwierdzony i rosyjskie czołgi stanęły. Dalsze negocjacje trwały do momentu głosowania w ONZ-cie.

W tym samym czasie, kiedy ambasador Rosji dzwonił do Moskwy, C-130 z członkami korporacji na pokładzie wlatywał w przestrzeń powietrzną Indii. Z prawej strony minął go odrzutowiec, którym dalajlama wracał do kraju. Piloci obu samolotów pomachali do siebie skrzydłami.

Niecałą godzinę później zespół dotarł do Kalkuty w Indiach, gdzie czekał hydroplan korporacji. Kilka minut po wylądowaniu C-130 pasażerowie zostali przerzuceni drogą powietrzną na statek.

Trzydziestego pierwszego marca przed zmierzchem „Oregon” płynął przez Zatokę Bengalską na południe.

Na pokładzie Hanley i Cabrillo patrzyli na zachodzące słońce.

– Po waszym starcie z Kalkuty dostałem telefon od Overholta – odezwał się Hanley.

– Założę się, że powiedział to, co zwykle – odrzekł Cabrillo. – Bła, bła, bła, dobra robota. Czekaj przyjdzie pocztą.

– Wspomniał o tym i o przelewie, który Halpert już potwierdził.

– O czym jeszcze? – zapytał Cabrillo.

– Ma dla nas następną robotę – odparł Hanley.

– Gdzie? – zainteresował się Cabrillo.

– W kraju północnego słońca, panie prezesie – odpowiedział Hanley. – Za kołem podbiegunowym.

Cabrillo wciągnął do płuc słone powietrze i ruszył do wjazdu.

– Chodź, opowiesz mi przy kolacji.

– Lepiej, żeby to była kolacja z drinkami – odparł Hanley. – Nie piłem koktajlu od czasu Kuby.

– Kuba – powiedział zmęczonym głosem Cabrillo. – Wydaje się, jakby to było lata temu.

# Epilog

Istnieją wspaniałe, wzniosłe momenty historii, które mogą się nigdy nie powtórzyć. Zaslugują na sfilmowanie i zachowanie w pamięci przez następne stulecia. Nie zdarzają się często. Są rzadkie jak perfekcyjnie wykonany skręt na nartach i zachwycające jak domowe lody w upalne lato. Istnieją, by przypominać przyszłym pokoleniom, że jest nadzieja.

Takim momentem był powrót dalajlamy do Lhasy.

Pierwszego kwietnia 2005 roku wstał pogodny, bezwietrzny dzień. Wydawało się, że wystarczy wyciągnąć rękę, by przesunąć palcem po ostrych szczytach pokrytych śniegiem gór otaczających miasto. Powietrze było nasycone energią. Przepęłniało wiernych nadzieją tłumioną przez dziesiątki lat i studziło żar wojny.

– Nie do wiary – powiedział cicho dziennikarz z Los Angeles.

Widok kojarzył się z Shangri-La, mityczną krainą leżącą gdzieś w Tybecie. Pałac Potala migotał jak miraż w umyśle zagubionego na pustyni człowieka. Na otaczających budowlę wzgórzach falowały łąki czerwonych i niebieskich kwiatów spływające po zboczach kolorowym wodospadem. Tysiąc buddyjskich mnichów w żółtych szatach wypełniało schody od stóp do szczytu niczym barwny łańcuch DNA. Z ich strojami kontrastowały widoczne z dołu fragmenty zielonych dachów niższych budynków. Białe mury budowli wyglądały tak czysto, jakby zniesienie ucisku usunęło z nich brud. Wysoko, w coraz cieplejszym powietrzu, krążył leniwie jastrząb.

Wybraniec wracał do domu.

Półtora kilometra dalej, na rozległej płaskiej łące poniżej pałacu, do niemal dwumetrowego gongu zawieszzonego na ciemnej, rzeźbionej, drewnianej ramie podszedł mnich. Spojrzał na dalajlamę, który siedział w złotym fotelu tronowym pod jedwabnym dachem z frędzlami podtrzymywanym na rogach przez cztery drewniane słupki. Tron trzymało w górze sześciu silnych mnichów.

Mnisi zaintonowali jednowyrazową pieśń i w gong uderzył młot z drewna i skóry.

Dźwięk gongu wypełnił powietrze. Jedno, drugie i trzecie uderzenie. Pochód ruszył. Na czele szedł *ngagpa* z symbolicznym kołem życia. Za nim posuwali się jeźdźcy tybetańscy na koniach udekorowanych ceremonialnymi okryciami. Skomplikowane hafty na tkaninie przedstawiały sceny z historii Tybetu. Jeźdźcy manewrowali końmi według precyzyjnej choreografii. Trzymali długie włócznie z brązu z trójkątnymi proporcami na końcach. Z tyłu maszerowały dwa tuziny łuczników z bronią opartą na ramionach. Za ich plecami dwunastu mężczyzn niosło klatki pełne śpiewających ptaków. Dalej szło pięćdziesięciu mnichów z macierzystego klasztoru dalajlamy w Namgyal. Śpiewali chórem monotonną pieśń i trzymali święte księgi.

Za mnichami jechała orkiestra konna. Około pięćdziesięciu mężczyzn grało na fletach i instrumentach strunowych, kierując końmi za pomocą kolan. Za muzykami



kroczyli następni mnisi z zakonu Tsedrung. Reprezentowali rząd tybetański. Dalej szły dzieci machające trójkątnymi, kolorowymi chorągiewkami, które pęsały w powietrzu jak latawce bez sznurków.

Z tyłu za dziećmi posuwali się kolejni jeźdźcy w tybetańskich mundurach wojskowych. Mieli poważne miny, zielone płaszcze i czerwone kapelusze. Co jakiś czas zatrzymywali konie, potem ruszali dalej. Kilka metrów naprzód i znów postój. Żołnierze trzymali tybetańskie godła państwowe. Za kawalerzystami dreptało dziesięciu bosych mnichów w żółtych szatach. Zawodzili głośno.

Następny jechał Złoty Budda. Posąg stał na płaskim wozie zaprzężonym w jednego konia.

Kilka metrów dalej podróżował na tronie dalajlama.

Wzdłuż trasy, którą orszak zmierzał do pałacu, stało dwieście tysięcy szczęśliwych Tybetańczyków. Tłoczyli się po obu stronach drogi przez łąkę. Dzień, o który się modlili i na który czekali przez kilkadziesiąt lat, wreszcie nadszedł. Kiedy pojawił się Złoty Budda, tłum oszalał z radości.

Wybuchła wrzawa. Wierni padli plackiem na ziemię, potem zaczęli zawodzić jednym głosem.

Gdy dalajlama posuwał się przez tłum, widział łzy radości na policzkach wiernych. Widok przepelniał go szczęściem, szacunkiem i poczuciem obowiązku. Uśmiechnął się.

Za tronem szli członkowie Kasagu, gabinetu dalajlamy. Za nimi kroczyli Kusun Depon, jego osobista ochrona. Byli ubrani na czarno i uzbrojeni w zakrzywione szable. Dalej, na czele plutonu żołnierzy, maszerował *mak-chi*, głównodowodzący armią tybetańską.

*Mak-chi* i jego oddział mieli na sobie ceremonialne mundury – niebieskie spodnie i żółte tuniki ze złotymi galonami. Szli miarowym krokiem, wybijając butami rytm. Następni w pochodzie byli duchowi opiekunowie i nauczyciele dalajlamy, jego rodzina i przyjaciele.

Orszak zamykał wóz konny z tygrysem w klatce i jeździec z zakazaną wcześniej flagą tybetańską na dziesięciometrowym drzewcu. Parada była wspaniała i uroczysta. Symbolizowała dwa tysiące lat tradycji i pięćdziesiąt pięć lat wygnania.

Poprzedniej nocy u stóp dwudziestoczworometrowego muru tworzącego fundament pałacu Potala czterystu robotników przez osiem godzin budowało kamienne schody z łąki na szczyt muru. Kiedy tylko czoło orszaku dotarło do pierwszego stopnia, uczestnicy rozdzielili się jak woda w strumieniu omijająca głaz i zajęli miejsca po obu stronach tymczasowego wejścia na górę.

Gdy do podnóża schodów dotarł Złoty Budda, dziesięciu mnichów wystąpiło naprzód, utworzyło z własnych ramion drabinę, wniosło posąg po stopniach i ustawiło na szczycie muru. Potem wrócili na dół. Tron z siedzącym dalajlamą zwolnił i zatrzymał się przy schodach. Na sygnał dalajlamy mnisi niosący fotel ugięli kolana i

obrócili się w bok. Przytrzymali tron tuż nad ziemią i zaczęli, aż dalajlama zejdzie na gruby dywan rozłożony na trawie. Odetchnęli z ulgą, kiedy pozbyli się ciężaru. Gdy dalajlama ruszył w górę schodów, postawili fotel i wyprostowali się.

Z duszą przepelnioną boskim natchnieniem, dalajlama wspiał się na górę.

Na szczycie odwrócił się wolno i popatrzył na tłum. Mrowie ludzi rozciągało się przez całą łąkę aż do zboczy pobliskich wzgórz. Schylił głowę i na moment zamknął oczy. Potem przemówił.

– Brakowało mi was – powiedział po prostu.

Milczący tłum znów zaczął wiwatować.

Minęło dwadzieścia minut, zanim uciszyło się na tyle, by dalajlama mógł przemawiać dalej.